





15.8.1924.



EX LIBRIS
LEKTOR

1264 -

1264-66

MIŁOŚĆ I MIŁOSTKI
W ŻYCIU SŁAWNYCH LUDZI

FERDYNAND HOESICK

MIŁOŚĆ I MIŁOSTKI W ŻYCIU SŁAWNYCH LUDZI

WYDANIE DRUGIE
PRZEJRZANE I POPRAWIONE

*Spis treści
H. H. H. H.*

W A R S Z A W A ——— K R A K Ó W
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

PRZEDMOWA

Na tom niniejszy złożyły się luźne szkice, kreślone w różnych czasach, w różnych miejscach, w różnych okolicznościach, po większej części przygodnie, nie pod wpływem własnego impulsu. Prawie bez wyjątku są to rzeczy pisane na zamówienie. Stąd ich dziennikarski raczej, sprawozdawczy, aniżeli czysto literacki charakter. Że jednak wszystkie obracają się koło najwdzięczniejszego ze wszystkich tematów, bo wkoło miłości, i to do tego miłości ludzi sławnych, popularnych, zasłużonych, rozgłoszonych, więc przyszło mi na myśl, ażeby je zebrać w tom, podobnie, jak to przed laty uczynił Emil Faguet, wydając swoje *Amours d'hommes de lettres*, będące podobnym zbiorem luźnych szkiców o takim samym przygodnym, najczęściej dziennikarskim i sprawozdawczym charakterze.

Uczyniłem to i dlatego potrosze, że z niektórymi z pośród tych szkiców, a nawet prawdę powiedziawszy ze wszystkimi, wiążą się dla mnie osobiście nader miłe wspomnienia z dawno ubiegłych lat, wspomnienia, do których człowiek, gdy już ma młodość za sobą, zawsze powraca chętnie i z pewnem rozrzewnieniem.

Właśnie dlatego chcę w tej przedmowie podzielić się wspomnieniami temi z czytelnikiem, ażeby go nieco wtajemniczyć w ten melancholijny urok, jakim te drobne i bezpretensjonalne opowiadania są owiane w mej autorskiej wyobraźni.

Nic oryginalniejszego np. jak historia pierwszego z tych szkiców, o *Sobieskim i Marysieńce*. Jako nie historyk z zawodu, nigdybym z pewnością nie wpadł na pomysł pisania o królu Janie III. i jego urodziwej małżonce, gdyby nie redaktor petersburskiego *Kraju*, Erazm Piltz, który zażądał odemnie skreślenia tej rozprawki. Rzecz miała się tak. W maju 1896 roku ukazała się w *Bibliotece Warszawskiej* część pierwsza studjum historycznego Tadeusza Korzona p. t. *Romans Sobieskiego z Marysieńką*. Dokończenie miało nastąpić w zeszycie czerwcowym. Nim ukazało się jednak, otrzymałem od redaktora *Kraju* depeszę, ażebym niezwłocznie nadesłał „barwne streszczenie“ tej pracy. Depeszę tę otrzymałem w przeddzień wyjazdu mego do stolicy Francji,

gdzie dla tegoż *Kraju* miałem opracować *Rzeczy polskie w Paryżu*. Nie mogąc czekać, aż wyjdzie czerwcowy zeszyt *Biblioteki Warszawskiej*, a mając znajomych w drukarni Lubowskiego, gdzie się drukował ten miesięcznik, postanowiłem spróbować, zali mi się nie uda otrzymać t. z. szczotkowej odbitki z dokończenia rzeczonyj pracy, niewątpliwie już złożonej. Uzyskawszy takową, nie potrzebowałem odkładać wyjazdu, tak, że już nazajutrz, w wagonie, w drodze do Berlina, uważnie przestudjowałem rzecz całą. W Berlinie, gdzie zatrzymałem się na parę dni, napisałem pierwszych paręset wierszy artykułu, które też niezwłocznie wysłałem do Petersburga. Dalszy ciąg pisałem w Heidelbergu, w starym parku zamkowym, na rozległym tarasie, skąd tak cudny roztacza się widok na to uroczne miasto nad Nekarem. Ostatnich paręset wierszy napisałem w Paryżu, skąd też wysłałem resztę manuskryptu. W lipcu, w paryskiej Bibliotece polskiej przy Quai d'Orléans przeczytałem w świeżo nadeszłym numerze *Kraju* początek mego artykułu; dalszy zaś ciąg otrzymałem w Londynie... Przyzna każdy, że jak na zwykły dziennikarski artykuł, odyseja to wcale niepowszednia.

Nic oryginalniejszego jednak, jak historia powstania szkicu o *Nieszczęśliwej miłości Asnyka*, opartego na całkiem nieznanym materiale rękopiśmiennym. Do materiałów tych doszedłem w następujący, całkiem przypadkowy sposób. W roku 1913 zacząłem w różnych pismach, między innemi i w *Kurjerze Warszawskim*, ogłaszać szereg mniejszych lub większych studjów *O zapomnianych utworach Asnyka nieobjętych żadnem z wydań zbiorowych*. Po ukazaniu się w kilku feljetonach *Kurjera Warszawskiego* jednego z tych przyczynków, otrzymałem w styczniu 1914 roku list z Królestwa od pani Anieli Steczkowskiej, powiadamiający mnie, że podpisana jest w posiadaniu kilku wierszy i listów Asnyka, pisanych w roku 1870, i że nie jest pewną, nie mając poezji Ely'ego pod ręką, czy wszystkie te wiersze były drukowane, czy też pozostały ogółowi nieznane? List był wysoce zaciekawiający, tembardziej, że wymienione sonety i liryki, przeważnie publikowane, były treści miłosnej, co nasuwało uzasadnione przypuszczenie, że szczęśliwa posiadaczka tych autografów poety musiała tem samem odegrać pewną rolę w jego ówczesnem życiu. Rzecz wyjaśniła się niebawem. Na mój list, w którym niezwłocznie udzieliłem wszelkich żądanych informacji w kwestji wyszczególnionych wierszy Asnyka, otrzymałem wkrótce odpowiedź, z której dowiedziałem się w ogólnych zarysach, jakie wydarzenia złożyły się na powstanie tych rzewnych erotyków, i w jakich okolicznościach zawiązała się dwa lata przeszło trwająca korespondencja poety z... matką panny. Skończyło się na tem, że wszystkie posiadane przez pa-

nią Steczkowską autografy wierszy i listów Asnyka znalazły się w Krakowie na mem biurku, że nietylko upoważniono mnie do skorzystania z nich przy pisaniu specjalnej rozprawy o Asnyku, ale mi z nich uczyniono drogocenny podarunek, uzasadniając to — w liście z 30. stycznia 1914 roku — w następujący sposób: „Jeżeli Szanowny Pan żąda listów Asnyka i zużytkowania ich w osobnem studjum, to nie widzę powodu odmawiać Mu tego. Niema w nich nic takiego, coby mogło ubliżyć pamięci poety: a co do mojego panińskiego nazwiska, także nie widzę ujemy dla siebie, aby ono było znane. Prosiłabym jedynie, aby moje obecne nazwisko, jako jeszcze żyjącej, było tylko oznaczane literą S. Niech wszystkie listy i autografy Asnyka staną się Pańską własnością i będą przyłączone do tych, które już są w posiadaniu Pańskiem. Tym sposobem będą miały zapewnioną trwałość; gdyż w posiadaniu prywatnem są tylko pewne, dopóki życia osoby interesowanej; w następstwie mogą być narażone na zginiecie lub zniszczenie“. A że prócz tego pani Steczkowska, udzieliła mi łaskawie wszystkich potrzebnych wskazówek, odnoszących się do jej roli w życiu Asnyka, więc znalazłem się w posiadaniu zupełnie wyjątkowych danych do skreślenia całego przebiegu tej jego nieszczęśliwej miłości. Pod tym względem nie da się zaprzeczyć, że jako biograf poety miałem do jego Beatriczy daleko większe szczęście, niż on sam.

Niemniej dziwne były losy szkicu o *Elegjach rzymskich Goethego*. W roku 1896 umarł w Krakowie zasłużony tłumacz pieśni *Goethego*, prof. Hugo Zathay. Wkrótce po jego śmierci otrzymałem od prof. Stanisława Tarnowskiego list, w którym donosił mi, że po ś. p. Zatheyu został w rękopisie całkowity przekład *Elegji rzymskich Goethego*, przekład, według jego zdania, ładny i subtelny, którego on jednak ze względu na zbyt swawolną i pogańską treść pomienionych elegji żadną miarą pomimo najszczerzych chęci w *Przeglądzie polskim* drukować nie może; byłby mi jednak zobowiązany niezmiernie, gdybym dla rzeczy tej uzyskał miejsce w któremkolwiek z czasopism w Warszawie. Pragnąc wywiązać się z tego polecenia, obszedłem wszystkie redakcje warszawskich miesięczników i tygodników, ale wszędzie spotkałem się z rekuzą: Chmielowski w *Ateneum* nie miał zaufania do tego Zatheyowskiego przekładu, Bogusławski tłumaczył się, że *Biblioteka Warszawska* wogóle nie zamieszcza żadnych tłumaczeń, Wiślicki w „dodatku literackim“ do *Przeglądu Tygodniowego* także tego „krakowskiego stańczykowskiego przekładu“ zamieścić nie uważał za stosowne, a dla *Tygodnika ilustrowanego* nie nadawały się te niemoralne elegje, zdaniem Gawalewicza, w tym samym stopniu, co dla *Przeglądu polskiego*. Jednem słowem, wśród serdecznych przyjaciół psy

zająca zjadły, i rękopism Zatheyowskiego przekładu mistrzowskich erotyków Goethego, nie mogąc w żaden sposób ujrzeć światła druku, spoczął wraz z innymi papierami po zmarłym w biurku pozostałej po nim wdowy. I przeleżał tam lat blisko dwadzieścia. Dopiero gdy w r. 1911 zaczął wychodzić *Museion* w Krakowie, przyszło mi na myśl, czyby redakcja tego miesięcznika, propagującego kult klasycznego piękna, nie okazała się skłonną do wydrukowania tego nieznanego mi zresztą przekładu. Wskutek tych moich dochodzeń *Elegje rzymskie* Goethego w przekładzie Zatheya wyszły w *Museionie* w zeszycie za październik 1912 roku, poczem ukazały się w osobnej odbitce książkowej. Ażeby na nie zwrócić uwagę czytającego ogółu — o co mnie proszono specjalnie — napisałem do *Przewodnika naukowego i literackiego* rodzaj obszerniejszego studjum o tym arcytworze Goethego, kładąc głównie nacisk na jego psychologiczną genezę na tle osobistych przeżyć poety w Rzymie.

Szkic o *Beethovenie i Giuliecie Guicciardi*, oparty na dziele Ludwika Nohla, został napisany jedynie wskutek namowy ś. p. Aleksandra Rajchmana, który, przeczytawszy z zajęciem w *Ate-neum* moje studjum o romansie Zygmunta Krasińskiego z panią Bobrową, zażądał odemnie dla wydawanego przez siebie *Echa muzycznego* jakiej podobnej historii miłosnej z życia którego z wielkich muzyków.

Szkic o *Elizie Radziwiłłównie i Wilhelmie I.* pewno by nigdy nie został skreślony, gdyby nie redaktorka warszawskiego *Kurjera Niedzielnego* p. Marja Chełmońska, której moje streszczenie w *Kraju* pracy Korzona o Sobieskim i Marysieńce o tyle trafiło do przekonania, że zażądała odemnie czegoś w tym samym rodzaju na temat świeżo wydanej wtedy książeczki hr. Teresy z Potockich Wodzickiej o tej młodzieńczej idylli przyszłego cesarza Niemiec.

Gdy w roku 1909 obchodzono 50-lecie śmierci twórcy *Irydiona* i *Nieboskiej* i wszystkie pisma polskie zamieszczały mnóstwo okolicznościowych artykułików o tym „poecie bezimiennym“, wypadło i mnie, jako autorowi książki o *Miłości w życiu Zygmunta Krasińskiego*, dostarczyć całego szeregu takich artykułów o nim, co oczywiście podobnym pracom na obstalunek niezawsze wychodzi na dobre. Między innymi napisałem wtedy włączony do niniejszego tomu szkic o *Zygmuncie Krasińskim i Amelji Zaluskiej*, zamówiony przez redakcję *Kurjera Warszawskiego* i w piśmie tem w numerze noworocznym wydrukowany.

Podobną jest geneza odczytu o *Młodzieńczym „idealie“ Chopina*, który to odczyt, jako że pracowałem wówczas nad monografią o twórcy *Polonezów*, musiałem napisać z dnia na dzień, ażeby przed wygłoszeniem go na raucie w wielkiej sali ratu-

szowej w Warszawie jeszcze mógł przejść wszystkie wymagane formalności cenzuralne. Zadanie było niełatwe, ponieważ urządzający ten raut, ś. p. Aleksander Rajchman, postawił za warunek *sine qua non*, że odczyt musi być na interesujący temat, w rodzaju salonowym, taki, żeby go z zajęciem słuchały damy, i że w żaden sposób nie może trwać dłużej, aniżeli dziesięć minut. W tych warunkach trudno wymagać rzeczy gruntownej.

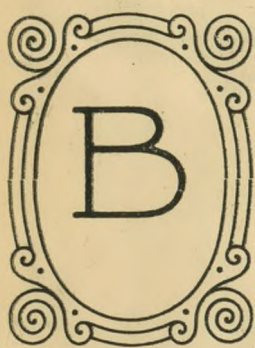
Opowiadanie o *Życiu miłosnem pani Sand* pozostaje w najściślejszym związku z moją trzynomową monografią o Chopinie, w którego życiu Aurora Dudevant odegrała tak doniosłą i przełomową rolę. Pragnąc wyjaśnić niedość przedtem zbadane przez innych dzieje tego dramatycznego romansu, a zwłaszcza pragnąc zrehabilitować panią Sand, którą nasi dotychczasowi biografowie Chopina przedstawiali w tak niekorzystnem świetle, musiałem z natury rzeczy zadać sobie trud zbadania jej awanturniczej przeszłości, którą w r. 1838 już miała za sobą, gdy się poznała z Chopinem. Z tych studjów powstał dość wyczerpujący szkic o pani Sand i jej różnych miłościach i miłostkach, zanim Chopin powiększył liczbę jej kochanków. Szkic ten, który wymagał poznania całej odnośnej literatury francuskiej, pisałem w nader miłych warunkach zewnętrznych, bo przy szumie fal oceanu w Biarritz.

Romantyczny list pani Sand do Grzymały, będący niejako prologiem do jej sensacyjnego romansu z Chopinem, zawdzięcza ukazanie się swoje w polskim przekładzie redakcji *Kurjera Warszawskiego*, która zapragnęła z tym wysoce interesującym dokumentem zapoznać bliżej swych czytelników.

Zamieszczony na końcu książki artykuł o erotykach Gawałowicza wywołało zamówienie redakcji krakowskiej *Wisty*, przy czem nadmienić się godzi, że prof. Creizenach, — do niedawna profesor literatury niemieckiej przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie — przeczytawszy te wdzięczne liryki, nazwał je najlepszymi wierszami niemieckimi, napisanymi przez cudzoziemca, jakie mu się czytać zdarzyło.

Oto, w jaki sposób powstały artykuły, które zebrane razem, złożyły się na niniejszy tom erotyków historyczno-literackich, o ile ta nazwa nie jest dla drobiazgów podobnych zbyt szumną.

SOBIESKI I MARYSIENKA



Było to w roku 1655 w Warszawie, przed najazdem szwedzkim, podczas sejmu. W stolicy, jeszcze ludnej i bogatej, panowało niezwykle ożywienie, a na zamku, w którym rezydował Jan Kazimierz, wogóle rozmiłowany w zabawach wszelkiego rodzaju, odbywały się świetne maskarady i bale.

Na jednej z takich zabaw dworskich nastąpiło pierwsze zbliżenie pomiędzy młodym, 25-letnim starostą jaworowskim, Janem Sobieskim, a młodziutką, bo zaledwie 14-letnią Marją Kazimierą d'Arquien.

Córka byłej guwernantki Ludwiki Marji i kapitana gwardji szwajcarskiej księcia Orleańskiego, a faworytka królowej, w której fraucymerze już od trzech lat uchodziła za najpiękniejszą z dworek, bezwarunkowo zasługiwała na tak pochlebną opinię; jako Francuzka zaś, a więc dziecko południa, była w swej 14-tej wiosnie już rozwiniętą zupełnie. Nadto posiadała tyle powabu i wdzięku, że młodociany starosta, również mogący uchodzić za prawdziwą piękność męską, „odrazu“ tak namiętnym rozgorzałku niej afektem, że postanowił „nigdy z inną się nie ożenić“. Skończyło się na tem, że serduszko „małej d'Arquien“ zaczęło bić coraz żywiej dla przyszłego pogromcy Turków.

Taki był początek romansu. Niestety, o ile poprzedzający go prolog tchnął prawdziwie sielankową poezją, o tyle „ciąg dalszy“, który nastąpił po nim bezpośrednio, wypadł nierównie prozaiczniej.

Przedewszystkiem Sobieski, zamiast się oświadczyć — co będąc pewnym wzajemności swej lubej mógł śmiało uczynić — dla jakichś niewiadomych a tajemniczych przyczyn zwlekał i zwlekał, tak, że upłynęło dwa lata prawie, zbliżał się już koniec roku 1657, a on, choć zakochany nie na żarty, nie wypowiadał jakoś stanowczego słowa. Tymczasem „mała d'Arquien“ wpadła w oko młodemu ordynatowi Zamoyskiemu, który tak sobie jej „nieporównanymi wdziękami“ głowę zawrócił, że zaczął zabiegać o jej względy. Jako największy pan w całej Pol-

sce, „mający 700.000 liwrow dochodu i najpiękniejsze w świecie domy przedziwnie umeblowane“. był to rywal nielada.

Zaledwie o dwa lata starszy od Sobieskiego. był on osobistością pod względem znaczenia w kraju nierównie wyższą, aniżeli przyszły zwycięzca z pod Wiednia, nie mający jeszcze w tej chwili w swem posiadaniu wszystkich dóbr rodzicielskich; a jako przyjaciel króla i królowej, którym raz po raz oddawał ważne usługi, miał daleko większe widoki, gdy chodziło o poparcie na dworze, aniżeli młody starosta. Nadto był zakochany bez pamięci, a zapragnąwszy ręki uroczej Marji Kazimiery, mógł samą królowę mieć za swatkę.

Jakoż stało się nie inaczej. Rozpoczęto kroki przedwstępne, na to zaś, żeby skruszyć serce urodziwej Francuzeczki, zakomunikowano jej bez ogródek, że ordynat Zamoyski tak ją sobie upodobał, że gotów jest ofiarować swej wybrance „100.000 talarów w prezencie, 12.000 (talarów) dochodu na jej przyjemności i 4.000 (talarów) intraty na jakimkolwiek starostwie; obiecuje też wiele innych rzeczy, gdy ona zostanie żoną jego i zwiększy miłość w jego sercu“.

Wcale nie było wykluczonem, że w chwili, kiedy imci pan Podlodowski, starosta radomski, „uproszony“ przez ordynata, wystąpił z formalnemi oświadczynami, serce „małej d'Arquien“ wyrывało się do Sobieskiego; mimo to, gdy szło o danie stanowczej odpowiedzi ordynackiemu dziewosłębowi, przestała się liczyć ze swym lubym, który jej nie mógł dać odrazu dwóch zapisów na 600.000 złotych polskich. ani starostwa kałuskiego „na swe osobiste wydatki“, i zdecydowała się pójść za głosem rozsądku. Zrozumiała widocznie, że lepiej być wielką panią, żoną największego magnata polskiego, aniżeli starościną jaworską; powtóre, Sobieski się nie oświadczał, a ona pochodziła z ubogiej rodziny. Jakoż dała odpowiedź przychylną, co upoważniło Zamoyskiego, że oświadczyny swe uroczyście w obliczu króla i królowej powtórzył.

Nazajutrz, na zamku królewskim, odbyły się zaręczyny, na które zakochany oblubieniec przyniósł koronę djamentową, ażeby ją królowa, siedząc na tronie pod baldachimem, własnoręcznie włożyła na głowę czarującej oblubienicy.

Z niemniejszym przepychem i okazałością, a ciągle pod egidą Ich Królewskich Mości, odbyły się obrzędy przedślubne. Dość powiedzieć, że kiedy nadszedł dzień 3-go marca 1658 r., w którym „mała d'Arquien“ miała zostać ordynatową Janową Zamoyską, królowa wyraziła miłościwe życzenie, ażeby panna młoda ubierała się w jej pokoju. Zdaje się, iż przy tej sposobności podziwiano wspaniałą gotowalnię złotą, ozdobioną „wę-

zlami miłości“ z kosztownych pereł, którą Zamoyski ofiarował swej narzeczonej.

Ślub był prawdziwie królewski. Pan młody wystąpił w orszaku 20-tu przyjaciół, poprzedzany przez 100 hajduków, 100 służących, 40 dworzan, 24 masztalerzów, 18 paziów, 6 trębaczy. Druzbą, który pannę młodą prowadził do ołtarza, był sam Jan-Kazimierz. W czasie przysięgi małżeńskiej, panna młoda, zanim przyjęła z rąk kapłana obrączkę ślubną, otrzymała na to wpierw pozwolenie od jej królewskiej mości Ludwiki-Marji.

Nazajutrz, po godach weselnych, o których wieść nie mogła nie dojść do Sobieskiego, do Pilaszkowic, kiedy chodziło o odwiezienie pani wojewodziny kijowskiej do domu męża, odwieźli ją oboje królestwo.

„Jutrzenka“ jednak, zostawszy żoną Zamoyskiego, nie bardzo starała się „zwiększyć miłość w jego sercu“. Nie podobało się jej w Zamościu, nawet w czasie miodowych miesięcy. Miała mnóstwo irytacji ze służbą, która jej „nawspak czyniła“, a choć małżonek był zakochany i czuły, zaczęła się nudzić, czuła się osamotnioną, tak dalece, że już w pierwszych miesiącach zażądała niejakiej referendarzówny „dla konwersacji“. Widocznie, że sobie z mężem niewiele miała do powiedzenia... Jednocześnie, od chwili, kiedy się poczuła w stanie odmiennym, zaczęła zapadać na zdrowiu, dla którego „poratowania“ najchętniej jeździła do Warszawy, gdzie w atmosferze komerażów dworskich, przy boku królowej, której była ulubienicą i sojusznicą, czuła się w swoim żywiole. W Warszawie też, gdzie przedewszystkiem myślała o zabawach i rozrywkach, i o Sobieskim, z którym się widywała na dworze królowej, odbyła swój pierwszy połów, „a po tak ciężkiej chorobie, ustawicznie kazała sprowadzać dobrą kompanję, potem w Zamościu i w Zwierzyńcu ustawiczna dobra myśl i maskary, i gry różne, to w karty, to w ciuciubabki, to *aux petits jeux*, to przechadzki, to miljon innych zabaw“.

W tymże czasie, dla rozrywki również, a pewno bez wiedzy męża, który ją nudził i drażnił, zaczęła korespondować z Sobieskim, ten zaś, jako niezapomniany i zawsze miły sąsiad z Pilaszkowic, o sześć mil wszystkiego odległych od Zamościa, nie tylko z przyjemnością odpisywał na jej listy, ale nadto korzystał z każdej okazji, by się spotykać i widywać z romansową wojewodziną. W końcu doszło do tego, że listy zaczęły kursować coraz częściej, a jednocześnie stawały się coraz poufalszymi.

Ciekawe to były listy. Pisane stylem ówczesnych romansów francuskich, z których szczególnie *Astrée* Honorego d'Urfé zachwycała romansującą parę, o ile z początku były przeważnie listami zycziwej przyjaciółki, która chętnie pisze o różnych drobnych sprawach i przygodach, lub daje polecenia, dotyczące niektórych

sprawunków (jak np. zakupu koronek, szmaragdów, płócien holenderskich etc. etc.), o tyle stopniowo zaczynały być pisane coraz czulej: zrazu z czułością troskliwej matki-opiekunki, która „swojemu ukochanemu synowi“ zaleca ożenie się na pociechę jej w starości, lecz obawia się o niego, że przez całe życie pozostanie „*un* nic dobrego“; a potem z filuternością pieśczołki, trochę zazdrosnej nawet o jego miłości z jakimiś „Czerkieskami i Wołoszkami“, jakkolwiek głównym pretekstem do napisania listu były nie owe Czerkieski (tylko raz mu wypominane później), ale jakaś książka z piosenkami, którą pożyczył swojemu korespondentowi, lub jakaś tragedia o Kleopatrze, którą polecał jej, żeby przeczytała. Istna sielanka!

Tymczasem atmosfera, którą od jesieni 1658 r. oddychał Sobieski, wcale nie była sielankową: wystarczy nadmienić, że ostatnie jego listy były pisane z obozu, z Prus Królewskich, gdzie przyszedł Jan III. wojował ze Szwedami. W początku r. 1659 posłował na sejm w Warszawie, przez cały czas pozostając w najściślejszych stosunkach z dworem, zwłaszcza z królową, która mu przyznawała „znaczne koło dobra Rzpltej i Ojczyzny pieczołowanie“. Lato spędził na Rusi, skąd wróciwszy do Warszawy, znowu, razem z królem, wyruszył na ostatnią kampanję szwedzką. W marcu 1660 r. był w Gdańsku, w czerwcu — w Warszawie, w połowie sierpnia — w Jaworowie, a we wrześniu maszerował na Wołyń, przeciwko Kozakom i wojskom moskiewskim Szeremietiewa. Na Wołyniu, gdzie się odznaczył w wielu bitwach, zabawił do późnej jesieni, t. j. tak długo, dopóki Szeremietiew, oddawszy się w niewolę, nie zawarł kapitulacji, a Jurko Chmielnicki nie poddał się ze wszystkiem wojskiem zaporożkiem „na wieki“ pod panowanie Jana Kazimierza (17 października).

Tymczasem pani Zamoyska, bawiąca aż do lipca 1660 r. przy mężu, na Podolu, znowu była w stanie odmiennym, co jej nie przeszkadzało bynajmniej — pomimo ciągłych utyskiwań na zdrowie — jeździć konno i „strzelać po hiszpańsku tak, że nie lada kto mógł się z nią pojedynkować“. W połowie sierpnia, gdy Jan-Kazimierz, po odprawieniu rady wojennej we Lwowie, stanął w Samborze, w asystencji całego dworu i królowej, zjechała tu i Marysienka, a przyjechawszy, zabawiła około dwóch miesięcy.

Czy widywała się z Sobieskim, który w tym czasie bawił w Jaworowie? Prawdopodobnie, skoro z Jaworowa posyłał owoce, które w Samborze bardzo smakowały nie tylko Ich Królewskim Mościom, ale i pani Zamoyskiej. Wiadomo również, że kiedy młody chorąży koronny jechał na wyprawę szwedzką, Marysienka, nosząca w tych czasach „*un juste-au corps qui est assez*

joli“ i „un peu z krymska zapięty na bakier“, posłała mu krzyżyk złoty i szkaplerz z piękną relikwią, aby znaleziono na nim „godła chrześcijaństwa, w razie, jeśliby został zabity“. Niemniej jest pewnem, że kiedy ośmielony tym szkaplerzem Sobieski, któremu to sentymentalne wzdychanie już się dłużyło, zaczął — w listach do swej lubej — przebąkiwać o miłości prawdziwej, nie platonicznej, pani Zamoyska skarciła go za te marzenia, bo jak mógł żądać od niej „czegoś niemożliwego, obrażającego ją“. Niechaj będzie kontent — pisała — że go traktuje, jak syna, i daje mu „swoją szkaplerz ulubiony“. „Bądź zdrow! *Vivons contents, dedans la vertu*“. Ostatni warunek nie musiał się podobać bohaterowi z pod Lubaru... Cokolwiekby, czuła i Marysienka, że ta korespondencja jest trochę kompromitującą dla niej: prosiła więc Sobieskiego, ażeby palił jej listy. Czuła, że tymi listami schodzi z prostej ścieżki, a jednak, mimo to, nie przestawała igrać z ogniem. Rozumiała, że dzięki tej korespondencji — tak niewinnej na pozór — i siebie i Sobieskiego wiodła na pokuszenie; na to bowiem, ażeby się zapomnieć, była nie dość lekkomyślną.

Jakoż nie przestawała pisywać „ulotnych liścików“ do swego laworyta, ten zaś — podczas najgorętszych utarczek z Szeremietiewem i Chmielniczeńkiem — znajdował dość czasu, aby odpisywać swej Astrei: zwłaszcza, że Astrea pisywała coraz otwarciej, co się przejawiało np. w ten sposób, że coraz częściej zaczęła się skarżyć na męża. Zresztą pisała żartobliwie, lekko, ze szczególnem upodobaniem rozpisując się o miłości...

W maju r. 1661, z powodu sejmu, zjechał się Sobieski z piękną wojewodziną sandomierską w Warszawie. Należąc oboje do najbliższego otoczenia królowej, widywali się bardzo często, a że dokładali możliwych starań, ażeby się spotykać raz po raz, i to o ile możności „w cztery oczy“, nietylko więc, że się widywali częściej, aniżeli by sobie mógł tego życzyć mąż Marysienki, ale stosunek ich zaczął ulegać takiej metamorfozie, że ordynat Zamoyski miałby wszelką rację, gdyby Sobieskiego przestał uważać za swego przyjaciela... Nadomiar złego, mógłby to samo powiedzieć i o Krzysztofie Koryckim, który, zdecydowawszy się na dwuznaczną rolę powiernika i pośrednika między zakochanymi, ułatwiał im schadzki, doręczał listy i bileciki miłosne, słowem, grał rolę *d'un postillon d'amour*.

Te bileciki miłosne, które obecnie Sobieski zamieniał z Marysienką, odznaczały się takim tonem, że z pewnością nie byby się spodobały jej mężowi. Oto niektóre z nich. „Kiedy mogę mieć ten honor śliczną w. pani obaczyć twarz?... Zmiłuj się tedy, moja święta dobrodziejko, a oznajmij mi prawdziwe serca swego intencje, i gdzie i kiedy mam widzieć śliczności

wci dobrodziej. mojej". Była to zwykła prośba o schadzkę. Innym razem pisał, między innymi, co następuje: „Królowo serca, pani, a dobrodziejko moja! Obiecano dnia wczorajszego instrukcję. Upraszam uniżenie wci dobr. mojej, niechaj wiem, jako się sprawować mam, aby w najmniejszym łaski wci mojej dobr. nie naruszać terminie. Siedzę tu, *chez Mr. Korycki*, od samego poranku, nie śmiejąc po wczorajszym tak długim niewczasie turbować najśliczniejszej Jutrzenki, ani też pójść na inne miejsce, z którego mogłaby najpiękniejsza *Astrée* jakie formować nieukontentowanie. Twarz niełaskawą jeślibym dziś ujrzeć miał, albo najmniejszy po wci mojej dobrodziej. uznać nieafekt, racz o tem wiedzieć, moja święta pani, żebym tej godziny do ostatniej przyszedł desperacji". Wszystko to mogłoby niemniejsze „formować nieukontentowanie“, gdyby np. wpadło w ręce ordynata. Na szczęście, ordynat, nie domyślając się niczego, bankietował tymczasem, „nieraz po żołniersku przebierając miarę w kielichach“, trwonił pieniądze, a dla swej pięknej żony, której kaprysy często dawały mu się we znaki, zdawał się ostygnać w afekcie. A ona? Ona, jak go nie kochała nigdy, tak i teraz, kiedy gruchała z innym, był jej niemiłym raczej, niż obojętnym. W przeciwnym razie nie nazywałaby go w listach do Sobieskiego „Fujarą“ (*La flute*), tem bardziej, że sama przezywała się poetycznie „*Astreą*“, „*Różą*“, „*Bukietem*“, „*Jutrzenką*“ etc., a dla starosty jaworowskiego miała tak poetyczne kryptonimy, jak *Céladon*, *Sylwandre*, *Orondate*, *La Poudre*, *la Beaulieu* etc.¹⁾

W ten sposób upłynęło kilka tygodni. Płocha ordynatowa i jej dorodny wielbiciel byli z dniem każdym coraz bardziej w sobie zakochani, aż w końcu, w sam dzień św. Jana, który był dniem imienin Sobieskiego, spotkali się w kościele *Karmelitów*, gdzie, przed ołtarzem, Sobieski zaprzysiągł swej lubej dozgonną miłość. Marysienka wysłuchiwała przysięgi, ale sama nie zobowiązała się do niczego... Zbyt przezorną i roztropną była na to, ażeby, jak Sobieski, rzucać niebaczone słowo, którego mogłaby z czasem żałować. Wolała mieć rozwiązane ręce. Nie przeczuwała, że „*La Poudre*“ będzie z czasem królem polskim, a pamiętała o zapisach „*Fujary*“, których musiałaby się rzec przy rozwodzie. Jednem słowem, romansowała na trzeźwo.

Tymczasem, jeszcze przed końcem sejmu, musieli się rozstać: Sobieski został w Warszawie, Marysienka pojechała do *Zwierzyńca*. Wyjechała z mężem, a główny powód, dla którego

¹⁾ Marja-Ludwika nazywała się w tych listach *La Girouette* (chorągiewka), *Kamaléon*, *Essences*; król — *Aptekarzem* (*Apothicaire*), *Kupcem paryskim* (*Marchand de Paris*); Jerzy Lubomirski — *Lisem* lub *Żmiją*; księżna Wiśniowiecka — *La Viole de jambe*; państwo d'Arquien — *Ptakami morskimi* (*Les Oiseaux de mer*).

rozstała się z ukochanym, najlepiej ją charakteryzuje: oto zdecydowała się położyć koniec rozrzutnej hojności męża, od którego, przez czas bytności jego w Warszawie, różni ludzie wycyganili napisów na 9.000 liwrów! Nie chcąc pozwolić na takie uszczuplanie fortuny, do której zawsze przywiązywała wagę największą, postanowiła „Jutrzenka“ wyjazd do domu.

Tam, w Zwierzyńcu, znowu miała od Sobieskiego „konfitury“, na które odpisywała niemniej słodkimi listami. W końcu zaprosiła go, ażeby przyjechał do niej, co też uczynił. Zabawivszy czas jakiś przy boku Astrei, pieścił jej słabowitą córeczkę, a gdy opuścił ordynacką siedzibę, stosunek „Róży“ z „Fujarą“ popsuł się tak dalece, że zapagnęła się z nim rozłączyć. W tym celu umyśliła wyjechać do Paryża, przyczem, na złość mężowi, który chciał, żeby córeczkę zostawiła przy siostrze jego, ks. Wiśniowieckiej (*La Viole de jambe*), uparła się powierzyć ją opiece królowej. Co najgorsza, to, że pragnęła wyjeżdżać zaraz, jeszcze przed zimą, wbrew woli „Fujary“, który żądał, by na karnawał została w domu. A jej właśnie zależało na tem, żeby karnawał spędzić w Paryżu, o ile możliwości w Wersalu, na dworze Ludwika XIV, gdzie miała licznych znajomych. Uśmiechało się jej to bardziej nawet, niż „konfitury“ Sobieskiego, z którym zresztą mogłaby się widywać i tak... Ale „Fujara“ postawił na swoim i „Jutrzenka“ musiała się zadowolnić „konfiturami“.

Swoją drogą nie dała za wygraną. Po upływie pięciu miesięcy, dnia 21 kwietnia, po „rozmaitych, ale nie stanowczych rozprawach“ i czułem pożegnaniu z Sobieskim, który jej zaprzysiągł wieczną pamięć i wierność, odjechała do Francji, „poruczywszy zarząd i zawiadywanie starostwem Kałuskim, oraz innemi dobrami, darowanemi sobie przez j. wielmożnego (ordynata), *chorążemu koronnemu J. P. Sobieskiemu i J. P. Sapieżę*, usunąwszy żyjącego męża, od którego miała rzeczzone dobra“. Chodziło o to, że „Jutrzenka“ nie mogła dłużej żyć pod jednym dachem z „Fujarą“, który się jej ujarzmić nie dał, że wyjeżdżając do Francji, chciała tem samem wyłamać się z pod jego władzy, wyłamać się „z pod praw pożycia małżeńskiego i obowiązków macierzyńskich“. Nie przewidziała jednego tylko, wyjeżdżając: oto, iż „Fujara“, każe zatrzymać dochody starostwa Kałuskiego, a nawet zabrać garderobę nieobecnej żony, tak, że zarówno Sobieski, jak i Sapieha, jeśli chodziło o zarząd dóbr Marysienki, nie mieli nic do czynienia.

Dawało to możność Céladonowi tem częstszego wysyłania „konfitur“ do Astrei, zwłaszcza, iż żądała od niego przy rozstaniu, by mogła odbierać regularnie z każdej poczty, co tydzień, po liście. Jakoż pisywali do siebie często, a „Jutrzenka“ odda-

lona od swego Céladona, istotnie wspominała go czule. Widocznie, że — mimo wszystko — żywiła niekłamana skłonność ku pięknemu chorążemu; w przeciwnym razie nie przemyślałaby o tem, ażeby, rozwiódłszy się z „Fujarą“, zostać chorożyną koronną. W tym celu pisała do niego dnia 22 czerwca, iż może panu d'Arquien powiedzieć z uszanowaniem „o uczuciu, jakie powziął dla niej od chwili poznania“; a w kilka dni później pozwoiliła ojcu, „*qui est fou de moi*“, dodać ośmielające *post scriptum*: dowód to, że była zdecydowaną na rozpoczęcie nowej egzystencji z dorodnym Céladonem, pod warunkiem przecie, że to nowe życie będą prowadzili we Francji.

Wtem nastąpił niespodziewany zwrot: Wenus zaczęła godzić się z Wulkanem, nie tając tego przed zakochanym Marsem. Począwszy od października, zaczęły się w listach Marysieńki coraz częściej pojawiać wzmianki o mężu: najprzód skargi, że jej zabrał całe mienie, że raz tylko pisał w ciągu 4-ch czy 5-cu miesięcy, *choć ona pisuje często*, a potem narzekania, że krzywdzi swą żonę, która „kochała go i *kocha*, o ile kochać powinna kobieta uczciwa“; że wątpi, czy Zamoyski kochał ją naprawdę, etc. Jednocześnie donosiła, że Ludwika-Marya wzywa ją, by powracała do kraju. „Doprawdy, urodziłam się, żeby być nieszczęśliwą“. Swoją drogą „nie ma Beaulieu (Sobieski) wątpić, że Astrea z pewnością zachowa dla niego pomarańcze (miłość) tak całkowite i piękne, jak tylko być może w jej stanie obecnym, i nigdy wiarołomną nie będzie“.

Tymczasem Sobieskiego „największa pasja“ ciągnęła ku Marysieńce, jakkolwiek nie mógł się pogodzić z myślą, ażeby się ekspatryować dla ukochanej kobiety. To też, kiedy się dowiedział, że Astrea ma wracać do Polski, wieść tę powitał z niekłamana radością. Bądź co bądź, myliłby się, ktoby przypuszczał, że Sobieski był wyłącznie zaprzątnięty myślą o Marysieńce, że siedząc w swoim dworze pilaszkowickim, wzdychał tylko, jak sentymentalny Filon, odczytywał listy Marysieńki, zachwycał się ich żywością, wyobrażał sobie, jak wyglądała na tle Paryża, i pisywał czułe listy do niej. Tak było w części, lecz nie należy zapominać, że Sobieski był jednym z najgorętszych patrijotów ówczesnych, który, będąc zakochanym w Marysieńce, niemniej gorąco kochał swą ojczyznę. Dla ojczyzny zaś skończył się właśnie „szczęśliwy rok“, a zaczynał nowy, nieszczęśliwy! Pod jesień bawił Sobieski przy królu, pod Głuchowem, poczem wyruszyli na wyprawę moskiewską.

W tym samym czasie, d. 22 października 1663 r., Marysieńka „niespodziewanie“ przyjechała do Zwierzyńca, a w przeciągu miesiąca tak potrafiła ugłaskać zagniewanego „Fujarę“, że już w d. 24 listopada Zamoyski zamanifestował to *coram populo*,

przyjeżdżając z nią razem, w asystencji całego dworu swojego, do Zamościa. Nie wiedział zapewne, że małżonka jego, bezpośrednio po powrocie do domu, zaczęła pisywać do Sobieskiego listy, w których obok zapewnień czułości i wynurzeń nadziei, że „kochana Beaulieu, dla której jestem i będę zawsze zarówno czułą, napisze czasem“, mieniła się jego „dobrą przyjaciółką“ etc. etc. Jednocześnie zaczęły się nowe sceny z mężem, a Marysieńka, pisując do królowej, nie tajiła swych złych stosunków z „Fujarą“, który trawiony chorobą, leczyć się nie chciał, życie zaś, które prowadził, nie miało nic wspólnego z higieną. Być może, iż inna kobieta na miejscu „Jutrzenki“ nie zgodziłaby się — stosownie do życzliwych rad Ludwiki-Marji — mieszkać „jak przy ojcu“ przy takim mężu; ale Jutrzenka była do tego zniewolona warunkami materialnymi, ubóstwem całej rodziny d'Arquienów; i dlatego, choć sarkala w listach, nie wyjeżdżała ze Zwierzyńca, tak dalece, że podobno ani razu w ciągu całego roku 1664 nie była na dworze warszawskim. A ponieważ do wszystkiego przyzwyczaić się można, więc i roztropna Astrea, zaniechawszy projektów separacji, oświadczyła w końcu — w listach do królowej — że „jest zadowolona z Fujary, że chce mu być posłuszną we wszystkim i robić wszystko, co jej każe, bo z jej to własnej winy i z uniesień młodości wynikł zły pomiędzy nimi stosunek“.

Oczywiście, że podobne „intencje bouquetowe“, tak często zmieniające się raz po raz, nie mogły się podobać Sobieskiemu. To też zaczęły krążyć pogłoski, że zakochany Céladon stara się o rękę księżniczki kurlandzkiej, pogłoski, które, doszedłszy do uszu Marysieńki, boleśnie musiały urazić jej miłość własną. Na szczęście, Sobieski zaprzeczył tej plotce, a pisząc do swej ukochanej, zapewniał ją, że „lubo na Rusi mieszka, ale się nie sprawuje po rusku, bo to tylko dar ruski: dawszy co komu, nazad odbierać. On, co raz da, *na wieki* odbierać nie myśli“; to też niech Jutrzenka nie zapomina, że jej interesa są jemu „milsze daleko, niżeli swoje własne“.

Tymczasem zaczął się pamiętny sejm, na którym miała być sądzona sprawa Lubomirskiego. Sobieski, który już od września bawił w Jaworowie, skąd miał tak blisko do rezydencji Zamoy-skich, udał się do Warszawy, jako poseł. Ponieważ z Marysieńką, od chwili, gdy powrócił do domu, miał sposobność częstego komunikowania się bądź listownie bądź osobiście, umówili się więc, że się spotkają, skoro on będzie jechał do stolicy. Niestety, ukartowane spotkanie się nie udało, z Sobieskim bowiem, gdy opuszczał Jaworów, wybrała się „wielka kupa różnych i nieproszonych przyjaciół“, a widzenie się w takich warunkach, wobec świadków, wcale się nie uśmiechało zakochanym.

Swoją drogą, „już z sobą nie wiedziała, co czynić, nieszczęsna Beaulieu“, tak był stęskniony za widokiem Jutrzenki, bez której żyć nie mógł. W strapienin tem, maconem ciągłymi listami od królowej, od Lubomirskiego „i od *vin muscat*“, pocieszała go jedynie nadzieja, że się spotkają w Warszawie. Szkoda tylko, że się tam wybierał także i Zamoyski, mocno przez Ludwikę-Marię pociągany do akcji przeciwko Lubomirskiemu!

Jakoż zjechali się, nie prędzej jednak, aż dopiero po ukończonym a raczej zerwanym sejmie. Obaliwszy Lubomirskiego, Ludwika-Marja zapagnęła wytworzyć nową konstelację polityczną, mianowicie z Sobieskiego uczynić główne narzędzie swych kno-wań, i w tym celu sprowadziła Marysienkę. Wiedząc, że przez nią wymoże wszystko, co zechce, na zakochanym chorążym, poczęła go namawiać do przyjęcia laski marszałkowskiej. Sobieski, jako przechylający się na stronę Lubomirskiego, opierał się, kunktował, aż wreszcie „na szczególne rozkazanie“ Jutrzenki, „uczynił sobie gwałt dosyć wielki“ i począł się chwiać. Nad politykiem brał z wolna górę kochanek! Co prawda, to ten ostatni czuł się bardzo od niejakiego czasu nieszczęśliwym, a zdarzały mu się i takie chwile, że nawet blizki rozpaczy, nie wiedział, czego się trzymać, co myśleć o Marysience: ona bowiem, chociaż go niby kochała, jednak z „Fujarą“ rozłączyć się nie chciała. Wobec podobnej igraszki ze strony Astrei, Sobieskiemu zdawało się niejednokrotnie, że „nie masz i nie było nieszczęśliwszego człowieka“ nad niego, a gdy temi słowy skarżył się w jednym z listów do Marysienki, to zdanie to nie było czczym frazesem. Nadto był w niezgodzie ze swem politycznem sumieniem. To było powodem, że w sprawie przyjęcia laski obiecał dać stanowczą odpowiedź nie prędzej, aż dopiero po swym powtórnym przyjeździe do Warszawy. Tymczasem, w końcu stycznia, wyjechał do Żółkwi, a król i królowa przedsiębrali pobożną pielgrzymkę do Częstochowy, w której to pielgrzymce i pani Zamoyska podobno brała udział.

Atoli, jadąc do Żółkwi, przed sejmikami, zapowiedzianymi na 15 lutego, myślał Sobieski nie tyle o tem, żeby się dać wybrać na posła, ile o swej lubej, która — może pobudzona przez królowę — coraz poważniej zaczynała przemyślać o rozwodzie z „Fujarą“. Sprawa ta interesowała teraz Sobieskiego więcej nie-równie, niż laska i buława, któremi go częstowano, i niż polecenie od królowej, ażeby agitował na rzecz stronnictwa dworskiego przeciw Lubomirskiemu. Tak usposobiony, kiedy go nakłaniano do przyjazdu w celu rozmówienia się z królową, obiecywał uczynić to pod warunkiem, że Marysienka otrzyma od króla pozwolenie na rozwód.

Nagle sprawa przybrała całkiem nieprzewidziany obrót: dn a

7 kwietnia (1665), po jakiejś strasznej, kilkudniowej chorobie, Jan Zamoyski umarł niespodzianie. Marysienka była wolną bez rozvodu; wszelkie przeszkody zniknęły. Jakoż, zdaje się, iż nie co innego, tylko ta sprawa była powodem, że już dnia 21 kwietnia, a więc we dwa tygodnie po śmierci Zamoyskiego, Sobieski stawiał się w Warszawie, gdzie, ledwo się pokazał, zaraz „wszyscy wołali, mianowicie królestwo JMC., żeby się żenił”. Leżało to w interesie partji dworskiej, a Ludwika-Marja zrozumiała odrazu, że, ożeniony z „Bukietem”, Sobieski będzie w jej ręku, jak gałka chleba.

Tą myślą powodowana, postanowiła Ludwika-Marja zastawić na Sobieskiego takie sidła, z którychby się żadnym cudem wypłatać nie zdołał. Przynętą, która go do tej złowrogiej sieci wciągnąć miała, była oczywiście Marysienka. Ledwo Sobieski stawiał się w Warszawie, natychmiast ofiarowano mu zaszczytny urząd marszałka w. k., gdy zaś w odpowiedzi na tę propozycję, oświadczył, iż przedewszystkiem prosi o łaskę królewską, żeby mu było wolno starać się o rękę wdowy po Zamoyskim (bo tylko za tę cenę gotów uczynić wszystko), Ludwika-Marja bynajmniej nie myślała sprzeciwiać się temu żądaniu; owszem, ucieszyła się nawet, kiedy jej powiedziano, że Sobieski nie pragnie niczego, tylko pozwolenia na zaślubienie Marysienki. Leżało to tak dalece w jej planie, że kiedy w dziesięć dni po śmierci Zamoyskiego, Sobieski ani przyjechał na zakończenie sejmu, co był obiecywał, ani przesłał wdowie „żadnego komplementu“, zaczęła się lękać, czy przyszły marszałek nie chce zyskać na czasie, ażeby przejść na stronę Lubomirskiego, a przedewszystkiem, czy trwa w zamiarze żenienia się z Marysienką. To też, kiedy się dowiedziano, że nie myśli o niczem, jeno o zaślubieniu wdowy, niezwłocznie rozpoczęto targi. Skończyło się na tem, że Sobieski już w tydzień po swym przyjeździe do Warszawy zdecydował się przyjąć urząd marszałka w. k.; że buławę hetmańską — z powodu śmierci Czarneckiego — przyjął zastępczo, „żeby nie budzić niczyjej zazdrości“; że, dzięki swej namiętnej miłości ku Marysience, d. 30 kwietnia, na obiedzie u posła francuskiego, biskupa-dyplomaty Bonsy, już występował jako gorliwy stronnik królewski; i że dnia 13 maja, u tegoż posła, tak gwałtownie występował przeciwko wszelkim porozumieniom się z Lubomirskim, że „tupał nogami“, a królowej czynił takie wyrzuty, że go aż musiano odprowadzić do przyległego pokoju. Wróciwszy stamtąd, uściskał przedstawiciela Francji, a wszystko to „z powodu wielkiej, z niczem nieporównanej pasji“, jaką płonął ku wojewodzinie sandomierskiej.

Ludwika-Marja wszakże, pragnąc się upewnić co do niezłomności świeżo kreowanego marszałka w. k., kórego nie była

zupełnie pewną, taki nań wymyśliła sposób. W przewidywaniu, że „miłość mogłaby ostygnąć, gdyby wyjechał, *nie wzięwszy ślubu*“, a z drugiej strony rozumiejąc doskonale, że ślub w takich warunkach, wobec niepogrzebionych zwłok Zamoyskiego, jest niepodobieństwem, o ile nie ma być krzyczącym skandalem, zdecydowała się wybrać drogę pośrednią, czyli uciec się do takiej kombinacji, która, nie będąc ślubem sakramentalnym, niemniej obowiązywałaby Sobieskiego. Chodziło o to, ażeby go *coute que coute* przykuć do siebie, a więc należało jakimkolwiek sposobem „zdrzeć go z honoru i reputacji, żeby tem powolniejszy był i żeby z nim czyniono, co chciano“. To była owa *importune activité* królowej, o której z czasem Sobieski wspominać miał z goryczą... Polegała ona na tem, że królowa, „gwałtem nasadziwszy się“ na Sobieskiego, nie mogąc sprawić, iżby się zaraz żenił z Marysienką, postanowiła go przynajmniej zaręczyć z nią. I to był skandal, ale, bądź co bądź, ślub byłby jeszcze większym, a nie należało przeciągać struny, która zawsze bywa bardzo nateżoną, jeżeli chodzi o głos opinii publicznej.

Jakoz stało się tak, jak sobie Ludwika-Marja „w swojej *importune activité*“ ukartowała: w połowie maja (13 lub 14), naza jutrz po uroczystości, na której Sobieski otrzymał łaskę marszałkowską, odbyły się jego „zaręczyny“ z Marysienką, które *vox populi* ogłosił za ślub: nie mówiono, że się Sobieski *zaręczył* z panią Zamoyską, lecz, że się z nią *ożenił*. Wieść o tem, podawana z ust do ust, przybierała najpotworniejsze rozmiary, a że faktem było, iż owe zaręczyny odbyły się wobec szczupłej gromadki osób, więc komentarze, którymi opatrywano konieczność tej tajemniczej ceremonii, stawały się coraz drastyczniejszymi. Dnia 18 maja (1665) wiadano już o tym „ślubie“ w Zamościu: pod datą tego dnia Rudomicz, profesor tamtejszej akademii, zanotował w swym djarjusz, jako pogłoskę, że „dnia 10 maja odbył się ślub JW. Sobieskiego z wdową po JW. patronie naszym“. Ale Rudomicz, notując pogłoskę, nie zanotował skandalicznych szczegółów, które sobie opowiadano o tym „ślubie“, zarówno jak i o okolicznościach, które mu rzekomo towarzyszyły, szczegółów, które skrupulatnie zapisał Stefan Niemirycz. Ten ostatni, w liście z d. 3 czerwca, pisanym do Jerzego Lubomirskiego, dopisał następujące *post scriptum*: „Przyszła tu nowina o małżeństwie p. chorążego w. kor. Sobieskiego z p. wojewodziną sandomierską, Zamoyską d'Arquien, gdzie piszą te formalia: Pani Zamoyska, zjechawszy do Warszawy na rozkaz królowej, miała w pałacu Królewskim na Przedmieściu¹⁾ schadzkę arcymiłosną z rzeczonym p. Sobieskim w nocy o 11 godzinie.

¹⁾ Na Krakowskim-Przedmieściu, w pałacu t. zw. Kazimierowskim.

Królowa, zaskoczywszy ich..., oświadczyła p. Sobieskiemu, że jeżeli nie zechce niezwłocznie poślubić Zamoyskiej, musi zginąć: trzeba więc było zdecydować się albo na ślub, albo na śmierć. Przyszedł potem ksiądz i dał im o północy ślub, w pałacu¹⁾. Jednocześnie plotki, krążące wśród ówczesnego plotkarskiego społeczeństwa, zaczęły do tego stopnia przybierać rozmiary potwarzy i oszczerstw, że w *Silva rerum* Jedlina znajdują się wiersze satyryczne, w których Marysienkę porównywano nie tylko do lubieżnej Kleopatry, ale i do bezecnej Klitemnestry, która, jak wiadomo, zamordowała swego prawego męża, Agamemnona, byle morderca zostać żoną Egista. Wynika z tego, że musiały krążyć pogłoski, które nagłą śmierć Zamoyskiego przypisywały Marysienke. O tem zaś, jak daleko rozchodziły się te wersje o tajemniczym ślubie Céladona i Astrei, świadczy fakt, że nawet „i po klasztorach“ opowiadano sobie o tym skandalu. Między innymi i w Lublinie, w klasztorze Benedyktynek, którego ksienią był Dorota Daniłowiczówna, ciotka Sobieskiego, opowiadano sobie „żał się Boże, jakie historie o Sylwandrze i Astrei“. Przekonał się o tem Sobieski, kiedy jadąc w połowie czerwca do Lwowa, zatrzymał się w rzeczonym klasztorze, dla odwiedzenia swej ciotki. O czem dowiedział się od niej, o tem informuje jego list do Marysienki: „Zawsze się tego spodziewała Beaulieu (Sobieski). Niech widzi teraz Hameleon (Ludwika-Marja), co są za skutki *de son importune activité*. Widzę, że ci ludzie, t. j. Sylvandre i Astrée, będą sceną i komedją wszystkich mów ludzkich, bez czego wszystkiego mogłoby się obejść; ale, że niewinne, niech im Pan Bóg płaci. *La tante de Beaulieu* (Dorota Daniłowiczówna), wierzę, że w głowę zaszła, ale ktoś mocny musiał perswadować, że takiej uwierzyła bajce“. Co najgorsza, to, że to samo, co doszło do uszu ksieni Benedyktynek, doszło i do kasztelanowej sanidomierskiej i do wojewodziny ruskiej! Obie te panie bowiem, jak się okazało, podobnej były opinii o Marysienke, „co i JM. panna ksieni w Lublinie“. Jednocześnie wszystkim świat mówił „jeszcze i gorzej“. Co najfatalniejsza, to, iż wieść o tym rzekomym ślubie doszła niebawem i do Paryża, do rodziców Marysienki, ci zaś „niewdzięcznie“ przyjęli tę nowinę. „Widzę to — pisał z tego powodu Sobieski do swej lubej — że po chwili wszystkim świat powstanie przeciwko le *Beaulieu* (Sobieskiemu), który lubo mniej o to stoi, mając pomańcze (miłość) swojego Bukieta (Marysienki), przecie jednak tych rzeczy bez żalu znosić niepodobna“.

¹⁾ Tylko wytrawni historjografowie z „Theatrum Europeum“ nie dali się zwieść tym pogłoskom. Nie dał się im zwieść także i Korzon, pomimo, iż niedawno przed nim Czermak poszedł na lep twierdzeń Niemirycza.

Tymczasem w Zamościu czyniono przygotowania do pogrzebu Zamoyskiego: odprawiały się msze za duszę zmarłego, zjeżdżali dostojni goście, a wszystkiemu przewodziła księżna Gryzelda Wiśniowiecka, która, jako pozostająca w najbliższym stopniu pokrewieństwa względem nieboszczyka, z góry nazwała się „dziedziczką“ jego dóbr wszystkich. Zaprotestował przeciwko temu Stefan Zamoyski, a ponieważ do protestu jego przyłączył się jeszcze i Stanisław Koniecpolski, wojewódzic sandomierski, roszcujący sobie także pretensje do spadku, więc zaczęły się nieporozumienia. Swoją drogą, energiczna księżna Gryzelda wciąż sprawowała rządy, pobierała dochody z dóbr, a nadto ściągnęła z Równego oddział piechoty, ażeby, w razie potrzeby, módz siłą orężną bronić swoich praw do Zamościa.

W takich warunkach, jednego z ostatnich dni maja, w asystencji wielu pań dworskich, w czarnych żałobnych szatach, poprzedzana przez pokojowego dworzanina królewskiego, Gutowskiego, który jej miał służyć za herolda, wyjechała Marysienka z Warszawy (gdzie Sobieski aż do tej chwili, korzystając z praw narzeczonego, „umierał u stóp swej Astrei“), i udała się do Zamościa, ażeby nawiedzić śmiertelne zwłoki swego męża i wziąć udział w ceremoniach pogrzebowych.

Możeby nie pojechała wcale, gdyby była mogła przewidzieć, jaki ją tam czeka afront!... Już d. 3 czerwca, kiedy Gutowski zameldował się w Zamościu, zapowiadając przyjazd wdowy po zmarłym, rzekła mu ks. Gryzelda: „Szkoda po śmierci to *ficte* pokazywać, czego za żywota nie czyniła, która, że nas na wesele swoje nie prosiła, my też jej na pogrzeb prosić nie będziemy“. Niezrażona podobną odprawą Marysienka, przyjechała dnia 5. czerwca do Zamościa, ale znalazła mosty rozebrane, bramy zamknięte. Rozumiejąc, że bądź co bądź, jako wdowa, ona, nie kto inny, jest prawdziwą panią tego domu, kazała Gutowskiemu żądać wpuszczenia na zamek, nadto zaś, by miasto oddano jej sługom, a ją postawiono na czele zarządu dobrami. Na tak postawione żądanie nastąpiła odpowiedź odmowna, upozorowana niebezpieczeństwem rozlewu krwi, nieuchronnego, jak mówiono, przy spotkaniu jej służby ze służbą miejską. A zresztą nie omieszkało dodać, niech się pani Zamoyska procesuje w Trybunale koronnym! Na takie *dictum* oddział piechoty, który eskortował Marysienkę, chciał przypuścić szturm do bramy, ale go powstrzymał w zapędzie Szumowski. Tymczasem przed bramą zebrało się sporo pospólstwa, przypatrując się Marysienke; ona zaś, zwracając się do zgromadzonych, rzekła z wyrzutem: „Tak toście pani radzi?“ „A bo trzeba lepiej“, odpowiedział ktoś z tłumu. „A wiesz, z kim gadasz?“ zapytała urażona Marysienka. „Wiem, z panią Sobieską!“ odpowiedział zapytany. Wtedy wzbu-

rzona „pani Sobieska“, odrzuciwszy czarny welon, wsiadła do powozu. a kiedy odjeżdżała, słyszała, jak wołano za nią: „A nazad Sobkowa!!! ..“

Kazała jechać do poblizkiego folwarku, lecz i tu, kiedy zjechała, nie wpuszczono jej. Dzierżawczyni, pani Łęska, rzekła: „Niech mi nie ma za złe WMość, że ja bez męża nie śmiem puścić tu do dworu, który za swój grosz kontraktem prawnym trzymam, kiedy onej do Zamościa nie puszczono“. Po takiej zniewadze, Marysienka, rozgniewana srodze, tak, iż rozdarłszy kabat na sobie, rzuciła go o ziemię, pojechała na wieś, do sołtysa, poczem, zajechawszy, jak się zdaje, do Krzczonowa, wysłała gońca do Sobieskiego, z wiadomością o całym „procederze Zamoyskim“.

Tymczasem Sobieski wyruszył 3 czerwca przeciwko Lubomirskiemu, który w 3.000 żołnierza ciągnął na Rzpltą. Czasu było mało, należało się spieszyć. Jakoż Sobieski, od chwili, kiedy, wyruszywszy z Warszawy, zdązał ku Lwowu, gdzie miał ściągnąć o ile możności jak najwięcej wojska, jechał szybko, bo było *periculum in mora*. Wtem, nad przewozem, około Puław, zabiega mu drogę posłaniec Marysienki. Sobieski, przeczytawszy list, natychmiast odpisał swej lubej, dając wyraz swemu oburzeniu, przekonany, jak pisał, że tej awanturze „nietylko Warszawa, ale wszystek podobno zdziwi się świat“. W takim tonie był cały list, a przepełniony złorzeczeniami przeciwko księżnej Gryzeldzie i wojewodzie sandomierskiemu, kończył się temi słowy: „Sam ku Lwowu jak najprędzej pospieszam, bo podobno w Warszawie prędko znowu być muszę, gdzie abym w dobrem MW. M. M. Panią i Dobrodzikę zastał w zdrowiu, uprzejmie życząc, zostawam WM. mojej Miłościwej Pani i Dobrodziki najżyczliwszym i najniższym sługą J. S.“.

Widać z tego zakończenia, że Sobieski wcale się nie spodziewał zobaczyć teraz z Marysienką, że miał nadzieję spotkać się z nią dopiero w Warszawie. Jakoż przejechał przez Kurów, d. 5 czerwca minął Zamość, gdy nagle w okolicach Krzczonowa, majątku jednego ze swoich licznych krewnych, spotkał się niespodziewanie z orszakiem Marysienki, wracającej właśnie do Warszawy. Spotkanie to, o ile nieprzewidziane, o tyle było pożądane dla Sobieskiego. Gdy zobaczył Marysienkę, zapomniał, że miał „jako najprędzej“ pospieszać ku Lwowu, a zapomniał tak dalece, że blisko tydzień zmitrężył w okolicach Zamościa, przebywając częściowo w swoich rodzinnych Pilaszkowicach, częściowo przy Marysienke.

Te cztery dni, od 5 do 9 czerwca, które Sobieski teraz spędził w pobliżu Krzczonowa, gdzie przez ten czas bawiła Marysienka, stanowiły zwrot w jego życiu; była to chwila przełomu. Marysienka, po tem, co ją spotkało w Zamościu, przyszła do

przekonania, że uczyni najroztropniej, jeżeli w jak najkrótszym czasie zostanie panią Sobieską; a kiedy dała poznać swemu narzeczonemu, że nie ma nic przeciwko przyspieszeniu ślubu, Sobieski nie posiadał się z radości. Nie trzeba zapominać, że był to czerwiec, wiosna, kiedy wszystko w naturze miłośnie garnie się do siebie, kiedy powietrze bywa przesycone zapachem bzów, a po nocach śpiewają słowiki; przyczem pamiętać trzeba, że Marysieńka w danej chwili mogła być o tyle powolniejszą, o ile, palając nienawiścią ku rodzinie Zamoyskich, przemyślała o pomszczeniu swej zniewagi. Wszystko to było wodą na młyn Sobieskiego! Jakoż, upojony myślą o ślubie z Marysieńką, o którym oczywiście rozmawiali najwięcej, domagał się jednego: ażeby tego szczęścia, którego oblubieńcy zwykle kosztują po ślubie, zakosztować już teraz. Zdaje się, że Marysieńka uległa jego namiętnym zaklęciom, ulegając zaś, mogła to czynić z podwójnem wyrachowaniem: 1) że oddając się Sobieskiemu teraz, mogła to uczynić nie tyle z miłości dla niego, ile z nienawiści do Zamoyskich (co psychologicznie jest bardzo możliwe), i 2) że tym sposobem wiązała ostatecznie Sobieskiego, który po otrzymaniu takiego dowodu miłości, nie mógł się nie ożenić w końcu. Było to usidlenie kochanka, niezmiernie pożądane dla Marysieńki: bo skoro zwątpiła o Zamoyskich, musiała być pewną Sobieskiego, musiała nie mieć najmniejszych wątpliwości, że z nią Sylvandre stanie na ślubnym kobiercu: gdyby się nie ożenił, ona „bez tego nie miałaby chleba“. Nie da się zaprzeczyć, niestety, że między pobudkami, któremi się powodowała Marysieńka, kiedy się godziła zostać żoną Sobieskiego, była i ta również, że jako pani marszałkowa w. k. i starościna jaworowska zyskiwała nierównie lepszą pozycję materialną, aniżeli pozycję, jaką mogła mieć, jako wdowa po ordynacie Zamoyskim, jako wdowa, której bez procesu nie wydanoby i czwartej części tego, co się jej należało. Gdyby była miała potomstwo, rzecz przedstawiałaby się całkiem inaczej; cóż, kiedy nieszczęście chciało, że z trojga dzieci, któremi zdążyła uszczęśliwić „Fujarę“, nie żyło ani jedno: wszystkie poumierały, a raczej — jak się trafnie wyraża Korzon — żadnego nie wychowała, gdyż o ile posiadała móstwo danych na kochankę, o tyle nie była zbyt czułą matką. Wobec tego, dopóki by nie wygrała procesu, była rzeczywiście bez dachu nad głową, bez „chleba“. Rodzice mieszkali we Francji, gdzie nie opływali w dostatki, a „łaski“ królowej mogły być zawodniejsze, aniżeli „wielka pasja“ Céladona. Marysieńka wiedziała doskonale, że tyle tylko ma wartości w oczach Ludwika-Marji, o ile ta ostatnia mogła przez nią manewrować osobą i wpływami Sobieskiego; dlatego nie należało się drożyć, zwłaszcza, że Sobieskiego i tak już niejednokrotnie (przed Bonsym np.) nazywała swoim „mężem“.

Co nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w ciągu tych pamiętnych 4 dni, Sylvandre i Astrée oznaczyli czas *możliwie najkrótszy* do zawarcia uroczystego, formalnego, kanonicznego, rzeczywistego ślubu, połączonego z hucznym weselem. Z opinią, mogącą ich oskarżać o pogwałcenie terminu żałoby, postanowili się nie liczyć: Marysieńka, jako wygnana z posiadłości nieboszczyka-męża, musiała szukać jakiegoś dachu, a nie widziała powodu, żeby go nie przyjmować od Sobieskiego, jako jego prawnowicie poślubiona małżonka.

Wszystko należy odnieść do owych dni pomiędzy 5 a 8 czerwca, po których nastąpiło rozstanie. Ale jakkolwiek mogło być przykro Sobieskiemu, kiedy musiał odjeżdżać od tej „dobrej duszy w *tak pięknem ciele*“, od tych „wszystkich śliczności“ i od tych „wdzięcznych oczu“, które go „tak oczarowały, że bez nich i momentu wytrwać niepodobna“, to z drugiej strony był o tyle w szczęśliwym położeniu, że niebawem miał znowu zobaczyć się ze swą „żoneczką“, chyba, żeby gdzie poległ przy spotkaniu z wojskami Lubomirskiego, a tego nie przypuszczał.

W takich warunkach nastąpiła konieczna rozłaka, ale już następnego dnia pędził goniec Sobieskiego z listem do Marysieńki. List ten, nacechowany „niezwykłym wzburzeniem krwi i uczuć“, brzmiał, jak następuje: „Żoneczko moja najśliczniejsza, największa duszy i serca mego pociecho! Tak mi się Twoja śliczność, moja złota panno, wbiła w głowę, że zawrzeć oczu całej nie mogłem nocy. Pan Bóg widzi, że sam nie wiem, jeśli tę *absence* znieść będzie można, bo ażem sobie uprosił Koniecpolskiego, że ze mną całą przegadał noc tę przeszłą. Dziś ani o jedzeniu, ani o spaniu, ani pomyśleć niepodobna. To jest pewna, że już od dawnego czasu zdało mi się, że bardziej i więcej kochać nie mógł, ale teraz przyznawam, że lubię nie bardziej, bo niepodobna kochać bardziej, ale *je Vous admire* coraz więcej, widząc perfekcję, a tak dobrą i w tak pięknem ciele duszę“.

Tymczasem musiał iść „w swoją drogę“ do Lwowa, za jedyną pociechę mając myśl, że o ile się tylko da jaknajwcześniej, „według danego parolu do swojej pospieszy Kassandry“. Kiedy to mogło nastąpić? Miał nadzieję, że za jakie dwa tygodnie, około 25 lub 26 czerwca. Ślub miał się odbyć zaraz na początku lipca. Rozmarzony tą myślą, a stęskniony za Marysieńką, do której wysyłał list za listem, jedne czulsze od drugich, stanął Sobieski d. 14 czerwca we Lwowie, gdzie, zajęty fortyfikowaniem miasta, myślał nie tylko o Lubomirskim, który już był w marszu, ale i o swej „żoneczce najśliczniejszej“. Pisząc do niej, kiedy mu donosić wypadło, że tylko 30 koni urwał z oddziałów, ciągnących dla połączenia się z Lubomirskim, pisał,

że, „gdyby się tu były wojska zbliżyły, mogłoby się było co więcej sprawić, ale... *ale jechać do Warszawy pilno*“, bo w Warszawie była Marysieńka, która, czekając na swego „męża“, czyniła przygotowania do ślubu. „O, jaka dobra okazja pójść za nim (za Lubomirskim), gdyby było z czem! Jużbym ja przecie o tem pomyślał, gdyby nie ta moja tak gwałtowna do Warszawy potrzeba, na którą, kiedy wspomnę, że czas tak idzie, a w Róży jak roście, tak roście...¹⁾“, tedy mię zaraz wszystkie odpadają imprezy“. A tu, jakby na złość, sprawy układały się tak, że ani sposób było pomyśleć o tem, by w oznaczonym czasie t. j. 25 czerwca, stanąć w Warszawie. Nadszedł dzień 27 t. m., a rozkochany Céladon, choć się skręcał z tęsknoty za swą Jutrzenką, jeszcze nie mógł się puścić do Warszawy. Na domiar złego, tegoż samego dnia 27 czerwca, otrzymał listy od wojewody ruskiego, które sprawiły, że musiał jechać na kilka godzin „konno i w upał“ do Lwowa. „Jutro jednak — zapewniał Marysieńkę — by też i strzały padały, przy łasce Bożej, wyjadę. Cugi rozsądzone niech mię tam czekają“. W takim usposobieniu popędził do Lwowa, stamtąd zaś, po załatwieniu wszystkiego, tak pisał już na wyjeździe do swej *zoneczki*: „We czwartek albo w piątek obłapię pewnie swego kochanego Korynka (rodzynek), którego bym dusznie rad zastał u imp. Łowczego, bo tam, w jego gospodzie, niesłychanie niewczesnie i, jeśli się jeszcze późno przyjedzie, to tam srodze daleko; a trzeba się na Korysieńku pomścić wszystkich impacyj“.

Było to zwykle naznaczenie schadzki, która w tym razie miała być rzeczywiście „arcymiłosną“. Wspomnianym Łowczym był Żelęcki, „stryjaszek“ Sobieskiego, ożeniony z Wodyńską z Sobieskich, u którego przyszły Jan III, ile razy bawił w Warszawie, miał swoje *pied à terre*. Tam pragnął się teraz spotkać z Marysieńką...

W parę dni później, ostatniego czerwca lub pierwszego lipca, stanął Sobieski w Warszawie, gdzie musiał się od razu „pomścić swych impacyj“ na Marysieńce, skoro d. 2 lipca pisząc do siostry, Radziwiłłowej, którą prosił na swoje wesele, pisał między innemi, co następuje: „Przyjeżdżajcie tedy WXM. jak najprędzej widzieć teraz to, czegoś tak życzyła, bo przyznam bezpiecznie, że *nad się szczęśliwszego na świecie nie widzę i nie imaginuję człowieka*“.

Tegoż dnia rozpoczęły się przygotowania weselne. Zaczęło się od tego, że Maciej Matczyński przybył do pałacu królew-

¹⁾ Słusznie zapytuje w tem miejscu Korzon: „Co mogło w tym czasie rosnąć i rosnąć „w Róży“, t. j. w Marysieńce?“ Odpowiedź na to pytanie, o ile jest łatwa, o tyle wypada niesłychanie drastycznie.

skiego, jako dziewczosłęb, i w długiej a kwiecistej oracji, wygłoszonej do króla i królowej, prosił w imieniu Sobieskiego o rękę pani Zamoyskiej. Ludwika-Marja dała odpowiedź przychylną, poczem wychwalając zalety oblubienicy, włożyła jej na skronie ofiarowany przez dziewczosłęba wieniec z drogich kamieni. W trzy dni później d. 5 lipca, przybył po narzeczoną sam Sobieski, a przybył, jak przystało na marszałka w. k., starostę i wielkiego pana, z ogromnym orszakiem przyjaciół ze szlachty, kozaków i dworzan. Tegoż dnia, w południe, w kaplicy zamkowej, w asystencji liczego duchowieństwa, odbył się ślub, dany przez nuncjusza Pignatellogo. Z kolei, po mnóstwie oracyj wierszem i prozą, rozpoczęły się trzydniowe gody weselne, podczas których państwo młodzi siedzieli przy stole królewskim, razem z nuncjuszem, prymasem i biskupem ambasadorem francuskim. Dokoła innych stołów siedzieli senatorowie, damy i panny. Pierwszy toast wychylono — z przyklękaniem — za zdrowie Ich Królewskich Mości, aż w końcu, po długim szeregu toastów, rozpoczęły się tańce. Nazajutrz Marysienka siedząc — za pozwoleniem królowej — na jej tronie, przyjmowała dary od biesiadników, a kanclerz dziękował stosownymi komplementami każdemu z dawców, wywoływanych podług listy Matczyńskiego. Z kolei rozpoczęły się znowu tańce, na których zeszła cała noc następna. Trzeciego dnia, 7 lipca, podejmował pan młody króla, królową i dwór cały. Uczta była lukullusowa, to też wszyscy popili się solennie. W końcu powstało zamieszanie, wśród którego, kiedy trzeźwiejsi brali się do szabel, królestwo Ich Mość odprowadzili państwa młodych do łożnicy.

*

*

*

Odtąd zaczęła się nowa w życiu Sobieskiego epoka. Rozkochany w swej — jak ją stale nazywał — „jedynej duszy i serca pociesz, najśliczniejszej i naukochańskiej Marysienke“, choć z czasem rozstał się z mnóstwem złudzeń co do dawnej „Astrei“, to jednak, aż po sam smutny kres dni swoich, zawsze był słabym wobec niej i bezwolnym, tak, iż ostatecznie zasłużył na owe twarde słowa, które o nim w sto pięćdziesiąt lat po jego śmierci wyrzekł Juliusz Słowacki w poetycznym liście do autora *Irydjona*: „Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i *Molierowskiej w domostwie słabości*: kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki siarką cuchnący i krwią oblany po szyję! Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje — bez jutra!“

NIESZCZĘŚLIWA MIŁOŚĆ ASNYKA.



akacje w r. 1868 spędzał Asnyk u wód w Szczawnicy.

Letnisko to, na równi z Krynica, było wtedy w modzie. Z całej Polski zjeżdżano się tutaj na lato, trochę dla kuracji, ale głównie dla przyjemnego towarzystwa, znęconego pięknnością Pienin i Dunajca, zbawiennem działaniem „Józefinki“, nie mówiąc już o słynnej restauracji Oleksego, równie sławnej z dobrej kuchni, jak i z pięknej werandy, na której co sezonu kojarzyło się mnóstwo małżeństw (jak później na werandzie cukierni Skowrońskiego w Zakopanem). Prócz kuracjuszów, przybywających istotnie dla poratowania zdrowia, przyjeżdżało tu i mnóstwo osób zdrowych zupełnie, między którymi prym trzymały matki z córkami na wydaniu, oraz młodzież do tańca, wśród której nie brakło i stateczniejszych epuzerów, pragnących wejść w związki małżeńskie.

I

Do tej kategorii właśnie należał i 30-letni wówczas Adam Asnyk. Z tytułem doktora filozofii heidelberskiego uniwersytetu, w czasie powstania 1863 roku członek Rządu Narodowego w przedostatniej jego fazie, jako autor dantejskiego *Snu grobów*, powieści satyryczno-obyczajowej *Panna Leokadja*, komedyjki w 1-nym akcie *Gałązka heliotropu*, oraz całego szeregu świetnych pod względem formy liryków, zamieszczanych od paru lat w lwowskim *Dzienniku literackim*¹⁾,

¹⁾ Do czerwca 1868 roku zamieścił *Dziennik literacki* następujące wiersze Asnyka, drukowane bądź pod przybranem nazwiskiem Jana Stożka, bądź pod pseudonimem El...y: *Podróżui. W zatoce Baja. Pamięci Józefa P. Odpowiedź. Asceta. Aszera. Odłamowi psychy Praksytelesu. Na Nowy Rok. Endymion. Do... Walbumie. Pożegnane słowo. Wspomnienie. Urywki z apostrofy. Bławatek. Rada. Szkoda.*

był on już, pomimo swego młodego wieku, indywidualnością skryształizowaną zupełnie. Smukłego wzrostu, szczupły szatyn o wielkich marzących oczach, prawdziwych oczach poety, choć wcale przystojny na ogół, a nadto odznaczający się wykwinłą oglądą towarzyską, to jednak, wnosząc z cierpkiego nastroju Panny Leokadii i niektórych wierszy, jak np. ironiczua Legenda pierwszej miłości, nie mógł się pochlubić nadzwyczajnem powodzeniem u płci pięknej, tak dalece, iż nietylko nie zdołał ożenić się do tego czasu, — co nawet było gorącym życzeniem jego rodziców — ale nawet miał za sobą jakiś sercowy zawód. W przeciwnym razie nie byłby napisał takich wierszy, jak W albumie, Pożegnane słowo, Rada, a zwłaszcza melancholijne Wspomnienie.

Ale ponieważ niema takich burz, po którychby rozkochane serce nie uspokoiło się w końcu, więc i Asnyk w tej chwili, przyjechawszy do Szczawnicy, choć jeszcze w czerwcu bolał nad „sercami, co nie mają oparcia“¹⁾, całkiem był zrównoważony, jak o tem wymownie świadczył jego świeżo napisany Karmelkowy wiersz:

Wierzyłem, zwyczajnie młody,
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć;
Że trochę serca kobiecie
Świetnej kariery na świecie
Nie może psuć.

— — — — —
Lecz dziś komedję salonu,
Jak człowiek dobrego tonu,
Na wylot znam;
Z serca pożytek niewielki:
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

Z „uciesznej Don-Kiszoterji“, z którą rozmaite Dulcyneje „brał na serjo“, zdawał się być wyleczonym radykalnie, raz na zawsze.

Tak usposobiony i pewny siebie, zbliżył się młody autor Gałązki heliotropu do nader miłego grona osób, zgrupowanego koło pani Grudzińskiej, zamożnej obywatelki z Rawskiego w Królestwie, bawiącej z córką. „Kółko nasze w tym sezonie — pisze ta ostatnia — składało się z liczego zastępu studentów Szkoły Głównej. Był między nimi: Henryk Sienkiewicz, którego Asnyk zawsze nazywał genialnym chłopcem. Z po-

¹⁾ Wiersz „Szkoda kwiatów, które więdną w ustroni“ ukazał się w Dzienniku literackim w nr. 27 z dnia 7 czerwca 1868 r.

ważniejszych ludzi bawił się z nami w cerceau Maciejowski Sewer i bardzo sobie podobał w naszym młodocianem towarzystwie. Z naszego kobiecego gronka odznaczała się niezwykle piękną, elegancją i dowcipem w rozmowie, pani Natalia Kuksz. Z całego tego zespołu wytwarzał się niezwykle miły nastrój, który sprawiał, że chata góralska, którą zajmowałyśmy, codziennie była pełną gości“.

Osobą wszakże, która w tem kółku najbardziej podobała się Asnykowi, która na nim od pierwszej chwili zrobiła bardzo silne wrażenie, której nadzwyczajny urok miał wprost rozmarzający wpływ na niego, była panna Aniela Grudzińska, prześliczne 16-letnie dziewczę, wyjątkowo piękny typ polskiej dziewczycy, pod każdym względem godny tego anielskiego imienia, które w rzeczywistości nosiła nie tylko Aniela Moszczeńska, florencka ukochana Słowackiego, ale które w poezji zapisało się nieśmiertelnymi postaciami Anieli z Beniowskiego i Anieli ze Ślubów panińskich.

Leży przedemną jej wyblakła fotografia z owych czasów. Nie można się dziwić Asnykowi, że mu ta piękna wiochna

przyniosła dziwny blask w swoich modrych oczach,
przyniosła kwiatów woń na złotych warkoczach,

że mu przy tej „dzieweczce cudnej“

jaśniał świat cudnym krajobrazem,

że miał wrażenie, jakby czarująca istota zstąpiła doń „z nadziemskich jasnych sfer“¹⁾. Rzeczywiście warkocze miała wspinałe, w pełnych wyrazu „modrych oczach“ Kupido — jak powiedziano o Anieli w Beniowskim — trzymał całym pękiem najeżone strzały, a cała główka o nadzwyczaj regularnych rysach, o ślicznie wykrojonych „różanych ustach“, o jasnej delikatnej cerze, uderzała nie tylko urodą, ale wdziękiem i dystynkcją, co ją tembardziej czyniło interesującą. Wogóle cała postać, ślicznie zbudowana i pełna powabu, przedstawiała się nader wdzięcznie i interesująco. Tak przynajmniej każe sądzić fotografia z zakładu Szuberta w Krakowie, z r. 1869.

Olśniony piękną panną, która nadto okazała się wyjątkowo miłą i pociągającą pod każdym względem, zaczął żałować Asnyk, że nie jest młodszy, bo gdyby nie był o tyle starszym od niej, kto wie, czyby nie zaczął starać się o jej względy. Z tego uczucia powstał wiersz, niewątpliwie teraz w Szczawnicy napisany, który z czasem miał się stać jednym z najślawniejszych wierszy poety.

¹⁾ Myślałem, że to sen, lecz to prawda była...

Gdybym był młodszy, dziewczyno,
 Gdybym był młodszy!
 Piłbym, ach, wtenczas nie wino,
 Lecz spojrzeń twoich najśłodszy
 Nektar, dziewczyno!

Tybyś mnie może kochała,
 Jasny aniele:
 Na tę myśl pierś mi zadrżała,
 Bo widzę szczęścia za wiele,
 Gdybyś kochała!

Ale już jestem ze stary,
 Bym mógł, dziewczeczko,
 Zażądać serca ofiary;
 Więc bawię tylko piosneczką,
 Bom już za stary!

Uciekam od ciebie zdala,
 Motylu złoty!
 Bo duma mi nie pozwala
 Cierpieć; więc pełen tęsknoty
 Uciekam zdala.

Tak było istotnie. Poeta wcale nie rozmijał się z prawdą, gdy pisał, że uciekał od pięknej dziewczeczki, że stronił od niej. Rzeczywiście zaczynał unikać jej widoku, lękał się bowiem, że go to może zaprowadzić za daleko, że urok, jaki nań wywierała jej postać, może mu opętać duszę i serce. Jakkolwiek od pierwszej chwili, gdy się poznał z temi paniami, odrazu dla nich powziął gorącą sympatię, i jakkolwiek w ich towarzystwie, tudzież z tymi, którzy z niemi trzymali się razem, czas mu schodził bardzo przyjemnie, to przecież niebawem zorjentował się w sytuacji, że przy pannie Anieli łatwo może stracić głowę, a ta urocza dziewczeczka zbyt silnie działa na jego wyobraźnię, że powinien wystrzegać się tego wrażenia, bo inaczej jeszcze się zakochać gotów.

Nie zdawał sobie z tego sprawy, że już był zakochany, że już się nie potrafił oprzeć urokowi panny, która go w dziwny sposób pociągała ku sobie. Jakoż skończyło się na tem, iż po niejakiem czasie zaniechał trzymania się na uboczu, lecz z całą świadomością niebezpieczeństwa, na jakie się narażał w danym wypadku, dał się porwać zawrotnemu wirowi... Niech go ponieś się trochę... Zachwycony atmosferą towarzyską, jaką pani Grudzińska i jej córka roztaczały dokoła siebie, ujęty ich dobrocią, uprzejmością, wykwinnością, coraz więcej przebywał w ich towarzystwie, w ich domu, w ich otoczeniu, z ich przyjaciółmi,

za czem poszło naturalnie, że choć nie wyróżniany przez nie specjalnie, jednak czuł się niezwykle szczęśliwy, gdy był z nimi razem.

Robiono wspólne spacery i wycieczki w Pieniny, a zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż któregoś wieczora, przy świetle księżyca, odbyto w całym towarzystwie, w bardzo romantycznym nastroju, wspólną przejażdżkę łódkami z biegiem Dunajca. Pozwala się tego domyślać wspaniały wiersz Asnyka, napisany pod poetycznym wrażeniem takiej księżycowej „podróży Dunajcem“, podróży, którą — wnosząc z tego wiersza — może odbył w jednej łódce, z panną Anielą, przy jej boku.

Już jasny księżyc na wodospadzie
Haftuje srebrem strumienia bieg,
I fala, co się do snu nie kładzie,
Lekko potrąca o skalny brzeg.

Już ciemne lasy drzemią w oddali,
Szemrząc modlitwy wieczornej chór;
Dalekie echa głuchną na fali,
I we mgłach toną podnóża gór.

Łódkę do drogi strumień kołysze
I pianą rosi nadbrzeżne mchy;
Płynmy więc w ciemność i nocną ciszę,
W krainę cudów, marzeń i mgły.

Głowę swą oprzyj na mem ramieniu,
I do księżyca obróć swą twarz,
I oświecona w bladym promieniu
O widmie szczęścia dumaj i marz!

Ja będę śledził na twojej twarzy
Przelotnych marzeń ruchomą nić,
I będę myślał: „Jak pięknie marzy...“
I zwolna zacznę o tobie snić.

A tak cię sen mój sercem odmieni,
Że mi wykwitniesz jak biały kwiat,
Pełen miesięcznych, drżących promieni,
Rzucony ze mną w fantazji świat.

I będę mniemał wtenczas pół senny,
Że na twych marzeń tęczowem tle,
Widzę uczucia odblask promienny,
Płynący ku mnie na srebrnej mgle.

A kiedy jeszcze fala zdradziecka
O kamień naszą potrąci łódź,

Toż ty z przestraczem trwożnego dziecka
Na mnie wzruszone spojrzenie rzuć!

I do mnie bliżej pochyl się cała
I ujmij silniej braterską dłoń:
Ja będę myślał, żeś ty zadrżała,
W mojego serce spojrzawszy toń...

A kiedy dalej wypłyniem zwolna
Na wód leniwych spokojny szlak,
Może pomyślę, żeś kochać zdolna
I że mi łezkę rzucasz na znak!

Więc płynąc znowu w girlandach piany,
Co się roztrąca o progi skał,
Wyszepczę przez sen: „Żem zakochany,
I żem ci serce na wieki dał“.

Tak rozmarzeni oboje ciszą,
Pijąc tęsknotę i nocny chłód,
Wymienim słowa, które usłyszą
Fale i duchy leniwych wód;

I w księżycowych blasku promieni
Rwąc kwiaty marzeń na srebrnej mgle,
Uwierzym, żeśmy sercem złączeni,
W pierwszej miłości rozkosznym śnie.

Lecz gdy przybijem wreszcie do brzegu,
Rzucając miejsce czarownych scen,
Wtenczas o dobrym myśląc noclegu,
Poznamy wkrótce, że to był sen!

Wiersz ten, odczytany w domu pani Grudzińskiej, w obecności panny Anieli, która doń była natchnieniem, szalenie podobał się wszystkiemu. Odczytał go na głos Henryk Sienkiewicz. „Po tylu latach — czytam w liście pani Steczkowskiej — mam jeszcze w pamięci, jak żywą, chwilę, w której Henryk Sienkiewicz swoim melodyjnym głosem czytał dźwięczne strofki *Podróży Dunajcem*. Byliśmy wszyscy oczarowani: brzmiało to, jak najpiękniejsza muzyka“.

Na pamiątkę tej nastrojowej lektury, podczas której panna Aniela, wiedzona intuicją kobiecą, z pewnością domyślała się psychologicznej genezy tej przepięknej barkaroli, ofiarował jej Asnyk własnoręczny odpis tego poemaciku, wraz z odpisem jeszcze dwóch innych napisanych w tym czasie, mianowicie wiersza „karmelkowego“: „Bywało dawniej przed laty...“ oraz pełnego melancholii wyznania „Gdybym był młodszy...“¹⁾

¹⁾ Autograf tych trzech utworów Asnyka, spisany na dwóch arkusikach papieru listowego, ofiarowany mi łaskawie przez panią Steczkowską, mam w tej chwili przed oczyma...

Ale zbliżała się chwila rozstania, zbliżał się dzień wyjazdu pań Grudzińskich. Obie strony wiedziały dobrze, jaki stosunek zadzierżgnął się pomiędzy niemi, a choć sobie tego nie powiedziano wyraźnie, to jednak domyślano się wzajemnie, o co chodzi. Rozumiejąc, co w tej chwili działo się w duszy poety, gdy miał żegnać się z panną, obiecano mu oględnie, bez zaciągania jakichkolwiek zobowiązań w tym względzie, że gdyby na przyszły rok znów miano przyjechać do Szczawnicy, tu mu się o tem da znać we właściwej porze. Tej nadziei nie chciano go pozbawić. Poczem rozjechano się.

II.

W takich warunkach wrócił Asnyk w pierwszych dniach września do Lwowa (gdzie od dwóch lat mieszkał stale), a wrócił z uczuciem w sercu, które potęgowane tęsknotą, najdosadniej wyraziło się w wierszu, napisanym pod wpływem rozłąki z panną Anielą, pod wpływem bezbrzeżnego smutku, którym miał przeponą duszę.

Ach, jak mi smutno! Mój anioł mnie rzucił,
W daleki odbiegł świat,
I próżno wzywam, ażeby mi zwrócił
Zabrany marzeń świat.

Wiersz ten, wraz z owemi trzema szczawnickimi, które w autografie ofiarował pannie Grudzińskiej, wydrukował Asnyk jeszcze w ciągu tego samego roku 1868 w lwowskim Dzienniku literackim: w nr. 41 z d. 13 października znalazły się Gdybym był młodszy i Karmelkowy wiersz: w nr. 49 z d. 8 grudnia ukazało się wrażenie Z podróży Dunajcem, a w nr. 51 z d. 22 grudnia znalazło pomieszczenie Ach, jak mi smutno!

Z tego samego źródła tęsknoty i smutku, które chwilami graniczyły ze zwątpieniem, wypłynęła także i kunsztowna pod względem wyszukanej a misternej formy wiersza Prośba, wydrukowana w nr. 17 Dziennika literackiego d. 27 kwietnia 1869 roku.

O, mój Aniele, ty rękę
Daj,
Przez łąki i mekę
Przez ciemny kraj
Do jasnych źródeł ty mnie zaprowadź:
Racz się zlitować!

Serce me zwiędło, jak marny
Liść;

Wśród nocy czarnej
 Nie wiem, gdzie iść,
 I po przepaściach muszę nocować...
 Więc ty mnie prowadź.

To, com ukochał, com tyle
 Czciał,
 Zdeptane w pyłe
 Padło bez sił;
 Rozpacz i hańbę widzę po drodze:
 Stałem w trwodze.

I nie wiem teraz, w co wierzyć
 Mam,
 Jak dzień mój przeżyć
 W ciemności, sam?
 Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie:
 Więc ty zstąp do mnie.

— — — — —

Tak przeszła zima, podczas której niejeden erotyk, podyktowany myślą o pannie Crudzińskiej, wyszedł z pod pióra El...y'ego. Nie wszystkie zaraz szły do druku, ale kiedyż miały być pisane, jak nie w tym czasie, gdy poeta rozmarzał się samym dźwiękiem imienia Anieli, które mu nastroczało różne poetyczne myśli o aniołach, o anielskich chórach...

Anielskie śpiewają chóry
 W gwiazdzistym błękitów morzu...

— — — — —

I tylko ci, którzy toną
 W wielkiej miłości pragnieniu,
 Ci słyszają w serc swoich drzeniu
 Tę pieśń natchnioną!

A że to „wielkie miłości pragnienie“ właśnie było udziałem Asnyka, więc, gdy patrzył w rozgwieżdżone niebo, pierś mu „wśród nocnej ciszy wzbierała straszną tęsknotą“.

Gwiazdy, co krążą w przestrzeniach
 Po drogach nieskończoności,
 Są one dla mnie w marzeniach
 Oczami mojej miłości.

Patrzą się w ciemne odmęty
 Te wielkie ruchome słońca:
 I ja, miłością przejęty,
 Patrzę i tęsknię bez końca.

Cóż dopiero, gdy przyszła wiosna, gdy w przyrodzie wszystko się budzi do nowego życia, gdy w powietrzu czuć jakby miłosne podmuchy. Odczuł je i Asnyk, czego najlepszym dowodem była napisana teraz *Serenada*.

Patrz! oto wiosna znów
 Najśłodsze niesie ci tchnienia
 I czoło twoje ocienia
 Wieńcem kwitnących bzów;
 Czy czujesz w niemym zachwycie
 Wdzięk nocy i nowe życie?
 O, luba, mów!

Czy czujesz dziwne pragnienia,
 Ożywczy powiew płomienia,
 Urok niebieskich snów!
 Czy czujesz tę woń w błękicie,
 Co serca przyspiesza bicie?
 O, luba, mów!

Słyszysz miłości śpiew?
 Słyszysz, jak wietrzyk szeleści,
 Kwiaty całuje i pieści
 Igrając pośród drzew?
 Słyszysz, jak skryty w jaśminie
 Słownik wygłasza jedynie
 Miłości śpiew?

Jeżeli w sercu twem
 To wszystko słyszysz i czujesz,
 Jeżeli rozkosz zgadujesz,
 Co świat ożywia tchem;
 Jeżeli twe usta różane
 Gonią pragnieniem owiane
 Za jakim snem;
 Jeżeli się w niebo wpatrujesz
 I wonne kwiaty całujesz
 Z wzruszeniem walcząc swem;
 Zejdź do mnie, dziewczę kochane,
 Kończyć marzenia wiosniane
 Na sercu mem!

Jednocześnie z tą *Serenadą*, wydrukowaną w *Dzienniku literackim*, w nr. 18 z dnia 11 maja, powstało i *Marzenie poranne*, będące niby odbiciem tych „wiosnianych marzeń” panny Anieli, które jej poeta przypisywał... bez żadnej jednak podstawy. Jak on marzył o niej, o poślubieniu jej, podobnie, wyobrażał sobie i ona może miewała takie chwile zadumy, w których myślała o wyjściu za niego, o swojej przyszłej doli, jako żony poety. Myśli takie, przy jej usposobieniu wrażliwym, przy

jej „duszy tkliwej“, skłonnej do marzeń, nie były wykluczone; bo choć pani Grudzińska nie zdawała się skłonną do wydania córki za poetę, to jednak pannę o taki „kaprysik idealny“ można było posądzić. Było to niewątpliwie optymizmem ze strony poety, ale że marzenia nie mają granic, więc i on mógł korzystać ze swobody w tym kierunku. Jakoż miał złudzenie któregoś dnia, iż widział pannę Anielę, jak siedząc w ogrodzie, wśród świeżo rozkwitłych bzów, myślała o tem, co w lecie przeżyła w Szczawnicy, o tem uczuciu, które wzbudziła w sercu poety, a wreszcie o swej przyszłości, o swem zamążpójściu.

Z tego pięknego złudzenia powstał prześliczny poemacik, którego bohaterką jest niewątpliwie panna Grudzińska.

Siedziała w ogrodzie, w pół świetle, w pół cieniu,
Przy blasku wschodzącej jutrzeńki,
Wśród ciszy porannej oddana marzeniu,
Słuchając słowika piosenki.

Marzyła o szczęściu, miłości, tak trocha,
Bo o czemże można by innem?
Wszak każda dziewczyna, choć jeszcze nie kocha,
Marzeniem się bawi niewinnem.

Tęsknota, niepokój i dziwne żądania
Nieznanych a słodkich upojeń,
Budziły w jej sercu odbłaskiem świtania
Girlandy tęczowych urojeń.

I piła skwapliwie te wonie, te fale
Powietrza, co pierś jej wznosiły,
I mocniej błyszczały jej ustek korale
I żywiej się oczy paliły.

Patrzała na kwiaty, co jasne z uśmiechem
Sklaniały kielichy miłośnie,
I dzieląc się wonnym rozkoszy oddechem,
Szeptaly o szczęściu i wiosnie.

...Tak marząc o kwiatach i tonąc w marzeniach
Oparła na rękę swą głowę,
I chmurki śledziła w słonecznych promieniach,
To srebrne, to znowu różowe.

Wtem widzi zdziwiona, iż z słońca promieni
W jej oczach gmach staje złocisty,
Z kopułą z szafirów, z ścianami z zieleni,
A cały jak kryształ przejrzysty.

...I widzi strwożona, jak kwiatów kielichy,
Ludzkimi ją mierzą oczami,

I widzi rój sylfów skrzydlaty i cichy,
Jak igra w powietrzu z tęczami.

A jeden z narcyzów rosami wilgotny
W pięknego młodzieńca się zmienia,
Lecz skrzydeł nie dostał i usiadł samotny
Nad brzegiem srebrnego strumienia.

I widzi wzruszona, jak wiatrom się skarży:
Że nie ma na świecie nikogo...
I słyszy westchnienia i w myślach się waży,
A tak jej i smutno i błogo.

Nad litość nic niema na ziemi świętszego,
Więc litość skłoniła dziewczynę,
Że wstała powoli i poszła do niego
Zapytać o smutku przyczynę.

Słyszała, jak przez sen, wyrazy namiętne,
Co śpiwnem pieściły ją echem,
I nczu widziała tak piękne a smętne,
Że odejść było by, ach! grzechem.

Słyszała, jak mówił: „Ty jesteś wybrana,
By nowe ukazać mi życie,
I duszę na wieczną tęsknotę skazaną
W niebiańskim pograć zachwycie.

„Ty jedna, ach, możesz, na ziemi ty jedna!
Otworzyć mi nieba podwoje,
„Twa miłość nam władzę cudowną wyjedna,
I skrzydła dostaniem oboje!“

To wszystko słyszała, jak w sennem marzeniu:
I uciec i zostać by chciała;
Aż wreszcie uległa słodkiemu wzruszeniu
I rękę nieśmiało podała.

Podawała i nagle spostrzegła z podziwem
Że lecą oboje dłoń w dłoń,
Złączeni swych skrzydeł tęczowem ogniwem
W obłoku jasności i woni.

...I wzrokiem spoczęła w młodzieńca spojrzeniu
Co ognia płynęło falami,
I w sennej ekstazy bezbrzeżnem pragnieniu
Ust jego dotknęła ustami.

Wtem wszystko przepada... i widzi, o dziwy!
Świat jasných urojeń znikniony!
I siebie zmienioną w krzak brzydkiej pokrzywy,
A młodzian stał w oset zmieniony.

W rozpacz i wstydzie chce płakać: nie zdoła!

Cóż oędzie nieszczęsna robiła?

Wtem słyszy z radością, że matka ją woła...

I nagle się ze snu zbudziła.

I poszła zapytać do matki: co znaczy

Sen dziwny o takiej przygodzie?

A matka z uśmiechem swej córce tłumaczy,

Że marzyć nie trzeba w ogrodzie.

To poetyczne Marzenie poranne, które w nierównie większej mierze było marzeniem Asnyka, aniżeli panny Anieli, świadczyło bądź co bądź o znacznej dozie trzeźwości, z jaką poeta zapatrywał się na swój stosunek do pań Grudzińskich. Choć zakochany w pannie, choć tęskniący za nią, choć piszący natchnione o niej wiersze, choć marzący o poślubieniu jej, to jednak na sytuację zapatrywał się bez nadmiernych złudzeń: wiedział, że pani Grudzińska pragnęła innego męża dla córki, że zięć-pbeta, do tego emigrant i nieszlachcic, nie odpowiadał jej ambicjom, że życzyła sobie, aby jej córka, wyszedłszy za mąż, nie wychodziła ze swej ziemiańskiej sfery, że tego samego zdania był pewno i ojciec panny, a poza tem wszystkiem miał całkiem jasną świadomość faktu, że panna Aniela, choć dlań miała sympatię, choć się zachwycała jego poezjami, przecież zakochaną nie była w nim wcale, że jedynem uczuciem, jakie mogła żywić dla niego, nie kochając go, lecz lubiąc go tylko, mogła być litość dla jego smutku z jej powodu, litość, która wszakże nie wyprowadziła by jej poza granice, nakreślone zdrowym rozsądkiem, ponieważ matka stanowczo by jej potrafiła wyperswadować chwilową słabość a nawet skłonność i poryw rozczerwienia. Co do tego poeta nie łudził się bynajmniej, a lubo w poezji bujał po przestworzach wyobraźni, to jednak w życiu, jako człowiek rozumny i znający ludzi, nie przestawał stąpać po ziemi, po twardej grudzie rzeczywistości.

Marzenie poranne ukazało się w Dzienniku literackim, w nr. 20 z d. 18 maja 1869 r.

Mniej więcej w tym samym czasie, jako osobna odbitka z tegoż Dziennika literackiego, wyszła w książkowym wydaniu, w postaci zgrabnego tomiku, Gałązka heliotropu.

Pragnąc przypomnieć się pamięci pań Grudzińskich, a zarazem chcąc im dać dowód, że on wciąż pamiętał i myślał o nich, że z upragnieniem oczekiwał nadejścia lata, kiedy znów znajdą się razem w Szczawnicy, posłał Asnyk egzemplarz swej komedyjki — niewątpliwie ze stosowną dedykacją — pannie Anieli i jej matce, przekonany, że wzamian otrzyma list z podziękowaniem, a przy tej sposobności i wiadomość, kiedy te panie

zamierzają przyjechać do Galicji, kiedy będą przejeżdżały przez Kraków. Niestety, doznał wysoce nie miłego zawodu pod tym względem, bo choć Gałązka heliotropu nie mogła nie dojść do miejsca przeznaczenia, to jednak spodziewany list od pani Grudzińskiej nie nadszedł wcale. Upłynął szereg tygodni, aż w końcu poeta zrozumiał znaczenie tego braku odpowiedzi. Zrozumiał, jak sobie należy tłumaczyć to dyplomatyczne milczenie, zrozumiał, że jego marzenia nie mają realnej podstawy, że sobie pannę Anielę powinien wybić z głowy. Jakoż dotknięty do żywego, urażony w swej ambicji, postanowił zwalczyć to uczucie, które w ciągu roku rozwinęło się, podsycane tęsknotą i marzeniem, i wyleczyć się z tej miłości, nie mającej widoków urzeczywistnienia.

III.

W tym celu, z nadejściem lata, zwłaszcza gdy od pań Grudzińskich nie otrzymał przyobiecane go zawiadomienia o ich wyjeździe do Szczawnicy, wybrał się do Krynicy, gdzie w wirze zabawy, starał się nie myśleć o pannie Anieli, której już był zdecydowany nie zobaczyć więcej. Niestety, uczucie, jakie w jego sercu zapłonęło dla panny, było silniejsze, aniżeli on sam przypuszczał nawet, i choć usilnie gaszone odmiennymi wrażeniami w Krynicy, wciąż zarzyło się pod wierzchnią warstwą popiołu: wystarczyła iskra jedna, jeden silny podmuch wiatru, by znów buchnęło gwałtownym płomieniem.

Tą fatalną iskrą była wiadomość, otrzymana już pod koniec sierpnia, że panie Grudzińskie bawią w Szczawnicy. Dowiedziawszy się o tem, poeta nie potrafił zmódl swej miłości, która znów odzyskała swą władzę nad jego wolą, i pojechał do Szczawnicy. Niech się dzieje co chce! Ale musi zobaczyć pannę Anielę raz jeszcze! Po co się wyrzekać choćby kilku przelotnych chwil upojenia?

Lecz, przybywszy do Szczawnicy, dowiedział się na samym wstępie, że te panie są już na wyjeździe, że za kilka dni wybierają się do Krakowa, a stamtąd do domu. Ale dobrych i tych kilka dni! Jakoż nie żałował wcale, że zdecydował się na tę eskapadę, bo ten krótki tydzień, który w Szczawnicy spędził z paniami Grudzińskimi, z panną Anielą, jeszcze piękniejszą niż w roku zeszłym, był szeregiem zachwytów i uniesień. Skończyło się na tem, że poeta zakochany bez pamięci, zupełnie stracił panowanie nad sobą, aż wreszcie uniesiony bezkrytycznym zapalem, zwierzył się siostrze pani Grudzińskiej, pani Krzyżanowskiej, że kocha pannę Anielę, że pragnąłby starać się o nią.

Lecz pani K., świadoma sytuacji, nie chcąc łudzić poety, powiedziała mu szczerą prawdę, że nie powinien angażować się w tym kierunku, bo tylko się narazi na przykrość, nie mówiąc o tem, że w bardzo przykrem położeniu postawi panie Grudzińskie w stosunku do siebie. Wobec tego prosił panią K., by tę ich rozmowę zatrzymała przy sobie, bo przedewszystkiem zależało mu na tem, żeby nie tracić sympatji i przyjaźni ze strony pan Grudzińskich, żeby nie być zmuszonym odsuwać się od nich, a tem samem być pozbawionym widoku panny Anieli¹⁾. Ponieważ pani K. ściśle zastosowała się do jego życzenia, nie mówiąc pani Grudzińskiej, więc gdy wreszcie miały wyjeżdżać ze Szczawnicy, udając się do Krakowa, gdzie jeszcze pragnęły zatrzymać się parę dni, Asnyk pojechał jednocześnie z niemi, a z Krakowa jeszcze je odprowadził aż do granicy, do Szczakowy. Dalej jechać nie mógł. Jakich sprzecznych uczuć doznawał w tej podróży, ile gorczy zatruchiło mu doznawane słodycze, o tem wiedział tylko on sam.

IV.

Gdy się rozstano wreszcie, Asnyk, któremu nie zostawiono najmniejszej nadziei, by z nim jeszcze miano zobaczyć się kiedykolwiek, wrócił do Lwowa, a trawiony miłosną tęsknotą za panną Anielą, przedewszystkiem pisał wiersze o niej.

¹⁾ Po latach, wspominając ten drugi pobyt w Szczawnicy, pani Steczkowska w liście z dnia 12 marca 1914 r. tak pisze o tej przykrej chwili w życiu poety: „Ktoby tylko z listów (Asnyka) sądził ten cały stosunek, doszedłszy do przekonania, że my łudziłyśmy człowieka przez szereg trzech lat, fałszywemi nadziejami, aby w końcu dać mu odprowadzenie. Tymczasem zbadawszy dokładnie wszystko, nie dopuściliśmy się tak niegodnej lekkomyślności. Rzecz tak się miała. W latach szczawnickich nie byłam jeszcze uważaną za to, co nazywają panną na wydaniu. Dość spojrzeć na fotografię z tych lat: czy wyglądam na małżonkę poważnego człowieka? A mój poziom moralny zupełnie odpowiadał powierzchowności... Dopiero co rozstałam się z moją nauczycielką, a że spotkałyśmy u wód parę panien, dawniej znajomych z ciociami, z mamami, i kolegów mego kuzyna ze Szkoły Głównej, bawiliśmy się tak, jak młodzież na wakacjach; ale o żadnych flirtach, konkurach i t. p. sprawach, nawet nikomu się nie śniło. Stopniowo koło znajomych się rozszerzało... w końcu robiliśmy wycieczki w bardzo licznej towarzystwie. Któż opisze zdziwienie mej ciotki Krzyżanowskiej, gdy na jednej z tych wycieczek Asnyk zwierzył się jej, że ma zamiar oświadczyć się o mnie. Skarży się on w swym liście, że go ciotka niegrzecznie zbyła; ale w istocie (ciotka moja nagle zaskoczona widocznie złe się wyraziła) chciała go ochronić przed surowszą odpowiedzią mej matki. Bo i dziwić się nie można było, że matka, której córka zaledwie wyszła z dzieciństwa, nie może jej przyrzec człowiekowi, o którego istnieniu przed rokiem wcale nie wiedziała. Dał się poznać wtedy, jako talent, ale to jeszcze nie wystarcza. Być może, iż odpowiedź ciotki mej sprawiła skutek zimnej wody; dość, że w tym sezonie Asnyk już więcej nie podniósł tej kwestji.

Trudno oznaczyć, które to były wiersze, napisane właśnie w ciągu tej jesieni, a które z czasem weszły do melancholijnego Albumu pieśni. Ale, że między nimi było beznadziejne Życzenie, tego prawie można być pewnym.

Minęła wiosna, minęło lato,
I smutna jesień już mija:
Każdy dzień nową żegna mnie stratą
I resztę też mych wypija.

Skończy się jesień, nadejdzie zima,
Pajęcza zerwie się przedza:
Serce chwil jasnych w locie nie wstrzyma..
Zostanie rozpacz i nędza.

I zima minie i świat na nowo
Przybierze postać wiosnianą;
Lecz mnie nie zbudzi miłości słowo:
Umarli z grobu nie wstaną.

Na godach życia, duchem i ciałem
Inni już będą przytomni..
Lecz niech ta, którą tyle kochałem,
Czasami jeszcze mnie wspomni!

Natomiast nie ulega żadnej wątpliwości, że dwa z pomiędzy wierszy, napisanych w tym okresie czasu, poeta ogłosił jeszcze w ciągu tej jesieni w Dzienniku literackim.

W N-rze 39 z d. 28 września ukazał się ponury, jak nekrolog, wiersz, poświęcony Bezimiennemu, przez którego to bezimiennego należy rozumieć poetę samego. Wiersz ten, pisany jakby na śmierć swego autora, jakby na to, by być wyrytym na jego smutnym grobie, był pełen zwątpienia we wszystko, zwątpienia w ludzi, w dobro powszechne, w kobietę.

Gdy jeszcze gościł na ziemi,
Źle mu w gościnie tej było:
Miał serca, serca za wiele,
I to go właśnie zgubiło.

— — — — —
Anioła widział w kobiecie,
Lecz ta mu serce rozdarła..
A bracia? Ci go zawiedli,
Więc miłość ziemską umarła..
— — — — —

We dwa tygodnie później w tymże Dzienniku literackim, w N-rze 41 z dnia 12 października 1869 r. ukazał się poetyczny

i wdzięczny Zwiędły listek, napisany pod wpływem tęsknego rozmarzenia o pannie Anieli.

Nie mogłem tłumić dłużej
Najsłodszych serca snów:
Na listku białej róży
Skreśliłem kilka słów.

Słowa, co w piersiach drżały
Nie wymówione w głos,
Na listku róży białej
Rzuciłem tak na los!

Nadzieję, którąm pieścił,
I smutek, co mnie truł,
I wszystkim to umieścił,
Com marzył i com czuł.

Tę cichą serca spowiedź
Miałem jej posłać już
I prosić o odpowiedź
Na listku białych róż.

Lecz kiedy me wyrazy
Chciałem odczytać znów,
Dojrzałem w listku skazy,
Nie mogłem dostrzedz słów.

I pożółkły listek wiotki,
Zataił się marzeń ślad,
I zniknął wyraz słodki,
Com jej chciał posłać w świat!

Wierszyk ten, godny najpiękniejszych liryków Heinego, dołączył Asnyk — w autografie — do listu, który d. 26 października zdecydował się napisać do pani Grudzińskiej.

List brzmiał jak następuje:

Lwów, d. 26 października 1869 r.
Ulica Sykstuska Nr. 550.

Szanowna Pani!

‘Zapewne nie małe zdziwienie spowoduje list człowieka, który jako tak zwana „wodna znajomość“ nie ma prawa odzywać się w czasie nienależącym do kuracji.

Zdziwienie to jednakże nie będzie przykrem dla mnie, a to z tej prostej przyczyny, że go ani widzieć ani roztrząsać nie będę. Tym sposobem mam nawet zapewnioną niejaką bezkar-

ność dla mego fantastycznego przedsięwzięcia i nie potrzebuje rozważać zbyt ściśle: czy jestem więcej natrętnym? czy śmieszniejszym?

Piszę więc, kierując się tem największem prawem egoizmu: „Czyń to, co ci konieczne lub przyjemne, nie zważając na to, że drugim przykrość robisz“.

Moje niebo lwowskie jest tak smutne i szare, próżnia, w której tonę, tak zupełna, że radbym zyskać dla serca mego jakie, choćby czysto urojone oparcie i zaczepić się w locie myślą o kilka chwil jaśniejszych a minionych.

Dlatego też wędruję ciągle myślą po świecie zamkniętym dla mnie¹⁾ a więc idealnym, i szukam gościnności tam, gdzie mi jest dobrze w marzeniu!²⁾

Nie myślę nawet w brzydkim egoizmie moim, że mogę się naprzykrzać osobom, które mając swój świat odrębny, swój dom, rodzinę, kółko znajomych i przyjaciół, muszą niechętnie widzieć nieproszonych gości; ale myślę tylko o tem, że jestem zziębnięty, głodny i potrzebuję się ogrzać przy ciepłem domowem ognisku, którego odblask widzę zdaleka.

Wystawiam sobie, że się dochowuje ów dawny błogosławiony obyczaj pozostawiania nakrytych miejsc przy stole dla tak zwanych zagórskich gości, to jest podróżnych bez dachu i schronienia, których przypadek zagnał w gościnne progi.

Jeżeli tak jest, zasiadam bez ceremonji z imponującą miną żebraka, co jest pewnym, że go nie wyrzucą.

Pani domu mnie pyta: „A skądże to, człowieku?“.

— Znikąd i zewsząd, Wielmożna Pani, ot tak! Człowiek nie ma domu, więc włóczy się po świecie i chodzi po żebrze, szukając dobrych ludzi.

— A nie wstydzicie się to żebrać?

— Ha, co robić! dawniej, bywało, człek był dumny i hardy i nie przyjmował tak łatwo ludzkiej litości. Ale teraz jakoś wszystko się zmieniło; chociaż wstyd oczy pali, człowiek wyciąga ręce po jałmużnę, poprzestając zresztą na dobrem słowie.

— Ale skądżeście się o nas zwiedzieli, mój człowiecze?

— Pono przed dwoma miesiącami widziałem ja Wielmożne Państwo w przejeździe; stałem wonczas na drodze smutny i zmęczony, a Wielmożne Państwo ulitowało się mej nędzy i wyrzuciło z karety biedakowi aż dwa złote reńskie. Łaskawa Pani pewnie już o tem zapomniała, ale taki biedaczysko, jak ja, długo pamięta o tak hojnej jałmużnie.

¹⁾ t. j. w Królestwie Polskiem, gdzie, jako emigrant skompromitowany politycznie, miał wstęp wzbroniony.

²⁾ t. j. w domu państwa Grudzińskich, na wsi, w Rawkiem.

— A teraz czego Wam potrzeba?

— Ot niewiele! Ogrzać się przy kominku, napatrzyć się na moje dobrodziejki, wygadać się ze swoim żalem i tęsknicą i odpocząć trocha. Długo uprzykrzać się nie będę i pójdę dalej w świat z piosenką na ustach i smutkiem w sercu. Jeżeli Wielmożne Państwo pozwoli, to zajrzę znów na Wigilię po kolendzie: może znowu sobie tyle uzbieram, że będę miał czem wyżyć do wiosny.

Taką byłaby moja żebracza rozmowa. gdyby mnie służący był wpuścił do pokoju, lecz widocznie wzbronił mi wejścia, bo oto znalazłem się znowu we własnem mieszkaniu, przy biurku, nad ćwiartką papieru. I przypomniałem sobie z pewną goryczą, że nawet nie jestem żebrakiem! Co gorsza, spostrzegłem (trochę zapóźno), że nie umiem rozsądnego listu napisać, ale stało się ze mną, jak z owym bajecznym Tirezyaszem, któremu Jowisz dał moc widzenia rzeczy ziemskich, a Junona odebrała mu za to ów prosty, zwykły a konieczny wzrok śmiertelnika.

Niech mi zatem wybaczoną będzie ta cała gmatwanina słów bez ładu i składu, przez wzgląd na moją pośmiertną sławę, jako gastronomą.

Eskontując z góry tę pośmiertno-gastronomiczną wielkość, ośmielałem się załączyć autograf wierszyka, który za jakie lat dziesięć może mieć wartość wspomnienia po ś. p. El...ym, przeniesionym na księżyc w nagrodę swoich zasług.

Tymczasem polecam się pamięci wszystkich, o ile ta pamięć nie będzie dla mnie zbyt niekorzystną.

Z uszanowaniem

Adam Asnyk.

Otrzymawszy ten pięknie wystylizowany list od „wielkiego gastronomą“ (widocznie, że już wtedy Asnyk miał opinię smakosza, za jakiego rzeczywiście uchodził później), pani Grudzińska była w trudnem położeniu. Nie chcąc ośmielać poety, który by, dostawszy odpowiedź na swoje pismo, mógł nabrać ochoty do dalszej korespondencji, najchętniej by nie odpisywała wcale, zwłaszcza, że list musiałby być bardzo dyplomatyczny, a przede wszystkim zimny i nie upoważniający do jakichkolwiek nadziei. Z drugiej strony nie odpisując poecie, nie dziękując mu za śliczny wierszyk, który przysłał dla córki, było niedelikatnością, równało się ostrej bezwzględności, przykrości, która musiała zabołec pokrzywdzonego, czego matka panny Anieli, mając dużo sympatji dla utalentowanego autora tak pięknych poezji, bezwarunkowo by wołała uniknąć. Wybór był niełatwy, ale że kobiety, a szczególnie matki córek na wydaniu, gdy chodzi o niepożądanego

aspiranta do ich ręki, potrafią zdobyć się na krok stanowczy, przecinający wszelkie wątpliwości i nadzieje, więc i pani Grudzińska zdecydowała się nie odpisać na list poety. Wiedziała, że go tem przyprawi o wielkie zmartwienie i rozgoryczenie, ale chciała także, by z tego milczenia, które nie potrzebowało wyraźnych komentarzy, wyciągnął potrzebne konsekwencje. Chodziło o to, żeby przestał myśleć o pannie, żeby już nie narzucał się z listami, o które go nie proszono, ani tembardziej upoważniano do ich pisania ¹⁾).

Gdy minęło kilka tygodni, a na list nie nadeszła żadna odpowiedź, Asnyk był w rozpacz. Uważał, iż mu wyrządzono krzywdę, iż nie zasłużył na takie zignorowanie. Zrozumiał jednak, co znaczyło to milczenie, i postanowił zdać wszystko na wolę losu.

Nie znaczyło to jednak, by przestał myśleć o pięknej Królewiance, by zaczął leczyć się z tej nieodwzajemnianej miłości. Że było przeciwnie, że jego uczucie, na które składały się głównie tęsknota i smutek, nie bez sporej przymieszki gorzkości, nie ostygło bynajmniej, dowodził cały szereg wierszy, napisanych w tym okresie czasu, a świadczących nietylko o wyjątkowym przypływie natchnienia, ale i o tem, że ich twórca wciąż miał myśl zaabsorbowaną „lubem dziewczęciem“ ze Szczawnicy...

Jak dotychczas, tak i obecnie, wiersze te, w miarę jak wychodziły z pod pióra poety, niezwłocznie ukazywały się w lwowskim Dzienniku literackim; że jednak w tym roku, najwyraźniej pod wpływem afektu ku pannie Anieli, natchnienie dopisywało mu wyjątkowo, więc jednocześnie zaczął Asnyk, pod pseudonimem El...y, posyłać swe świeżo napisane utwory Kłossom i Tygodnikowi Ilustrowanemu w Warszawie, gdzie je też drukowano skwapliwie.

Z poezyj, odnoszących się do miłości autora, pierwszym był Powrót piosenki, wydrukowany 15 lutego 1870 r. w Nr. 7 Dziennika literackiego.

¹⁾ W swym liście z dnia 12 marca 1914 r. pani Steczkowska tak pisze w sprawie tego listu poety z r. 1869: „W roku 1869, dowiedziawszy się, że jesteśmy w Szczawnicy, przybył tam (Asnyk) w połowie sezonu z Krynicy i bez najmniejszej zachęty z mej strony zaczął mnie otaczać swymi względami... Po powrocie na wieś, w październiku otrzymujemy list... Jakkolwiek w każdym innym razie korespondencja z nim przedstawiałaby wiele interesu, w tym wypadku jednak rodzice moi, widząc we mnie niechęć na samo wspomnienie o tem małżeństwie, uznali, że jest jedyny sposób, by odrazu przeciąć stosunki: lepiej niegrzecznie się znaleźć, niżeli podsycać fałszywe nadzieje“.

Piosnka, którą ukochana
Wieczorami nuciła,
Piosnka dawno zapomniana
Znowu do mnie wróciła ¹⁾.
— — — — —

Jeśli piosnki, jak skowronki
Odlatują z jesienią,
A wracają znów na łąki
Gdy się z wiosną zielenią:

To piosenki tej przybycie
I jej tchnienie miłosne
Może wróżyć nowe życie,
Przebudzenie i wiosnę.

Lecz, któż zaręczy, czy piosenki nie są tylko własnym cieniem człowieka, bo wtedy

Ten powrót piosnki starej
Może wróżyć noc bliską.

Jednem słowem, poeta ciągle był miotany wątpliwościami: raz, w przystępie optymizmu, nie tracił nadziei, iż wszystko w końcu przybierze pomyślny obrót, raz znowu, w przystępie pesymizmu, popadał w zwątpienie, przygotowany na to, że z jego rojeń nic nie będzie.

W tym samym numerze Dziennika literackiego wyszedł nadto Sonet, w którym poeta zapytywał między innymi:

Po co się serce wyrzywa stęsknione
Do burzy, gardząc ciszą i spokojem?

co świadczyło, że chwilami czuł się zmęczony tą burzą uczuć, która nim miotła od dwóch lat, i że niekiedy tęsknił za spokojem i ciszą.

Myśląc o przyszłości, którą raz w jaśniejszych, raz w ciemniejszych widział kolorach, miewał i takie chwile, w których nie mógł się obronić myśli, że panna Aniela, idąc za radami matki, świetnie wyjdzie za mąż, za człowieka bogatego, choć niemło-

¹⁾ W wydaniu poezyj El...y'ego z r. 1872 strofka ta brzmi odmiennie od tej pierwszej redakcji:

Piosnka, którą ukochana
Zwykła była mi nucić,
Piosnka dawno zapomniana
Przyszła sen mój zakłócić.

dego, ale za to z tytułem, co może leżało w zakresie aspiracji pani Grudzińskiej. Z tych przewidywań zrodziła się sarkastyczna *Abdykacja*, wydrukowana 1 marca 1870 r. w. Nr. 8 *Dziennika literackiego*.

Pierwsza część tego sławnego wiersza, jednego z najpopularniejszych Asnyka, jest poetycznym wizerunkiem panny Anieli, takiej, jaką poeta widywał w Szczawnicy, na tle Dunajca i Pienin, podczas, gdy ostatnie strofki, pełne heinowskiej ironji, są portretem panny Anieli, takiej, jak ją sobie wyobrażał w przyszłości, gdyby tak wyszła za mąż, jak to było — według jego urojonego mniemania — pragnieniem jej matki.

Sukienkę miała w paseczki
Perkalikową,
We włosach polne kwiateczki,
Twarzyczkę zawsze różową.
Nie było piękniejszej dziewczeczki,
Daje wam słowo.

Była doprawdy królewną
Cudownych krajów,
I miała orkiestrę śpiewną
W królestwie zielonych gajów
I armię kwiatów powiewną
Brzegiem ruczajów.

Gdy zbrojna ruszyła w pole
Wraz z wojskiem swoim,
Wszystko spełniało jej wolę:
Słynęła w świecie podbojem,
I mnie zabrała w niewolę
Nad jasnym zdrojem.

Nie wiem, dlaczego złożyła
Berło liljowe,
I na koronki zmieniła
Swoje korony tęczowe;
Wiem, że Arkadia straciła
Swoją królowę.

Dziś tylko... wielką jest damą
Strojną bez miary,
Ma pałac z herbem nad bramą,
Kaprysy spełnia mąż stary,
Ale już nie jest tą samą:
Znikły, ach! czary.

I choć króluje na balu
W każdym salonie,
Znać na niej jakiś cień żalu,
I marzy, wspierając skronie,
O swej sukience z perkalu
I polnych kwiatów koronie.

Ale zdarzały się i takie chwile, że poeta, złudzony mylnemi pozorami, mniej sceptycznie zapatrywał się na swą ukochaną, że wierzył w jej życzliwość dla siebie, życzliwość, która — gdyby nie mama — zaprowadziłaby ją z nim bardzo daleko, bo aż do ołtarza.

Poetycznym wyrazem tych rojeń, które w rzeczywistości nie miały żadnego uzasadnienia, był prześliczny wiersz p. t. *Przechadzka*, wydrukowany 8 marca 1870 r. w Nr. 9 *Dziennika literackiego*, wiersz uroczy poprostu, którego zakończenie, wyraźnie z myślą o pannie Anieli skreślone, brzmiało, jak następuje:

Znaleźć bym rada
Ow pierścień złoty,
Co-to posiada
Dziwne przymioty
I w nadzwyczajne
Kształty nas zmienia
I wszystkie tajne
Spełnia życzenia.

Ale goręcej
Jeszcze bym chciała
Znaleźć coś więcej...
Co bym kochała;
Niby człowieka,
Niby anioła,
Co mnie zdaleka
W snach moich woła.

Chciałabym jego
Znaleźć przy boku
Zapatrzonego,
Z miłością w wzroku,
Rączki serdecznie
Podać mu obie
I mieć go wiecznie,
Wiecznie przy sobie...
Chodzić i gwarzyć
Wśród drzew warkoczy,
I słodko marzyć,
Patrząc się w oczy,
I całą jasność
I piękność ziemi
Zabrać na własność
Sercami swemi,
I skryć w błękicie
Wszystko radosne...
I życie całe
Zamienić w wiosnę!

I zdawało się poecie, że gdyby nie kastowe uprzedzenia pani Grudzińskiej, która w nim nie widziała stosownej partji dla córki, z panną prędzej czy później doszedłby do ładu. Na przeszkodzie — w jego fałszywym mniemaniu — stała matka, która w zasadzie była przeciwną temu związkowi. Rozżalony na nią, a przytem nie mogąc zapomnieć, że mu nie raczono odpisać na jego serdeczny list, wyobraził sobie Asnyk scenę, jakaby się rozegrała między nim a matką panny, gdyby tak, zrzuciwszy pychę z serca, ośmielił się oświadczyć o rękę Anieli. Był przekonany, że taka scena, któraby niewątpliwie zakończyła się sromotnym odkoszem, musiałaby mieć wysoce dyplomatyczno-humorystyczny charakter, i w tem moralnem przeświadczeniu, w chwili gorzkiego Galgenhumor'u, napisał zgryźliwe Oświadczyzny, w których w złośliwej ironji stanowczo poszedł za daleko... A już czego nie należało czynić po napisaniu tego wiersza, to drukować go w Dzienniku literackim, gdzie się ukazał już 29 marca 1870 r.

Wiersz był bardzo dowcipny, zupełnie heinowski, ale poeta uczyniłby taktowniej, gdyby go był zatrzymał w tece.

Oto, jak w nim opisaną została chwila bezpośrednio przed wyznaniem poety, że kocha pannę Julję:

Pani na niego patrzała z dziwieniem
I coraz większą przybierała godność;
Panna go także mierzyła spojrzeniem,
A choć w jej wzroku mógł dojrzeć łagodność,
Nic nie pomogło: matki dostojeństwo
Ciężło nad nim ciągle jak przekleństwo.

Czuł, jak pod owym wzrokiem przenikliwym
Całą swą wielkość traci poetyczną;
Czuł, jak jest małym, nędznym, nieszczęśliwym,
A ona wielką i majestatyczną...

Dowiedziawszy się, o co chodzi, matka panny, po wypowiedzeniu swych osobistych poglądów na literatów wogóle, którzy przecież nie należą do t. zw. „towarzystwa“, w ten sposób ostatecznie odwołuje się do szlachetności poety:

Pan Julcię kochasz... jak człowiek szlachetny
Musisz ofiarę zrobić z swej miłości:
Mam właśnie dla niej marjaż bardzo świetny,
Co jej zapewni cały los w przyszłości.
Chociaż jesteśmy panu z mężem radzi,
Przez wzgląd na Julkę, chciej pan bywać rzadziej.

Na takie dictum nie pozostawało nic innego, tylko zabrać się i pójść... i więcej nie wrócić. Uczyniwszy to, poeta, już

bogatszy w życiowe doświadczenie, gdy się znalazł na ulicy,
tak rzekł sam do siebie:

Dobrze ci teraz! Szkoda tylko panny.
Jeszcze mi w oczach stoi ten jej smutek
I ten wzrok tęskny, łzawy, jakby szklanny.

— — — — —
Gdybym był dawno serca nie roztrwonił,
Musiałbym teraz z rozpaczyny umierać.
Ale tak, będę smutkowi się bronił...
Trzeba się jeszcze w świecie poniewierać.
Życie poety, to korona z cierni!
Westchnął i... poszedł na poncz do cukierni.

Wiersz był przykry, tembardziej, że poecie w rzeczywistości
oszczędzono tej upokarzającej sceny, starając się nie dopuścić
do niej.

W tydzień później w N-rze 13 Dziennika literackiego
w d. 5 kwietnia 1870 r. ukazały się aż cztery erotyki El...yego,
wszystkie o pannie Anieli, z myślą o niej pisane.

Na pierwszym miejscu znalazł się śliczny wiersz symbo-
liczny:

Myślałem, że to sen, lecz to prawda była:
Z nadziemskich jasnych sfer do mnie tu zstąpiła...
Podąła rączkę swą, szliśmy z sobą razem,
Przed nami jaśniał świat cudnym krajobrazem;
Pośród rozkosznych łąk i gajów mirtowych,
Wiecznie zielonych wzgórz i wód szafirowych,
Szliśmy nie mówiąc nic, a mnie się wydało,
Żem życia mego pieśń wypowiedział całą...
Wtem nagle przyszła myśl dziwna i szalona,
Żeby koniecznie dojść: skąd i kto jest ona?
I gdy zacząłem tak i ważyć i badać,
Kwiaty zaczęły schnąć, a liście opadać
I nastał szary zmrok... a ja w swoim biegu,
Stałem w gęstej mgie u przepaści brzegu.
Strwożony zmianą tą, zwróciłem się do niej,
Niestety, już jej dłoń nie była w mej dłoni.
Słyszałem tylko głos ginący w ciemności:
„Byłam natchnieniem twem, marą twej młodości!“
I pozostałem sam i noc świat pokryła...
Myślałem, że to sen, a to prawda była.

Istotnie była to prawda, bo choć naogół, zwłaszcza po
wymownem milczeniu ze strony pani Grudzińskiej, słoneczny
horyzont jego marzeń o pannie Anieli zachmurzył się i spo-
sępniał bardzo, to jednak z tych marzeń, jak z rogu obfitości,
wysypywały się wiersze po wierszach, najpłomienniejsze, jakie

kiedykolwiek wyszły z pod pióra poety, tak, że nie przesadził wcale, gdy pannę Anielę nazwał swem natchnieniem, swoją Muzą!

Bo nawet cykl wierszy *Z motywów ludowych*, choć pozornie z nią nie miał nic wspólnego, zawierał cały szereg tęsknych piosnek, w których się odbiło ówczesne usposobienie poety, pełne smutku i melancholji.

Oto n. p. początek wiersza wydrukowanego w tymże 13-tym numerze *Dziennika literackiego*, z 5 kwietnia 1870 r.

Błąka się wichur w polu,
Nie wie, w którą wiać stronę;
Błąka się w dzikim bolu
Moje serce zmęczone.

A cóż je tak umęczyło i przypawiło o ból nie do zniesienia? Właściwie nic, to bowiem, co przeżył ze swą lubą, czego doświadczyli razem, co było ich udziałem w czasie tych letnich miesięcy, tak było nikłe, nieuchwytne, że właściwie było to tylko śliczne tło do obrazu, tło słoneczne, pełne zieleni łąk i lasów, wśród malowniczych Pienin, pełne szumu krystalicznych wód i kaskad Dunajca, ale tło, na którym na prawdę nie rozegrało się nic...

Miedzy nami nic nie było:
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych.
Nic nas z sobą nie łączyło,
Prócz wiosennych marzeń zdradnych;

Prócz tych woni, barw i blasków
Unoszących się w przestrzeni,
Prócz szumiących śpiewem lasków
I tej świeżej łąk zieleni;

Prócz tych kaskad i potoków,
Zraszających każdy parów,
Prócz girlandy tęczy, obłoków,
Prócz natury słodkich czarów;

Prócz tych wspólnych jasnych źródeł,
Z których serce zachwyty piło,
Prócz pierwiosnków i powojów
Miedzy nami nic nie było!

Po tym uroczym obrazku, w którym jak w kropli rosy — albo jak w łzie poety — odbiła się jego szczawnicka sielanka z panną Anielą na tle tamtejszych gór i potoków, nastąpił jeszcze czwarty wierszyk, niby żartobliwy, a jednak przepełniony smutkiem

na myśl że nim emigrantowi-poecie będzie pozwolony powrót do kraju, panna, nie doczekawszy się tej chwili, gotowa wyjść za mąż... co było łatwem do przewidzenia.

Ty czekaj mnie, dziś wczeczko cudna,
Pod tą wysmukłą topolą!
Przysiegam ci, choć to rzecz trudna,
Że wrócę, gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!
Będzie to wielką zasługą.
A jak się znajdzie, dla ciebie mąż...
Nie każ mu wzdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znówu,
Dopóki serca ci stanie,
I wierzyć chciej mojemu słowu,
Że ci to skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szal,
Czekaj mnie pod tą topolą...
Chociażbym z grobu powstać miał,
Powrócę, gdy mi pozwolą!

Że Asnyka w tym czasie, całkiem pozbawionego jakichkolwiek wiadomości o pannie, prześladowała myśl o jej zaręczeniu się z jakim dorodnym młodzianem z jej sfery, tego aż nadto wyraźnie dowodzi nader wdzięczne Scherzo, wydrukowane 12 kwietnia 1870 r. w N-rze 14 Dziennika literackiego. Początek tego wiersza o poecie i księżycu, jak i cały dowcipny wiersz zresztą, niewątpliwie napisany bezpośrednio przed jego wydrukowaniem, pozostawał w najściślejszym związku z owym nieszczęsnym listem Asnyka z 26 października 1869 r. do pani Grudzińskiej, na który to list, choć wysłany przed pół rokiem, aż dotąd, t. j. do kwietnia roku 1870, nie nadeszła żadna odpowiedź.

Siedzi w oknie cały ranek
Do wieczora siedzi:
Siedzi ciągle smutny Janek,
Czeka odpowiedzi.

Do swej lubej list wyprawił,
Na odpowiedź czeka,
Sześć miesięcy¹⁾ w oknie strawił
Wzdycha i narzeka.

¹⁾ Od 26 października do 12 kwietnia rzeczywiście jest bez mała sześć miesięcy!

List wyprawił przez gołębia:
 Gołąb nie powrócił,
 Może spotkał gdzie jastrzębia,
 Co mu drogę skrócił.

Wodzi okiem wciąż po niebie,
 Na posłańca czeka,
 Patrzy w górę znów przed siebie...
 Pies na niego szczeka.

Pytaniami wszystkich nudzi,
 I zaczepia co dnia
 Ptaki, chmury, nawet ludzi,
 Każdego przechodnia.

Wszyscy się już z niego śmieją
 Szczerze czy obłudnie;
 On się żywi wciąż nadzieją,
 Coraz bardziej chudnie.

Dziś znów patrzy w jedną stronę
 I wzdycha okropnie;
 Słońce poszło spać znudzone:
 Zrobiło roztropnie.

Księżyc wyszedł już z gospody,
 Po niebie się toczy:
 Zrumienione ma jagody
 I nabrzękle oczy.

Zawiazuje się długa, bardzo zabawna rozmowa między poetą,
 młodym idealistą, a księżycem, starym sceptykiem. Poeta jest
 spragniony wieści o ukochanej:

Ja nie pragnę nic dla siebie,
 Dla szczęścia własnego;
 Bo w miłości mojej niebie
 Niema nic ziemskiego.

Nic nie pragnę, nic nie żądam
 Tak, niczego więcej
 Oprócz wieści, co wyglądam
 Od sześciu miesięcy.

List posłałem przez gołębia,
 Nie mam w zamian wieści,
 Więc niepokój mnie przygnębia,
 Usycham z boleści.

Na to księżyc:

Byłem właśnie mimochodem
W tamtej stronie zrana
I widziałem, jak ogrodem
Szła twa ukochana.

Przy niej ładny szedł chłopaczek,
Patrzała nań słodko
Inie jeden spiekła raczek,
Bawiąc się stokrotką.

Potem list twój wydobyła
Z kieszonki fartuszka,
I o tobie coś mówiła
Tamtemu do uszka.

I usiadła z nim pod drzewem,
Z śmiechem list podarła...

Podobna wiadomość naturalnie musiała wywołać krzyki oburzenia i „furji miłosnej“ ze strony poety, ale to bynajmniej nie rozczuliło księżycy, lecz przeciwnie, pobudziło go do głośnego śmiechu.

W takich żalosnych warunkach upłynęło jeszcze dwa miesiące, aż wreszcie, gdy nadszedł lipiec, któregoś dnia, przeglądając krakowski *Czas*, wyczytał w nim Asnyk w liście przejezdnych, mieszkających w hotelach, nazwisko pani Grudzińskiej z córką. Wywnioskował stąd, że skoro bawią w Krakowie, to napewno są w drodze do Pienin.

V.

I nie namyślając się ani godziny, natychmiast pojechał do Szczawnicy. Jakież było jego rozczarowanie, gdy tu nie zastał nikogo. Nie wiedział, co począć z sobą, był bezradny zupełnie. Chodził jak bez głowy. Ale już po tygodniu dowiedział się od znajomych, że panie Grudzińskie bawią w Krynicy.

Nie przypuszczając ani przez moment, by dlatego w tym roku nie pojechały do Szczawnicy, ponieważ chciały uniknąć kłopotliwego z nim spotkania, pierwszą pocztą podążył do Krynicy, nie posiadając się z radości...

Przybywszy na miejsce, zaraz odszukał mieszkanie pań Grudzińskich, a gdy im złożył ceremonjalną wizytę, umyślnie sobie nadawał pozory obojętności, iżby swem zachowaniem się nic nie dać do myślenia. Zwykła, towarzyska wizyta znajomego ze Szczawnicy, i nic więcej! Gdy jednak on z niczem starał się nie zdradzić na zewnątrz, pani Grudzińska odrazu dała mu do poznania, że jego odwiedziny są niespodzianką... niemiłą, niepożądaną.

Zrozumiałwszy to, poeta spędził kilka dni rozpaczliwych, nie śmiąc narzucać się tym paniom, prawie nie widując się z niemi. Serce mu pękało na widok panny Anieli, o której dowiedział się z przyjemnością, że dotąd była wolna, niezaręczona z nikim, co mimowoli uważał za szczęśliwe zrządzenie losu, ale musiał swoje spotkania z nią ograniczyć do minimum, nie chcąc narazić się matce. Tymczasem pani Grudzińskiej i tego jeszcze było smać za wiele, bo któregoś dnia, w rozmowie z poetą, wyraziła się w ten sposób, że rozumiał jej słowa, jako delikatnie wypowiedziane życzenie, iż wolałaby nie widywać go wcale. Wobec tego, nie chcąc przeciągać struny, i tak już naprężonej i bliskiej pęknięcia, strapiiony i zgryziony, cofnął się zupełnie, tak, że przez szereg dni wcale nie widział panny Anieli i jej matki.

Ale niebawem, gdy rzecz rozważył spokojniej, gdy się zastanowił nad różnemi powiedzeniami pani Grudzińskiej, gdy je poddał przenikliwej analizie, doszedł do wniosku, że może jego postępowanie było zbyt nerwowe i gorączkowe; a może niektóre rzeczy widział w gorszym świetle, niż były w istocie: że może pani Grudzińska nie myślała tak źle, jak on to sobie tłumaczył. Wszak przypuścić trudno, by osoba tej zacności i delikatności, tej dobroci serca, mogła okazać się tak bezwzględna, by w tak niewyszukany sposób chciała się pozbyć człowieka miłego, inteligentnego, z nazwiskiem w literaturze i historii kraju, który w niczem nie przekraczał zwykłej granicy, nakreślonej przepisami życia towarzyskiego. Tak rozumując, gdy znów któregoś dnia zbliżył się do tych pań, przekonał się, że poznano się na jego takcie i delikatności, że pani Grudzińska, nie mówiąc już o pannie, w zasadzie nic nie miała przeciwko temu, by powróciły harmonijne stosunki przyjaźni, byle w nich tylko nie było mowy o konkurach. Poeta nie mając innego wyboru, musiał przystać na ten ciężki warunek, poczem wrócił miły szczawnicki nastrój, zapanowała pogodna atmosfera miłej „kąpielowej znajomości“, wesołej „sezonowej“ przyjaźni bez konsekwencji, nie zobowiązującej do niczego, a zwłaszcza nie upoważniającej do żadnych rojeń matrymonialnych. *Point de rêveries!*

Powoli przyszło do tego, że poeta stał się „nieodstępny towarzyszem“ tych pań, a 2 sierpnia, jako w dzień imienin panny Anieli, przysłał jej, pewny już, że to nie będzie źle widziane, wspaniały bukiet kwiatów, a do tego bukietu, zamiast biletu wizytowego, dołączył następujący wiersz, którego autograf mam w tej chwili przed oczyma...

Posyłam kwiaty! Niech powiedzą one
To, czego usta nie mówią stęsknione,
Co w serca mego zostanie skrytości
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości.

Posyłam kwiaty! Niech kielichy skłonią
 I proszą srebrną rosą, jak łezkami;
 Może uleci z ich najczystsza wonią
 Wyraz drżącemi szeptany ustami,
 Może go one ze sobą uniosą
 I rzucają razem z woniami i rosą.

Szczęśliwe kwiaty! Im wolno wyrazić
 Wszystkie pragnienia i smutki i trwogi!
 Ich wonne słowa nie mogą obrazić
 Dziewicy, choć jej upadną pod nogi;
 Wzgardą im usta nie odpłacą skromne,
 Najwyżej rzekną: „Słyszałam — zapomnę!“

Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmieie,
 I składać życzeń utajonych wiele,
 I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
 Zanim z tęsknoty uwiedną serdecznej!

2 sierpnia 1870.

El...y.

Wiersz ten, tak wytworny, a tak wymowny swym sentymentem, z poza którego tak wyraźnie przeziierało nawet niebardzo tajone uczucie, świadczył o znacznej zmianie na lepsze, jaka w ostatnich czasach zaszła w stosunku Asnyka do panny Anieli i jej matki, bo w każdym razie był dosyć śmiałym. Były to prawie oświadczyzny. W każdym razie poeta mówił w nim wyraźnie, iż zazdrości szczęśliwym kwiatom, którym wolno to wszystko, co jemu jest wzbronione.

Bądź co bądź, stosunki poprawiły się znacznie, stały się o wiele serdeczniejsze, zażyłszy. Niestety, poeta znów wypadł z swej roli dobrego znajomego, nie mającego żadnej ukrytej myśli, lecz powodującego się zwykłą przyjaźnią i życzliwością, i... rozpoczął wcale niedwuznaczne konkury. Oto co w tej kwestji pisze pani S.: „To wszystko nie przeszkadzało mu w r. 1870 w Krynicy rozpocząć formalne starania się... Matka moja, słysząc odemnie, że nie zostałamby nigdy jego żoną, chciała mu oszczędzić przykrości oświadczyń i odmowy i niejednokrotnie naprowadzała rozmowę na niestosowność małżeństw, w których żona jest o wiele młodszą od męża. Ta młodość ma swe prawa i wcześniej czy później musi się o nie upomnieć; a jeżeli to nastąpi zapóźno, wtedy jest nieszczęściem dla stron obu. Zdawałoby się, że po tem, porachowawszy swoje lata i moje, powinien był odstąpić od swego zamiaru.“ Niestety, poeta był zaślepiony swoją miłością, tak, że nietylko nie rozumiał wszystkich aluzji, które go pani Grudzińska starała się naprowadzić na właściwą drogę, ale z różnych błahych pozorów wyciągał fałszywe, bo optymistyczne wnioski. Miał oczy, a nie widział; miał uszy, a nie słyszał; miał rozum, a nie rozumiał. „Nieraz —

pisze pani S. — zastanawiałam się nad dziwnem ześlepieniem Asnyka, który nie widział prawdy. Ale poznawszy więcej ludzi niepospolitych, przekonałam się, że tak wiele żyją fantazją, że w końcu to, co sobie wymarzą, zamienia się w ich oczach w rzeczywistość: i ostatecznie nie potrafią rozróżnić snów od faktów realnych“. Podobnie miała się rzecz i z Asnykiem: wyobraziwszy sobie, że, jako poeta, otoczony powszechną czcią, może mieć pewne widoki powodzenia u młodej inteligentnej panny, nie przypuszczał ani na chwilę, że jej może się... nie podobać wogóle. A nieszczęściem było tak właśnie. „Asnyk — pisze p. S. — pociągał do siebie ludzi: cała młodzież garnęła się do niego, otaczała go największem uwielbieniem, ale fizycznie nie mógł pociągnąć młodej dziewczyny: jeżeli mam powiedzieć prawdę, to nawet przeciwnie“. Z tego niestety, poeta całkiem sobie nie zdawał sprawy. Za bardzo wierzył w urok, jaki w oczach kobiet zwykle mają poeci, ludzie sławni. Słowem, jak to poeta, za mało miał poczucia rzeczywistości.

Że tym brakiem grzeszył w najwyższym stopniu, dowodzi fakt, że gdy się poprawiły jego stosunki z paniami Grudzińskimi, któregoś dnia uznał za stosowne, by im pokazać niektóre wiersze, które w ciągu roku był drukował w *Dzienniku literackim*, a z tych wierszy wybrał właśnie te, które im najmniej należało pokazywać, mianowicie: *Scherzo*, napisane z powodu nieotrzymania odpowiedzi na jego list w październiku i *Oświadczenia*, które pani Grudzińska bardzo łatwo mogła wziąć do siebie, jako złośliwy portret matki, pragnącej córkę bogato wydać za mąż, a dla której poeta i literat nie jest żadną partją.

Cokolwiek sobie myślał Asnyk, gdy pisał *Oświadczenia*, jedno nie uległo wątpliwości, że je pisał w okresie czasu, gdy był rozżalony na panią Grudzińską i jej córkę, iż mu nie odpisały na list i gdy to ich milczenie rozumiał trafnie, jako chęć dania mu do zrozumienia, by sobie pannę wybił z głowy. Nic dziwnego tedy, że gdy im przyniósł i przeczytał te wiersze, tak pełne zgryźliwego humoru, one zrozumiały odrazu, jaką była ich psychologiczna geneza, pod czym wpływem zostały napisane, do czego były złośliwą aluzją. Choć panna Aniela z powodu *Scherza*, a jej matka z powodu *Oświadczenia*, mogły się obrazić nawet, czuć dotkniętymi niemile, bo w każdym razie w mniejszym lub większym stopniu one były celem tych ironicznych pocisków *à la Heine*, to jednak nie obrażyły się bynajmniej, owszem, serdecznie się uśmieły z tej surowej a wesołej „kary“, jaka im mimowoli dostała się od urażonego poety, a jednocześnie były bardzo rade z takiego obrotu sprawy. Dlaczego? Oto, jak na to pytanie odpowiada sama pani S.: „Kiedy mi przyniósł te dwa wycinki z gazety: *Scherzo* i *Oświadczenia*, ucie-

szylałam się niezmiernie, uśmiełam i uspokoiłam, że po tej karze, jaką mi wymierzył temi wierszami, odstąpi od matrymonialnych zamiarów i że wejdziemy na drogę przyjaznych stosunków. Bo trudno przecież powiedzieć wyraźniej: „Widzisz moja panno, jak mało o ciebie dbam!“¹⁾

Że jednak były to wiersze znakomitego poety, autora tomu prześlicznych Poezyj, przed rokiem wydanego we Lwowie, więc panna Aniela, znając ich wartość i źródło pomysłu, oba te wycinki z Dziennika literackiego schowała starannie, jako pamiątkę po poecie, w którego życiu, bądź co bądź, mimowoli grała rolę Beatriczy. To samo uczyniła i z jego pierwszym tomem Poezyj z r. 1869, których egzemplarz, opatrzony stosowną dedykacją autorską, ofiarował jej Asnyk w tymże sezonie²⁾.

Wszystko to świadczyło o jednym niezaprzeczonym fakcie, że poeta kochał się naprawdę, że miał duszę pełną miłości i tkliwości. A że był bardzo wrażliwy, więc najdrobniejszy szczegół, byle pochodził od panny Anieli, zaraz pobudzał jego wyobraźnię poetycką, co oczywiście stawało się źródłem natchnienia.

W tych warunkach powstał cały szereg liryków, które z czasem stały się najcenniejszymi perłami w diademy twórczości El...y'ego.

Oto n. p. przypadkiem dostrzeżona łza w oku panny Anieli, łza, która z pewnością nie miała głębszego powodu, a już na pewno nie była wylaną z jego przyczyny, wywołała następujący wylew czułości poety:

Ty płaczesz dziewczę? Łez twoich szkoda,
Na te łzy gorzkie jeszcześ młoda:
Otrzyj swe oczy,
Świat tak uroczy,
Na niebie jasna pogoda.

Wszak najpiękniejsze z wszystkich niebianek,
Młodość i wiosna wiją ci wianek...
A ty w łzach przecie?
Niedobre dziecię!
Jak chmurny maju poranek.

¹⁾ Wyjątek z listu pani Steczkowskiej z dnia 2. kwietnia 1914.

²⁾ Oto, co o tem pisze pani Steczkowska: „Miałam jeszcze jeden dar Asnyka, pierwszy tom jego Poezyj z dedykacją, który dostałam w Krynicy... i tej pamiątki zostałam pozbawiona. Po mojem wyjściu za mąż bywał u nas Stanisław Pol, syn Wincentego. Ten, zobaczywszy u mnie na biurku tę książkę, wziął ją na parę dni, następnie dał jakimś swoim znajomym paniom, w końcu, kiedy go prosiłam o oddanie, powiedział mi, że nie wie, gdzie się podziała. Nie wiem, czy ten Stanisław Pol żyje jeszcze, ale w każdym razie... nie mogę mu darować lekceważenia, jakiego się dopuścił...“

Jakaż to boleść czoło ci chmurzy?
 Możeś się pączkiem ukłuła róży?
 Lub pragniesz skrycie
 Gwiazdki w błękanie
 I nie chcesz czekać już dłużej?

— — — — —
 Choćby cię większa dotknęła strata,
 Przyszłość dla ciebie w uśmiech bogata..
 Prędko się zgoi
 Ból w piersi twojej,
 Łzy schowaj na dalsze lata!

Jakąkolwiek była ta symboliczna „gwiazdka“, której panna „pragnęła skrycie“ i na którą „nie chciała czekać już dłużej“, jedno nie uległo wątpliwości, że poeta zaczynał być coraz lepszej myśli, że chwilami stawał się przystępny złudzeniom i nadziei. Zapominał niekiedy, że niebezpiecznie jest budować na pozorach, że co innego są dobre stosunki na tle „wodnej znajomości“ w sezonie, a co innego budowanie na nich przyszłości. Zapominał o przysłówionych zamkach na lodzie.

W końcu w swym optymizmie zaszedł tak daleko, że postanowił zdobyć się na czyn heroiczny: oświadczyć się. Zapominał o swych Oświadczeniach, a przynajmniej pamiętał o nich nie dosyć. Że jednak nie był pewnym siebie, że znał swoją nieśmiałość, więc zdecydował się oświadczyć nie ustnie, lecz listownie.

W tej myśli, d. 27 sierpnia, gdy już zbliżał się koniec sezonu, napisał obszerny list do pani Grudzińskiej, list, w którym ją otwarcie wtajemniczył w swe uczucia dla panny Anieli. Zaryzykował!

List brzmiał, jak następuje:

Krynica, 27 sierpnia 1870 r.

Szanowna Pani!

Jakkolwiek wydać się może niedelikatnością z mej strony rozpisywanie się w przedmiocie drażliwym, jednakże muszę się narazić na ten zarzut, bo nie mam tyle hartu, żeby żegnając panie prawdopodobnie na zawsze, nie wypowiedzieć tego wszystkiego, co leży na dnie duszy, tłumione a przecież niezwycone.

Uciekam się do listownej explikacji, a to dlatego, że w ustnej rozmowie zmieszanie i wzruszenie nie pozwoliłoby mi się wytłumaczyć dość jasno i urywane słowa moje mogłyby być zrozumiane inaczej, jakbym sobie życzył.

Na wstępie proszę o wyrozumiałość i pobłażliwość, chociażby tę tylko, jaką się mieć winno dla ludzi, którzy wprowadzie zakłócają spokój domowy, ale czynią to, spowodowani prawdziwym uczuciem.

Zacznę od historii dwóch minionych lat, bo zestawienie faktów i wrażeń jest mi potrzebnem do wyjaśnienia, jeśli nie do usprawiedliwienia mojego postępowania.

Od pierwszej chwili, w której miałem zaszczyt poznać Panie w Szczawnicy, sympatja moja biegła mimowolnie ku Nim, a wrażenie, jakie wywarła na mnie panna Aniela, było za silne, żebym nie poznał, że mi się go strzedz należy.

Byłem długi czas onieśmielony i trzymałem się uporczywie na boku; nie było to jeszcze wprowadzie uczucie, ale było przecucie czegoś nieokreślonego... Przy samym prawie końcu tego pierwszego pobytu w Szczawnicy fatalizm chciał, że uległem pokusie i zbliżyłem się więcej do Ich towarzystwa. Zostałem oczarowany dobrocią, uprzejmością i wdziękiem całego otoczenia. Panie przyjmowały mnie łaskawie, rozumie się zarówno jak wszystkich, którzy mieli to szczęście bywać w Ich towarzystwie. Prawdziwa jednak dobroć i słodycz mają to do siebie, że choć nie skierowane specjalnie do pojedynczej osoby, wkradają się coraz głębiej w serce, mimo woli i wiedzy.

Nie zdawałem sobie sprawy z wewnętrznego stanu, czułem tylko, że byłem szczęśliwy. Nadeszła chwila odjazdu. Straciłem Panie z oczu, ale nie z serca: zostało po Nich marzenie, które kiełkowało i rozwijało się. Uniosłem ze sobą (być może, żem niedobrze zrozumiał) coś nakształt przyrzeczenia, że będę zawiadomiony, jeżeli Panie przyjadą do Szczawnicy. W ciągu roku chciałem się jeszcze przypomnieć Ich pamięci i posłałem moją komedijkę. W zamian nie otrzymałem nic. Uczułem wielką przykrość, zrozumiałem, że moje marzenie w mgły się rozwiewa, postanowiłem więc zwalczyć wzrastające uczucie. Chciałem się już nie widzieć z Paniami i zawzięcie rozbijałem się po Krynicy, podczas gdy Panie bawiły w Szczawnicy.

Niestety, nie wytrwałem w mojem postanowieniu. Muszę widzieć jeszcze raz — mówiłem sobie — a potem niech będzie, co chce. Czyż się mam wyrzec chwili szczęścia, dlatego, że ją okupię późniejszą boleścią? Tak więc poleciałem do Szczawnicy, gdzie zastałem Panie na odjeździe. Te kilka dni zachwyty wystarczyły jednak, żeby mi odjąć wszelką nad samym sobą władzę i poważylem się zwierzyć w niezrozumiałym zapewne języku pani Krzyżanowskiej. Ta mi odjęła wszelką nadzieję, dodając jeszcze, że wiadomość o tem mogłaby Pani wielką przykrość sprawić. Prosiłem więc jej, żeby zostawiła moje zwierzenie przy sobie, chcąc przynajmniej zachować dla siebie przyjazne uspo-

sobienie osób, które szanuję i kocham. Pocieszałem się myślą, że zasługuję raczej na współczucie, a nie na wzgardę, i że będę przynajmniej uważanym za dobrego przyjaciela, któremu można wszystkich względów odmówić, ale znosić go jako pocziwą i wiernie przywiązaną istotę.

Tak zapatrując się, nie mogłem sobie odmówić przyjemności odprowadzenia Pań tak daleko, jak warunki mnie krępujące pozwalały na to. Ile szczęścia, ile goryczy mieszało się z sobą w tej podróży, ten tylko może wiedzieć, kto przechodził podobne koleje.

Nareszcie pożegnałem Panie i to z małą nadzieją, abym Je kiedykolwiek zobaczył. Nie mogłem się jednak wyrzec słodkich wzruszeń, które za głęboko zapuściły korzenie w mojem sercu. Trawiony tęsknotą, a zarazem chęcią przypomnienia się pamięci, o którą mi tak chodziło, ośmieliłem się napisać list, będący tylko wyrazem przywiązania biędnego emigranta do osób tyle drogich. Absolutne milczenie musiało mnie zabołeć tembardziej, o ile sądziłem, że nawet ludziom, których uczuć się nie przyjmuje, godzi się odpowiedzieć, gdy tylko zasługują na trochę szacunku. Nie była to uraza, o tej nie pomyślałem ani na chwilę, ale dziwna przykrość, spowodowana pytaniem: dlaczego mną gardzą?

Pisać powtórnie byłoby z mej strony natręctwem nie do darowania, musiałem więc powierzyć się losowi i czekać cierpliwie, czy Bóg miłosierny nie sprowadzi Pań w te strony i nie dozwoli mi rozstrzygnąć tak smutnego zagadnienia. Nadeszło lato: po długich oczekiwaniach wyczytałem w liście przyjezdnych do Krakowa nazwisko pani Grudzińskiej i natychmiast wyruszyłem do Szczawnicy. Tam mnie spotkało pierwsze rozczarowanie, nie zastałem nikogo. Wyglądałem jak człowiek, który dopiero co spadł z obłoków i nie wie, co się na ziemi dzieje. Jednakże któż opisze moją radość, gdy po tygodniu pobytu dowiedziałem się, że w rzeczy samej Łaskawe Panie przejechały przez Kraków i pojechały do Krynicy. Bez straty czasu przybyłem tutaj i z niewysłowionem biciem serca odszukałem Ich mieszkanie; przecież przymuszałem się być sztywnym i chłodnym, bojąc się, żeby mi za złe nie wzięto wszelkiego objawu serdeczności. Ile mogłem wniesć ze spotkania, zdawało mi się, iż mój przyjazd jest źle uważanym i męczyłem się straszliwie przez kilka dni sytuacją, która mnie wydziedziczała w mojem pojęciu z wszelkiego nawet współczucia Pań. Na tak przysposobiony grunt padły słowa Szanownej Pani, które w chwili wyrzeczenia wziąłem jako dowód, że Panie chcą się pozbyć mego towarzystwa. Cofnąłem się więc z wielką boleścią, nie dlatego, żebym był urażony, ale żem mniemał, iż to jest Pań wola i życzeniem.

Wszelako z czasem przyszły niejake wątpliwości, bo znając dobroć Pań, nie mogłem stale uwierzyć, żeby mnie chciały w podobny sposób odsunąć od siebie. Niebo zesłało mi tę radość, żem mógł sprawdzić, iż w usposobieniu Pań przynajmniej uczucia wzgardy dla mnie nie było.

Teraz na zakończenie mam tylko kilka słów do powiedzenia.

Rozumiem doskonale, że Szanowna Pani, jako matka, ma prawo i obowiązek szukać dla córki człowieka, któryby odpowiadał wszystkim wymaganiom; głęboko także przekonany jestem, że panna Aniela przymiotami swojemi może i powinna zdobyć sobie to wszystko, co się uważa za najświetniejsze na ziemi; widzę również wyraźnie, że ja nie odpowiadam pod żadnym względem stawianym w świecie warunkom; nareszcie nie jestem tyle śmiesznym, żebym mógł przypuszczać, żem umiał pozyskać sympatję panny Anieli; a przecież pomimo tego i naprzekór tego, ośmielałem się wyznać, że ją kocham i że byłbym najszczęśliwszym, gdyby mi pozostał choć cień prawdopodobieństwa pozyskania jej ręki w przyszłości.

Żywię nadzieję, iż wyznanie moich uczuć nie powinno Pań obrazić i że chociaż mi nakazą wyrzec się wszelkich marzeń, zechcą mnie uważać za prawdziwego przyjaciela i jako z takim utrzymywać niejake stosunki, które w każdym razie wysoko cenić i wdzięcznym być za nie potrafię.

Z uszanowaniem

Adam Asnyk.

List równał się śmiałemu wyzwaniu, którem pani Grudzińska została przyciśniętą do muru. Bądź co bądź, znalazła się w sytuacji bez wyjścia, w której musiała odpowiedzieć: tak czy nie.

Nie chcąc powiedzieć nie, czemby zbyt zraniła serce poety, gdy przyszło do stanowczej rozmowy już w odkryte karty, odpowiedziała wymijająco.

O wrażeniu, jakie ten list uczynił na pannie Anieli i jej matce, tak pisze pani Steczkowska (w liście z dnia 2 kwietnia 1914 roku): „Kiedyśmy się uspokoili, spada na nas list z oświadczeniami, na który, nie chcąc zranić poety, dała matka, rozumie się w mojem imieniu, wymijającą odpowiedź o niemożności decyzji bez rady ojca, ale odpowiedź tak zimną, że ktoś praktyczniejszy byłby ją uważał za odmowną. Na drugi dzień rano wyjechaliśmy z Krynicy, nie pożegnawszy się z nikim, dlatego właśnie, aby Asnykowi i sobie oszczędzić kłopotliwego spotkania... Podróżowało się wtedy cały dzień końmi do Bochni:

tam trzeba było przenocować i rannym pociągiem jechać do Krakowa. Rano, kupując bilety kolejowe, przy kasie natknęliśmy się na Asnyka, który wyjechawszy na całą noc z Krynicy, zdążył nas dopędzić i razem wsiąść do wagonu. W Krakowie mieliśmy też dosyć dawniejszych i sezonowych znajomych: po całych dniach byliśmy w licznych towarzystwach, do którego Asnyk bezustannie się przyłączał. Nie usłyszał jednak odemnie ani jednego słowa, któreby go upoważniało do nowych oświadczeń... W końcu, wraz z moim kuzynem, Tomaszewskim, odprowadził nas do Szczakow, i tutaj nastąpiło ostatnie pożegnanie, bez żadnego porozumienia, ani żadnych przyrzeczeń“.

Jedynym przyrzeczeniem, jakie poeta usłyszał z ust panny Anieli, przyrzeczeniem niewinnem zresztą, które jej nie zobowiązywało do niczego, była obietnica, że się będzie modliła za jego szczęście... Zresztą ani jednego słowa, upoważniającego do jakichkolwiek złudzeń!

VI.

Gdy pociąg, który panie Grudzińskie uwoził do Granicy, zniknął poecie z oczu, nie pozostało mu nic innego, tylko wrócić do Krakowa, a stamtąd do Lwowa. Wrócił, miotany burzą najsprzeczniejszych uczuć, bo zwątpienia i nadziei. Nie miał wyobrażenia, co myśleć o tem wszystkim, co go czeka w najbliższej przyszłości: niewysłowione szczęście, gdyby się dowiedział, że może mieć nadzieję, czy też najboleśniejszy zawód, gdyby mu napisano po namyśle, aby przestał myśleć o pannie Anieli.

W tem uczuciu niepewności, które go zupełnie wytrącało z równowagi, gdy nadszedł dzień jego urodzin, 11 września, dzień, w którym, niestety, zaczynał 32-gi rok życia, napisał dwa listy, jeden do pani Grudzińskiej, drugi do panny Anieli (bo uzyskał był na to specjalne pozwolenie) i oba listy wysłał w jednej kopercie pod adresem matki.

Oto pierwszy z tych dwóch pamiętnych listów:

Lwów, d. 11 września 1870 r.
Ulica Sykstuska Nr. 550.

Szanowna Pani!

Wybrałem sobie naumyślnie dzień dzisiejszy na pisanie listu do Pani, żeby sobie sprawić tym sposobem najprzyjemniejsze wiązanie na moje urodziny. Spostrzegłem jednakże, biorąc się do pióra, że ta korespondencja, która stanowi dla mnie obecnie cały zapas szczęścia, jest zarazem połączona z niemałemi troskami. Nieustannie stojąca na straży myśl, żeby nie przekroczyć

granic, które mi dobroć Łaskawej Pani zakresliła, odbiera mi wszelką swobodę w pisaniu. Boję się powiedzieć za wiele, za mało, słowem, boję się wszystkiego, jak człowiek nagle zbudzony, który nie może jeszcze rozróżnić, co jest prawdą, a co jest snem? Nie mało mi też utrudnia moje położenie ta okoliczność, że mam nieszczęście być zupełnie nieznanym Mężowi Szanownej Pani, a przeto nie mogę się zwracać do Niego tak, jakbym tego pragnął. Jakżeż bowiem mogę mieć prawo, ja, nieznajomy intruz, narzucać się z mojami sympatjami i żądać, ażeby mi jedynie na wiarę słów moich udzielono choć trochę życzliwości? A przecież muszę żądać tych niepodobieństw, bo inaczej listy moje nie miałyby żadnego znaczenia, i muszę być natrętnym i narzucającym się, aż do chwili, w której mi wyraźnie powiedzą: Przestań Pan nudzić!

Osiem dni upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni pożegnałem Panię w Szczakowie, a już ten przeciąg czasu wydał mi się tak bezmiernie długim, że nie mogę bez strachu myśleć o tym całym roku, który staje przedemną, jak nieskończona pustka.

Najbardziej gniewam się sam na siebie za to, że ukradł sobie w Krynicy przeszło dwadzieścia dni szczęścia, które były dla mnie czystą darowizną niebios, a których już mi teraz nic powrócić nie może. Pozostaje mi wprawdzie nadzieja na przyszłość, ale i ta niedługo gotowa mnie opuścić i pozostawić w tem większej ciemności. Do chwili odebrania odpowiedzi od Szanownej Pani nie żyć, ale tylko wyczekiwać życia będę, bo już i obecnie myśli moje nie są posłuszne woli i nie dadzą się uporządkować ani nagiąć do tonu rozsądnej korespondencji.

Jest to moją właściwością, że w pierwszym momencie, pod wpływem silnych wrażeń, nigdy nic ani powiedzieć, ani napisać nie mogę, i dlatego proszę mi wybaczyć, że to, co napisałem, tak mało w sobie sensu mieści. Jeżeli mi będzie wolno pisać jeszcze później do Szanownych Państwa, wynagrodzę sobie tę dzisiejszą nieporadność.

Do końca tego miesiąca pozostaję jeszcze we Lwowie w tem samem mieszkaniu; dopiero z pierwszym październikiem wyjeżdżam do Krakowa na spotkanie moich Rodziców, którzy prawdopodobnie przyjadą.

Gdybym do tego czasu nie otrzymał odpowiedzi Szanownej Pani, pisać jeszcze będę powtórnie, ażeby wywołać przynajmniej gniewną odpowiedź za moje natręctwo.

Korzystając z pozwolenia, załączam również liścik do Panny Anieli.

Z uszanowaniem

Adam Asnyk.

Załączony liścik do doręczenia „Pannie Anieli“ brzmiał, jak następuje:

Lwów, dnia 11-go września 1870 r.
Ulica Sykstuska Nr. 550.

Ośmielam się pisać do Ciebie, Pani: jest to może wielka śmiałość, ale pod tą śmiałością kryje się tyle obaw i niepokoju, że zasługiwać ona będzie w każdym razie na przebaczenie.

Nie miałem nigdy dość odwagi wypowiedzieć ustnie tego, co czuję; wolałem bowiem żyć w niepewności i cieszyć się aż do ostatniej chwili towarzystwem Pań, aniżeli wywołać jednym słowem możność odtrącenia mnie na zawsze.

Dziś jednak muszę to uczynić listownie, w przekonaniu, że każdy człowiek powinien dobijać się o swoje szczęście i nie cofać się dopóty, póki się wyraźnie nie dowie, że jego uczucia stoją w sprzeczności z uczuciami ukochanej przez niego osoby.

Od dwóch lat, to jest od chwili, w której Cię, Pani, poznałem i pokochałem zarazem, przeszedłem po kilkakroć całą skalę uczuć, poczynając od budzącej się nadziei aż do zupełnego zwątpienia. Co gorsza, zwątpienie miało zawsze na swoje usługi racjonalne podstawy, a cała nadzieja moja mogła się tylko opierać na mglistem przypuszczeniu, że każde prawdziwe a silne uczucie powinno znaleźć dla siebie niejaki odbicie. Tak żyłem i żyję po dziś dzień w niepewności, która staje się coraz trudniejszą do zniesienia i dlatego błagam Panią o odpowiedź, co rozstrzygnie w ten lub inny sposób tę zaciętą walkę, którą codziennie prowadzę z sercem mojem.

Przyrzekłaś mi Pani przed rozstaniem modlić się za szczęście moje: były to dobre i pełne litości słowa. Otóż Bóg miłosierny uprzedził modlitwy Pani i całe szczęście moje złożył w Jej rękę.

Nie będę tu szafował wyrazami miłości i nie będę się starał przekonywać Panią o niej; są to rzeczy, które się nie piszą i nie mówią, a jedynie tylko sercem dostrzedz i rozumieć się dadzą. Wolę, żeby mój list wydał się chłodny, niżby miał straszyć Panią rozpaczą i wyzyskiwać Jej litość na rzecz uczucia, którego nigdy nakazać nie podobna.

Cokolwiek zaś wypadnie, nigdy jednak nie wyrzeknę się mojej miłości, i choć nieziszczona, pozostanie ona dla mnie zawsze drogą i świętą.

Na tem zakończę, bo więcej pisać jest mi obecnie niepodobieństwem.

Adam Asnyk.

Przypadek zrządził, ten złośliwy przypadek-chochlik, który ludziom tak często płata niemiłe figle, że w tym samym czasie, może nawet tego samego dnia, kiedy Asnyk wysyłał swoje listy do pań Grudzińskich, nadszedł do Lwowa Nr. 271 Kłosów z d. 8 września 1870 r., przynoszący trzy wierszyki El...y'ego, wszystkie trzy pisane z myślą o pannie Anieli. Dwa z nich, mianowicie Zwiędły listek, teraz wydrukowany p. t. Allegat, oraz wierszyk: Ty czekaj mnie, dziewczeczko cudna, teraz zatytułowany: Par dépit, były już drukowane przed kilku miesiącami w Dzienniku literackim, i nie przynosiły nic drażniącego; ale trzeci wierszyk p. t. Przestroga, po raz pierwszy wydrukowany teraz dopiero, choć napisany z pewnością jeszcze przed wyjazdem do Krynicy, w tym samym czasie, co Oświadczyńny i Scherzo, był bardzo przykry, a nie mógł przyjść bardziej nie w porę, jak teraz, we wrześniu, w chwili, gdy poeta wystosował swe doniosłe listy do pań Grudzińskich, listy, które miały rozstrzygnąć o jego losie. Co najfatalniejsze, że na wsi u państwa Grudzińskich prenumerowano Kłosy, a wiersze, podpisane pseudonimem El...y, oczywiście czytano ze szczególną uwagą. Łatwo sobie wyobrazić niekorzystne wrażenie, jakie na pannie Anieli i jej matce musiała uczynić ta sarkastyczna Przestroga poety, wydrukowana razem z tym Zwiędłym listkiem, którego autograf jako Allegat do listu z d. 26 października 1869, był w posiadaniu panny¹⁾.

Oto rzeczona „przestroga“, którą panna Aniela mogła przeczytać jeszcze przed otrzymaniem ostatniego listu Asnyka do siebie.

Ty, lube dziewczę, masz duszę tkliwą,
Co się pięknnością wszelką zachwycą;
Jednak ci radzę: chcesz być szczęśliwą,
To za mąż idź za szlachcica.

Poetycznego nie bierz kochanka;
Poezja w życiu, to ból i troski;
Ty przede wszystkim jesteś szlachcianka:
Trzeba ci z mężem i wioski.

Bardzo rozsądnie robi twa matka,
Łamiąc kaprysik twój idealny...
Miłość, to jakaś ciemna zagadka,
Majątek, ten jest widzialny!

Przeminie wiosna rozkosznych wrażeń
I sny przeminą, któreś żyjesz,

¹⁾ W liście z d. 3 kwietnia 1914 r. pani Steczkowska pisze o tym wierszyku przeczytanym w Kłosach, jako o „epilogu“ matrymonjalnych rojeń poety i jego stosunku do niej...

I śmiać się będziesz z dziecinnych marzeń,
Skoro troszeczkę utyjesz!

I będziesz wdzięczną swej matce potem,
Na bal w poczwórnej jadąc karecie,
Żeś zaślubiła worek ze złotem,
Dawszy odkosza pocie.

Ostatnia ta strofka była niemiłosierna, jako inwektywa. Ale też pomściła się na swym autorze! Nie przeczuwał prawdopodobnie, pisząc tę przestrożę, że w niej sobie przepowie tego „odkosza“, z którym teraz miał się spotkać niebawem.

Gdy upłynął tydzień blisko, jak poeta wysłał swe listy, a odpowiedź nie nadchodziła na nie, nie mogąc się doczekać jej, napisał niecierpliwy Asnyk jeszcze jeden list, już nastrojony na inną nutę. List ten, zwrócony do pani Grudzińskiej, brzmiał, jak następuje:

Lwów, d. 16 września 1870 r.
Ulica Sykstuska Nr. 550.

Szanowna Pani!

Pisząc poprzednie listy, zanadto byłem zaabsorbowany jedną wyłączną myślą i wskutek tego nie miałem dosyć spokoju, niezbędnego do napisania korespondencji, któraby odpowiadała zwykłym ludzkim wymaganiom. Zaniechałem również donieść o niektórych rzeczach na przekór moim zobowiązaniom, jak na przykład o adresie pani Cetnerskiej. Niemniej jednak wdzięczny jestem sobie za tę nieuwagę, bo mi nastęcza przyzwoity powód do powtórnego pisania; i gdybym mógł posądzać siebie o hypokryzję, gotówbym pomyśleć, że to naumyślnie uczyniłem. Żeby teraz nie zapomnieć, kładę na wstępie adres: pani Cetnerska w Krakowie, Ulica Szewska. To będzie wystarczającym dla każdego listu lub posyłki.

Nie obeszło się jednak u mnie przy położeniu tego adresu bez pewnego uczucia zawiści, bo jakkolwiek jestem z wielką przyjaźnią dla pani C., jednakże gniewa mnie to, że będzie w posiadaniu przepysznych warszawskich fotografii, gdy tymczasem ja nie śmiem wyrazić żądania, bo i tak wiem dobrze, że żądania moje rosną w nieskończoność.

Przybył tu do Lwowa świeży transport wiadomości kryniczych, w postaci pana Świeżyńskiego, ale nie zawiera nic godnego uwagi. Wszyscy się już rozjeżdżają do domu, obliczając tylko jeszcze straty poniesione w rannych, zabitych i wziętych do niewoli podczas kampanji sezonowej. Płeć piękna odegrała w tym

roku rolę Prusaków i zwyciężała na każdym punkcie ¹⁾). Wprawdzie niektóre linjowe korpusy, jak n. p. panny Massalewskie, lub oddziały starszej landwery, jak pani Więckowska, nie mogły spotkać się oko w oko z nieprzyjacielem, ale to tylko z powodu, że armja nieprzyjacielska była bardzo nieliczna. Pan Słotwiński jeszcze dwa razy kapitulował wobec panny Żychlińskiej, ale skończył gorzej, niż Napoleon trzeci, bo odesłany został nie do Wilhelmshöhe, ale poprostu, al diavolo. Jest wprawdzie nadzieja, że na przyszły rok z początkiem sezonu będzie można znowu ich widzieć razem z sobą i podziwiać tę wytrwałość, godną średniowiecznego rycerstwa. Średnie wieki to mi były piękne czasy! Wyjeżdżało się zakochanym na krzyżowe wojny, dostawało się do niewoli saraceńskiej i wracało się po dwudziestu latach z wielkimi pretensjami do swej lubej, jeżeli nie raczyła czekać.

O samym Lwowie nie ma nic do powiedzenia, oprócz ciągłych deszczów i chłódów, któremi nas Pan Bóg ciężko dotyka. Z całego miasta nie dałoby się wycisnąć przedmiotu choćby na pięć minut rozmowy. Polityczne wypadki stanowią wyłączne tło ogólnego zajęcia. Sejm się ukończył, do karnawału jeszcze daleko, więc życie, które tu nigdy zbyt silnie się nie objawia, ustało prawie zupełnie. Jak się zbierze kilku pesymistów, to czas upływa na samych narzekaniach na Francuzów, Niemców, opatrność dziejową, na słotę, na stagnację handlową i przemysłową i t. d.

Najwygodniej jeszcze siedzieć w domu z książką lub piórem w rękę i patrzeć, jak się deszcz tłucze po szybach, i niecierpliwić się na swoją rękę...

Na tem zakończę mój list, polecając się w każdym razie życzliwej pamięci wszystkich i całując rączki Pań, jeżeli mi to uczynić dozwolą.

Z uszanowaniem

Adam Asnyk.

Zamiast, jak przed tygodniem, osobnego listu do panny Anieli, były dołączone dwa sonety do niej, świeżo napisane już we Lwowie, sonety, które, kreślone w uczuciu niecierpliwego wyczekiwania odpowiedzi, stwierdzały niedwuznacznie, że poeta przeczuwał niepomyślny epilog swej szczawnicko-krynickiej sielanki, że był pełen niepokoju o swą najbliższą przyszłość, że miał bardzo słabą nadzieję, by mu odpowiadziano przychylnie, by miał widoki poślubienia panny Anieli.

¹⁾ Pisane w czasie wojny prusko-francuskiej.

W każdym razie sonety, które napisał pod wpływem tych wszystkich uczuć, a które teraz przesyłał pannie, były bardzo piękne, naprawdę natchnione, a motto z Heinego, które w oryginale wypisał w nagłówku, posiadało niemniejszą wymowę.

*Sie trennten sich endlich und sah'n nicht,
Nur noch zuweilen im Traum;
Sie waren längst gestorben
Und wussten es selber kaum.*

Dwa Sonety.

I.

Kiedym cię żegnał, usta me milczały,
I nie wiedziałem, jakie słowo rzucić;
Więc wszystkie słowa przy mnie pozostały,
A serce zbiegło i nie chce powrócić.

Tyś powitała znów swój domek biały,
Gdzie ci słowiki będą z wiosną nucić;
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały:
Dom mój daleko i nie mogę wrócić!

Tak pozostałem samotny, bez rady
Na moje smutki i tęsknoty moje,
Przebiegam myślą chwil minionych ślady,

Nad zwiędłą różą zadumany stoję...
I w niebo wzrok mój wysyłam na zwiady,
Lecz o przyszłości pomyśleć się boję.

II.

Niedługo może na przyszłości dzieje
Zostanie tylko blady cień wspomnienia;
Serdeczne ślady mroźny wiatr rozwieje
I wszystko zniknie we mgłach oddalenia.

Więc trzeba będzie zmusić do milczenia
Te drżące struny, z których pieśń się leje;
I grobowego wziąć pozór kamienia,
Co pogrzebaną pokrywa nadzieję.

Na taką przyszłość, co mgłą ołowianą
Rozpostrzeć może na błękitnem niebie,
Na taką przyszłość ciemną i stroskaną,

Co ból i miłość zarówno pogrzebie...
Niechaj te słowa pamiątką zostaną
I niech przeżyją razem mnie i Ciebie!

El...y

d. 16 września 1870 r.

Ale jakkolwiek wątlą była nadzieja poety, gdy zaklejał kopertę z temi sonetami, to nadzieja ta, gdy znów upłynęło dwa tygodnie, a i na swój ostatni list nie mógł się doczekać odpowiedzi, zmaląła do minimum, zwolna zmieniając się w całkowite zwątpienie. Ale że niema takiego zwątpienia, na którego dnie nie spoczywałaby choć odrobina nadziei, więc i Asnyk, choć już był przygotowany na wszystko najgorsze, chciał mieć pewność zupełną, absolutną, że powinien zaniechać dalszych rojeń o pannie.

W tym celu, w końcu września przed samym wyjazdem na stały pobyt do Krakowa, napisał jeszcze jeden list do pani Grudzińskiej, list następującej treści:

Lwów, dnia 29/30 września 1870 r.

Szanowna Pani!

Jeszcze raz na wyjeździe z Lwowa ośmielałam się niepokoić Ją moim listem, ażeby dopełnić miary natrętności, tak, jak to samemu sobie przyrzekłam.

Zupełny brak wszelkich wiadomości ze strony Łaskawej Pani każe mi wróżyć, że wszystkie listy moje ulegną temu samemu losowi, co przeszłoroczny, to jest: że poprostu będą przemilczane. Skarżyć się na to nie mogę, bo niezawodnie moją to być musi winą, że nie umiałem sobie zasłużyć ani u Szanownej Pani, ani u Panny Anieli, na tyle współczucia, żebym mógł być uważanym za godnego kilku słów odpowiedzi.

Wprawdzie milczenie bywa także bardzo wymowną odpowiedzią, ale zanim je serce ludzkie przyjmie za fakt dokonany, jak długo jeszcze potrzebuje męczyć się wszelkiego rodzaju wątpliwościami i przypuszczeniami, jakże uporczywie chwyta się każdej nowej nadziei i gorączkowo wyczekuje każdego następnego dnia, którego nadchodzi na to tylko, żeby zadać kłam ostatnim złudzeniom. Trzeba przejść krok za krokiem wszystkie coraz to bardziej wzrastające udręczenia, zanim się ostatecznie samemu sobie powie: wszystko skończone! Jeżeli więc Łaskawe Panie uciekają się do środka, który rozkłada moralną torturę człowieka na całe miesiące, muszę uwierzyć, znając Ich dobroć serca, że mają do tego jakieś ważne specjalne powody i że byłoby zarozumiałością z mej strony liczyć na Ich przyjazne dla mnie usposobienie.

Jakie zaś być mogą powody? Tego nie wiem; niewiadomym zaś nic z oddalenia przeciwstawić nie mogę, a zatem muszę się poddać milczącemu wyrokowi, nie będąc w stanie odwrócić go żadnem wysileniem. Są rzeczy, które się nie dadzą okupić niczem, nawet własną krwią: do tych należy zaufanie, przyjaźń,

miłość. Kto ich nie może zjednać sobie, jest zapewne bardzo nieszczęśliwym, a przecież to nieszczęście nie daje mu prawa zakłócać spokoju innym swojemi uzalaniem.

Podobne bowiem skargi tylko u życzliwych osób mogą znaleźć posłuch i przyjęcie; dla obojętnych zaś będą niczem nieusprawiedliwioną napaścią. Dotąd wprowadzie zdawało mi się, że jestem upoważniony pisać to, co czuję i myślę; ale z każdym dniem usuwa się z pod nóg moich ten grunt moralny, i będę musiał zamilknąć, nie mając żadnej wskazówki, do której mógłbym się zastosować.

Na zakończenie mam jeszcze ostatnią prośbę: jeżeli Łaskawe Panie nie widzą w tem nic rażącego, żeby odtrąconemu człowiekowi nadesłać swe dobre warszawskie fotografie ad aeternam rei memoriam, proszę o wysłanie ich pod moim adresem do hotelu Drezdeńskiego w Krakowie, jako o ostatnią łaskę, której mi dopraszać się wolno.

Życząc prawdziwego szczęścia, pozostaję

Z przyjaźnią i uszanowaniem

Adam Asnyk.

List ten, już nie wolny od sporej przymieszki gorczy, zdawał się być ostatnim: sam Asnyk nawet, pisząc go na wyjeździe do Krakowa, był przekonany, że już więcej do pani Grudzińskiej pisać nie będzie, chyba z podziękowaniem za owe warszawskie fotografie panny Anieli, gdyby mu je przysłano... na pamiątkę, w co również zaczynał wątpić.

W takim usposobieniu opuścił Lwów, udając się do Krakowa; w takim usposobieniu wysłał w tym czasie do warszawskich Kłósów aż siedm wierszy lirycznych Z motywów ludowych, w których jednak, pod pełną prostoty formą piosnek sielskich kryły się jego najboleśniejsze przeżycia z ostatnich kilku miesięcy.

Wiersze te, mistrzowskie pod każdym względem, ukazały się już d. 13 października 1870 r. w Nr. 276 Kłósów.

Na pierwszym miejscu znalazł się wiersz o siwym koniu, w rzewny sposób malujący zwątpienie poety, który zagubił drogę do swej lubej.

Siwy koniu, siwy koniu!
Coś tak zadumany?
Nie wiesz drogi, nie wiesz drogi
Do mej ukochanej!

Moja miła nas rzuciła,
 Nie wyrzekłszy słowa;
 Jak nie znajdziesz do niej drogi,
 Zginać nam gotowa.

Siwy koniu, siwy koniu,
 Ciężko tobie będzie,
 Przegonimy wiatr, co wieje,
 Nie spoczniemy w pędzie

Siwy koniu, siwy koniu,
 Ciężej sercu memu,
 Bo straciło już nadzieję,
 Samo nie wie, czemu?

Trzecie miejsce zajęła namiętna Klątwa, rzucona na tego, kto był sprawcą boleści poety, komu zawdzięczał swój obecny żal i tęsknotę.

Kto był przyczyną rozstania naszego,
 Niechaj łzy moje upadną na niego!
 I niech tak samo serce mu przygniotą
 Samotnym żalem i próżną tęsknotą!

Kto był przyczyną naszego rozstania,
 Niech nie doczeka słodkiego spotkania,
 Lecz niechaj ginie zdala od kochanej
 Nie pocieszony i nie żałowany!

Po wierszach Huczy woda po kamieniach i Błąka się wichur w polu, z których ostatni był już drukowany przed pół rokiem w Dzienniku literackim, następował znamienny wiersz, w którym poeta żałował swej przeszłości, swej roli, jaką odegrał w latach 1861—1863, a która go uczyniła wygnańcem, nie mogącym wrócić do kraju, skazanym na tułaczkę po świecie. Żeby nie to, że miał wzbroniony powrót do ojczyzny, żeby nie to, że był emigrantem, nie miałby do walczenia z takimi przeszkodami, gdy chodziło o poślubienie ukochanej. To też złorzeczył chwili, w której musiał uciekać z kraju, w której nocą przekradał się przez graniczną rzekę.

Bodaj owa rzeczka szuwarem zarosła,
 Która mnie młodego w obcy kraj zaniósła!
 Bodaj owa rzeczka rybek nie rodziła,
 Która mnie młodego z domem rozłączyła!
 Bodaj owa rzeczka wyschła do ostatka,
 Że mnie tam zaniósła, gdzie nie znajdzie matka!

„Nie trzeba ci było, o mój chłopcze młody,
 Puszcząć się tak łatwo na wezbrane wody.
 Nie trzeba ci było z domu się wydzierać:
 Nie musiałbyś teraz z tęsknoty umierać...
 Rzeczka będzie rzeczka i wciąż będzie płynąć,
 Wstecz nie wróci woda, musisz marnie ginać:
 A twojej mogiły nie obleją łzami,
 Tylko nad nią burze będą wyc nocami!“

W końcowej piosence występuje młoda dziewczeczka, rozmawiająca z konwalijką, której nie obrywa dlatego, żeby jej kwiatek nie posadził o płochość, skoro go rwać nie może dla swego oddalonego narzeczonego.

Pokąd nie przyjedzie,
 Nic mi się nie wie dzie,
 Bo wciąż tylko myślę
 O młodym sąsiedzie.

I wszystko mnie nudzi:
 Uciekam od ludzi;
 Nawet zrywać kwiaty
 Chętka się nie budzi.

Lecz gdy wróci luby
 Zawrzeć ze mną śluby,
 Wtedy, konwalijko,
 Już nie ujdiesz zguby.

Kogo należało rozumieć przez tego lubego, czy rzeczywiście którego z młodych sąsiadów, trudno rozstrzygnąć stanowczo. Jedno jest pewnem, że tu w postaci panienki, co to się bała być posadzoną o płochość, poeta przedstawił dziewczę, które myśli nie o tym, który w niej jest zakochany, ale o innym, który ją poprowadzi do ołtarza. Bo w przeciwnym razie nie byłoby powodu, by jej biała konwalijka mogła wymawiać płochę usposobienie.

Za to Asnyk miał aż nadto uzasadnionych powodów, by cierpieć skutkiem obrażonej dumy. Wszystko miało swe granice, nawet lekceważenie, ale czem on sobie zasłużył na podobny sposób traktowania, na takie zignorowanie swej miłości, tego nie mógł zrozumieć poprostu.

Że jednak nie mógł się pogodzić z tą myślą, by miał przestać na tak pogardliwej odprawie, więc, gdy znów upłynęło dwa tygodnie od czasu, jak wysłał swój ostatni list ze Lwowa, zdecydował się napisać raz jeszcze.

Oto jego list, który w każdym razie, nawet, gdyby i po nim nie przyszło żadne wyjaśnienie, miał już być ostatnim:

Kraków, d. 15 października 1870 r.
Ulica Lubicz Nr. 7.

Szanowna Pani!

Zabierając się do pisania nowego listu, wiem dobrze, ile jestem niekonsekwentny i naprzykrzony, ale nie mogę sobie dać rady z moimi myślami, ani też zdać sobie jasno sprawy z tego absolutnego milczenia, które mnie spotyka.

Wrażenia, jakie wyniosłem z bliższego poznania Łaskawej Pani, przeświadczenie o Jej szczerości, a zarazem delikatnej i serdecznej uprzejmości w stosunkach ze wszystkimi ludźmi, kazały mi wnosić, że jakakolwiek decyzja zapadnie względem mnie, wypowiedzianą zostanie ze zwykłą, a naturalną w tych razach otwartością. Nie mogłem przypuszczać ani na chwilę, szczególnie po rozmowie, jaką miałem z Szanowną Panią, a w której Pani dałaś mi dowody prawdziwie macierzyńskiego, a wszechstronnie odczuwającego serca, żebym został zbyty na zawsze pogardliwym milczeniem, które, nie mówiąc nic o głębszej boleści, którą sprawia, zawiera jeszcze w sobie dotkliwą, a bezużyteczną obrazę. Mój Boże! Przecież to tak łatwo znaleźć tysiące powodów, tysiące formułek odmowy do przesłania nieuwzględnionej osobie: każda z nich byłaby uszanowaną przezemnie, i chociażby zniszczyła moje szczęście, nie pozostawiłaby jednak w mojej duszy śladów owego gorzkiego żalu do Szanownej Pani, który teraz czuć muszę.

A jednak Bóg widzi, że nie chciałbym żywić w sobie tego żalu, że chciałbym owszem pozostać po rozejściu się dróg naszych z miłym i serdecznym wspomnieniem tak ujmującej postaci, jaką Pani byłaś zawsze dla mnie. Nie wiele na to potrzeba: kilka słów życzliwych przy szczerzej rodzicielskiej odmowie wystarczy, aby mi wlać tę pociechę, że uczucia moje, jakkolwiek nie akceptowane, przecież przyjaźnie ocenione być mogą. Ale tak, jak jest, to przyznaj sama Pani! że gdybyś miała syna, któryby miał nieszczęście pokochać bez wzajemności, i któremu na wszystkie prośby o jakąkolwiek odpowiedź, odpowiadano by tylko głuchym milczeniem, uczułaśbyś pewnie głęboko ten rezultat i pomyślałabyś może po cichu: tak się nie robi!

Wprawdzie każdy człowiek patrzy tylko ze swojego wyłączonego stanowiska na wszystkie okoliczności: matki, mające córki, sądzą inaczej, niż matki, mające synów; kochając swoje dzieci przedewszystkiem, potrzeba być czasem niesprawiedliwym dla drugich. Tylko, że w tym razie nie mogę w żaden sposób dojrzeć żadnej potrzeby tej kolącej bezwzględności. Odpowiedź

odmowna jest tak łatwa, a zrobiwszy nawet śmiałe przypuszczenie, że Szanowni Państwo potrzebują dłuższego czasu do namysłu, to także niewiele kosztuje napisać: zaczekaj Pan do przyszłego lata, bo teraz jeszcze nie możemy nic stanowczego powiedzieć.

W braku tak jednego, jak drugiego rozwiązania, muszę koniecznie myśleć, że Szanowni Państwo tak mało zważają na jakiegoś tam emigranta, i na to, co się w jego sercu dzieje, iż nie chcą sobie zadać fatygi odmownego listu, nawet dla oszczędzenia mu jednej przykrości więcej.

Jest to jedyny wniosek, który wyciągnąć mogę, najprzykrejszy ze wszystkich, a jednak coraz bardziej zmieniający się w rzeczywistość.

Przed miesiącem nie byłbym w tę gorzką prawdę uwierzył, ale teraz muszę.

Upraszając o wybaczenie mi mojej otwartości, pozostaję

Z głębokiem uszanowaniem

Adam Asnyk.

List ten, tak cierpki w tonie, rozminął się z listem pani Grudzińskiej, która nareszcie dała mu żadaną odpowiedź.

Odpowiedź, choć skreślona o ile możności „w delikatnych i nieobrażających wyrazach“, wypadła odmownie, równała się stanowczej rekuzie. Pani Grudzińska bardzo cierpiała nad tem, że ujrzała się zniewoloną do wysłania podobnego listu, ale nie było innego wyjścia wobec domagania się poety, by mu odpowiadano stanowczo. A odpowiedź była tem trudniejszą do sformułowania, że choć oboje państwo Grudzińscy, dla różnych powodów, marzyli o innym zięciu, niż niemłody poeta-emigrant, to jednak najważniejszą przeszkodą, by spełniły się marzenia Asnyka, był absolutny brak wzajemności ze strony panny. Tego nie można mu było napisać wyraźnie... O tyle przykrejszem było zadanie pani Grudzińskiej, gdy musiała zasiąść do pisania tego bolesnego listu.

Oto, co w tej kwestji pisze pani Steczkowska (w liście z d. 12 marca 1914): „Do dziś dnia nie pojmuję, jak człowiek rozumny mógł doprowadzić do tego, aby doszło do formalnej odmowy: matka moja bolała niemało, będąc do niej zmuszoną... Nie wchodził tu w grę biedny emigrant, jeszcze raz nie! tylko brak skłonności z mej strony. W ośmnastym roku nie wychodzi się za mąż tylko z szacunku!... Dla niego potrzeba było kobiety dojrzałej, któraby zaparła się siebie, a oddała mu się

zupełnie: była mu nietylko żoną, ale i opiekunką; któraby nieomal prowadziła go za rękę przez życie, aby, zapatrzony w niebo, nie roztrącał się nieustannie o kamienie przydrożne". W innym liście tak pisze pani Steczkowska w tej samej materji: „Nie było przeznaczonem, abym została towarzyszką jego życia. Matka moja widziała przeszkodę w zbyt wielkiej różnicy wieku, ojciec, przyrośnięty do kawałka roli, nie chciał mnie widzieć żoną wychodźcy i odgraniczyć się odemnie kordonem. A może najważniejsze, że Asnyk, jakkolwiek ze wszech miar godzien uwielbienia, nie posiadał tych zalet, jakie najłatwiej trafiają do siedemnastoletnich rozumów". Ten psychologiczny wzgląd przeważył na szali, zdecydował o losie poety. Wszelkie skrupuły i zastrzeżenia, jakie odnośnie do niego mogli mieć państwo Grudzińscy, były drugorzędного znaczenia, bo ostatecznie, ubóstwiając swą jędynaczkę, zgodziliby się na wszystko, gdyby ona w tem widziała swoje szczęście. Ale w danym wypadku miało się całkiem przeciwnie. Dlatego pisze pani Steczkowska (w swym liście z dnia 2 kwietnia 1914 r.): „Moi rodzice zupełnie byli niewinni w całej tej historii“.

Winien był głównie wiek poety, który, dźwigając już czwarty krzyżyk na swych barkach, wydał się 18-letniej pannie, ślicznej w dodatku, za starym. Czuł to sam Asnyk, gdy pod pierwszem wrażeniem panny Anieli jeszcze w r. 1868 pisał w swym smętnym wierszu: „Gdybym był młodszy...”

Ale już jestem z a s t a r y,
Bym mógł, dzieweczko,
Zażądać serca ofiary...

Na taką „ofiara serca“ rwąca się do życia panna Aniela nie miała ochoty. I dziwić się jej nie można. Dlatego odpisując poecie, pani Grudzińska musiała — choć z przykrością niewysłowioną — odpowiedzieć mu odmownie.

Otrzymaawszy jej list, wiedząc już, czego się trzymać, odpisał nań Asnyk lakonicznie, jak następuje:

Kraków, d. 18 października 1870 r.

Dziękuję najuprzejmiej za Łaskawe udzielenie mi odpowiedzi. Przepraszam za dotychczasowe prześladowania. Fotografie, jeżeli można się ich spodziewać, proszę nadesłać do Krakowa pod adresem: ulica Lubicz 6.

Z uszanowaniem

Adam Asnyk.

Liścik ten, pisany drżącą ręką, o czym świadczy nerwowy charakter pisma, nie tak kaligraficznie równy, jak ten, którym były pisane poprzednie listy poety, zakończył jego korespondencję z domem Grudzińskich.

VII.

W serce poety uderzył grom, spodziewany wprawdzie, ale mimo to straszny, druzgocący.

Nie pozostawało nic innego, tylko pogodzić się z losem, przeboleć upokarzającą stratę, zrezygnować z osobistego szczęścia.

Pod wpływem tego uczucia powstała cudna *Rezygnacja*, jeden z najwspanialszych liryków Asnyka, wydrukowany po raz pierwszy w Nr. 281 *Kłósów* z d. 17 listopada 1870 r., a więc w równy miesiąc po „odpowiedzi“ pani Grudzińskiej.

Wszystko skończone już pomiędzy nami,
I sny o szczęściu pierzchły bezpowrotnie;
Wziąłem już rozbrat z tęsknotą i łzami,
I żyć, i umrzeć potrafię samotnie.

Dziś nic z mej piersi skargi nie dobędzie,
Nic jej nie przejmie zachwytem lub trwogą:
Nie wyda dźwięku rozbite narzędzie,
Pęknięte struny zadrzeć już nie mogą.

Niema boleści, coby mnie trwożyła,
Bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzę:
Ogniowa próba dla mnie się skończyła
I do cierpiących więcej nie należę.

I żadne szczęście ziemskie mnie nie zwabi,
Żebym się po nie miał schylić ku ziemi...
I żaden zawód sił mych nie osłabi:
Przebytą męką panuję nad niemi.

Światowych uczuć nicość i obłuda
Już mnie nie porwie swym chwilowym szaleń:
Przestałem wierzyć w te fałszywe cuda,
Więc i zwątpieniu ulegać przestałem.

Z całego tłumu zmyślonych aniołów,
Połyskujących tęczą swoich skrzydeł,
Została tylko szara garść popiołów
I wiotkie nici porwanych już sideł.

Dziś jeden tylko duch mi towarzyszy,
Co *rezygnacji* nosi ziemskie miano:
On wszystkie burze nazawsze uciszy
I da mi zbroję w ogniu hartowaną.

W tej zbroi przejdę przez świat obojętnie,
 Surowe prawdy życia mierząc wzrokiem,
 Ani się gniewem kiedy roznamiętnię,
 Ani się ugnę przed losu wyrokiem.

Patrząc się zdala na kłamliwe rzesze,
 Na ich zabiegi o błyskotki próżne,
 Kamieniem na nie rzucić nie pospieszę
 I pobbżania jeszcze dam jałmużnę.

Przekonany najświęciej, iż „rozpacz żadna i nadzieja żadna nad sercem jego nie ma już dziś mocy“, a więc uspokoiwszy się nieco, gdy minęło pierwsze wrażenie ciosu, zrezygnowany poeta, podniecony tem całym przejściem, zaczął pisać, sypiąc wierszami, jak z rękawa. Takie nieszczęśliwe miłości mają to dobrego do siebie, że gdy są udziałem ludzi talentu, pobudzają ich wyobraźnię, zapładniając ją coraz nowymi pomysłami literackimi, słowem, niema tego złego dla poety, coby na dobre nie wyszło poezji... Takie jest psychologiczne prawo twórczości poetyckiej.

Ulegając temu prawu i Asnyk również poczuł wyjątkowy przypływ natchnienia. Jakoż pisał bardzo wiele, czego dowodem były choćby te utwory, które w ślad za Rezygnacją posyłał do Kłósów.

Były to przeważnie wiersze z cyklu Z motywów ludowych, ale, pomimo tego ludowego tytułu, daleko więcej zawierały pierwiastków osobistych, niż sielskich, daleko więcej aluzji do świeżo przeżytego zawodu miłosnego, aniżeli nastroju włościńskiego, daleko więcej „motywów“ sercowych, aniżeli „ludowych“. Były to wszystko niby wiejskie obrazki lub piosenki, ale naprawdę były to pojedyncze rozdziałki z romansowej historii poety i jego anielskiej ukochanej, tylko, że w nich oboje byli pokazani w przebraniu chłopskiem. Ale już sama subtelność uczuć, tak kunsztownie odmalowanych w tych misternych poematyczkach — jakby nastrojonych na nutę szopenowskich mazurków — niedwuznacznie dawała do poznania, że występujący w nich „chłopcy“ i „dziewczyny“ nie byli dziećmi ludu, naturami pierwotnymi, mało skomplikowanymi, ale istotami z warstw oświeconych, jeżeli nie ze sfery szlacheckiej, to przynajmniej z arystokracji ducha...

Oto dwa utwory, wydrukowane dnia 29 grudnia 1870 r. w Nr. 287 Kłósów, pod ogólnym tytułem Z motywów ludowych.

Przykro, przykro jest dębowi, gdy go robak toczy,
 Ale przykrzej nie móc płakać, gdy łez pełne oczy.
 Smutno biednej jest ptaszynie, gdy jej skrzydła urzną,
 Ale smutniej jeszcze temu, co kocha napróżno!

Żle jest zmykać jeleniowi, gdy go zdybią w kniei,
 Ale gorzej jeszcze sercu wyrzec się nadziei...
 Trudno pływać ciężkim głazom po rzecznej głębinie,
 Ale trudniej nie żałować szczęścia, kiedy minie...

Jakie uczucia złożyły się na ten piękny wiersz, łatwo odgadnąć, gdy się zna rolę, którą w tym czasie panna Aniela odegrała w życiu poety.

Podobnie ma się rzecz ze znanym wierszem p. t. Czary, wydrukowanym po raz pierwszy w tymże Nr. 287 Kłósów z r. 1870. Wiersz ten, gdy się nań spojrzy pod kątem ówczesnych przeżyć autora, nabiera znaczenia psychologicznego dokumentu, bo jest upoetyzowanym wyrazem krytycyzmu poety, gdy chodziło o kwestję wzajemności ze strony „pięknej dziewczyny”. Otóż wynika z tego wiersza, że Asnyk, choć sam zakochany w pannie, jednak ją uważał za istotę bierną dosyć, więcej skłoną do powodowania się wyobraźnią, aniżeli sercem. Albowiem taką jest ta dziewczyna z Czarów, co to w wodnej toni ujrzała poetyczną postać rycerza. Rycerz ten, to poeta, pan czarownych zamków uludy, który dla prawdziwej miłości, której jest spragniony, gotów poświęcić swój zaczarowany świat poezji.

Z kraju piękności,
 Barw, woni,
 Z kraju młodości,
 Z wieczyście błękitnej toni,
 Przybywam z wieńcem na skroni:
 Pragnę miłości.

Jeśli masz serca choć tyle,
 Żeby pierś biała
 Na chwilę
 Uczuciem drżała...
 Porzucę skrzydła motyle
 I pozostanę tu w pyle
 Ludzkiego ciała.

Lecz jeśli tylko odgadnę
 Że kształty owe
 Tak ładne
 Są marmurowe,
 Że serce nie drży w nich żadne,
 To wtedy jak cień przepadnę
 W mgły zaświatowe.

Dziewczynie, upojonej tem wyznaniem, zdawało się przez chwilę, „że w łonie zwolna powstaje w dziewiczej wstydu osłonie prawdziwa miłość”, ale rycerz mimo to zniknął jej z oczu, odgadł bowiem, iż „w pięknej dziewczynie serce nie biło”.

Wogóle wszystkie wiersze „z motywów ludowych“, które Asnyk teraz drukował w *Kłosach*, równały się poszczególnym rozdziałom długiego aktu oskarżenia „dziewczyny“, która bądź okazała się zmienną, bądź płochą, bo rozmiłowała jednego, a została żoną drugiego.

Takiem w pierwszym rzędzie było Zdradzieckie drzewo, wydrukowane 19 stycznia 1871 r., w Nr. 290 *Kłosów*. Jest to historia poety, który mając serce wolne,

W złą czy dobrą dolę
Wśród szczęścia lub męki

chodził po polach, śpiewając piosenki, któremi sobie ujmował świat cały, i srebrzyste ruczaje i leśne ptactwo. Gdy o tem dowiedziała się dziewczyna, że „jest ktoś, co posiada serce śpiewające“, i że to jego piosenkami dźwięczy cała dolina, zapragnęła mieć to serce dla siebie. I przyszła do poety „układna, zdradziecka“, i nuż go prosić:

Nudzą mnie już zdroje,
Nudzą mnie motyle;
Daj mi serce twoje:
Zabawię się chwilę...

Poeta dał jej swe serce, którem ona pobawiła się chwilę i... ruszyła w drogę.

Pusta pierś została:
Śpiewać już nie mogę.

Więc dziwią się gaje
I ptaszkiwie leśni,
Że im nie dostaje
Teraz mojej pieśni.

Niemniej smutną była dola tego chłopca, o którym Asnyk napisał piosenkę ludową, wydrukowaną w *Kłosach* 18 maja 1871 r. Jest to historia dwojga zakochanych, którym rodzice „dziewczęcia“ nie pozwolili się pobrać. Przez całą wiosnę i lato kochali się młodzi, rojąc o przyszłym szczęściu, ale gdy przyszła jesień, musieli się rozłączyć.

Gdy szron potem trawkę zwarzy,
Zmarszczy listki suche,
Coś ojcowie radzą starzy,
Jak wydać dziewczuchę.

Gdy w cieplejsze ciągną światy
Wędrowne bociany,
Wraca z niczem z ojców chaty
Chłopiec ukochany.

Gdy upadną pierwsze śniegi,
Dziewczyna rozpacza,
Bo przychodzą na przeszeptęgi
Swaty od bogacza

Gdy nastaje dzionek krótki,
Trzaska jeździec z bicia,
Ojciec wnosi kielich wódki,
Zięcia grosz oblicza.

Gdy zmrożone staną rzeki
Ścięte w grube lody,
Z ciężkiem sercem w świat daleki
Rusza chłopiec młody.

Gdy pod śniegiem dyszą koła,
Smutnie wrona kracze,
W ślubnym wianku do kościoła
Dziewczę jadąc płacze.

A wszystko to dlatego, że ludzie, nawet najmędrsi, nie wiedzą, gdzie szukać szczęścia.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

Tej życiowej filozofii poświęcony był wierszyk *Siedzi ptaszę na drzewie*, wydrukowany w *Kłosach* w maju 1871 roku.

Asnyk mieszkał już w Krakowie, z rodzicami, przygotowując nowe wydanie poezji, których zbiór miał się złożyć na dwutomową edycję Nowoleckiego. Wśród wierszy, pisanych tymi czasy, było mnóstwo, pisanych z myślą o „przebytej męce“ po sielance szczawnicko-krynickiej. Wiersze te, pod różnemi postaciami opiewające nieszczęśliwą miłość, świadczyły jednak, że poeta uspokajał się zwolna, że wpływał do „cichej przystani“ pogodzenia się z losem.

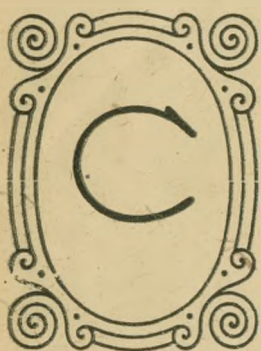
Że zaś

dusza, gdy przeboli
Raz wszystkie ziemskie cierpienia serdeczne,
Nie chce się nagiąć do znikomej doli
I tylko sięga po to, co już wieczne;

więc i on, zawiódłszy się na „marze szczęścia nadpowietrznej“ i „zgadując zdradę w każdym losu darze“, postanowił poświęcić się temu wyłącznie, do czego, jako poeta z bożej łaski, a przytem syn społeczeństwa w niedoli, był powołany: za pomocą „siewu szlachetnych myśli“ nieść przed narodem oświaty kaganiec!

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić,
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść... i świecić!

BEETHOVEN I GIULIETTA GUICCIARDI



zarnobrewa pani Cecylja siedziała nieopodal pianina w wygodnym fotelu na biegunach i słuchała muzyki przyjaciela swego i wielbiciela, Felicjana, młodego literata, który grał właśnie, z pamięci, *Sonatę Cis-mol* Beethovena, zwaną „Księżycową“.

Byli sami tylko, we dwoje. W pokoju, który dzięki wytwornemu smakowi swej lokatorki, ze zwykłej izby góralskiej przedzierzgnął się w wytworny buduar kobiecy, panował czerwony półcień od ponsowego abażuru na lampie; ze dworu zaś, przez otwarte okna, napływała niebieskawa jasność miesięczna, pozwalająca się domyślać ślicznej nocy letniej. Felicjan wszakże, jak i jego nadobna towarzyszka, zdawali się nie zwracać na to uwagi: świat rzeczywisty, ze srebrnym księżycem w pełni, przepływającym nad wyszczerbioną ścianą Gewontu, poprostu nie istniał dla nich w danej chwili: myślą i uczuciem całkiem byli przeniesieni w idealne sfery tej *quasi una fantasia*.

Gdy wreszcie przebrzmiały ostatnie rozdzierające akordy sonaty, a młody pianista zwrócił się w stronę swej uważnej słuchaczki, ona, widocznie wzruszona, rzekła, wyciągając do niego rękę na podziękowanie:

— Świetnie pan gra tę niezrównaną sonatę, z wielkiem zrozumieniem i odczuciem tego, co w niej jest namiętnością i tęsknotą, co z niej bucha żarem miłosnym.

— A czy wiadomo pani, jakie okoliczności w życiu Beethovena złożyły się na powstanie tego arcydzieła?

— Niestety, nie wiem dokładnie, jakkolwiek domyślam się, że skoro Beethoven dedykował tę sonatę hrabiance Guicciardi, to prawdopodobnie uczynił to pod wpływem szeregowej dla niej sympatii.

— Domyśla się pani trafnie, a historia powstania tej sonaty należy do najbardziej interesujących epizodów w życiu jej genialnego twórcy.

— Niech mi ją pan opowie pokrótce.

— Owszem, uczynię to z przyjemnością.

Było to na samym początku XIX. stulecia, w połowie 1800 roku, w epoce, kiedy Europa rozbrzmiewała sławą wiekopomnych zwycięstw Napoleona. Beethoven, sławny już, choć nie miał jeszcze 30 lat, mieszkał stale w Wiedniu, i tak mu tam było dobrze, że wcale nie myślał o powrocie w strony rodzinne, do Bonn. Podejmowany i wyróżniany w najpierwszych salonach stolicy Habsburgów, zaprzyjaźniony z takimi wybitnymi osobistościami, jak książęta Lichnowsky i Lichtenstein, jak hrabia Browne i baron Braun, zapraszany przez nich, pieszczony i psuty przez ich żony i córki, sypiący wciąż nowymi, coraz piękniejszymi kompozycjami, między którymi były już i takie, jak sonata patetyczna, pierwszy koncert fortepianowy, pierwsza symfonia, septet i wiele innych, a jednocześnie znakomity pianista, obdarzony genialnym darem improwizatorskim: cóż dziwnego, że był zadowolony ze swej egzystencji nad modrym Dunajem, zwłaszcza, że poza wszystkim jeszcze zarabiał bardzo wiele, jako kompozytor i koncertant, a w wyjątkowych wypadkach i jako nauczyciel muzyki.

Że jednak nikomu nie sędzono być zupełnie szczęśliwym na ziemi i każdy z nas już z przyjściem na świat przynosi zarodek swojej przyszłej tragedji, więc i Beethoven zaczął w tych czasach tracić powoli słuch.

Były to dopiero początki tej strasznej choroby, która po upływie lat kilku miała mu nie pozwolić słyszeć własnych kompozycji; ale choć zaniepokojony wielce, gdy raz po raz zaczynał słyszeć gorzej, to jednak przekonany był jeszcze, że to tylko jakaś chwilowa niedyspozycja i z otuchą patrzył w przyszłość.

Od niejakiego czasu, nawet, odkąd został wprowadzony do domu hrabstwa Guicciardich, zaczęła się przyszłość ta jakby uśmiechać do niego. Sprawiała to swym urokiem hrabianka Julja Guicciardi, w której widząc wybitny talent muzyczny, zdecydował się, proszony o to przez jej rodziców, udzielać lekcji gry na klawikordzie.

Ród Guicciardich wywodził się z Włoch, z Modeny. Pierwszym Guicciardi'm, który w połowie XVIII. wieku porzucił ojczyznę i przybył do Wiednia, gdzie tak się potrafił zasłużyć monarchji austriackiej, że mu w nagrodę za to ofiarowano tytuł hrabiowski, był ojciec Julji. Swoją drogą, pomimo całej gorliwości, z jaką służył dworowi i państwu, majątku się nie dorobił. Do tytułu jednak hrabiowskiego i do szlachectwa wielką przywiązywał wagę; za czem poszło, że i dla jedynaczki swej marzył o hrabiowskiej koronie.

Giulietta miała lat szesnaście. Ale Włoszka w tym wieku, to już kobieta dojrzała, której nie dziwna przyjąć w serce zwodniczy postrzał Amora. Bardzo ładna, o temperamentie namiętnym, z go-

racą i łatwo zapalną krwią Transteveranki w żyłach, brunetka, z ogromnemi, pełnemi melancholji, szafirowemi oczyma, stworzona, jak to powiedział ktoś o wszystkich córach południa, do modlenia się i do kochania, egzaltowana, niezmiernie wrażliwa na rzeczy piękna, na muzykę zwłaszcza: słowem, natura subtelna i niepospolita, w chwili poznania się z Beethovenem, lepiej znała jego sonaty fortepianowe, które grywała ze szczególnym upodobaniem, aniżeli czar pierwszej miłości, który w nią miał wpoić jej „narzeczony“, 17-letni hrabia Robert Gallenberg. Albowiem nie była to indywidualność interesująca, mogąca wzbudzić głębsze uczucie w kobiecie. Charakteru przekornego, zawzięty i mściwy, wychowany w atmosferze przesądów arystokratycznych, bez żadnych wybitniejszych zdolności w jakimkolwiek kierunku, był on, co się zowie, uosobioną miernością, o bardzo prozaicznych, poziomych aspiracjach. To też Giulietta, choć ją rodzice zawczasu przeznaczili mu na żonę, nie żywiła dlań nigdy głębszej i serdeczniejszej sympatji. Instynktem kobiety pięknej, znającej swoją wartość, a uczuwającej potrzebę wielkiej, romantycznej miłości, odgadywała w nim naturę pospolitą, płytką i egoistyczną, przeczuwając równocześnie, że to jeszcze nie jest ten człowiek, dla którego ma zapłonąć jej dziewicze serce.

Człowiek ten zjawił się nagle w osobie Beethovena. Wystarczyło kilka dłuższych rozmów, kilka pouczających lekcji, kilka wymownych spojrzeń, kilka natchnionych improwizacji, ażeby genialny *maestro* rozpłomienił imaginację hrabianki, a także, by i jego dusza zajęła się tym płomieniem.

Jakoż niebawem stała się rzecz zwykła w takich razach: pomiędzy młodziutką uczennicą a jej nauczycielem muzyki, mającym sławę współzawodnika Mozarta, zaczął się romans.

Na nieszczęście dla kochanków, z każdym dniem zakochanych coraz bardziej, okoliczności sprzyjały — w początkach przynajmniej — rozwojowi tego najpiękniejszego z uczuć. Rodzice panny, nie posądzając jej o jakieś gorętsze afekty dla Beethovena, (który, pomimo, że miał *von* przed nazwiskiem, nie był w ich mniemaniu stosowną partją dla niej), chętnie go i poza lekcjami podejmowali w swoim domu; zapraszali na wszystkie wieczory i rauty; byli mu radzi, kiedy ich odwiedzał w loży podczas opery; a że z natury był sympatyczny, choć trochę ekscentryczny, a w dodatku otoczony aureolą sławy i to sławy rosnącej z dnia na dzień, więc go lubili naprawdę, wyróżniali na każdym kroku, a nawet nie szczędzili słów zachwytu, zwłaszcza, gdy na przyjęciach u nich, dość sztywnych i nudnych, zasiadał  fortepianu, by wszystkich oczarować swą natchnioną grą.

Na tej niekłamanej sympatji, którą Guicciardowie powzięli dla niego, a której nie podzielał tylko młody hrabia Gallenberg,

budował teraz Beethoven, pospołu z Giuliettą, gmach swego przyszłego szczęścia. Pierwszy raz bowiem — jak się z tem zwierzył listownie przyjacielowi swemu z Bonn — nabrał przeświadczenia, że małżeństwo może go uczynić szczęśliwym, że możność ożenienia się z istotą ukochaną, której wzajemności był całkiem pewnym, położyłaby kres wszelkim jego pragnieniom osobistym. „Niestety — pisał w tymże liście — dziewczę to nie jest z mojej sfery“. „Zresztą i takbym się z nią dziś ożenić nie mógł, bo najprzód nie posiadam dostatecznego majątku, a powtóre muszę jeszcze powalęsać się trochę po świecie“.

Nie znaczyło to przecież, by miał rezygnować ze szczęścia, którego tymczasem używał w postaci długich rozmów z Giuliettą, na lekcjach i poza lekcjami. Gdy byli sami, bez świadków, mówili sobie *ty*; a gdy się spotykali w kościele, na ulicy lub u znajomych, tyle sobie potrafili powiedzieć oczami, że oboje zawsze wiedzieli doskonale, czego w tej chwili nie mogły wymówić ich usta...

Na Beethovena wpływała ta szczęśliwa miłość, tyle mu dostarczająca lubych wrażeń i materiału do marzeń, korzystnie pod każdym względem. Nigdy mu życie tak silnie nie tętniało w piersiach, nigdy nie czuł się tak pełnym humoru i werwy, nigdy nie paliło mu się w głowie od tylu pomysłów, nigdy nie pisał z taką, jak teraz, łatwością, nigdy nie był płodniejszy, nigdy nie czuł się tak młodym i zdrowym, nigdy nie znajdował tyle, co teraz, przyjemności w obcowaniu z ludźmi, i nigdy wreszcie póki żył, nie miał takiej pogody w duszy. Nie przypuszczał też, by po tej pogodzie, po tych dniach słonecznych, najśłoneczniejszych i najszczęśliwszych w jego samotnem kawalerskiem życiu, mógł nastąpić nieprzerwany, długi szereg dni burzliwych, pochmurnych, podczas których uderzać weń będą grom po gromie. Nie przeczuwając nic podobnego, kiedy mu przyszło dzielić się myślami z przyjacielem, pisał, że młodość jego rozpoczyna się dzisiaj dopiero; że od pewnego czasu przybywa mu sił, nietylko cielesnych, ale i duchowych; że dzień każdy zdaje się go przybliżać do celu; że nie potrafi opisać, co czuje w danej chwili; że żyje życiem nie jednego człowieka, ale tysiąca ludzi; i że nie lęka się niczego: nawet walki z losem, z którym jest gotów się zmierzyć i któremu nie da się złamać. *O, es ist so schön, das Leben tausendmal leben!...*

I żył tak „po tysiąc kroć“ przez całą zimę z roku 1800 na 1801, przekonany, że jest najszczęśliwszym z śmiertelnych, że świat ten jest najpiękniejszym ze światów; a napisane w tym nastroju wesołe i filuterne *Rondo g-dur*, pisane z myślą o ukochanej, której miało być poświęcone, niewątpliwie było najwierniejszem odbiciem jego błogostanu.

Ale znalazły się i bolesne dysonanse w tych upajających

harmonjach. Całe szczęście bowiem, którego teraz los pozwolił kosztować Beethovenowi, zamała mu rozwijająca się stopniowo choroba uszu. Bywały dni, w których nie słyszał zupełnie, a choć zdarzyły się i takie, iż słyszał dobrze, to przecież widział jasno, że słuch jego słabnie... Dręczony obawą, ażeby nie ogłuchnąć zupełnie, postanowił uczynić wszystko, co było w jego mocy, ażeby rozwojowi tej strasznej dolegliwości zapobiedz. W tym celu, idąc za poradą lekarzy, z nadejściem lata, jednego z ostatnich dni czerwca, pożegnał się z Giuliettą i przyrzekłszy jej, iż tak samo, jak ona, pisywać do niej będzie codzień, wyjechał do wód, na Węgry, leczyć się. Po skończonej kuracji zamierzał nadto odbyć większą *tournee* artystyczną, t. j. dać w różnych miastach i krajach szereg koncertów, ażeby zebrać w ten sposób jakiś większy kapitał; bo nie posiadając majątku, nie mógł rodziców Julji prosić o jej rękę. Projektował sobie, że nie powróci do Wiednia prędzej, dopóki nie objedzie chociażby pół świata i dopóki nie będzie mógł stanąć przed ukochaną jako człowiek bogaty. Rozumiał bowiem, że jedynym taranem, który był zdolny rozbić mury kastowości Guicciardich, było złoto, któremby im mógł błysnąć w oczy.

Tymczasem, przybywszy do owego miejsca kuracyjnego, zaraz pierwszego wieczoru, stosownie do danego przyrzeczenia, napisał list do swojej „nieśmiertelnej kochanki“, bo nie nazywał jej nigdy inaczej, tylko: *meine unsterbliche Geliebte*.

List ten, datowany 6 lipca „rano“, był odpowiedzią na smutny i tęskny list Giulietty, który tu już nadszedł parę dni temu. Nie mając jeszcze stancji, a tem samem pióra i atramentu, odpisał Beethoven ołówkiem, *jej* ołówkiem, tłómacząc się przed „swym an olem, swoim wszystkim, swojej ja“, że dziś tylko w niewielu słowach donieść jej może o sobie, bo jeszcze się nie zdołał urządzić. Chodziło mu o to jedynie, żeby ona nie niepokoila się o niego, żeby żadnym beznadziejnym myślom nie dawała przystępu do siebie. Widocznie, iż Giulietta zaczęła mieć do zwątpienia jakieś uzasadnione powody.

Po co ta boleść głęboka, skoro taki obrót spraw wynika z konieczności? Czy miłość nasza może obyć się bez chwilowych poświęceń? Czyż nie musimy przez czas jakiś żądać za wiele? Czyż jesteśmy w mocy, ty albo ja, sprawić, ażebyś *ty* stała się w zupełności *moją*, a *ja* całkowicie *twoim*. Dlatego trzeba, abys się uspokoiła, bo tego wymaga twardy mus. Spójrz na ten świat taki piękny, i staraj się w nim znaleźć źródło pociechy. Prawda, że miłość nie ogląda się na nic, i słusznie, ale cóż robić? Taki to już los nasz, że teraz nie wolno nam jeszcze połączyć się na wieki! Nie

zapominaj jednak, że ja nie tylko dla Ciebie, ale także i dla siebie samego żyć muszę, bo żyjąc dla siebie, żyję i dla Ciebie również!

Po tem zapewnieniu następował krótki opis podróży nie bez przygód, przerywanej takimi np. epizodami, jak załamanie się powozu w drodze. Żeby jeszcze w dzień, ale w nocy, w lesie!

Ale obojętny na rzeczy „zewnątrzne“, wolał Beethoven, pisząc do ukochanej, więcej miejsca poświęcić sprawom „wewnętrznym“, przez które oczywiście rozumiał swoje uczucia, swoją miłość dla niej.

Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce, że znów będziemy tuż tuż przy sobie, i że wszystko ostatecznie pomyślny weźmie obrót, jakkolwiek dziś nie można jeszcze przesądzać o niczem.

Tymczasem — pisał w dalszym ciągu — na samą myśl, że niebawem znajdą się razem, w głowie mu się paliło od tysiąca słów, któreby chciał wypowiedzieć do niej, w których wyraziłby swe niezliczone spostrzeżenia, poczynione w ciągu ostatnich dni, a któreby mu z pewnością nie powstały w myśli, gdyby nie to ich przymusowe rozłączenie na krótki przeciąg czasu. I miewał takie chwile podniecenia, „w których zdawało mu się, że jednak mowa i język ludzki niczem są jeszcze“, gdy chodzi o danie należytego wyrazu rozpierającym piersi uczuciom.

W zakończeniu była prośba do oddalonej, ażeby starała się być weselszą i pogodniejszą, mniej przystępną zwątpieniu, i żeby nie przedstawiała być *jego* tylko Giuliettą, gdyż on wciąż ją uważa za swój drogi, jedyny skarb, za swoje wszystko.

Resztę zdajmy na łaskę Opatrzności, która przecież wie najlepiej, co z nami stać się powinno, co się stać musi!

Twój wierny

Ludwik.

Drugi list, będący kontynuacją poprzedniego. nosił tę samą datę, tylko zawierał dopisek w nagłówku, że pisany był „wieczorem“ już po rozlokowaniu się w najętym pokoju.

Raz jeszcze odczytawszy list Giulietty, napisał Beethoven, znowu „jej ołówkiem“ drugi list, niemniej namiętny i czuły, aniżeli pierwszy.

Ty cierpisz, ty, moja najukochańsza, moja najdroższa istoto! Widzę, że cierpisz! Pociesz się jednak, że gdziekolwiek się obrócę, tyś zawsze przy mnie. Przy twojej też i przy mej własnej pomocy dokażę, ażebym mógł pędzić z tobą razem, ach! jakie życie!!!! Tak!!!!

Te cztery wykrzykniki, następujące po wyrazach *życie* i *tak*, miały dać plastyczne wyobrażenie stęsknionej za nim hrabiance, o jakim to on życiu z nią marzył w tej chwili!

Bez Ciebie za nic dobroć ludzka, której tu i ówdzie doświadczam... Jakkolwiekbyś mię kochała, zawsze ja kocham Cię goręcej. To też z niczem się nie kryj przedemną... Ach! Boże mój! tak blisko i jednocześnie tak daleko! Nie jestże miłość nasza, jako firmament niebieski, tak, jak firmament ten, niespożyta?!

Nazajutrz, ledwo się zbudził ze snu, opadły go różnego rodzaju smętne myśli o kochance, różne obawy: czy aby Bóg wysłucha ich prośb i czy im się pozwoli połączyć?! Myśli te nie dawały mu tak dalece spokoju, że nie wstając z łóżka — od którego to szczegółu zaczął swój trzeci list — znów zaczął pisać do niej, nie tając swej niepewności, gdy chodzi o ich przyszłość, a z zamiarem wtajemniczenia jej we wszystko, co myślał w tej sprawie. Ponieważ mógł żyć tylko z nią (*mir ganz mit Dir*), albo wcale nie, bo nie rozumiał poprostu, ani mógł sobie wyobrazić życia bez niej, więc postanowił błędzić po świecie dopóty, póki nie będzie mógł „zfrunąć w jej ramiona“ z niezłomną pewnością, że już posiada odpowiednie dane, ażeby życie jej ze swoim na wieki związać i żeby dusze ich mogły z czasem ulecieć razem w krainę duchów, gdzieby ich już żadna siła nie potrafiła rozdzielić. Chcąc jednak, ażeby to mogło nastąpić, potrzeba, niestety, uzbroić się w cierpliwość. Zwłaszcza ona powinna nie tracić jej ani na chwilę i czekać z całym spokojem.

Wiesz przecie, jak niezłomną jest wierność moja dla ciebie, i nie wątpisz chyba, że inna serca mego posiąść nie może nigdy, nigdy, nigdy! O, Boże! czemuż to trzeba się rozłączać wtenczas właśnie, kiedy się kocha najmocniej! Miłość twoja uczyniła mnie jednocześnie najszczęśliwszym i najniešťęśliwszym z ludzi.

Lecz niechciał jej robić z tego powodu wyrzutów, że mu zamącała błogi spokój jego duszy, że przez nią szamotał się w męce i udręce serdecznej. O jedno ją tylko błagał: żeby się

starala zachować równowagę moralną, bo jedynie spokojnem, rozważnem działaniem mogą osiągnąć to szczęście wspólnego pożycia: a przedewszystkiem żeby nie wątpiła o jego przywiązaniu dla niej.

Z kolei następowały gorące wylewy na temat bezbrzeżnej tęsknoty, której jedynie łzy, obficie przelewane w samotności, w dali od ludzi, przynosiły słabą ulgę. Końcowy ustęp, pisany a raczej nagryzmołony prawie nieczytelnie, widocznie drżącą ręką, w najwyższem podnieceniu nerwowem, zawierał następującą prośbę:

Moje życie, moje wszystko, bądź zdrowa, kochaj mnie ciągle, a nie zapominaj nigdy o najwierniejszem ci sercu twojego

Ludwika.

Na wieki twój, na wieki... mój, na wieki nasz!

Czego dowodziły te listy? Oto, że u Beethovena mimo wszystko grał w miłości tej niemałą także rolę i rozsadek, podczas gdy Giulietta powodowała się wyłącznie uczuciem. W duszy tej młodej, zmysłowej córy południa kipiał żar namiętności, marzącej, o zupełnem i jaknajrychlejszem, o ile możliwości natychmiastowem połączeniu się. Ona, jak Szekspirowska Julia, czuła, że potrafi „być wierniejszą od tych, co się drożą“, i dlatego nie drożyła się wcale. Jej pragnieniem było móżd go mieć przy sobie i zawsze być przy nim, słowem, stać się jego żoną, dzielić się z nim pieśczętą; jej bowiem, kiedy była z ukochanym swym razem, cisnęło się, jak szekspirowskiej Julji do ust: „Ach, jabym zbytciem pieśczęt cię zabiła!“ Ona była gotowa iść za nim zaraz „choćby na koniec świata!“ i nie opuścić go aż do śmierci... Nie darmo nosiła to samo imię, co nieśmiertelna kochanka Romea!

Beethoven tymczasem, jak Hamlet pełen wahania, rozumował, pozwalał uczuciu swemu rozkładać się i słabnąć pod wpływem analizy rozsądku, i zamiast działać, zamiast przedsiębrać jakieś stanowcze kroki, nie potrafił się ostatecznie zdecydować na nic i... tylko starał się pocieszać kochankę, żeby nie tęskniła za nim, żeby była dobrej myśli, żeby nie wątpiła o jego miłości etc. etc.

Tak upłynęło parę tygodni, a on wciąż nie mógł *chcieć* coś zrobić. Zdaje się, że głównym powodem tej słabości woli w nim, odkąd opuścił Wiedeń, i tego chwilowego zniechęcenia był niepomyślny przebieg kuracji, której skutków, niestety, nie doznawał wcale: przeciwnie, słyszał coraz gorzej. Zwątpiwszy na razie, ażeby mu się kiedykolwiek z choroby tej wyleczyć udało, nie

dziw, że mu się w końcu i rola męża, podobnem dotkniętego kalectwem, nie bardzo uśmiechać zaczęła.

Co pewna, że po upływie paru tygodni zaniechał owej projektowanej podróży artystycznej po świecie w celu z bogacenia się, i prędzej znacznie, aniżeli przypuszczał początkowo, puścił się z powrotem do Wiednia.

Tutaj zastał Giuliettę tak samo, jeżeli nie bardziej, kochającą go, jak dawniej; uczucia zaś, jakich doznawał, spiesząc do niej, z sercem bijącym, z niewymowną radością w piersiach, że ją zobaczy za chwilę, znalazły później swój wyraz w owym smętno-wesołem *allegretto* z sonaty księżycowej, które takie zawsze czyni wrażenie, jak gdyby się widziało dwoje zakochanych, którzy po długiem rozstaniu, padają sobie w objęcia.

Od pierwszej chwili powrotu swego do Wiednia zaczął się Beethoven czuć jakby skrepowanym miłością Giulietty; ona bowiem, kochając go namiętnie, jak tylko kobieta wogóle kochać jest zdolna, i pragnąc jak najwięcej mieć go u siebie, być z nim razem, bezwiednie zaczęła mu coraz bardziej... przeszkadzać w pracy. Nie mógł nie pójść do niej, kiedy tak urządziła wszystko (z właściwą kobietom kochającym przebiegłością), że mogli być sami; a z drugiej strony żał mu było porzucać robotę, często przerywać ją w połowie, w chwili właśnie, kiedy się rozpisiał i kiedy mu przelewanie na papier tego, co słyszał w duszy, bez najmniejszej przychodziło trudności. Mimo to trzeba było odkładać wszystko na bok, w przekonaniu, że urwany wątek nie da się już nawiązać tak łatwo, i śpieszyć na *tendez-vous*, albo też, co jeszcze przykrzejsze, składać wizyty osobom, wysoko postawionym, których protekcja mogła mu np. wyjednać posadę kapelmistrza przy dworze lub coś w tym rodzaju.

Takim wysokim dygnitarzem, którego łaskawe względy starał się Beethoven pozyskać sobie w tych czasach, był między innymi i hrabia Thies, szambelan jego cesarsko królewskiej mości, któremu poświęcone są *Opera* 23 i 24, a którego wstawienie się u monarchy ze względu na kurację, było więcej niż cennem.

Beethovenowi nie zależało na tem tak bardzo, bo wysokie pobierając honorarja za swoje kompozycje, miał dochody aż nadto na utrzymanie swoje wystarczające. Tylko, że dochody te, pozwalające mu jako kawalerowi, żyć wygodnie i nawet do pewnego stopnia zbyt, nie były jednak tej wysokości, aby wystarczyć mogły na utrzymanie żony i dzieci.

Dlatego wypadało koniecznie myśleć o jakimś urzędzie, słowem, o jakimś źródle stałego dochodu. Że to się nie uśmiechało Beethovenowi, że takie życie z dnia na dzień, nieskrepowane niczem, miało dla niego niemało uroku, i że nakoniec życie rodzinne, systematyczne, nie miało w nim zwolennika, to

się rozumie samo przez się, zważywszy jego artystyczny temperament.

Otóż Beethoven, który nadewszystko ukochał sztukę, kiedy mu wypadło myśleć o ślubie, o gospodarstwie, o słabościach żony, o dzieciach, o mamkach, niańkach, sługach, o familji żony etc. etc., co wszystko jest nieodłączne od pojęcia małżeństwa, mimowoli począł się lękać takiej dla siebie przyszłości i zaczął stopniowo nabierać przekonania, że kto wie, czy nie lepiej byłoby dla niego, żeby przeszedł przez życie sam, w stanie bezżennym, oddany wyłącznie na usługi jednej tylko muzyki, w której zakresie, jak sam czuł najlepiej, był powołany działać więcej nierównie, aniżeli zrobili Haydn i Mozart. Tą myślą o swojej misji przejęty, pisząc do jednego z przyjaciół, nie taił się, że przejmuje go pewna obawa na myśl o owem cichem życiu familijnem, o jakim marzy jego ukochana, „albowiem (pisał) do cichego życia, nie! czuję to, nie jestem stworzony!“

Wyznanie to, do którego, można być pewnym, bałby się przyznać przed ukochaną, płynęło mu w głębi serca, a płomienna Giulietta, choć ją zapewniał ciągle, że i jemu, jak jej, zależy na pośpiechu, poczęła go intuicyjnie podejrzewać o niestałość.

Kochając sama i marząc o ślubie, jako o najwyższem szczęściu, nie mogła zrozumieć poprostu, jak można, na miejscu Beethovena, z takim „spokojem“ odkładać tę upragnioną chwilę? I kunktatorstwo to, pomijając już, że ją niecierpliwiło, zaczęło jej na dźmiar złego dawać do myślenia. A może on jej nie kocha tak bardzo, jak zapewnia? Kto wie, czy sztuki na przykład nie kocha goręcej? A ona nie zniosłaby, ażeby *nie ona* była przezeń *najbardziej* kochaną. Na to zaś, co on mówi o „konieczności zwłoki“, nie godziła się bezwarunkowo. Po co zwlekać? Jeżeli we wspólnem pożyciu mają znaleźć szczęście, to dlaczego szczęście to już dziś nie miałoby być takim samem, jak po jakimś czasie?...

Te i tym podobne wątpliwości, podjudzane przez rodziców, którzy pragnęli widzieć w niej nie panią *van* Beethoven, lecz hrabinę Gallenberg, skłoniły ją ostatecznie, po wielu walkach z sobą, do stanowczego kroku, którego następstwa miała dźwigać przez całe życie: do zerwania z Beethovenem. Co przecierpiała w tej chwili przełomu, kiedy, odsyłając mu jego listy, pisała do niego, że nie chce z nim widzieć się więcej, ponieważ... przychyliła się do życzenia rodziców i przyrzekła swą rękę hrabiemu Gallenberg, którego narzeczoną mieni się być od dzisiejszego dnia: tego tajemnicę poniosła z sobą do grobu.

Jak przyjął wiadomość tę Beethoven? Stanąwszy wobec nieodwołalnego faktu, że mu się jego osobiste szczęście wymknęło bezpowrotnie, dopiero teraz popadł w rozpacz nieutuloną.

dopiero teraz nie potrafił wyobrazić sobie egzystencji swojej bez Giulietty i jej miłości.

Swoją drogą nie uczynił ani jednego kroku, ażeby nawiązać stosunek na nowo: raz, że był za dumny na to; a powtóre, odwodziło go od tego przeświadczenie, że tak czy tak Gucciardi'owie nie daliby mu córki... Zwłaszcza dziś! Zamilkł więc (tak dalece, że przed żadnym z przyjaciół nie zwierzył się nawet ze swem nieszczęściem), i nie dał nikomu, a przedewszystkiem Julji, poznać po sobie, że coś w tych czasach boleśnie zbankrutowało w jego duszy. Pogodził się z myślą, że mu to szczęście musiało nie być przeznaczone, i pogrążywszy się w głębiach swego tytanicznego ducha, postanowił odtąd służyć już samej tylko sztuce. Artysta wziął górę nad człowiekiem, a nadmierną rozpacz stłumiło kojące uczucie rezygnacji.

Ale łatwiej powiedzieć sobie, że się już nie należy do cierpiących, aniżeli nie należeć do nich istotnie. Otóż z Beethovenem miała się teraz rzecz tak samo. Starał się nie poddawać cierpieniu, starał się przemódz je wyteżoną pracą, zaabsorbowaniem myśli czem innem: wszystko napróżno. Śmiertelna rana, jaką otrzymał w samo serce, nie chciała się zbliżnić; przeciwnie: piekła go i bolała coraz bardziej. Zrozpaczony, w nadziei, że zmiana miejsca przyniesie mu ulgę, że pobyt na wsi naprzykład, w dali od Wiednia, uśmierzy jego ból, skorzystał z zaproszenia przyjaciółki swej i wielbicielki, pięknej, 23-letniej hrabiny Marji Erdödy, i pojechał do niej, do jej pięknego majątku Jedlersee, by tam, w miłym otoczeniu domowem, na tle pięknej okolicy, starać się przyjść do siebie, odzyskać równowagę uczuć.

Jakie uczucia miotaly nim w tym okresie czasu, gdy nie mógł się pozbyć myśli o Giuliecie, o tem najlepsze wyobrażenie daje namiętne i burzliwe *Presto agitato*, z jego *Sonaty Cis-moll*, będące jednym z najszczytniejszych natchnień, jakimi do nas przemówił genjusz Beethovena. Nigdy rozpacz nie była wymowniejszą; nigdy jej też nie nadano tragiczniejszego wyrazu.

Jak wielką była ta rozpacz, o tem przybliżone pojęcie — prócz trzeciej części w Sonacie Cis-moll — dawał jeszcze fakt, że przybywszy do zamku hrabiny Erdödy, zaledwie w kilka dni potem Beethoven zniknął nagle, tak, że choć go szukano wszędzie, nikt nie mógł natrafić na jego ślady. Już zaniechano poszukiwań, przypuszczając, że poprostu musiał umknąć cichaczem do Wiednia; aż tu nagle, coś we dwa dni po zniknięciu znakomitego gościa, „magister“ hrabiny, Brauchle, przechadzając się po parku, dostrzegł jakąś postać ludzką, ukrywającą się w krzakach. Myślał naturalnie że to złodziej. Jakież było jego zdziwienie, gdy tym podejrzanym włóczęgą okazał się Beethoven, blady, wychudły, zmieniony do niepoznania, z wzrokiem gorączkowym, ledwo na nogach utrzymać

się mogący. Zapytany: co mu jest? czemu się ukrywał? skąd ta smiertelna bladość na twarzy? nie chciał dać żadnej odpowiedzi. Powrócił do pałacu, ale tajemnicy swej, mianowicie, co go do tego dziwnego kroku skłoniło, że nie jedząc nic, krył się tak długo, nie zdradził nawet przed hrabiną. Dopiero po latach przyznał się otwarcie, że zamiarem jego wtedy było... zagłodzić się. Ten okrutny rodzaj śmierci, jaką postanowił życie swoje na tej ziemi zakończyć, świadczył najlepiej, jakim mu to życie stało się brzemieniem. Świadczył o tem i ten fakt również, że właśnie w ciągu tych dni głodowych, kiedy, wyczekując śmierci, błakał się po zaroślach ogrodu, zrodził mu się pomysł do napisanego wkrótce potem oratorjum o *Chrystusie w Ogroju*.

W tymże czasie, podczas pobytu w zamku hrabiny Erdödy, napisał Beethoven między innemi także i sonatę *Cis-moll*, którą też, jako pisaną z myślą o Julji, poświęcił później, kiedy wyszła w druku: *Alla Damigella Contessa Giulietta Guicciardi*.

W usposobieniu jego jednocześnie zaszła ogromna zmiana, podobna do tej, jakiej uległ Mickiewiczowski Gustaw, kiedy w ponurej celi Bazylijańskiego klasztoru stał się Konradem. Analogiczna metamorfoza dokonała się teraz w Beethovenie. Opamiętawszy się, coraz większą zaczął okazywać wdzięczność Brauchlemu, że go wtedy w ogrodzie odszukał i tem samem od samobójczej śmierci uchronił. Bo i cóżby komu z tego przyszło, myślał sobie teraz, gdyby się zagłodził w końcu? Nic. Tyle tylko, że zeszedłby ze świata, nie dokonawszy tego, do czego był powołany, a co powinien był uważać za *główny cel* swojego doczesnego żywota. Na losy Giulietty nie wywarłaby śmierć jego żadnego wpływu: tak, czy tak, zostałaaby w końcu żoną Gallenberga. Więc po co poświęcać wszystko dla istoty, która, kto wie, może tego nawet nie była godną? Kto wie, czy wyszedłszy za niego, potrafiłaby go zrozumieć?... Tu zdało się Beethovenowi rzeczą prawie niewątpliwą, że w małżeństwie tem nie znalazłby szczęścia, kiedy tymczasem sztuka, ta jego druga kochanka, którą już o mało co nie opuścił dla tamtej, nie zawiedzie go w żadnym razie. Niech się tylko wyrzeknie znikomych i obłudnych uczuć światowych, niechaj przestanie tyle co dotąd myśleć o osobistem szczęściu, a może być pewnym, że życie jego nie będzie stracone dla ideału, dla sztuki. Niech sobie przypomni swoje marzenia przed poznaniem Giulietty; niechaj uwierzy w końcu, że go Bóg powołał do czegoś lepszego i wznioślejszego, aniżeli do tego, żeby wmieszczańskim spokojem używał szczęścia miłości małżeńskiej; niech nie zapomina wreszcie, że kochać się w pięknej dziewczynie, cóż dopiero w tak pięknej, jak Giulietta, potrafi byle kto, nawet Gallenberg! A przecież on, który starał się charakter swój urobić na żywotach Plutarcha, ma inne zadanie, inny cel w życiu! Czyż

godziło się (nawet w chwili rozpacz) myśleć o dobrowolnej śmierci, jemu, w którym ludzkość tak wielkie pokładała nadzieje!? Jak mógł pomyśleć o skróceniu sobie życia, przedtem, zanim spełnił wszystko, co mu nakazywało posłannictwo sztuki?!

Zgryzota mimo to nie przestawała go dręczyć, a że uczuciowym był bardzo, więc skończyło się na tem, że ciężko zachorował... Do Wiednia powrócił złamany na ciele i duszy, a choć pragnął usilnie, to przecież nie mógł żadną miarą zapomnieć o swej umiłowanej. Tak przeszła cała zima z roku 1802 na 1803, zima, podczas której — nie zważając na nadwątłone zdrowie — daremnie szukał zapomnienia w wirze zabaw światowych. Smutek nie ustępował mu z duszy. Wszystko, co pisał (a pisał więcej, niż kiedykolwiek), nosiło na sobie wyraźne piętno melancholji, w jakiej był pogrążony, wszystko było jakby jakimś żalosnym trenem na utratę Giulietty. Jeżeli dorabiał muzykę do pieśni, to były to pieśni najczęściej wyrażające troski miłosne i zaczynające się od takich naprzykład słów, jak: *Ma tu tremi o mio tesoro* etc. Że w pracy tej znajdował „ucieczkę przed własnymi myślami“, z tem się nawet nie tał w listach do przyjaciół.

Skoro nadeszła wiosna, a on nie czuł się lepiej, raczej gorzej, i kiedy zdrowie jego coraz większe w nim samym budzić zaczęło obawy, wyjechał w maju, za poradą lekarzy, do miejscowości Heiligenstädt, w nadziei, że może tam przyjdzie prędzej do siebie.

Ale i wody Heiligenstädtu nie przynosiły mu ulgi, moralnej przynajmniej. Rozdrażniony, nieutulony w swoim smutku, nietylko, że nie przestawał tęsknić za utraconem szczęściem (która to tęsknota aż stawać się zaczęła chorobliwą), ale i... słyszał coraz gorzej. Nie dziw więc, że nieraz, kiedy się zastanowił nad swą niedolą, miał łez pełne oczy, zaczynając wątpić o wszystkim, o tem nawet, że mu jeszcze żyć długo sędzono dla sztuki! Pod wpływem tych uczuć napisał tu, w Heiligenstädt, cudowną Sonatę *D-moll*, której początkowe *Adagio* robi wrażenie łez, ociekających po twarzy. Pod wpływem tychże uczuć, w chwili jakiegoś strasznego zwątpienia, kiedy już ani jeden promyk nadziei nie miał przystępu do hiobowych ciemności jego skołatanego ducha, przekonany, że się już ma pod koniec jego życiowej męce, napisał swój testament.

Nic smutniejszego, jak początek tego testamentu, w którym nieszczęśliwy artysta zwraca się do ludzi wogóle, skarżąc się że wyrządzają mu najokropniejszą krzywdę, kiedy go uważają za pełnego nienawiści mizantropa; posądzenie podobne nigdyby im nie przyszło na myśl, gdyby znali jego „tajemnicę, ukrytą pod szorstkimi pozorami“. Serce jego i umysł, od dzieciństwa skłaniały się ku uczuciom dobrotliwym i rzewnym, a jedynym ma

rzeniem, jakie miał zawsze, była chęć dokonania wielkich rzeczy. „Ale pomyślcie tylko, że od lat sześciu jestem dotknięty chorobą nieuleczalną, którą niekompetentni lekarze pogorszyli jeszcze“. Niemniej wzruszającymi były dalsze żale i skargi z powodu choroby słuchu. Obdarzony temperamentem ognistym i żywym, namiętnie miłujący przyjemności życia towarzyskiego, musiał usunąć się od wszystkiego, w pełni młodości skazany na wieczystą samotność, boć nie mógł przecież powiedzieć ludziom: Mówcie głośniej! krzyczcie! bo ja jestem głuchy!... Bo jak nie miał miotać się w rozpacz, on, który nagle został dotknięty straszliwą, a coraz bardziej rozwijającą się słabością „tego zmysłu, który powinien u niego być równie dobrym, jak u innych, a który on posiadał dawniej doprowadzony do doskonałości niemal niebywalej“. Z chwilą przecież, gdy zaczął tracić słuch, zmieniło się dlań wszystko. Prawie zawsze samotny, chyba z konieczności ośmielał się zbliżyć do ludzi. „Zmuszony wieść życie wygnańca, przy zetknięciu z towarzystwem czuje, że mu pot zimny występuje na skronie, albowiem drży na myśl, że stan jego zostanie odkryty! Co za upokorzenie naprzykład, jeżeli ktoś ze stojących przy nim chwali dochodzący z oddali głos fujarki, a on nie słyszy nic! gdy ktoś wysławia piosnki pasterzy, a on nie słyszy nic!“ Podobne zdarzenia doprowadzały go do rozpacz, i miewał chwile, w których nie wiele brakło, ażeby od rozpacz tej uciekł w objęcia śmierci samobójczej. Sztuka tylko, ona jedna powstrzymywała go... W testamencie tym, pisanym w przeczuciu rychłej śmierci, (które to przeczucie nie sprawdziło się na szczęście), nie obeszło się także bez wzmianki o hrabiance Guicciardi, z którą nie mógł się przecież, w ostatniej spowiedzi poufnej, nie pożegnać przed śmiercią! A trudno wymyśleć coś równie smutnego, jak końcowy ustęp tego testamentu, dopisany w kilka dni później, w którym zboleły mistrz żegnał się „smętny“ z tą nadzieją ukochaną, z którą przybył tutaj, nadzieją, która mu wierzyć kazała, że choć do pewnego stopnia pobyt w Heiligenstädt wpłynie na niego uzdrawiająco. „Jak te liście jesienne, które, pożółkłe i zwiędłe, spadają na ziemię, tak samo trzeba i tej nadziei jego opasać i zwiędnąć. Dlatego też opuszcza miejscowość tę w takim samym usposobieniu, w jakim przyjechał, nie w lepszym; przeciwnie, w gorszym, bo i ta odwaga nawet, która go ożywiała niekiedy podczas pięknych dni letnich, i ona ulotniła się bezpowrotnie“.

W takim stanie uczuć, opadły na duchu, wąpiący o wszystkim z wyjątkiem sztuki, powrócił Beethoven w końcu października 1803 r. do Wiednia, z silnem postanowieniem, ażeby niczego już nie wymagać dla siebie od losu i tylko tworzyć, tworzyć, tworzyć! Nie słuchać, co mówiono w mieście o mającym w krótkce nastąpić

ślubie Giulietty z Gallenbergiem, nie myśleć o tem, uważać wszystko, co go łączyło z hrabianką, za niebyłe, za sen, i zapomnieć o wszelkich ułudach światowych, ze sztuką nic nie mających wspólnego, a mogących go od niej tylko odwodzić!

Jakoż wytrwał w tem postanowieniu, tak dalece, że nawet wiadomość o ślubie Giulietty, który się odbył 3 listopada 1803, nie skłoniła go pójść na ten ślub. Po co sobie widokiem takim napróżno zakrwawiać serce?

A jednak, pomimo, że odtąd miał coraz smutniejsze życie, pomimo, że mu każdy dzień przynosił nowe katusze moralne, wyższy nad osobiste cierpienia nie ustawał w pracy, tworząc jedne dzieła po drugich, w tej liczbie takie arcydzieła, jak „Trzecia Symfonia“, tak zwana *Eroica*, tudzież sławna Sonata na fortepian i skrzypce, tak zwana Kreutzerowska.

Giulietta tymczasem, kto wie, czy nie dlatego, ażeby być przez jakiś przeciąg czasu daleko od Beethovena, udała się z mężem (którego nie kochała) do Włoch, do Neapolu, skąd powróciła do Wiednia dopiero po latach kilku. Mąż jej był dyrektorem jednego z teatrów Neapolitańskich. Z chwilą jednakże, kiedy się znowu znaleźli na bruku wiedeńskim, w sercu Julji, pomimo, że już była matką, zrodziła się nieprzeparta chęć ujrzenia swojego dawnego ukochanego, którego, jak się przekonała obecnie, aż po dziś dzień kochać nie przestała, przed którym, dlatego właśnie, że go kochała jeszcze, pragnęła usprawiedliwić się, wytłómaczyć, i od którego spodziewała się przebaczenia za wszystko, co z jej powodu wycierpiał. Jakoż doprowadziła zamiar swój do skutku: poszła do Beethovena, rzuciła mu się do nóg i, jak przystało na kobietę kochającą, nie widząc w tem żadnego dla siebie poniżenia, zalewając się łzami, błagała go, żeby nie miał dłużej urazy do niej, przez wzgląd chociażby na ową miłość, która nie wygasła dla niego w jej łonie, przez wzgląd na jej nieszczęśliwą dolę, niezawodnie gorszą stokroć od jego losu. Ale Beethoven, już inny mając ideał w duszy, odepchnął ją od siebie. *Je la meprisais*. Nie chciał słyszeć o zgodzie, czuł bowiem, że to i jego i ją zaprowadzićby mogło na bezdroża, a tego nie chciał... Dla tej przyczyny nie dopuścił też, ażeby się pomiędzy nim a Giuliettą jakiegokolwiek znów zawiązały stosunki, do czego ona zdawała się być bardzo skłonna...

Ale nie odepchnął jej później, w innych okolicznościach, kiedy się znalazła w potrzebie, kiedy hrabia Gallenberg cały majątek (nie wielki zresztą), jaki posiadał, stracił i przegrał w karty, i kiedy biedna Giulietta musiała zetknąć się oko w oko z nędzą! Wtedy Beethoven zapożyczył się sam i dał jej niezbędne na razie 500 guldenów, bez których kto wie, jakieby ją czekały upokorzenia.

Swoją drogą mąż Giulietty nie przestał go do końca życia nienawidzić i za wyświadczone sobie częstokroć dobrodziejstwa odpłacać nietylko niewdzięcznością, ale i niegodnymi intrygami i podstępami, któremi pragnął przeszkodzić wzrostowi sławy Beethovena, jako kompozytora. Jeszcze w roku 1823, a więc na rok przed śmiercią twórcy *Fidelia*, kiedy opera ta miała być wznowioną w Wiedeńskim Teatrze Nadwornym, uciekał się jako jeden z jego dyrektorów do najniegodniejszych sposobów, aby wznowieniu jej zapobiedz. Między innemi udawał, że nie ma partytury, którą, jak się tłumaczył, najniezawodniej zgubił sam autor.

Że pożycie z takim człowiekiem było tragedją życia Giulietty, łatwo zgadnąć. Prawda, że położenie męża jej nie było również do pozazdrosczenia, jeżeli zważymy, że ten marny człowiek jednak kochał swoją żonę, że był do niej przywiązany, że chciał, ażeby go i ona kochała, że chciał posiadać nietylko ciało jej, ale i duszę. Tymczasem dusza ta oddawała się w marzeniu komu innemu, a Gallenberg, który nie był tak tępy, ażeby sobie sprawy z tego nie zdawać, cierpiał, po swojemu wprawdzie, ale cierpiał. Wiedział, że Beethoven, choć nie starał się mieć żadnych z jego żoną styczności, był przecież, pomimo tego, *bien aimé d'elle et plus que jamais son epoux* (wyrażenie Beethovena podczas rozmowy z Schindlerem) i że magnetyczny wpływ, jaki osobą swoją wywierał na Giuliettę, pozbawiał jego, jako męża, całej słodyczy jej pieśczoć. Dziwić mu się więc pod pewnym względem nie można, że był dla żony przykry, że, zazdrosny o nią, nie szczędził jej scen małżeńskich, które, niestety, jeszcze pogarszały jego sprawę. Z drugiej strony znowu, niepodobna nie mieć litości dla nieszczęśliwej kobiety, której jedyną przewiną było, że nie mogła kochać człowieka, do którego ją losy przykuły, i że kochała człowieka, którego żoną być nie mogła.

To też niewesoło płynęło jej życie na tym świecie. Zawsze smutna, a zawsze — nawet na kilka lat przed śmiercią — posągowo piękna, mało udzielała się światu, żyjąc w odosobnieniu, oddana wychowaniu dzieci. Z twarzy jej, tak pełnej wyrazu, nie schodził nigdy, ani na chwilę, żałobny cień zadumy i melancholji, a jedyną osłodą życia, jaka jej pozostała, była modlitwa. Nie znalazłszy szczęścia w miłości, znajdowała przynajmniej ukojenie i zapomnienie o swej niedoli w religji. I tak przeszło jej całe życie, złamane na samym wstępie i smutne jak rzadko które.

Smutniejszem jeszcze było chyba jedno życie Beethovena. Tylko, że Giulietta, skazana na straszną pustkę moralną, nie miała tej osłody, którą on znajdował w sztuce. Jemu wystarczała możność komponowania coraz nowych utworów muzycznych, kiedy jej możność szukania pociechy w modlitwie nie wystarczała.

To też, kiedy dla niej, stworzonej do używania świata, życie było jednym wielkim, bezwzględem zaprzeczeniem wszelkich ideałów i pragnień, marzeń i tęsknot; on, stanąwszy u kresu swoich dni doczesnych, mógł śmiało, obejrzawszy się wstecz, po za siebie, powiedzieć ze spokojem w duszy, jaki daje przeświadczenie o dokonanym czynie: że naczelnej jego chęci działania rzeczy wielkich w zakresie muzyki stało się w zupełności zadosyć. Nie miał też czego żałować, iż małżeństwo z Giuliettą nie doszło ostatecznie do skutku, bo — jak się wyraził w rozmowie swej z Schindlerem o Julji w roku 1823 — *hätte ich meine Lebenskraft mit dem Leben so hingeben wollen, was wäre für das Edle, Bessere geblieben.*

*

*

*

Felicjan umilkł. Nastąpiła chwila milczenia i zamyślenia, które w końcu pani Cecylja przerwała pierwsza, mówiąc:

— A teraz, proszę, niech mi pan jeszcze raz zagra całą sonatę od początku.

ELEGJE RZYMSKIE GOETHEGO

Sie schreiben so überzeugend, dass man ein *cervello tosto* sein müsste, um nicht in den süßen Garten gelockt zu werden. Es scheint, dass Ihre gute Gedanken unterm 22 Jan. unmittelbar nach Rom gewürckt haben, denn ich könnte schon von einigen anmutigen Spaziergängen erzählen. So viel ist gewiss und haben Sie, als *Doctor longe experimentissimus*, vollkommen recht, dass eine dergleichen müssige Bewegung das Gemüth erfrischt und den Körper in ein köstliches Gleichgewicht bringt. Wie ich solches in meinem Leben mehr als einmal erfahren, dagegen auch die Unbequemlichkeit gespürt habe, wenn ich mich von dem breiten Wege, auf den engen Pfad der Enthaltbarkeit und Sicherheit einleiten wollte.

Goethe do księcia Karola Augusta w liście z Rzymu z dnia 16 lutego 1788.

Ich habe dieser Tage Ihre Elegien und Idyllen wieder gelesen und kann Ihnen nicht ausdrücken, wie frisch und innig und lebendig mich dieser echte poetische Genius bewegt und ergriffen hat. Ich weiss nichts darüber, selbst unter Ihren eigenen Werken; reiner und voller haben Sie Ihr Individuum und die Welt nicht ausgesprochen.

Schiller w liście do Goethego w Weimarze 20 lutego 1802.



Dnia 29 października 1786 r. przybył 37-letni wówczas Goethe po raz pierwszy do Rzymu. Zabawił tu aż do kwietnia r. 1788 z trzymiesięczną przerwą między 21 lutego a 5 czerwca 1787 r., gdy wyjechał do Neapolu i na Sycylię. Zamieszkał na Corso pod Nr. 18 w pobliżu Piazza del Popolo, razem z swym przyjacielem, malarzem Tischbeinem, oraz paru innymi malarzami. Wogóle przyjaciół, na których czele stała słynna Angelika Kauffmann, nie brakło mu w wiecznym mieście. W ich gronie zwiedzał osobliwości Rzymu, którym był wprost oczarowany, a pozatem pisał bardzo wiele, studjował starożytnych autorów, oddawał się naukom przyrodniczym, rysował, malował.

Lecz choć

ogładał kościoły, pałace, ruiny, kolumny,
Jak to rozsądny zwykł mąż, korzystać z podróży chcąc mieć

i choć

Tak ożywione tu wszystko w murach twych świętych, o Rzymie,
Grodzie wieczysty, lecz mnie głuchy wydaje się świat.

Czemu? Bo na wszystko patrzył trzeźwemi oczyma, bo
w sercu czuł dziwną pustkę, która sprawiała, że te „kościół,
pałace, ruiny, kolumny“, widział jakby w szary dzień pochmurny,
a więc nieme, martwe i bezbarwne, gdy tymczasem on pragnął
je widzieć oświetlone południowem słońcem. Tem słońcem zaś,
któreby potrafiło ożywić wszystko, pod którego fascynującym
wpływem „odezwałyby się głosy, przemówiłyby wysokie pałace,
ulic zabrzmiałby głos“, mogła być tylko miłość! Ona jedna była
zdolną, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ten cały
święty Rzym przeobrazić w świątynię Amora.

Bo

Światem, zaprawdę, ty, jesteś, o Rzymie, lecz bez miłości
Nie byłby światem i świat, nie byłby Rzymem i Rzym.

Jakkolwiek spełniło się marzenie poety, iż po tylu latach
tęsknoty za wiecznem miastem, nareszcie stąpał po jego ulicach
i gruzach, to jednak spełnione marzenie jeszcze nie wykluczało
tęsknoty za jakimś kochającym sercem niewieściem, do którego
się wyrывało jego serce, a przez którego czarowny pryzmat
patrzyłby na otaczający go świat, na Rzym zaś w pierwszym
rzędzie.

Któż mi podszepta, w którym ja oknie zobaczę urocze
Dziewczę, co, niosąc mi żar, i pokrzepienie ma nieść?
Czyż nie przeczuwam tych dróg, któremi już zawsze i zawsze
Do niej i od niej mi iść wypadnie, nie bacząc na czas?...

Tymczasem, jako sławny poeta, jako twórca *Cierpień młodego
Werthera*, którym go zanudzano poprostu, choć bawił we Włoszech
incognito, chciał czy nie chciał, musiał udzielać się światu, musiał
żyć życiem towarzyskiem, tak samo czczem w Rzymie, jak
i w Weimarze, czem bywał doprowadzany do rozpacz.

Znać nie zdoła mię świat gronem swych panów i pań.
Mówcie o wujach i stryjach, o starych kuzynkach i ciotkach,
Sztynnej rozmowy niech tok nudna przeplata wam gra.
Bądźcie też zdrowi, wy wszyscy, w małych czy wielkich tam kołach;

Z wami jam często aż zbyt bliskim rozpaczy już był.
 Politykujcie bez celu i każdą powtórzcie opinię,
 Co za podróżnym tuż w trop wściekle podąża przez świat..
 Tak ja musiałem dotychczas, gdzieś stąpił i gdzie się ruszyłem
 Słuchać narzekań na lud, sarkau na królów i rząd.

W ten sposób upłynęło mu pół roku przeszło. Dopiero gdy wrócił w czerwcu z Neapolu, wraz z nadejściem lata zaczęło się dlań nowe błogosławione życie, opromienione szczęściem miłości¹⁾.

Tą szczęśliwą wybranką losu, której tym razem było sądzone pokochać „męża wielkiego na ziemi“, a tem samem przejść do nieśmiertelności, była 23-letnia Faustina di Giovanni, trzecia córka Agostina di Giovanni i Angeli Carucci, właścicieli popularnej osterji *Campana* na Via di Monte Savello Nr. 78 w pobliżu teatru Marcellusa. Urodzona w r. 1764, poślubiła w r. 1784 Domenika Antonini, który ją jednak odumartł już w pół roku po ślubie, zostawiając jedyne go syna-pogrobowca. Ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa, gdy została wdową, Faustyna wróciła pod dach rodzicielskiego domu, więc można mieć prawie pewność, iż jej pierwsze spotkanie i poznanie z Goethem, który z swymi przyjaciółmi bywał częstym gościem w austerji *Campana*, nastąpiło tamże. Austerję tę po śmierci ojca Faustyny prowadził jej „wujaszek“ razem z wdową po Agostinie. Ten „wujaszek“ był też głównym opiekunem Faustyny, jakby jej drugim ojcem.

„Z ducha i krwi Rzymianka“, Faustyna tem się różniła od zwykłego typu cór Rzymu, że miała niebieskie oczy, co jej oczywście, przy niezwyklej urodzie, tem większego dodawało uroku. Straciwszy ojca, dosyć poniewierała przez matkę, która mało troszczyła się o nią i jej cnotę, zrazu, gdy była małą dziewczyną, nie zapowiadała się jako szczególnie urodziwa, a że była „dzieckiem niezwykłym“, więc nie mogła się pochwalić szczególną sympatją znajomych, co z niej wogóle czyniło rodzaj Kopciuszka.

W to, iż, jak mówisz, nie podobaaś się ludziom ni matce,
 Za dziecinnych swych lat, wierzyć nietrudno mi jest.
 Zanim w cichości urosłaś, najmilsza, musiałaś istotnie
 Dzieckiem niezwykłym ty być, chętnie przyznaję to sam
 Kwiat winogrodu nikogo nie nęci swym kształtem lub barwą,
 Ale z dojrzałych już gron rozkosz ma człowiek i bóg.

¹⁾ Nie można powiedzieć nic pewnego w tej kwestji, ale w każdym razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że miłość Goethego, która go natchnęła do napisania *Elegji rzymskich*, zaczęła się po jego powrocie z Neapolu i Sycylii, i że w lecie, w okresie żniw, i jesienią, podczas winobrania, już święciła swe apogeum. Tego się pozwalają domyslać wzmianki o żniwach i winnicach, zawarte w *Elegji XII. i XVI.*

Rozkosz ta, gdy Faustyna wyrosła na dorodną dziewczynę, a zwłaszcza odkąd została młodą wdową, zaczęła nęcić bardzo wielu mężczyzn, zarówno ze stanu świeckiego, jak duchownego: ona jednak, uczciwa i prawa z natury, wcale nie myślała o tem, by frymarczyć swymi wdziękami, co jej matce, przeciwnie, wcale się nie wydawało tak karygodnem. Na szczęście córka nie wrodziła się w matkę, a choć matka, bardziej praktyczna i łapczywa na pieniądze, na niejedno patrzyłaby przez palce, to córka odpornie zachowywała się wobec różnych pokus, z największą odrazą odpychając zaloty różnych wielkich panów rzymskich, albo wysokich duchownych, wśród których nie tylko kanonicy, ale i pralaci grzesznie zabiegali o jej względy..

Ona, co tyłu jest westchnień przedmiotem, unika zasadzek, Które zuchwały jej frant, chytry zastawia jej lis.

Jakoż, choć od trzech lat blisko była wdową, nikomu się nie udało pochwycić jej w swe sidła.

W Rzymie duchownym, tak trudno uwierzyć, a jednak przysięgam,
 Że nie pochłubił się ksiądz, by mię w objęciach swych miał:
 Biedna ja byłam, niestety, i młoda, i dobrze im znana...
 Falconieri nieraz śmiało zaglądał do ocz,
 I Albaniego stręczyciel niejedną znaczącą mię kartką
 Wabił do Ostji, to znów kazał do fontan mi iść.
 Lecz kto nie przyszedł? Dziewczyna. Bo też od serca nie mogę
 Pończoch czerwonych ja znieść, do fioletowych mam wstręt.
 „Bo ostatecznie dziewczęta najgorzej na tem wyjdziecie“:
 Mawiał mój ojciec, choć lżej matka to brała, niż on.

Cóż dziwnego tedy, że i dorodny twórca *Ifigenji*, gdy ujrzał Faustynę, będącą „tyłu westchnień przedmiotem“, również zapłonął żądzą ku niej, że i on od pierwszej chwili uległ czarowi tych szafirowych oczu, że zachwycony jej urodą, jej powabem niewieścim, jej piękną, iście klasyczną budową, jej rasowością Rzymianki „z ducha i krwi“, jej całą ujmującą postacią, od pierwszej chwili, gdy się zbliżył do niej, gdy z nią wszczął rozmowę, zaczął wysilać się w jednym kierunku wyłącznie, by te same uczucia, które ona wzbudziła w nim, rozbudzić i w niej również, by ją usidlić swoją miłością, tak, iżby i jej serce zabiło miłością ku niemu, równie namiętą, równie płomienną. I nie przyszło mu to trudno: bo nie należy zapominać, że Goethe wtedy był jednym z najpiękniejszych mężczyzn swego czasu, że zbudowany, jak Antinous, jak Apollo Belwederski, był cudnym mężczyzną o kruczonych włosach, o czarnych ognistych oczach, o niepokalanie regularnych rysach, z wyrazem genjuszu na twarzy. A przytem był poetą, który, gdy się zapalił miłością ku kobiecie, miał

wszelkie dane po temu, by ją oczarować, olśnić, rozkochać, uwieść. Nadto był prawdziwym mężczyzną, a więc przedsiębiorczym, zdobywczym, energicznym, śmiałym, silnym, nie cofającym się przed niczem, gdy chodziło o pierwszy pocałunek, o porwanie w objęcia, o wążenie się na krok stanowczy. To imponuje kobietom.

Zaimponowało też i Faustynie, która na pierwsze wyznanie od razu odpowiedziała wzajemnością, a na pierwsze pożądanie... oddaniem się... Tego samego dnia, w którym poznała poetę, została jego kochanką.

Szczęście, gdy się nadarzy sposobność, trzeba umieć chwycić w lot, bo inaczej gotowo się wymknąć i nie wrócić. *Audaces Fortuna juvat*. Fortuna zaś, ta bogini szczęścia, ma rodzoną siostrę, która również okazuje się najłaskawszą względem śmiałych i silnych.

Kto ta bogini? S p o s o b n o ść jej nazwa, o, chciejcie ją poznać!

Często okaże się wam, zawsze zaś inny ma kształt.

Córką Proteusa mogłaby być narodzoną z Tetydy:

Podstęp zmienniczych jej sztuk wielu herojów już zwiódł.

Tak też ich córka i niedoświadczonych uwodzi i głupich:

Drażni cię zawsze, gdy śpisz, znika, gdy minął cię sen;

Chętnie oddaje się tylko prędkiemu, czynnemu mężczyźnie:

Miłą, łagodną dlań jest, pieśczęt nie szczędzi ni łask.

Niegdyś i ja ją ujrzałem, smagłąwą dziewczyne, jej włosów

Ciemny, bogaty był splot, spadał jej bujnie na skroń,

Krótkie kędziorki zwiły się zgrabnie wokół jej szyjki,

Niezapleciony jej włos wdzięcznie na czole się wił.

Zaraz poznałem spieszącą, schwyciłem, i za to miłosny

Całus i uścisk jej słodką nagrodą mi był.

Jakiż ja byłem szczęśliwy!...

Niemniej szczęśliwą była i ona również, tylko, że jej szczęście mąciła obawa, czy ten wyśniony kochanek nie pomyśli czego złego o niej, iż mu oddała się tak prędko, tak od pierwszego razu. Czy nie pomyśli sobie, iż jej to nie pierwszyczna, czy w nim to nie zbudzi podejrzenia, iż tak samo, jak jemu, już oddawała się i innym? Jakoż żałowała tej swojej lekkomyślności, tej łatwości, z jaką mu się ją zdobyć udało. Bała się, że on to gotów sobie wytłumaczyć opacznie. Gdy mu jednak zwierzyła się z tą troską, on uspakajał ją, jak mógł, tłumacząc, że właśnie tem ujęła go sobie najbardziej.

Proszę cię, luba, nie żałuj, żeś mi tak prędko uległa:

Urok twój dla mnie i czar ani się zmniejszył ni zbladł.

Różnie działają strzały Amora: jedne zadrasną,

Pelen tajemnic ich jad, chorych trucizną jest serc;

Lecz upierzone potężnie z ostrzem świeżo zaciętem

Drugie przenikną aż w głąb, prędko zapalą nam krew.

W czasach herojów, gdy jeszcze boginie kochały i bogi,
 Żadę za sobą wiódł wzrok, rozkosz za rządzą szła w ślad.
 Myślisz, że długi był namysł bogini miłości, gdy niegdyś,
 Tam, gdzie Idajski rósł gaj, w oko Anchizes jej wpadł.
 Luna spieszyć się musiała z pocałowaniem młodzieńca,
 Bo by Aurory go w lot zazdrość zbudziła ze snu...

W ten sposób pocieszana przez poetę Faustyna prędko przestała żałować swej skwapliwości w oddaniu się kochankowi; a że ten genjusz-kochanek posiadał wszystkie dane, by w sobie rozkochać kobietę, by w jego objęciach mogła zaznawać najwyższych rozkoszy i upojeń, jakich kobieta wogóle może zaznać na ziemi; że nadto Goethe, niemniej zakochany w pięknej wdówce, wszystko czynił ze swej strony, by jej uprzyjemnić i umilić rolę kochanki; i że wogóle Faustyna, odkąd się mogła poszczycić miłością Goethego, nie doznawała żadnego braku, gdy chodziło o zaspokojenie materialnej strony życia: więc każdy dzień, jaki przeżywali razem, stawał się nowym dniem szczęścia...

Goethemu, który dotąd cały był pogrążony w studjach nad Rzymem i starożytnością, nie żał było czasu na tę płomienną miłość. Nie troszczył się o to, że mu kochanka pochłania dnie i noce, że te godziny, które jeszcze do niedawna poświęcał autorom klasycznym, pracy literackiej i artystycznej, teraz oddawał Faustynie. Nigdy nie myśląc nie być posłusznym Amorowi, którego rozkazy zawsze dlań były święte, i obecnie z całą swobodą pełnił miłą służbę u tego wszechwładnego pana, nie żałując, iż mu kochanka

Wszystek zabiera czas, zmysłów pozbawia i sił.

To więcej warte, niż studja!

Para kochanków wymienia spojrzenia, uściski, całusy,
 Słodkich nie braknie też słów, dziwnie rozkoszna ich treść.
 Szept ich zamienia się w gwar, jakanie w najmiłszą rozmowę:
 Nie zna prozodji ten hymn, przebrzmi bez rytmu i miar.

Dla Faustyny, odkąd poznała poetę, zaczęło się używanie. Przedewszystkiem, dzięki temu dorodnemu *forestierowi*, skończyły się dni biedy i niedostatku, a przyszła kolej na zadowolenie z życia, którego dopiero teraz po raz pierwszy kosztowała w całej pełni. Już to samo, że mogła się ubierać ładnie i modnie, że sobie mogła sprawiać nowe suknie, że kochanek-poeta, a przytem wielki pan w każdym calu, nie szczędził grosza, gdy chodziło o zaspokojenie jej zachcianek, że nie żałował na nic, co tylko mogło jej sprawić przyjemność, już to samo przejmowało ją zachwytem i radością.

Nie dba o żadne ploteczki, nowinki, lecz śledzi troskliwie,
 Czego też pragnie ten mąż, który jej władcą się stał.
 Ona zachwyca się nim, tym cudzoziemcem swobodnym,
 Co kreśli obrazy swych gór, śniegiem pokrytych swych chat.
 I odwzajemnia płomienie, które mu w łonie zapala,
 Rada, iż złoto nie tak, jako Rzymianie, ma w czi.
 Gdy do teatru chce jechać, powóz jest na rozkazy.
 Lepszy ma także i stół, sukni jej również nie brak.
 Matka i córka radują się gościem swoim północnym:
 Tak barbarzyńiec w swą moc rzymskie wziął serce i wdzięk ¹⁾.

„Uszczęśliwiany w dwójnasób, choć tylko przez pół wzbo-
 gacony wiedzą“ co uważał za jedynie rozumne rozwiązanie ży-
 ciowego problemu ²⁾, Goethe chętnie odkładał na bok swe za-
 trudnienia naukowe i literackie, jeśli tylko ten czas mógł spędzić
 razem z Faustyną. A spotykali się często: czy to w ogródku
 Faustyny, przylegającym do jej rodzicielskiego domu, gdzie „bez
 troski i strachu, bez żadnego niebezpieczeństwa oddawali się
 rozkoszy“ ³⁾, czy to w winnicy „wujaszka“, gdzie sobie często
 naznaczali schadzki, ażeby się ukryć przed wzrokiem ciekawych,
 czy to za miastem na polach Kampanji, dokąd jeździli powozem,
 a gdzie przyglądali się żniwom, czy to na Corso i ludnych placach
 Rzymu, gdzie łatwo mogli zgubić się w ciżbie.

Któregoś dnia, gdy mieli się spotkać w winnicy, gdzie mu
 Faustyna wyznaczyła schadzkę, Goethe ujrzał jakiegoś mężczyznę,
 w którym domyślił się wuja swej lubej. i szybko poszedł dalej,
 nie chcąc narażać kochanki. Tymczasem cóż się okazało? Że
 tym domniemanym wujaszkiem, którego tak się przestraszył poeta,
 był... strach na wróble, dzieło samejże Faustyny.

„Czemuż to, o mój najdroższy, dziś nie przyszedłeś do winnic?
 Wszak ci mówiłam, że tam samą zastaniesz mię dziś“.

— Właśnie wchodziłem, o luba, wtem na nieszczęście dostrzegłem wujaszka;
 Pośród winnicy on stał, dreptał i kręcił się w krąg.
 Chyłkiem co rychłej uciekłem.

„Ach, jakaż cię zwiodła pomyłka!

Wujem mniemanym był strach: ptaki odstraszać on miał.
 Samam przyczyną mej straty, bom pomagała mozolnie
 Zlepieć straszidło z trzciny, z starych rupieci i szmat.
 No, i spełniło się starca życzenie! Spłoszony dziś ptaszek.
 A niebezpieczny to ptak, bo siostrzenicę mu skradł!“

¹⁾ W oryginale: Und der Barbare beherrscht römischen *Busen und Leib*.

²⁾ Bin ich auch halb nur gelehrt, bin ich doch doppelt beglückt.

³⁾ W Elegji II. z pomiędzy 4-ch wykluczonych *Elegji rzymskich*, pisze
 Goethe:

O! So gebet mir stets, sobald ich dem Schelmen vertraue,
 Ohne Sorgen und Furcht, ohne Gefahr den Genuss.

W czasie przechadzek po rozłogach Kampanji, gdy się czuli niestrzeżeni przez nikogo, sami zupełnie, a gdy zdaleka, od strony drogi flamińskiej, dochodziły ich śpiewy powracających żniwiarzy, Goethe opowiadał swej lubej, jak to starożytni Rzymianie obchodzili święto Cerery, i w jaki sposób w „świętą noc“ po ukończonych żniwach czcili boginię płodności, Demeter.

Słyszysz, o luba, wesole te krzyki na drodze flamińskiej?
Są to żniwiarze, co tak spieszą pod własny znów dach.
W stronach dalekich, skończywszy już żniwo dla Rzymianina,
Więca Cererze na cześć nie zwykli teraz już wić.
Żadnych festynów już teraz nie ma ta wielka bogini.
Choć miast żołądzi z jej łask złotą pszenicę ma świat.
Więc tu we dwoje obchodźmy jej święto w radości i ciszy:
Dwoje kochanków wszak to cały dla siebie jest lud!

Że jednak Faustyna nie wiedziała, na czym zasadzały się te eleuzyjskie obchody mistyczne, które Rzymianie przejęli od Greków, więc jej Goethe nie omieszkiał tłumaczyć wymownie, w jaki to sposób, podczas tej „nocy świętej“, biało przebrani młodzieńcy tracili swą niewinność, a młode, bardziej doświadczone żniwiarki uganiały się za ich cnotą...

W białą sukienkę przyodzian, by niewinności mieć znak,
Ze drżeniem czekał nowicjusz...
I wprowadzony błąkać się musiał wśród różnych postaci
Kształtów przedziwnych, i snem wszystko zdawało się mu.
Więc tu pełzną po ziemi, tam znowu zamknięte szkatułki
Niosą dziewczęta, a ktoś zdobi bogaty ich skroń.
Bardzo znaczące ruchy, mrucząc, robili kapłani...
Z niespokojności on drżał, światła by ujrzeć już blask.
Próby dopiero odbywszy pierwsze, zobaczył nareszcie,
Co uświęcony ten lud w dziwnych obrazach tam krył
Jakaż to więc tajemnica? Ta, że Demeter, wielka Demeter,
Także łaskawą choć raz dla bohatera być chce.
Gdy Jazonowi, dzielnemu Krety królowi, zezwala,
By nieśmiertelnych on ciał poznał tajniki i wdzięk.
Szczęśna, ach, szczęśna ta Kreta! Łoże małżeńskie bogini
Kłosów napęłnił tam stos, w polach obfity był zbiór.
Reszta zaś świata niedolę cierpiała, ponieważ w rozkoszach
Ceres nie dbała już nic, jaki tam innych jest los.
Pełen zdumienia wysłuchał bajeczki tej wtajemniczony...
Skinął na lubą...

Podobnie uczynił i Goethe, który, gdy Faustyna wysłuchiwała tej jego opowieści, rzekł do niej w końcu, wskazując na ocienione miejsce pod krzakiem mirtu:

— Czy ty, luba, rozumiesz ten znak?
Mirt ów krzaczasty ocienia ustronie zaciszne i święte...
Z naszej radości czyż świat dozna przykrości lub strat?

Gdy używali przechadzki po ludnych ulicach i placach Rzymu, Goethe, choć tak rozmiłowany w budowlach wiecznego miasta, na nic nie zwracał uwagi, tylko na Faustynę, poza którą nie widział niczego. Idąc z nią, obojętnie przechodził koło najpiękniejszych pałaców i zabytków, zwłaszcza, gdy wiedział, iż po tej przechadzce czeka go lubie sam na sam z ukochaną, w jej skromnem mieszkanku¹⁾, które dla niego stawało się wprost niebiańskim przybytkiem, jakimś zakątkiem raju na ziemi²⁾). Rozkochany w namiętnej Rzymiance, upojony jej pieszczotami, choć była to tylko kobieta z ludu, nie wyobrażał sobie, by w Rzymie mogła być druga kobieta, choćby nią miała być piękna księżna Borghese, która by mu mogła dać więcej rozkoszy. w której uściskach i pocałunkach mógłby znaleźć więcej ziemskiego szczęścia...

W godzinach popołudniowych, gdy zapelniają się wszystkie oberże, i Goethe również miał zwyczaj razem z przyjaciółmi spędzać parę godzin na rozmowie przy winie w osterji. Samo się przez się rozumie, iż odkąd poznał się z Faustyną, oberżą, do której w takich razach zachodził najczęściej, była Osterja Campana przy Via di Monte Savello. A że zakochani doskonale znają się na wybiegach i podstępach, którymi swe najbliższe otoczenie potrafią wyprowadzić w pole, więc i oni, choć każde siedziało przy innym stoliku, umieli się porozumiewać między sobą w ten sposób. że ani przyjaciele Goethego, ani matka i wój Faustyny nie domyślali się niczego, ani widzieli cośkolwiek.

Zwłaszcza od dzisiaj serdecznie i pięknie pozdrawiam oberżę
I witam Osterję, jak was zgrabnie Rzymianin tu zwie.
Bo pokazałyście dzisiaj mi lubą przy boku wujaszka,
Temu zaś ani się śni, że ja stosunek z nią mam.
Siedzę przy stole, otoczon poufną rodaków gromadką,

¹⁾ W pierwszej z czterech wykluczonych *Elegji rzymskich* pisze Goethe:

Amor führte mich klug allen Palästen vorbei.
Ihm ist es lange bekannt, auch hab ich es selbst wohl erfahren,
Was ein goldnes Gemach hinter Tapeten verbirgt..
Uns verführten sie nicht die majestätschen Façaden,
Nicht der galante Balcon, weder das ernste Cortil.
Eilig ging er vorbei, und niedre zierliche Pforte
Nahn den Führer zugleich, nahn den Verangenden auf.
Alles verschafft er mir da, hilft alles und alles arhalten,
Streuet jeglichen Tag frischere Rosen mir auf.

²⁾ Hab ich den Himmel nicht hier?... Was gibst du schöne Borghese,
Nipotina was giebst deinen Geliebten du mehr?
Tafel, Gesellschaft und Tors und Spiel und Oper und Bälle,
Amorn rauben sie nur oft die gelegenste Zeit.

Zob. *Vier ungedruckte Römische Elegien* str. 43.

Siedli przy drugim zaś tam ona przy matce i wuj.
 Ławkę posuwa raz wraz i nareszcie tak zgrabnie usiadła,
 Żebym twarzyczki jej pół, cały zaś widział jej kark.
 Głośniej mówiła, niż zwykle Rzymianki, i nalewała,
 Lecz gdy ją spotkał mój wzrok, nagle przelała na stół.
 Wino pociekło po stole, a potem jej śliczny paluszek
 Mokre na stoie tam snuł kształty zygzaków i kół.
 Widząc, że pilnie uważam, złączyła nasze imiona;
 Chciwie połykał mój wzrok każdy paluszka jej ruch.
 Wreszcie z pośpiechem rzymską piątkę narysowała,
 Przed nią jedynie i w lot, skorom zobaczył ten znak,
 Kreśli litery i kołka, by zmazać litery i cyfry,
 Ale już czwórka mi ta w oku została i tkwi.
 Jeszcze daleko do nocy, a potem aż cztery godziny!
 Słońce! ach, będziesz-że stać, patrzeć, spokojnie na Rzym?...
 Dzisiaj przynajmniej nie baw tu długo i rychlej swe oczy
 Odwróć od siedmiu tych wzgórz, odwróć łaskawie je stąd!
 Grzeczność tę zrób dla poety i skróć te wspaniałe godziny,
 W których tu malarz i mistrz pieśni, zachwycił swój wzrok...
 Parko ma życia, ach, nieć mądrze powoli mi snuj!
 Ona zaś niechaj się zbliża rozkoszna wiadoma godzina!
 Szczęsny, czy słyszysz ją już? O nie, lecz słyszę już trzy.
 Tak to, o Muzy najmiłsze, znów oszukałyście długość
 Chwil rozłączenia, co trwać mogłoby dłużej niż wiek,
 Bądźcie mi zdrowe! Ja spieszę, nie bojąc się waszej obrazy,
 Bo choć wy dumne, to nie, Amor jest drogi i wam.

Znaczyło to, że poeta, chcąc sobie skrócić godziny koniecznej rozłąki z ukochaną, gdy mu wypadło czekać na chwilę spotkania się z nią, przez ten czas, zamiast siedzieć beczynnie, powierzał się opiece Muz, t. j. zasiadał do pracy literackiej, a Muzy sprawiały, że mu czas upływał szybko, tak, że ani się spostrzegł, gdy nadchodziła pora pójścia do Faustyny.

Bywało rozmaicie: albo on chodził do niej, albo ona przychodziła do niego. W pierwszym wypadku, żeby swą wieczorną wizytą nie budzić podejrzenia sąsiadów, a zwłaszcza sąsiadek kochanki, Goethe przebierał się w ten sposób, że na pierwszy rzut oka robił wrażenie... księdza.

Czyś bez rozwagi nie wchodził tu często przy blasku księżyca
 W ciemnym surducie, a włos zaokrągląłeś, jak ksiądz?
 Czy nie wybrałeś sam sobie figlarnie maski duchownej?
 Prałat że miałby to być? Dobrze więc, prałyt to ty!

Ale panieważ te jego nocne odwiedziny dosyć się rozmijały z „rozwagą“, bo łatwo mogły obudzić podejrzenie znajomych Faustyny, nie mówiąc o jej wuju (bo matka zdawała się domyślać wszystkiego). więc najczęściej, gdy wieczór zapadł, on z niecierpliwością oczekiwał jej przyścia, nie mogąc się doczekać tej chwili, w której ją ujrzy skradającą się ku jego domowi.

— Zapal mi lampę, mój chłopcze!

„Wszak jeszcze nie ciemno i szkoda
Olej marnować i knot, okna zapuszczać tak wczas!
Zaszło dopiero za domy, a nie poza góry słoneczko:
Minie godzina i pół, zanim zadzwonią na noc“.

— Chłopcze nieszczęsny, idź i posłuchaj! Na dziewczę me czekam;
Lampki tymczasem niech blask słodką zwiastuje mi noc.

W ciągu zimowych miesięcy, gdy zimno było na dworze,
poeta troszczył się o to, by jego luba, przyszedłszy do niego,
zastawała ciepło w pokoju; to też nie szczędził opału, a każdego
wieczora, gdy miała przyjść Faustyna, bezpośrednio przed jej
przyjściem kazał rozpalać ogień na kominku.

Świeci jesienne tu płomień z wiejskiego miłego ogniska,
Pryska i błyszczy i w lot z sykiem do góry się pnie.
Tego wieczora on cieszy mię bardzo, bo zanim na węgiel
Płonie palący się chróst, schyli pod popiół się żar,
Srzyjdzie ma luba dziewczyna, zapłoną polanka i drzazgi,
I ocieploną tak noc w świetny zamieni się raj.

Aż nareszcie kończyły się chwile niecierpliwego oczekiwania;
Faustyna zjawiała się na progu...

Przemknie się zgrabnie i zręcznie pomiędzy tłumami w ulicę,
Gdzie spragniony kochanek wie już, którą ma przyjść...
Wstrzymaj się, Luno! Nadchodzi! Ażeby jej sąsiad nie dostrzegł,
Wiej mi, wietrzyku, o wiej! Zrób niesłyszalnym jej chód!

Niestety, ten sąsiad, którego tak się obawiali kochankowie,
miał czujnego psa, który prawie zawsze, ile razy Faustyna skra-
dała się pod dom Goethego, zaczynał szczekać, czem zrazu
budził niepokój w poecie.

Różne są tony nieznośne i przykre, lecz z wszystkich najbardziej
Wstrętne szczekanie mi psów, drażni straszliwie mój słuch.
Jeden jest tylko wyjątek: jednego przyjemnie mi słuchać:
Mego sąsiada to pies miłym wyjątkiem tym jest.
Raz był zaszczeakał na moją dziewczynę, gdy się skradała
Cicho, ostrożnie w mój dom: omal nie zdradził on nas.
Heleć teraz zaszczeaka, natychmiast pomyślę: to ona!
Albo wspominam ten czas, kiedym u siebie ją miał.

Niezapomniane to były noce miłości. Ale bo też trudno było
o bardziej zakochaną parę dorodnych kochanków, bardziej
pewnych swej wzajemności i wierności. Nie dziw więc, że uczucie,
które w całej pełni stawało się udziałem poety, w równej pełni
udzielało się i jego lubej. Bo cóż cudowniejszego nad miłość bez
żadnej obawy i troski, bez zazdrości i niepokoju!

Przeto Faustyna to szczęście ma. Wierną wiernemu jest ściśle,
 Chętnie podziela me łożę, słodko i błogo nam żyć.
 Przeszkód uroczych prędkie pożąda młodzieniec: ja lubię
 Mieć to napewno, co mam, długo używać tych dóbr.
 Jakaż to błogość w pewnych bezpiecznych całusów zamianie
 Życie i rozkosz jej ssać, życie i rozkosz też dać!
 Tak się długimi cieszymy nocami, słuchając, jak szumi
 Burza ulewna i wiatr, tuli do piersi się pierś!
 ...Trudno się ciągle całować, więc się i mądrze rozmawia.
 Gdy zaś ogarnia ją sen, myśli nawiedza mię tłum.
 Często już także w mej lubej objęciach poezje tworzyłem
 I hexametrę jam miar takty wybijał i rytm,
 Wodząc cichutko palcami po plecach słodko uśpionej.
 A od gorących jej tchnień żarem paliła się pierś.

Tak przechodziły mu całe noce, aż w końcu poprzez za-
 puszczone okna zaczynał wkradać się szary świt przy wtórze
 ćwierkającego ptactwa... Z zachwytem przypatrując się swej ko-
 chance, która, wyczerpana rozkoszą, spoczywała pogrążona w śnie
 słodkim, rozmarzony poeta, zbudzony brzaskiem poranku, sławił
 Aurorę, którą prawie co dnia mógł witać w chwilach takiego
 upojenia...

W tobie, Auroro, ja zawsze Muz przyjaciółkę widziałem.
 Czyliż i Ciebie już zwiódł Amor swawolnik i frant?
 Teraz Cię widzę z nim w dobrej przyjaźni. Na jego ołtarzu
 Budzisz śpiącego, by znów witał świąteczny go dzień!
 Główka spoczywa na mojem ramieniu, co szyjkę objęło;
 Bujnych włosów jej splot spływa rozkosznie na pierś.
 Jakież radosne ocknienie! O, chciejcie spokojne godziny,
 Pamięć utrzymać tych chwil, nim ukołysał nas sen!
 Ona porusza się we śnie i zsuwa na łoża szerokość,
 Choć odwrócona i tak rączki nie wzięta z mych rąk.
 Miłość serdeczna niezmiennie nas łączy i wierne pragnienie:
 Nie pożądamy też zmian, żądy jedynie to rzecz.
 Jedno jej rączki ściśnienie, i widzę jej oczy niebieskie
 Znowu otwarte. O nie! Obraz ten dłużej niech trwa!
 Bądźcie zamknięte! bo upajając, mieszając, macie
 Przypatrywania się czar cichy i czysty zbyt w czas.
 Kształty jej jakże wspaniałe, członki te jak utoczone szlachetnie:
 Piękna Arjadna, gdy śpi, uciec, Tezeusie, byś mógł?
 Ustom tym całus jedyny! Tezeusie, już odchodź, lecz spojrzuj,
 Gdy oczy otwarte, choć raz: wiecznie zostaniesz już z nią!

A gdy wreszcie zbudzili się oboje, budzili się z lubą nadzieją,
 iż znowu stoją u progu dnia rozkosznego, który im upłynie jak
 marzenie.

Brzaski poranku świtają i znowu przynoszą godziny,
 Nowych kwiatów nam pęk zdobi świątecznie ten dzień.

Tymczasem skrzętna Faustyna, przedewszystkiem rozniecała niezupełnie wygasły ogień w kominku, rozdmuchiwała węgielki, żarzące się pod szarym popiołem, dokładała drewek, a gdy ogień znów buchnął wesołym płomieniem, od którego lube ciepło rozchodziło się po całym pokoju, cieszyła się niem, bo w tem widziała symbol tego serdecznego ciepła, którem darzyła swego pięknego kochanka.

Rano nazajutrz krzątliwie opuszcza postanie miłości,
Wskrzesza popioły i wnet płomień roznieci i żar.
Bo nad innemi udzielił swej pochlebnicy Amor i daru
Radość rozniecać, nim mógł w popiół się zmienić jej żar.

A że każdy człowiek łatwo przywyka do dobrego, zwłaszcza, jeśli tem dobrem jest szczęście i radość z szczęśliwego życia, więc i poeta tak przywykł do tych nocy miłosnych, spędzanych razem z Faustyną, że gdy nie przyszła czasami, lub nie mogła go zaprosić do siebie, uważał, że mu się dzieje krzywda.

Ja wyznam to, przyjaciele, i powiem:
Bardzo nieznośna mi noc, jeśli przepędzam ją sam.

Ta radość życia, którą miał do zawdzięczenia Faustynie, nie mogła nie wywrzeć decydującego wpływu na chwilowe usposobienie Goethego, na jego sposób myślenia, ba, nawet na jego życiową filozofję, czysto epikurejską w tym okresie czasu, co przedewszystkiem objawiało się w postaci doskonałego humoru, idącego w parze z niczem niezamąconą pogodą ducha. Krótko mówiąc, czuł się szczęśliwym nad wyraz. Kosztując „owoców czystej natury“, czy też „złotych owoców żywota“¹⁾ i sycąc się niemi z nieograniczoną swobodą, przystrojony „kwiatami miłości“, wszystko widział w różowych kolorach, w słonecznych blaskach, tak, iż poprostu nie poznawał sam siebie, gdy się zastanowił nad swym nastrojem tutaj, a w kraju rodzinnym, gdzie „nad swem *Ja* w niewesołej tonął i cichej zadumie, śledząc ponure drogi, które wybiera nasz duch“.

Jakże ja w Rzymie szczęśliwym się czuję!...
Teraz me czoło oświeca jasnego eteru promienność:
Febus wywołał, on bóg, kształty i barwy na świat.
Błyszczą gwiazdami ta noc i miękkimi rozbrzmiewa pieśniami:
Milszy księżyc tu blask, niż na północy sam dzień.

¹⁾ Wyrazem te życiowej filozofji, zasadzającej się na użyciu i wyzyskaniu wszystkiego, co w życiu jest pięknego i przyjemnego, a brzydzącej się wszelką obłudą, jest wielce swywolna Elegja III. z pomiędzy czterech wykluczonych ze zbioru.

Jakaż tu błogość śmiertelnych udziałem! Śnię? Czy w ambrozyjski,
Ojcie Jowiszu, twój dom wchodzę szczęśliwy ja gość?...

Co pewna, że nigdy nie czułem się tak szczęśliwym, tak wesołym, tak zadowolonym z siebie, z życia, ze swojej doli.

Dziwnie wesoło się czuję na ziemi klasycznej, natchnionej.
Jaśniej, radośniej brzmi głos dawnych i nowych mi lat:
Lepiej rozumiem, co świat dawny i nowy mi dał.
Pomny słyszanych wskazówek, przerzucam dzieła pisarzy
Świata starego, raz wraz nowy odkrywam w nich wdzięk.
Ale po nocach inaczej zupełnie zatrudnia mnie Amor;
Przez to uczonym na pół, szczęsnym podwójnie jam jest.
Zresztą czyż nie jest nauką, gdy badam jej łona miłego
Piękną budowę i kształt cichem dotknięciem mych rąk!
Teraz dopiero marmury rozumiem; szukając porównań,
Widzi czujący mój wzrok, czuje patrząca ma dłoń.
Chociaż najmiłsza niejedną godzinę za dnia mi zabierze,
Za to, gdy przyjdzie już noc, hojnie odpłaca mi dług.

A przytem miał to szczególne szczęście, że nie tylko posiadał wymarzoną kochankę z temperamentem ognistym, która mu pozwalała kosztować maximum życiowej rozkoszy, tej rozkoszy, która jest najwyższą osłodą życia, ale nadto trafił na kobietę pocziwą wyjątkowo, dobrą, ze złotem sercem, bez żdźbła egoizmu, oddaną mu całą duszą, świata nie widzącą poza nim. To też, jako jej kochanek, znał tylko najlepsze strony miłości, wcale nie zaznając jej stron odwrotnych, które z nią — jeśli się trafi na kobietę przewrotną — tak często zwykły iść w parze. Wszystkiem tem, co tylu kochankom zatruwa najpiękniejsze chwile szczęścia, a przed czem on czuł instynktowy lęk, czego się brzydził poprostu, wcale się niepotrzebował niepokoić; bo Faustyna, zakochana w nim do szaleństwa, gotowa do wszelkich poświęceń dla niego, żadnych mu nie dawała powodów do jakichkolwiek obaw, nie mówiąc już o zazdrości, którą inne kobiety, będące, jak ona, „tylu westchnień przedmiotem“, tak lubią drażnić kochanków.

Ale już wcale obrzydła to sprawa na drogach miłości,
Pośród rozkoszy tu róż, węzów i trucizn się bać.
Gdy w najpiękniejszej już chwili, gdyś cały oddany radości,
Chyląc spokojnie twą skroń, troski posłyszysz ty szept.

On tego szeptu nie posłyszał ani razu, nie wiedząc wcale, co troska. Jedyną myślą ponurą, która go nawiedzała czasami, gdy tonął w objęciach swej lubej, była, tak często nieodłączna od wszelkiej ziemskiej rozkoszy, myśl o śmierci, posępne *memento mori*. Ale na szczęście i ta myśl nie zachmurzyła czoła Goethemu.

Jak przystało na hedonistę-filozofa, przedewszystkiem starał się użyć życia i miłości, używać ich jak najdłużej, ażeby z czasem, gdy przyjdzie ostatnia godzina, nie żałować zmarnowanych lat młodości. Tej zasadzie hołdował teraz w Rzymie, który dlań stał się istnym rajem na ziemi; a skoro mu się udało dostać do tego raju, przedewszystkiem myślał o tem, by w nim pozostać jak najdłużej.

Pozwól mi zostać, Jowiszu! później niech wiedzie mię Hermes
Mimo Cestiusa tam grób, w cichą Orkusa aż toń!

Umrzeć trzeba i tak, ale zanim się uśnie na wieki, należy korzystać z darów życia, a przedewszystkiem aż do ostatniej kropli wychylić czarę miłości i rozkoszy.

Aleksander i Cezar, i Henryk, i Frydryk, wielkimi nazwani,
Z sławy, którą otoczył ich świat, chętnie mi daliby pół,
Gdybym na jedną choć noc odstąpił im łoża mojego.
Ale, biedacy, ich w moc Orkus zagarnął już swą.
Ciesz się ty zatem, co żyjesz przybytkiem miłością ogrzanym,
Zanim straszliwa twych stóp Lethy nie dotknie się toń.

Inaczej miała się rzecz z Faustyną: ona, pomimo wszelkich upojeń miłosnych, pomimo, że niemniej była kochaną, niż kochała sama, jednak miewała chwile smutnej zadumy, w których troska zakradała się do jej namiętnej duszy. Tą troską była myśl o wyjeździe poety, który przecież na zawsze nie mógł pozostać w Rzymie. Prędzej czy później wyjedzie, a wtedy co stanie się z nią? On, wyjechawszy, prędko zapomni o niej, pocieszy się z inną, ale ona...

„To też i jam nakoniec oszukana istotnie. Ty gniewasz się na mnie
Tylko pozornie, bo chcesz uciec w daleki już świat.
Idź więc! Ach, wy kobiet jesteście niegodni! My biedne nosimy
Dzieci pod sercem i tam wierność nosimy też my.
Wy zaś, mężczyźni, strząsacie ze siebie w naszych uściskach
Razem ze żądzą i kwiat waszej miłości i sił“.
Tak przemawiała kochanka i wzięła małego na ręce,
Tuląc do serca, a łzy gorzkie trysnęły z jej ocz...

Drugą troską Faustyny, a tym razem już i troską poety, były plotki, które po pewnym czasie zaczęły krążyć o ich stosunku, plotki, rozsiewane zwłaszcza przez zazdrosne sąsiadki, nie mogące strawić... nowych sukien Faustyny. Wypatrzonego poetę, jak w nocy wchodził do domu swej lubej, jak stamtąd wychodził nad ranem, jak po nią zajeżdżał powozem, by ją zabrać do teatru, a przedewszystkiem spostrzeżono, że młodej wdowie powodzi się

lepiej, że chwilowo opływa we wszystko, czego nie miała ani za życia męża, ani w czasie żałoby po nim. Stąd komentarze, szykany, które martwiły Faustynę, a irytowały Goethego, czasem aż doprowadzając go do wściekłości. Mitygowała go Faustyna, tłumacząc mu, iż należy ponosić skutki swego postępowania, ale ten argument nie przekonywał poety.

Czy ty mię możesz, okrutny, takimi zasmucać słowami,
Twardych i przykrych tak mów czy wy przywykliście tam?
Jeśli oskarża mię lud, to muszę to ścierpieć, a zresztą
Czyż ja niewinna? Lecz, ach! z tobą li winną jam jest!
Suknie te świadczą zazdrosnej sąsiadce, iż przycichł
Wdowy samotnej już płacz, że zapomniany już mąż.

Jakoż niebawem rozeszła się fama po całej dzielnicy, osławiająca Faustynę, co oczywiście dla niej stało się powodem wielu przykrości, rosnących z dniem każdym. Ubolewał nad tem Goethe, czemu dał poetyczny wyraz w Elegji XIX., w obszernej powieści o zatargu bogini Famy ze wszystkimi bogami Olimpu, a zwłaszcza z Amorem. Odtąd para kochanków, żeby nie wiedzieć jak była ostrożną, zawsze się musi narazić na przykrości ze strony Famy, to jest na ludzkie gadania, co im oczywiście zatruwa niejedną chwilę miłości i szczęścia.

Truano jest dobre imię zachować, bo Fama oddawna
Toczy z Amorem, ja wiem, panem mym, wojnę i spór...

I niech tylko spostrzeże kogo, kto jest w konszachtach z Amorem, zaraz mu da się we znaki, zaraz nań wypuści całą sforę plotkarzy i plotkarek. Nieubłagana to bogini, a szczególnie nienawidząca psotnego syna Afrodyty.

Niech z nim spostrzeże cię raz, wroga odrazu w niej masz.
Straszy cię wzrokiem surowym i miną wzdurliwą, i ostro
Zaraz osławi ten dom, który odwiedza ten gość.
Tak się to dzieje i ze mną, cierpię już trochę; bogini
Śledzi z zazdrości mnie już, mej tajemnicy chce dojść.
Lecz to odwieczne jest prawo: ja milczę i trwam w uwielbieniu...

Milczał istotnie, bo dyskretnym był z natury, a zresztą uważał, że dyskrecja, gdy chodzi o miłość kobiety, jest pierwszym przykazaniem mężczyzny.

Siła ozdabia mężczyznę, swobodna odwaga i męstwo,
Lecz nad dyskrecję już nic droższem nie winno mu być.

Ale poecie, gdy kocha, trudno jest być dyskretnym zupełnie. Jeżeli chodzi o ludzi, o przyjaciół, powinien mieć usta zamknięte dla wszystkich. Ale co ma począć, gdy ta miłość stanie się źródłem poetyckiego natchnienia?... Podobnie stało się i z Goethem w danym wypadku. Żadnemu z przyjaciół, choć ich miał tylu pewnych w Rzymie, nie zwierzył swej tajemnicy, ani Tischbeinowi, ani Volkmannowi, ani Reiffensteinowi, ani tembardziej Angelice Kaufmann, lub Magdalenie Riggi. Ale co począć z Muzą? Co miał zrobić ze swoim talentem, który pod wpływem romansu z Faustyną, niby źródło ze skały, nagle zaczął wytryskać poezją? Czy i wobec niej miał stosować prawa dyskrecji?

O Milczycielko! Ty miast poskramiaczko i ludów władczyni,
Drogie me bóstwo, co dróg pewnych wskazałaś mi szlak!
Jakiż spotyka mię los? Żartobliwie otwiera mi Muza,
Amor otwiera mi, frant, zamki milczących mych ust.
Królów już nawet niesławy, ach, jakże trudno jest ukryć!...
Trudniej o wiele jest piękną ukryć mą tajemnicę:
Czucie w głębi jest serc, łatwo się ciśnie do ust.
Ni przyjaciółce powierzyć ją można: łajałaby pewnie;
Ni przyjaciołom, bo wnet zradną zastawią mi sieć.
Moje zachwyty gajowi powierzać, spowiadać się skałom;
Na to nie młodym już dość, nie dość samotny jam jest.

Więc

Hexametrowi się zwierzam, pentametrowi poruczam,
Jaki rozkoszny z nią dzień, jak uszczęśliwia mię noc.

Tak było istotnie. Milczący wobec przyjaciół, Goethe, gdy był sam, chwile rozłąki z Faustyną osładzał sobie i skracał pisanem erotyków o niej.

Miłość sprowadziła natchnienie poetyckie, co Goethe, od dłuższego już czasu nie tworzący w zakresie liryki, wyraził w symbolicznej formie następujących perswazji Amora:

Przyszedł raz do mnie i rzekł: „Jeszcze zaufaj mi raz!
Czyste są moje zamiary; tyś życie i twórczość poświęcił,
Wdzięcznie uznaję i wiem, tylko mej chwale i czci.
Patrz! towarzyszę ci za to aż tutaj do Rzymu i chciałbym
Szczerze wśród obcych tych stron dowód grzeczności ci dać.
Każdy narzeka podróżny na złe ugoszczenie w tem mieście,
Lecz gdy polecę go ja, pysznie ugoszczon tu jest.
Ty ze zdumieniem oglądasz ruiny odwiecznych budowli,
Wiedzie poważna cię myśl wśród uświęconych tych miejsc,
Jeszcze goręcej podziwiasz tu cenne pomniki twórczości
Mistrzów wybranych; jam był stały w pracowni ich gość!
Kształty te sam ja tworzyłem, nie chwałę się, wierz mi tym razem,
Przyznasz mi pewnie to sam, prawdę poświadczysz mych słów.

Odkąd leniwiej mi służysz, gdzie kształty podziały się piękne,
 Barwy i światłość i blask twojej twórczości i dzieł?
 Czy ty zamierzasz znów tworzyć, mój bracie? Wszak szkoła Hellenów
 Mimo tak wielu już lat w oścież otwarte ma drzwi.
 Ja nauczyciel, jam wiecznie jest młody i kocham też młodych:
 Tyś przemądrzały nad wiek! Żwawo rozumieć mię chciej!
 Antyk był wtedy nowością, gdy jeszcze szczęśliwi ci żyli!
 Żyj więc szczęśliwie, bo wiedz: przeszłość tu w tobie chce żyć!
 Przedmiot do pieśni? A skądże go weźmiesz? *Ja* dać ci go muszę,
 Wyższy i piękny zaś styl miłość jedynie ci da!
 Tak przekonywał sofista, a któż mu sprzeciwić się zdoła?
 Słuchać niestety jam zwykły, co mi rozkaże ten pan.
 Teraz zdradziecko dotrzymał słowa i daje natchnienie...

W ten sposób, pod upajającym wpływem romansu z Faustyną, zrodziły się epikurejskie *Elegje rzymskie*, napisane w Rzymie, pod bezpośrednim wrażeniem przeżywanych uniesień miłosnych¹⁾.

Niestety, z każdym przeżytym dniem, z każdą przekochaną nocą, zbliżała się nieunikniona chwila wyjazdu poety z Rzymu, co zarówno Goethego, jak tembardziej rozmiłowaną w nim Faustynę, z natury rzeczy musiało przejmować głębokim smutkiem i boleścią. W końcu nadszedł kwiecień, wiosna, ale cóż z tego, kiedy Goethe, który i tak swój pobyt w Rzymie przedłużył o całe dwa miesiące, musiał rozstać się z ukochaną. Komu w drogę, temu czas.

Ostatnia noc, jaką spędził w Rzymie, była cudną nocą księżycową; o tem zaś, jaką melancholją była przepełniona dusza poety, gdy przy tych miesięcznych blaskach, otulających mury wiecznego miasta, myślał o jutrzejszym wyjeździe, najwymowniej świadczył jego następujący wiersz, napisany pod wpływem tego żalosego i tęsknego nastroju, a parafrazujący zwrotkę z *Tristiów* Owidiusza:

Gdy obraz tak smutny tej nocy przed moją przesuwą się duszą,
 Co w Rzymie ostatni już kres przeżytych znaczyła mych dni;
 Gdy wspomnę, jak w noc tę poza mną to wszystko, co kocham, zostało:
 Wciąż jeszcze i teraz mi z ocz gorące puszczają się łzy...
 I ludzkie zamilkły już głosy i scichło już psów ujadanie,
 A nocnych rumaków swych bieg już Luna toczyła wśród gwiazd.
 Jam ku niej spojrzenie podnosił, tom znowu je słał na Kapitol,
 Co Larów mych blizki tak był, a jednak nie pomógł mi nic²⁾.

Następnej nocy już Goethego nie było w Rzymie, a biedna

¹⁾ W liście do wydawcy Göschena pisze Goethe w r. 1791 (w niepełna trzy lata po powrocie z Włoch): „Ein Büchlein Elegien, die ich in Rom schrieb.“ W jednym z listów z Rzymu pisze Goethe pod datą 23 lutego 1788r.: „Ich bin fleissig und vergnügt und erwarte so die Zukunft. Täglich wird mir's deutlicher, dass ich eigentlich der Dichtkunst geboren bin“.

²⁾ Przekład Lucjana Rydla.

Faustyna za jedyną pociechę miała myśl, że i jemu rozstanie się z nią taką samą sprawiało boleść, jak jej. Z tą boleścią w sercu, jeszcze potęgującą się tęsknotą za porzuconą kochanką, jechał Goethe przez całe Włochy. Na każdej stacji pocztowej, ile razy wysiadał z dyliżansu, wszędzie mu przed oczami stała zapłakana postać żegnającej się z nim Faustyny, wszędzie widział jej twarz ociekającą łzami, czuł jej falującą pierś przy swojej, czuł jej gorące usta nie mogące oderwać się od jego ust, widział swą głowę opartą na jej kolanach... Dzień upływał po dniu, w końcu upłynęło ich dwadzieścia, a jemu duszę wciąż rozpiekała ta sama boleść, jaką czuł w dniu wyjazdu, gdy ostatni raz ścisnął dłoń Faustyny.

Dwudziestego dnia podróży napisał taki rzewny epigram, w którym każde słowo zdaje się drgać tęsknotą i żalnością:

Ja dotąd w ramiona spragnione ogarniam to moje kochanie,
I sercem ja dotąd co sił do piersi przytulam się jej.
I dotąd wciąż jeszcze mą głowę na jej opierając kolanach,
Podnoszę ku górze mój wzrok, do ocz jej, do słodkich jej ust.
Więc mógłby kto rzec: „Niewieściuchu, tak dłu swe przepędzasz na niczem?”
Ach! jakże ja spędzam je źle! Posłuchaj mnie, jaki mój los:
Daleko za sobą, niestety, mam radość jedyną żywota,
Wszak dzisiaj dwudziesty już dzień, jak wlecze mię ciągle ten wóz;
Raz weturynowie mię złoścą, to znów oberżysta mi schlebia,
To sługus miejscowy mi łże, bo w pole mnie wywieźć by rad;
A gdy się wymykam przed nimi, w swe szpony mnie poczmistrz dostaje
Tu byle pocztyljon to pan, nie mówiąc o panach na cle!...
„Już nic nie rozumiem: sam sobie zaprzeczasz! Zdawało się przecie,
Że ziemski jaśniej ci raj, gdzie szczęścia, jak Rynald, masz w bród!”
Ach, dobrze sam siebie rozumiem: ja ciałem tę podróż odbywam,
Tymczasem wciąż jeszcze mój duch na łonie kochanki mej śni!... ¹⁾

We dwa lata później, w r. 1790, znalazł się Goethe w Wenecji. Dźwięki mowy włoskiej, słyszane na ulicach i placach, przypomniały mu, że znowu jest we Włoszech, na tej samej ziemi obiecanej, gdzie niedawno tak czuł się szczęśliwym. Ale niestety, jak Rzym, nieoglądany przez pryzmat miłości, nie byłby Rzymem, tak i Wenecja teraz, w której tylko z utęsknieniem mógł myśleć o swej rzymskiej kochance, nie zrobiła na nim wrażenia Włoch, a przynajmniej tej ziemi włoskiej, której niezatarte wspomnienie nosił w swej artystycznej duszy.

Poetycznym wyrazem tego smętnego uczucia, jakiego teraz doznawał w dziwnie dlań pustej i czerzej Wenecji, był piękny epigram z następującem zakończeniem:

¹⁾ Przekład Lucjana Rydla.

Tak piękny jest kraj ten, lecz, ach, Faustyny ja w nim nie odnajdę;
 Italja to, lecz już nie ta, skąd jadąc, tak było mi żal... ¹⁾

Że wogóle teraz w Wenecji z tęsknotą wspominał Faustynę, której postać jeszcze sobie idealizował w wyobraźni, o tem świadczył następujący epigram, również należący do serii epigramów weneckich z r. 1790:

Jam tylko miał jedną tę miłość, nic miłsze mi nad nią nie było:
 I oto już nie mam jej dziś! Więc milcz i tę stratę swą znieś! ²⁾

Tymczasem Faustyna, wiedząc, że już nigdy nie zobaczy Goethego, powoli z konieczności przystosowywała się do swego położenia, aż w końcu została żoną bogatego Anglika, który kto wie, czy jej nie poślubił dlatego właśnie, że w niej poza dorodną niewiastą widział jeszcze bohaterkę *Elegji rzymskich* ³⁾. Nadto zachowała się tradycja, że Faustyna, powtórnie wyszedłszy za mąż, prowadziła dom otwarty; a że jeszcze przez długie lata była ponętą, więc jej nie zbywało na wielbicielach, których grono stałe było liczne. Dowód to, że jak w czasie romansu z Goethem, tak i później, w południe lat niewieścich, zawsze posiadała urok w oczach mężczyzn, a tem samem była i teraz jeszcze, jak wtedy, „wielu westchnień przedmiotem“.

¹⁾ Przekład Lucjana Rydla.

²⁾ Przekład Lucjana Rydla.

³⁾ Jeszcze na początku XIX. w. poznał się z nią w Rzymie Wilhelm Humboldt. W r. 1829 interpelowany przez króla bawarskiego, ile jest prawdy w *Elegjach Rzymskich* (was an dem Faktum sei, weil es in den Gedichten so anmutig erscheint, als wäre wirklich was Rechtes daran gewesen) wyraził się 80-letni Goethe, w rozmowie z Eckermanem, w sposób następujący: „Man bedenke aber selten, dass der Poet meistens aus geringen Anlässen was gutes zu machen weiss“.

ELIZA RADZIWIŁŁÓWNA I WILHELM I.



Jednym z najpopularniejszych u nas obrazów Siemiradzkiego jest niezaprzeczenie *Chopin u Radziwiłła*, przedstawiający nieśmiertelnego twórcę *Polonozów* w chwili, kiedy w przyciemnionym salonie książęcym improwizuje przy wysuniętym na środek fortepianie, a zapatrzony w piękne oblicze stojącej nieopodal młodej jasnowłosej dziewczyny, w jej błękitnych oczach zdaje się szukać natchnienia. Obok niej, w fotelu, siedzi mężczyzna w podeszłym wieku, siwy już i o bardzo rasowej twarzy arystokraty, a widać z jej wyrazu, że i on, rozmarzony melodią, wypływającą z pod czarodziejskich palców 20-letniego pianisty, przebywa w tych nieziemskich sferach ideału, do których można się wznieść tylko „na skrzydłach pieśni”. Reszta osób, malowniczo zgrupowanych dokoła instrumentu, między którymi poznajemy także i Humboldta, również tonie w melancholijnej zadumie, wsłuchana w genialną grę młodzieńca. Ową jasnowłosą blondynką, w którą się patrzy artysta, jest księżniczka Eliza Radziwiłłówna, córka Antoniego Radziwiłła, którym jest właśnie ów siwy mężczyzna.

Z niewielkiej książeczki, skreślonej wykwiutnem piórem pani Teresy z Potockich Wodzickiej, dowiadujemy się, że ta właśnie Elżbieta Radziwiłłówna była przedmiotem pierwszej i bardzo namiętnej miłości cesarza Wilhelma I.

I.

Od bardzo dawna, bo już od XVII. wieku począwszy, byli Radziwiłłowie spokrewnieni z domem Hohenzollernów; to też i w r. 1796 nie dziwiono się wielce, kiedy Antoni Radziwiłł, syn ostatniego wojewody wileńskiego, księcia Michała, ożenił się z synowicą Fryderyka II, Ludwiką, urodzoną z księcia Ferdynanda Pruskiego i Luizy, córki margrabiego von Brandenburg-Schwedt.

Jeżeli co było dziwnego w tem małżeństwie, to chyba czas

jedynie, w którym ono doszło do skutku... Ale fakt stał się faktem: synowica Fryderyka II. została księżną Radziwiłłową. Stąd oczywiście, serdeczny stosunek z dworem Fryderyka Wilhelma II., a w rok później z dworem Fryderyka Wilhelma III. Ten ostatni, wstąpiwszy w r. 1797 wraz swą piękną małżonką Luizą na tron ojcowski, był szczególnie życzliwie usposobiony dla Radziwiłłów, a księżnę Radziwiłłową nie tylko poważał i kochał, ale nawet w trudnych okolicznościach, których w czasie panowania jego, dzięki Napoleonowi, nie brakło nigdy, posługiwał się „jej wpływem w Niemczech“. Nasuwa się pytanie, czy przypadkiem ten właśnie „wpływ w Niemczech“, jakim się cieszyła księżna Antonina Radziwiłłowa, nie był tym „serdecznym“ łącznikiem między Radziwiłłami a dworem berlińskim, czy nie on był źródłem tej „przyjaźni“ z Wilhelmem i Luizą, przyjaźni, z której książę Antoni tak był dumny, a z której, gdy przyszło powołać się na nią, miał tak mało!

W każdym razie miał tyle, że mieszkając w Berlinie, w swoim pałacu przy Wilhelmstrasse (z czasem sprzedanym Bismarckowi), dobrze był widziany na dworze, a dzieci jego, często zapraszane do zamku, miały zaszczyt bawić się z dziećmi królewskimi. Prócz tego miał jeszcze jedną satysfakcję: oto uroczą *Königin Luise* przyjaźniła się zarówno z jego żoną, jak i z teściową, ks. Ferdynandową Pruską. Podkreślić wypada, że małżonka jego, choć przyjęła pozycję i nazwisko męża, mimo to sercem i duszą dzieliła polityczne troski dworu pruskiego, będąc całkowicie zespoloną z jego smutnym — podówczas — losem. Sam książę Antoni, choć Polak i Radziwiłł, niemniej był oddany dworowi, którego zaufaniem się szczycił. Poza tem „był to prawdziwy *prince charmant* z czarodziejskiej baśni, posiadający wszystkie zalety, mogące podbić serce królowny“. Największą z tych zalet, którymi sobie zjednywał uwielbienie płci słabej, była, obok nadzwyczajnej urody męskiej, niepospolita muzykalność księcia: wysoce utalentowany, jako muzyk, nie tylko czarował śpiewem i grą na wiolonczeli, ale nadto cieszył się wcale niepoślednim uznaniem w świecie muzycznym, jako kompozytor. Jego muzyka do *Fausta*, w r. 1819 z wielkim aplauzem w obecności Goethego samego wykonana, jeszcze dziś bywa grywana w Niemczech... Bawiący u Radziwiłła w r. 1829 w Antoninie Fryd. Chopin także był zachwycony tą kompozycją księcia. „On wiesz, że lubi muzykę (pisał do Wojciechowskiego): pokazywał mi swojego *Fausta* i wiele rzeczy znalazłem tak dobrze pomyślanych, a nawet genialnych, żem się nigdy tego po *Namiestniku* spodziewać nie mógł“.

Stąd atmosfera panująca w pałacu przy Wilhelmstrasse, była nie tylko kosmopolityczno-lojalna, ale i artystyczna w wysokim

stopniu. Muzyka, obok francuzczyzny i niemczyzny, panowała tu wszechwładnie, a kwartety, duety, tria etc. rozbrzmiewały o wiele częściej, aniżeli mowa polska...

W takiej atmosferze wzrastała starsza córka i faworytka księcia, Eliza. Podobna do ojca, co znaczyło, że była bardzo piękną od najmłodszych lat, była „istnym aniołkiem“, jako dziecko, aniołkiem, który choć stąpał po ziemi, nie tracił nic ze swego nadziemskiego uroku. Kiedy wyrosła na pannę, mówiono o niej, że była to „nawpół rusalka, a nawpół anioł“, a dusza jej „z ognia i kryształu“, była podobnie, jak dusza ojca, pełna artystycznych aspiracyj, z tą różnicą, że ojciec miał talent do muzyki, a Eliza urodziła się z niepospolitym talentem do malarstwa. Z natury bystra i zdolna, skłonna do marzeń i melancholji, rozmiłowana w poezji i sztukach pięknych, egzaltowana i, jak przystało na córkę owej epoki, trochę sentymentalna, była to skończona idealistka, do której znane wyrażenie Goethego *eine schöne Seele* przystawało bez zastrzeżeń. Wychowanie otrzymała staranne, ale jednostronne. Mniej nauki ścisłej, a więcej religji, więcej nacisku na rozwój uczucia i wyobraźni, aniżeli inteligencji. Wychowanie — opowiada pani Wodzicka — miało raczej artystyczny, niżeli praktyczny kierunek; przedewszystkiem uczono prosto się trzymać, ładnie pisać, tańczyć, grać na harfie, śpiewać, malować i t. d., strzegąc pilnie, by nawet te zdolności, których Bóg nie poskapił, nie przekroczyły nigdy granic dyletantyzmu i, broń Boże, nie dosięgły wyżyn gruntownej, fachowej znajomości danej sztuki. „Kobieta w przededniu romantyzmu winna była wszystkiego się dotknąć, a nie zgłębić; żyć umysłowo i fizycznie listkami róży i wonią fijołków, co jednak nie przeszkadzało jej, jak to mogliśmy się na naszych babkach i matkach przekonać, w sumiennem i cierpliwem wykonywaniu obowiązków rodzinnych“. Obdarzona niepospolitym wdziękiem, uroczą Eliza jeszcze i w tem była podobną do ojca, że, jak on, wszystkie serca jednała dla siebie (czego np. nie mogła o sobie powiedzieć jej młodsza siostra, Wanda, ulubienica matki); bo jeśli się odróżniała od ogółu panien ówczesnych, będąc jakąś inną, aniżeli jej rówieśniczki, to czyniła to całkiem bezwiednie, ile, że przedewszystkiem odznaczała się skromnością i pokorą, na tle niewysłowionej łagodności i słodczy charakteru.

Tout en elle était pur et simple et sans mélange
De rien qui ne fut noble, généreux et bon:
Elle était le premier, le dernier échelon
Entre la femme et l'ange!

W ten sposób pisała o niej przyjaciółka jej, księżniczka

Taida Sułkowska, która w rzewnym wierszu francuskim, temi słowy, w innej zwrotce, starała się wyrazić swe uwielbienie dla Elizy.

Chciałabym w myśli wskrzesić jej postać świetlaną,
Tak, jak ją widziałam w jej młodości kwiecie,
Bezpieczną, kochającą, szczęśliwą, kochaną,
Pewną, iż szczęście nigdy nie mija na świecie.
Jak fala, słońcem oblana,
Jej włosy aż po kolana
Spływały w splotach warkoczy,
A niebo w słodkie jej oczy,
Lało swych blasków lazury...
Wówczas dni jej pogodne miały bez chmury:
Jutro zdało się jasnem, a myśl jej skrzydłata,
Daleką przyszłość w barwach malując promiennych,
Urokiem marzeń współsennych
Stroiła młodzieńcze lata.

Najlepszą jej charakterystyką jest portrecik olejny, malowany przez hr. Teresę z Sułkowskich Henrykową Wodzicką z Rydzyny, na którym księżniczka przedstawiona jest w stroju Peri z poematu *Peri i Raj Moora*, z motylami skrzydłami u ramion. Oto, jakie refleksje nasuwa portrecik ten pani Wodzickiej: „Postawa jasnowłosej księżniczki, poważny, niemal smutny wyraz spuszczonej twarzy i oczy jakby umyślnie ukryte pod zasłoną powiek, zdają się świadczyć, że to niebiańska wygnana istota, za swym złotym rajem tęskniąca na ziemi. I być może, iż więcej w tem było prawdy, aniżeli fantazji. Zaiste nie motylich, ale łabędzich skrzydeł do tych ramion by trzeba, a może nie trzeba i żadnych, gdyż Bóg jej zesłał niewidzialne anielskie, aby za ich pomocą wzniosła się po stopniach cierpieniami zasłanych do swej wieczystej ojczyzny“.

Taką była Eliza. A Wilhelm? On, choć ubóstwiany dziś przez całe Niemcy, niczem się nie odznaczał. Nie był to królewicz z kategorii Hamletów, choć na starość można go było przyrównać do pocziwego ojca Hamletowego. Z Elizą pod żadnym względem nie wytrzymywał porównania. O ile ona nie była istotą pospolitą, o tyle on był w całym tego słowa znaczeniu człowiekiem na miarę krawca. Gdyby się nie był urodził królewiczem, byłby wzorem niemieckiego *Bürger'a*, cnotliwego, ale nie interesującego. Kiedy Eliza była stworzoną do bujania po nadpowietrznych przestworzach ideału, on trzymał się ziemi, wcale nie myśląc sięgać poza padół rzeczywistości, na którym mu, jako królewiczowi zwłaszcza, było bardzo dobrze. Był to dobry człowiek, ale prozaiczny, o tyle przynajmniej, o ile Eliza była poetyczną. Uważał, że skrzydła są człowiekowi niepotrzebne, skoro ma nogi, zwłaszcza, że i za ich pomocą można zająć

bardzo wysoko, choćby na tron. Wyobraźnia Wilhelma, w którym zawsze przeważał rozsadek, wogóle nie sięgała wyżej. A przytem nie był to temperament. Największem bohaterstwem, do jakiego wznieść się potrafił, była umiejętność pogodzenia się z losem, zdolność do rezygnacji. Jedyłą ambicją, jaką posiadał, była chęć panowania. Największą przyjemność znajdował w musztrach wojskowych. Poza tem było to zero. Pierwsza, co się na młodym Wilhelmie poznała należycie, była jego własna matka, światła królowa Ludwika, która na dwa lata przed śmiercią, w r. 1808, pisząc do ojca swego, księcia von Meklemburg-Strelitz, scharakteryzowała przyszłego cesarza zjednoczonych Niemiec, wówczas 11-letniego chłopca, jako *bieder, einfach und verständig*, co znaczy, że go uważała za materiał na człowieka prawego, prostego i rozsądnego. Takim też pozostał przez całe życie. Nadmienić wypada, że ta krótka charakterystyka Wilhelma, skreślona piórem królowej Ludwiki, brzmiała „nieco zimno przy dłuższej charakterystyce, poświęconej innym dzieciom w tymże liście, a zwłaszcza obok pochwał, nieoszczędzonych najukochańszemu z jej synów, młodziutkiemu następcy tronu“. Dowodziło to, bądź co bądź, że trafnie oceniała swego młodszego syna, który, nie odznaczając się niczem nadzwyczajnem, był uosobioną miernotą.

Wobec tego nasuwa się pytanie: co się w nim tak bardzo mogło podobać Elizie? Bo nawet pięknym nie był: owszem pod względem urody zewnętrznej nie zadawała nawet matki, która w tym samym liście, gdzie go nazywała prawym, rozsądnym i prostym, dodała bezpośrednio potem: „Ale mniej pięknym od ojca“. Więc co mu potrafiło zjednać miłość Elizy? Jest jedna tylko odpowiedź na to pytanie: oto był otoczony tą aureolą, która otacza książąt krwi panującej. Nie należy zapominać, że Eliza była Radziwiłłówną, że w niej płynęła cząstka tej samej krwi, co w Barbarze Radziwiłłównie. Skoro tamta mogła zostać królową i to polską, to czemużby ona nie mogła zasiąść na tronie pruskim! Wszystko jedno, jaka korona, byle ją nosić na głowie! Podobne ambicje zawsze były właściwe Radziwiłłom.

II.

Cokolwiekby, Eliza zakochała się w Wilhelmie. Jak do tego przyszło? W każdym razie zaczęło się już w r. 1810, po śmierci królowej Ludwiki, kiedy dzieci księżnej Radziwiłłowej, jako spokrewnione z dworem, zaczęły częściej, niż przed tem, widywać się z sierotami królewskimi. Wśród wspólnych zabaw, bądź w zamku, bądź w pałacu przy Wilhelmstrasse, zaczął się tworzyć i zadzierzgiwać węzeł sympatji, który związawszy serca 13-letniego księcia Wilhelma i jego ślicznej 7-letniej kuzynki,

miął po upływie lat kilku, bo około roku 1815, stać się niebezpiecznym materiałem palnym, aż w końcu buchnął potężnym płomieniem, tem potężniejszym, że była to miłość zobopólna, bijąca z dwóch serc jednocześnie: choć nie ulega wątpliwości, że miłość, którą zapłonęło serce Elizy, była gorętszą, namiętniejszą, niż po stronie przeciwnej.

W roku 1815, po kongresie wiedeńskim, kiedy w Poznaniu utworzyła się nowa posada namiestnika, ks. Radziwiłł, jako posiadający największe zaufanie u dworu, został wyznaczony na objęcie tej posady. Wypadło przenieść się do Poznania. Uczyniwszy to, zamieszkało w ogromnym pałacu pojezuickim, dzisiaj nazwanym Regencją, w którym, obok mnóstwa większych lub mniejszych, bogato umeblowanych pokojów, najmilszym był buduar księżniczki Elizy, „cały zastawiony obrazami, sztalugami i modelami do rzeźbienia i malowania“. Ale księstwo Antoniowie za bardzo zżyli się z Berlinem i jego atmosferą, ażeby, osiadłszy nad Wartą, raz po raz nie zaglądać nad Spreę. Jakoż „cały czas spędzano pomiędzy Poznaniem a Berlinem“.

W karnawale, na który zawsze zjeżdżano do stolicy, ks. Radziwiłłowie dawali świetne przyjęcia, tak dalece zaćmiewające wszystkie inne berlińskie, że je zaćmiewały tylko wielkie bale dworskie. Bądź co bądź, na jednych, jak i na drugich, księżniczka Eliza miała sposobność do widywania się z Wilhelmem, a ten zdawał się być zakochanym coraz bardziej, co nadzwyczajnie odpowiadało życzeniom rodziców panny, a nadewszystko jej samej.

Gdy nadszedł karnawał roku 1820, w którym Eliza występowała już jako 17-letnia panna, romans zaczął się rozwijać na dobre. Eliza, jaśniejąca niezwykłą urodą, powszechnie nazywana *Białą różą*, miała ogromne powodzenie. Odurzona niem, tem piękniejszą wydawała się młodemu 23-letniemu królewiczowi. Jakoż nikt nie asystował jej tyle, co on, a księciu Antoniemu serce rosło, kiedy pomyślał, że jego córka może zostać królową pruską.

Co ważniejsza, myśl ta, choć dosyć śmiała w głowie polskiego magnata, nasuwała się nie jemu jednemu. Wszyscy, na widok Wilhelma i Elizy, na których wystarczało spojrzeć, ażeby zgadnąć, że byli zakochani w sobie, uważali, że nie byłoby źle, gdyby się tych dwoje pobrało. Nawet ojciec Wilhelma zaczynał być tego zdania. Zbyteczna dodawać, że nie inaczej myślała księżna Radziwiłłowa, która, o „ile chętnie patrzyła na ten coraz wyraźniej rysujący się stosunek“, o tyle „jako księżniczka pruska nie przypuszczała, aby cokolwiek mogło stanąć na przeszkodzie, związkowi jej córki z ukochanym synowcem“. Jednem słowem, wszyscy byli najlepszych myśli.

Nikt nie przypuszczał, że człowiekiem, który najmniej z całego otoczenia robił planów na przyszłość, był sam królewicz Wilhelm. On jeden, wnosząc z jego listów do generała Natzmera, nie myślał o dalszych konsekwencjach tego chwilowego upojenia. Był zakochany: czuł się szczęśliwym, czując się kochanym; na balach i rautach muzycznych, wyprawianych przez książąt Radziwiłłów, bywał z prawdziwą rozkoszą (jeden z takich wieczorów opisał nawet dnia 30 maja 1820 r. w liście do generała Natzmera); a kiedy się dowiedział, że księstwo na lato wybierają się w góry śląskie, postanowił tam pojechać również. Ale mimo to wszystko, choć pisał nawet do generała Natzmera, iż w lecie chce pojechać do Warmbrunn dla spotkania się z Radziwiłłami, nie zdawał się marzyć o małżeństwie: przynajmniej niema ani jednego dowodu na to, ażeby królewicz w owym czasie myślał o ożenieniu się z Elizą. Nie znaczyło to, żeby jej nie kochał. Owszem, to nie ulegało wątpliwości.

W przeciwnym razie, kiedy nadszedł sierpień, możeby nie pojechał do Fürstensteinu, do księcia Pless, u którego księstwo Radziwiłłowie bawili w gościnie. Tymczasem faktem jest, że pojechał, że w Fürstensteinie zabawił czas jakiś, a przez cały czas, gdy bawił przy Elizie, tak się nie krył ze swem uczuciem dla niej, że wszyscy zaczęli mówić o tej miłości, więcej jeszcze, aniżeli w ciągu ostatniego karnawału.

Królewicz tymczasem, dziwna rzecz, zachowywał się w sposób szczególny: w miarę, jak coraz więcej — i coraz bardziej na serio — mówiono o jego prawdopodobnym związku małżeńskim z Elizą, choć zakochany w niej, coraz więcej okazywał trzeźwości: do tego stopnia, że go nie tylko bolały, ale gniewały nawet „te ludzkie gadania“. Czemu? Czy nie miał nadziei osiągnięcia ręki Elizy? Czy wogóle nie myślał jeszcze o małżeństwie? Powiadają, że bardziej podobno, niż trudności ze strony dworu, lękał się kolizji z Radziwiłłami. Jakich kolizji? Cokolwiekby, jedno jest pewnem, że w grudniu tegoż roku 1820, a więc w parę miesięcy po powrocie z Fürstensteinu, pisał do generała Natzmera, swego powiernika: „Nigdy nie śmiałem myśleć o podobnem małżeństwie: walka z resztą rodziny byłaby zbyt wielką. A przecież ta namiętna miłość zrodziła się we mnie i teraz istnieje i daje powód do obiegających pogłosek. Byłbym powinien trzymać się bardziej na uboczu, aby nie dać pozorów do projektu związku, który jest niemożliwym; ale nie mogłem“. List ten, mający wszelkie pozory szczerości, dowodzi jednego, że królewicz, mający tak mało podobieństwa z Hamletem, jeszcze mniej był podobnym do Romea. To dobrowolne wyrzekanie się wszystkiego, o co się upominała owa „namiętna miłość“, ta wiara w niemożliwość związku z istotą, którą, jak zapewniał, kochał „na-

miętą miłością“, ta nierycerska obawa walki z resztą rodziny. to wszystko są smutne *testimonia paupertatis* duszy Wilhelma, który przynajmniej w tym razie okazał się tak zwykłym „zjadaczem chleba“, że nie może budzić sympatii. Tak rozsądnie kochać, żeby dla swej „namiętnej miłości“ nie chcieć poświęcić niczego, a zwłaszcza lubego spokoju, może tylko unieśmiertelniony przez Heinego berliński filister.

Ale rodzi się pytanie, czy list ten był napisany szczerze? czy istotnie należy go uważać za wyraz ówczesnego usposobienia Wilhelma? Są niektóre dane, pozwalające przypuszczać, że Wilhelm, pisząc ten list, myślał i czuł niezupełnie tak, jak pisał, że miłość jego, tak rozsądna w rzeczonym liście, w rzeczywistości była mniej roztropną. W przeciwnym razie, gdyby to przypuszczenie okazało się mylnem, rodziłoby się inne, nierównie gorsze, bo uzasadniające pewną dwulicowość ze strony królewicza, dwulicowość, która sprawiała, że inaczej zachowywał się względem rodziny Radziwiłłów, których łudził, których postępowaniem swoim utwierdzał w nadziejach, że gotów się ożenić z ich córką, a inaczej o tej swojej „namiętnej miłości“ mówił z najbliższymi, którym się przyznawał, że choć się kocha w Elizie, to jednak nie myśli o jej poślubieniu.

Do tego — tak niepochlebnego dla królewicza — przypuszczenia upoważnia przede wszystkim ta okoliczność, że właśnie w tych czasach Radziwiłłowie rozpoczęli usilne starania, ażeby omawiany związek skojarzyć ostatecznie, pertraktacje zaś, dotyczące tych zaślubin, a ciągnące się dwa lata przeszło, były zbyt poważne, ażeby im nie przyświecała pewność, że królewicz na serjo myśli — po przezwyciężeniu pewnych trudności formalnych — o ożenieniu się z Elizą. Inaczej, gdyby nie wychodzono z tego założenia, można być bewnym, że ks. Antoni nie poleciłby Eichhornowi, jednemu z najznakomitszych prawników ówczesnych, napisania całej rozprawy o obronie praw Elizy: „Wszak ci to nie pierwszy raz Radziwiłłówna miała wejść w dom królewski, a jeśli ongi Barbara nie zaznała szczęścia na tronie, to obecnie jej pamięć musiała żywy blask rzucać na uroczą postać Ejizy“. Tej tezy bronił Eichhorn. Ale znaleźli się prawnicy, którzy tej tezie przeciwstawili inną, mianowicie: że istnieje ustawa, wydana przez Fryderyka II, a mówiąca wyraźnie, że dzieci książąt z domu Hohenzollernów tylko wtedy mogą rościć prawa do korony, jeśli ich matka jest ciotką panującego książęcia. Był to zręczny wybieg, bo na dnie całej sprawy nie leżało nic innego, tylko to, że Eliza była Polką: stąd obawa, że na tronie pruskim mogłyby zasiąść dzieci, z Polki zrodzone. Na to nie pozwalał rozum stanu.

Na szczęście, królewicz Wilhelm nie był następcą tronu.

Ten wzgląd postanowiono wyzyskać. Co jest charakterystyczne, że inicjatywa do tego kroku wyszła ze strony ojca królewicza, który wcale nie był przeciwny temu, ażeby się Wilhelm ożenił z Radziwiłłówną. Wiedział, że ją kochał, Elizę cenił bardzo wysoko, więc nie stawiał przeszkód; owszem, pomagał, czynił wszystko, co było w jego mocy, ażeby ten związek umocnić, bo nie chciał miłości czynić zależną od politycznych względów. Sam wiedział najlepiej, co to jest kochać, a nie módz się ożenić z powodu swego politycznego stanowiska. Wszak on sam, ochłonnawszy po stracie żony, zakochał się był w pięknej Francuzce, z którą jeżeli się nie ożenił, to tylko dlatego, że należała do narodowości znienawidzonej przez Niemców. Ta okoliczność, zarówno jak i to także, że już przemyślał o ożenieniu się z hrabianką Harrach, z którą ostatecznie w r. 1824 zawarł związek morganatyczny, sprawiła, że nie tylko okazał się wyrozumiałym dla owej „namiętnej miłości“ Wilhelma, ale mu był pomocnym nawet, gdy się zdecydowano zapytać ministrów, „czy Radziwiłłówna może być uważaną, jako *ebenbürtig*, t. j. zdolną w danym razie do przywdziania korony“ i gdy od decyzji, jaką powezmą ministrowie, miało zależeć zakończenie całej sprawy. Odpowiedź ministrów, jak to było do przewidzenia, wypadła odmownie, ze względu, iż Wilhelm, choć nie był następcą tronu, mógł nim zostać w razie śmierci lub bezpotomności starszego brata. Ale Fryderyk Wilhelm, kiedy mu wypadło wieść tę zakomunikować synowi, uczynił to w taki sposób, tak łagodnie i niestanowczo, że Wilhelm, wnosząc z tego zachowania się ojca, mógł nie tracić nadziei. Tymczasem chwycono się innego sposobu: proponowano, aby brat księżny Ludwiki, książę August pruski, prawnie zaadoptował Elizę, do czego, jako jej wuj, miał wszelkie prawo. Niestety i to się nie udało, orzeczono bowiem, że w danym razie chodziło nie o stanowisko, ale o krew.

To było ostatnie usiłowanie, a rzecz znamienita, że je przedsięwzięto bez udziału Wilhelma. On zwątpił pierwszy, żeby się udało wygrać tę prawną kampanję. Co gorsza, to, że zwątpił tak dalece, iż nie chciał słuchać o ostatecznym, a tym razem niezawodnym środku, którego gdyby się był chwycił, byłby miał rozwiązane ręce, byłby panem siebie, niezależnym od żadnego widzi mi się ministrów czy jurystów. Należało się tylko zdecydować na wybór: Elizy albo praw do korony. Wystarczało, żeby się rzekł tych ostatnich, a miałby niezagrodzoną drogę do szczęścia. Ale na to trzeba było kochać namiętniej, niż kochał Wilhelm, trzeba było, żeby miłość równała się burzy, nie zaś, aby przypominała tylko niepogodę. Tymczasem zdaje się, że owa „namiętna miłość“, o której Wilhelm pisał do Natzmera, była słabszą od jego żądzy panowania. Gdyby się miało inaczej,

z pewnością byłby poświęcił koronę dla Elizy, a nie, jak to uczynił w końcu, Elizę dla korony.

Że ostatecznie chodziło mu o koronę, o prawa do niej, na to istnieje dowód niezbity. Okoliczności złożyły się tak, że w chwili właśnie, kiedy się toczyła sprawa tego małżeństwa, młodszy brat Wilhelma, Karol, zaręczył się z księżniczką wejmarską, „przyczem ojciec przyszłej panny młodej zastrzegął dla jej dzieci pierwszeństwo w sprawach następstwa, w razie, gdyby związek księcia Wilhelma z Radziwiłłówną miał przyjść do skutku“. Wobec tego należało się zdecydować: albo się rozstać z marzeniami młodości, albo obstawać przy prawach swoich przyszłych dzieci, prawach do następstwa tronu pruskiego. Złoty środek był niemożliwy: należało wybierać. Jakoż przeważała się szala decyzji Wilhelma: widząc, że dla Elizy musiałby się wyrzec praw do tronu, wołał się wyrzec Elizy.

Jakoż wyrzekł się, ale decyzja ta nie zbudowała nikogo, a najmniej jego starszego brata, ówczesnego następcę tronu, Fryderyka, który nie tylko się dziwił cierpliwości Wilhelma, ale dodawał przytem, że na jego miejscu jużby się był dawno pomimo wszystkiego z Elizą ożenił. Dowiódłby tem przynajmniej, że kochał naprawdę! Tymczasem postąpiwszy tak, jak on postąpił, wzbudzał podejrzenie, że do prawdziwej miłości, istotnie namiętniej, był niezdolny. Rozsądek, a także i żądza władzy brały w nim górę nad uczuciem.

Takich, co myśleli podobnie, jak najstarszy z braci Wilhelma, było więcej; z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że te ostatnie przejścia stały się przyczyną pewnego skołatania duszy królewicza. W takich warunkach najlepiej jest wyjechać, zmienić otoczenie. Widocznie, że Wilhelm podzielał to zdanie, gdyż dla otrząśnięcia się z żłośliwych myśli pojechał do Holandji, gdzie, jak mówią, ze zmartwienia podobno, z nadmiaru wzruszeń, przez które był przeszedł ostatnimi czasy, rozchorował się. Skoro powrócił do zdrowia, opuścił Holandję, ale zamiast wracać do Berlina, przedsiębrał w towarzystwie powiernika swego, generała Natzmera, dłuższą podróż po Włoszech. Gdy wreszcie powrócił do Berlina, był smutny, rozgoryczony, w nastroju pesymistycznym, a co ciekawsze, serce mu biło silniej, aniżeli wówczas, gdy wyjeżdżał. Zdawało mu się, że nigdy Elizy nie kochał tak silnie, tak namiętnie, jak w tej chwili.

W tem uczuciu, d. 7 marca 1822 r. napisał list do Natzmera, list smutny i pełen rozpacz, a dający dość dokładne wyobrażenie o ówczesnym stanie duszy królewicza. „Ty wiesz, pisał, że chciałem się oddalić i wyrzec się wszystkiego. Poznałem, że to była tylko komedia przed światem; serce moje bije coraz mocniej. Nie miałem siły, aby dobrowolnie wyrzec się szczęścia,

wyrzec się tej, którą kocham i która mnie kocha". Tymczasem „jestem sam na ziemi, która mi się wydaje smutną i pustą“.

Wogóle listy jego, pisane tymi czasy, były pełne goryczy i żalu. Nie mógł zapomnieć o nieprzychylnem orzeczeniu ministrów, a kiedy się skarżył na płaskość i małoduszność ludzką, od których los jego zależał, to pewno ich miał na myśli. Poza tem, w wyraźnym celu oszołomienia się, rzucał się w pracę fizyczną, w ćwiczenia i przeglądy wojskowe, a kiedy po długich szamotaniach się i męczarniach widział, że jedynie przy boku Elizy mógłby znaleźć ukojenie, wtedy... Wtedy jechał do Poznania, wpadał do jezuickiego pałacu, najczęściej incognito, niezapowiedziany, w cywilnem ubraniu, i nie myśląc o jutrze, o przyszłości, kontentował się chwilą obecną, szczęśliwy, że był przy Elizie, że patrzył w jej szafirowe oczy, że słuchał jej głosu, jej zwierzeń. Jaki miał być epilog tego romansu, tem nie chciał sobie mącić lubego upojenia, choć musiał czuć całą dwuznaczność sytuacji, dwuznaczność, którą nie kto inny tylko on sam wytwarzał swoim niezdecydowanem postępowaniem. Z tego, że Elizę kochał, że tylko z nią czuł się szczęśliwy, nie robił tajemnicy; owszem, kiedy przyjeżdżał do Poznania, to nie ukrywał właściwego powodu, dla którego się zjawiał; mimo to, choć zapewniał, że mu serce biło „coraz mocniej“, o małżeństwie przestał myśleć, bo Eliza nie była *ebenbürtig*.

Tak upłynęła wiosna. Na lato wynajął ks. Antoni pałac w górach śląskich w Ruhbergu. Pałac ten położony w malowniczej miejscowości, okazał się tak przyjemny, jako miejsce letniego pobytu, że już po dwóch latach zdecydował się książę nabyć go na własność. Tymczasem w r. 1822, odkąd się przeniesiono do Ruhberga, jedni goście przyjeżdżali po drugich, przyjęcia następowały po przyjęciach, a Eliza, która się stała prawdziwym aniołem opiekuńczym dla ubogiej ludności miejscowej, kilkakrotnie w ciągu tego lata witała się i żegnała z Wilhelmem, który raz po raz wpadał do książęcego zamku. Chwile te, razem przebyte w górach, wśród cudownej okolicy, nad którą królowała lesista Schneekoppe, mogły by się w pamięci obojga zapisać najmilej, jako jedno z najbardziej błogich i rozmarzających wspomnień, gdyby tej arkadyjskiej harmonji nie mącił jeden dyssonans, a mianowicie okoliczność, że wszyscy, zarówno Eliza, jak i jej otoczenie, przeczuwali już, że to jest początek końca, że wszystko musi się skończyć na niczem, skoro się nie może zakończyć na ślubnym kobiercu. Mimo to, Wilhelm bywał w Ruhbergu, a księstwu nie pozostawało nic innego, tylko sadzić się na uprzejmość wobec wysokiego gościa... Chwilami łudzono się jeszcze, lecz po niejakiem czasie, przestano się łudzić.

Widząc ostatecznie, co trzymać o zamiarach Wilhelma, coraz

rzadziej zaczęto bywać w Berlinie, prawie ciągle przesiadując w Poznaniu. Książę-namiestnik zrozumiał w końcu, że jego stanowisko było nietylko przykrem, bo upokarzającym, ale nadto stawało się coraz trudniejszym. Mimo to, pogodził się z losem, z godnością znosząc następstwa własnego przerachowania się. Głęboki żal, łatwo zrozumiały u takiego jak on człowieka, zataił na dnie duszy, a ukazując się ludziom, zawsze występował z czołem pogodnem, z uśmiechem na ustach.

Przeciwnie Eliza. Ona nie umiała się pogodzić z takim zrządzeniem losu. Od chwili, kiedy się dowiedziała o uchwale ministrów, straciła pierwotny zapał do życia, a choć się nie skarżyła przed nikim, wystarczyło spojrzeć na nią, by zrozumieć, jak bezmierna boleść szarpała tę wrażliwą duszę; zaczęła schnąć, więdnąć, podupadać na zdrowiu, tracić dawną świeżość i młodość.

Tak upłynęły cztery lata. Wilhelm ciągle dojeżdżał do Poznania, a w lecie do Ruhberga, ale już nie było dwóch zdań pod tym względem, że choć królewicz nieustannie zapewniał o swej miłości dla Elizy, o małżeństwie nie myślał na serjo. Stąd plotki, obiegające całe księstwo poznańskie, w których całą winę składano na Wilhelma, a którym głośno wtórował następca tronu, ciągle obstający przy swoim, że brat jego, gdyby się był rzetelnie chciał ożenić z Elizą, znalazłby na to sposób.

Wszystko to zaczynało powoli przeciągać strunę, już i tak naprężoną niezmiernie, aż w końcu stało się to, co się stać musiało prędzej czy później: nastąpiło oficjalne zerwanie. Stało się to w sierpniu r. 1826 na wyraźne żądanie króla, któremu już ta sprawa ciągnęła się zadługo. Widząc, że Wilhelm nie umie się zdecydować na krok stanowczy, postanowił położyć koniec tej jego „szlachetnej miłości“ i w tym celu napisał do niego list, który młodemu królewiczowi, właśnie przebywającemu w Toeplitz, doręczył generał Witzleben. Powiadają, że królewicz, przeczytawszy to pismo królewskie, stanął zrazu, jak gromem rażony; mimo to, jeszcze tego samego wieczora odpisał ojcu; a list, który skreślił, choć bardzo żałosny, był pełen poddania się i pokory.

Drogi Ojcze!

Postanowiłeś o moim losie. Miałem nadzieję, dopóki mogłem zachować choćby jej najdrobniejszy promyczek. Czytając w mem sercu, znajdziesz w niem wdzięczność za wszystkie dowody czułości, jakich doświadczyłem od ciebie, a zarazem i za list, w którym mi wyrażasz swoje postanowienie. Ojcowska dobroć i pożałowanie nad ciosem, który mię dotyka, wykazanie mi obowiązków mojego stanu, pochwały dla Elizy, tudzież przypomnienie usiłowań, czynionych, aby to małżeństwo umozębnić, wszystko

to odnajduję w twoim liście, Ojcze, i nie mógłbym wdzięczności mojej dowieść inaczej, jak będąc posłusznym, teraz i w przyszłości. Kończę z sercem boleścią złamanem, lecz bardziej, niż kiedykolwiek, do Ciebie należącym.

Czy to serce w tym samym stopniu należało jeszcze do Elizy? Są tacy, co utrzymują, że ten list królewski bardzo był Wilhelmowi na rękę, że mu dostarczył wygodnego pretekstu, ażeby zerwać z Elizą, dla której miłość z wolna poczęła ostygąć w jego sercu. Powiadają, że w ostatnich czasach, widząc księżniczkę bardzo zmienioną na niekorzyść, zaczął się rozczarowywać. Dopóki była piękna, lgnął do niej; gdy spostrzegł, że zaczynała brzydnąć, że oczy jej, tak żywe do niedawna, poczęły tracić swój pierwotny blask, chłódł coraz bardziej, a myśląc o delikatnem wycofaniu się z szranków, nie wiedział tylko, jak to uczynić. W tem otrzymuje list od ojca, wzywający go, aby zerwał z Radziwiłłami. Oczywiście, że się rozkazowi ojca poddał bez wahania...

Odtąd nie widywał się z Elizą, ani z jej rodzicami. W końcu, w r. 1828, posłuszny woli ojca, ożenił się z księżniczką Augustą Weimarską, z którą żył w niezamąconym spokoju.

Tymczasem Eliza, zrezygnowawszy z osobistego szczęścia, wegetowała dalej, nie usuwając się od życia towarzyskiego, choć wszystko, co było zabawą, straciło dla niej urok. W lecie jeżdżono do Ruhberga, gdzie Eliza, jak dawniej, malowała pejzaże, rysowała, wspomagała biedną ludność okoliczną, no, i wspominała te chwile, które tu spędzała w towarzystwie Wilhelma. W Ruhbergu też, w lecie, r. 1830, na świetnem zebraniu w parku Buchwaldzkim, ujrzała po raz pierwszy, po czterech latach niewidzenia, swego dawnego czciciela, ale ujrzała go w chwili, gdy podawał rękę — młodej małżonce. Mimo to, opanowała chwilowe wzruszenie, i dzielnie, z uśmiechem na ustach, pospieszyła przywitać młodą parę.

A Wilhelm? On, o ile odtąd spotykał się z Elizą, o tyle niezawsze zachowywał się taktownie. Raz np. na zebraniu u księżnej Augusty, był tak wesołym, tak czułym dla dawnej ukochanej, której asystował przez cały wieczór, że Eliza wzburzona, wyczerpana walką wewnętrzną, zachwiała się, pobiła strasznie, i w tejże chwili rzuciła się jej obficie ustami krew.

Był to pierwszy krwotok, pierwszy złowrogi zwiastun rozwijających się suchot, na które też, w jesieni r. 1834, w półtora roku po śmierci ojca, nieszczęśliwa księżniczka umarła.

Z Y G M U N T K R A S I Ń S K I i A M E L J A Z A Ł U S K A



dy zaczął 9-ty rok życia, a więc doszedł do wieku, w którym Dante poznał nadobną córę Portinarich, Krasiński także już miał swoją Beatrice!

Była nią panna Amelja Bronikowska, córka jenerała wojsk polskich, po którego śmierci wychowywała się i mieszkała w pałacu Wincentego Krasińskiego, jako jego przybrana córka... Pani Krasińska kochała ją również, jak córkę. Mały Zygmunt, odkąd się wprowadziła do jego rodzicielskiego domu, niemniejszą sympatją darzył swoją czarnobrewą kuzynkę, a że się odznaczała niezwykłą urodą, więc żywa sympatja chłopięca niebawem przerodziła się w coś więcej. Okoliczności niesłychanie sprzyjały rozwojowi serdeczniejszego uczucia w Zygmuncie, bo, mieszkając pod jednym dachem ze starszą od niego o lat kilka Amelją, wciąż miał jej wdzięczną postać przed oczyma. Cóż dziwnego tedy, iż egzaltowany z natury chłopiec, owładnięty urokiem czarującej kuzynki, rozkochał się w niej bez pamięci. Doszło do tego, że Zygmunt nie mógł żyć bez jej widoku: gdy tylko znalazł się sam, a nie wiedział, gdzie jest Amelja, zaraz jej szukał po całym pałacu, a zdarzało się niekiedy, iż te poszukiwania odbywał w ojcowskim płaszczu Templariusza, z małą szabelką u boku, w hełmie z czerwonym pióropuszem.

Ale na początku r. 1822 Amelja zaręczyła się z Romanem Załuskim, w marcu zaś jenerałowa Krasińska, już od roku chora obłożnie, zapadła beznadziejnie, a widząc, iż musi umrzeć, domagała się przyspieszenia ślubu Amelji, aby ją móżdż pobłogosławić przed śmiercią. Ślub odbył się w kaplicy pałacowej, a tymczasem o dwa pokoje dalej dogorywała pani Krasińska. Dla jej ubóstwianego jedynaka była to straszna chwila „rozpaczy“, bo, zmuszony patrzeć na ołtarz ślubny Amelji, jednocześnie musiał myśleć o rozwierającym się grobie matki, która istotnie w kilka dni później wyzionęła ducha.

Upłynęło lat kilka. Zygmunt zaczął chodzić do Liceum warszawskiego, a że pani Załuska już nie mieszkała w pałacu Krasińskich, lecz z mężem, a tem samem trochę zniknęła z oczu Zygmunta, więc i jego miłość dla niej, tak płomienna w początkach, powoli zaczęła ostygnać... Ale nadszedł rok 1827. Załuskiego, oskarżonego o zbrodnię stanu, osadzono w więzieniu, gdzie oczekiwał na wyrok sądu sejmowego, a piękna pani Amelja znów zamieszkała w pałacu Krasińskich. Szesnastoletni Zygmunt był już w uniwersytecie, przyczem, jak się wyraził o tym akademickim okresie swojego życia, wstępował w wiek rozpętanej namiętności *à la* Byron.

Od chwili, gdy pani Załuska ponownie zamieszkała z nim pod jednym dachem, dawne uczucie dziecięce zaczęło żarzyć się na nowo, aż nakoniec zajęło się płomieniem młodzieńczej miłości, miłości namiętnej, już zaprawnej popędem zmysłowym, miłości, której wprawdzie nie domyślał się nikt z najbliższego otoczenia, ani ukochana, ani jenerał, która jednak zakochanego studenta „kosztowała połowę duszy i całe zdrowie młodości...”

A tymczasem zdarzenia znowu się układały w ten sposób, że wszystko jakby się zmówiło w celu rozdmuchiwania żaru namiętności w młodziutkim poecie. Po dniu, ubiegłym na wykładach i lekcjach prywatnych, wieczory spędzał w domu, bardzo często sam na sam z Amelją, słuchając jej muzyki i śpiewu; jenerał bowiem, dla licznych spraw majątkowych i politycznych, raz po raz wyjeżdżał z Warszawy. Te ciche wieczory domowe, spędzane w salonie Amelji, i te rozmowy z nią przy herbacie, nieraz przeciągające się do późna, wszystko to, wobec uroku, cechującego piękną słomianą wdówkę, miało w sobie coś upajającego. Jakoż, gdy w czarnej sukni, przy klawikordzie, bądź grała smętne utwory Webera, bądź śpiewała melancholijne arje włoskie, on, zasłuchany, rozmarzony i wniebowzięty, wpatrywał się w nią, jak w kuszące wcielenie pońęt niewieścich, a jednocześnie, bujając na skrzydłach pieśni, lubował się także romantycznością tej interesującej sytuacji, której, jako młody byronista, miał całą świadomość. Ale choć tak wiele przebywali razem i pomimo licznych filiżanek herbaty z arakiem, którą lubił wprawiać się w stan podniecenia, Krasiński nie mógł zdobyć się na odwagę, ażeby tej, którą kochał tak gorąco, otwarcie wyznać swą miłość.

A już co go trapiło najbardziej, to, że nie wszyscy byli tak nieśmiali i skryci względem niej, jak on! Na recepcjach w pałacu, na których Amelja występowała w roli pani domu, wśród zgromadzonych mężczyzn nigdy nie brakło takich, którzy, nadskakując pięknej pupilce jenerała, usilnie starali się o pozyskanie jej względów. Na przyjęciach tych, bardzo świetnych zwykle,

na empirowem tle ponsowego obicia ścian salonu, na tle złotych bronzów i kryształów, na tle rzeźb z marmuru lub porfiru, na tle starych obrazów Murilla lub Cinellego, wśród odurzającej woni kwiatów i perfum, zazwyczaj panowała atmosfera lekka i płocha; a choć pani Załuska stale ukazywała się w czerni, to jednak, otoczona rojem wielbicieli, między którymi nie brakło młodych wojskowych, chętnie słuchała ich komplementów, przy czem, roztaczając czar niebywały, olśniewała dowcipem, a nie gardziła kokieteryą. „W żałobnych tjulach, z ciemnymi szarfami, powiewającemi wkoło jej smukłej, majestatycznej kibici, z lśnięciami ciemno-kasztanowymi włosami szatynki, całemi w puklach, z czarnemi, powłóczystemi, prawdziwie południowemi oczyma, z nosem prostym *à l'antique*, o rysach regularnych, filuternych, pełnych życia i powabu, z tysiącem wzruszeń, malujących się na twarzy“, pani Załuska — w zakochanych oczach Krasińskiego — była zachwycająco piękna, a jej młodociany wielbiciel upajał się samym widokiem tej nieziemskiej — a raczej ziemskiej bardzo — krasy. Onieśmielony jednak, obserwował ją zdaleka, trzymał się na uboczu, rzadko mieszając się do ożywionych rozmów, które z nią prowadzili inni.

Odmienny, bo nierównie poważniejszy nastrój panował na słynnych obiadach czwartkowych u jenerała Krasińskiego, na których do stołu zasiadał cały obóz klasyków, choć i kilku młodych romantyków, jak Odyniec i Witwicki, również byli dopuszczani do tych sympozjonów. Jedyną kobietą, stale uczestniczącą w tych biesiadach, była pani Załuska. Zygmunt, choć go z pewnością nęciło towarzystwo sławnych pisarzy, był za młody, aby móżdż brać udział w tych zebraniach. A już czego żałował najbardziej, że na ten czas musiał się wyrzekać towarzystwa Amelji, że nie mógł słyszeć, co mówiono do niej, i że wogóle o jej rozmowach ze znakomitymi literatami, jako też o jej zachowaniu się w tem dostojnem gronie, mógł się dowiadywać tylko od Odyńca.

Tenże Odyniec opowiada w swoich *Listach z podróży*, że Krasiński ze szczególnem uczuciem grał walca Webera, który to walc był „owocem nauki i pamiątką pani Amelji Załuskiej“, owocem tylu lubych chwil, kiedy to 16-letni Zygmunt, opętany czarem swojej uroczej kuzynki, nietylko przysłuchiwał się jej muzyce, lecz nadto pod jej kierunkiem uczył się grać na klawikordzie. Rozkoszne to musiały być lekcje, podczas których młody poeta robił wielkie postępy, jeżeli nie w muzyce, to w miłości.

Wszystko to naturalnie musiało znaleźć swoje silniejsze lub słabsze odbicie w ówczesnej twórczości Krasińskiego, zwłaszcza, że twórczość ta od r. 1827 wzmagala się z dniem każdym. Istotnie we wszystkich utworach Zygmunta, pochodzących z tej epoki,

nietrudno wykazać wpływ miłości ku Amelji. Przedewszystkiem, ponieważ to była miłość nieodwzajemniana, więc wszyscy bohaterowie, jacy się rodzili w wyobraźni młodziutkiego poety, nie mogli się pochlubić szczęściem w miłości: wszyscy kochali się nieszczęśliwie. Wszystkie bohaterki zaś, z rysów twarzy, z koloru włosów i oczu, robiły wrażenie portretów pani Załuskiej. Wszystko to było obliczone na to, aby dać do zrozumienia ukochanej, której odczytywał swoje utwory, co się działo w jego sercu. Ona jednak, choć wiedziała, jak to rozumieć, udawała, że się niczego nie domyśla.

Ale tymczasem w połowie marca r. 1829 przeszła burza nad głową Zygmunta, i to burza nie wysnuta z rozpoetyzowanej głowy młodego byronisty, lecz burza prawdziwa. W d. 14-ym marca spotkała go zniewaga ze strony kolegów uniwersyteckich, a d. 24-go marca wydano go z uniwersytetu. Była to katastrofa, wobec której nawet nieszczęśliwa miłość musiała zejść na plan drugi.

W takich okolicznościach, po trzech gorzkich miesiącach, mimo wszystko spędzonych w Warszawie, wyjechał 17-letni autor *Władysława Hermana* na wakacje do Opinogóry. Pojechała tam również pani Załuska. Co podczas tego lata zaszło między Zygmuntem a Amelją, o tem milczą wszelkie dokumenty. Wiadomo tylko, że po tych letnich miesiącach Krasiński „znienawidził“ panią Załuską: nie wierzył jej, gdy go zapewniała o swojej dla niego „przyjaźni szczerzej“, a nie mógł darować, że „wzgardzono jego miłością“. Widocznie więc, że jej wyznał swoją miłość, za co mu ona wzamian ofiarowała swoją przyjaźń... platoniczną. Stąd żal Zygmunta, uraza, niechęć, „nienawiść“.

W takich warunkach rozstali się na trzy lata. W październiku r. 1829 Zygmunt opuścił Warszawę, udając się do uniwersytetu genewskiego. Ale i w Genewie jeszcze nie mógł zapomnieć o Amelji, a pojąc wzrok cudami przyrody górskiej, myślał o równinach mazowieckich, na których tle rozgrywała się jego pierwsza miłość. „Za jezioro genewskie nie odstąpiłbym wspomnienia o stawie opinogórskim“ — pisał w jednym z listów do ojca. Że mu wspomnienie Amelji wciąż wypełniało duszę, o tem najlepiej świadczy fakt, że kiedy już w kilka dni po przyjeździe do Genewy znalazł sobie nowego przyjaciela, Henryka Reeve'a, i kiedy w nim znalazł to serce, przed którym mógł wylać swoje, to tematem, który zrazu stał się główną osią ich rozmów, który Zygmunta czynił najbardziej wymownym, była... pani Załuska! Ale choć tyle mówił o niej, nie mógł darować jej, że się nie dała wzruszyć jego zaklęciom. To też, gdy na Nowy Rok otrzymał od niej bardzo serdeczny list z życzeniami, Krasiński tak o nim donosił ojcu: „Odebrałem niedawno list od pani Za-

łuskiej z niezmiernymi oświadczeniami przyjaźni, czułości, dobrych życzeń. Położyłem ten list w biurku osobno od innych i napisałem na kopercie, żebym wiedział od kogo: „*Varium ac mutabile semper est faemina monstrum!*“

Po trzyletnim pobycie w Genewie, po romantycznej idylli z Henryetą Villan, w której się kochał miłością odwzajemnianą, wrócił Krasiński d. 15-go sierpnia 1832 r. do Warszawy, tegoż dnia udając się do Opinogóry, do ojca. W Opinogórze przebywała też z jenerałem pani Załuska. Zygmunt przywiózł jej pozdrowienie od męża, z którym rozstał się dopiero przed kilku miesiącami. Ale jak rozmowy za granicą z Romanem Załuskim mimowoli zwracały myśl poety w stronę Amelji, tak obecnie, kiedy z nią znalazł się znowu pod jednym dachem, przypomniał sobie wszystko, co ją łączyło z nim dawniej, a kiedy nadto musiał stwierdzić fakt, że Amelja w ciągu tych trzech lat rozwinęła się na jeszcze piękniejszą kobietę, wyobraźnia jego zaczęła robić swoje... Jakoż nie upłynęło kilka dni, a w duszy Krasińskiego rozpoczęła się niebezpieczna recydywa miłości ku pani Załuskiej. Zrobiwszy krzyżyk nad swoją przeszłością genewską, zaczął Krasiński — jak się wyraził już w trzy dni po swoim przyjeździe do Opinogóry — *jouir un peu du présent*, słowem, używać terażniejszości. A na tę miłą terażniejszość składały się nie tylko polowania i jazda konna, lecz przede wszystkim te godziny wieczorem i we dnie, które spędzał z Amelją, bądź na długich rozmowach z nią, bądź na muzyce, kiedy grała lub śpiewała „dla niego“ wyłącznie; a zwłaszcza, kiedy mu śpiewała te same pieśni i arje, które dlań śpiewała przed jego wyjazdem z Warszawy.

W takich warunkach stało się to, co się stać musiało, nieodbycie: Krasiński zakochał się nanowo w pani Załuskiej. „Nienawiść zamieniła się w miłość — pisał do Reeve'a. — Tę kobietę, o której ci tyle mówiłem, znowu ujrzałem i pokochałem. Przyszła ku mnie z przebaczeniem na ustach; opowiedziałem jej miłość swoją dziecięcą, udręczenie moje, zazdrości, nienawiść czteroletnią, wreszcie moją miłość, bo takie już moje przeznaczenie, że ilekroć ujrzę tę kobietę, muszę ją kochać!“ Niestety, i teraz musiał się kochać bez wzajemności, albowiem o ile on całkiem nie brał pod uwagę, że Amelja była żoną Romana Załuskiego, który mu w Genewie tyle okazywał życzliwości i przyjaźni, o tyle ona wcale nie miała zamiaru schodzić z drogi cnoty. Mając niemało szczerzej sympatji dla Zygmunta, sympatji siostry dla brata, najmniej była skłonna do zaplątania się w stosunek występny, o jakim roіło się jemu... Co innego, jeśli chodziło o rolę kochanki idealnej, pod której wpływem miałby natchnienie do pisania! Bo, ceniąc jego niepospolity talent, pani

Zaluska nic nie miała przeciwko temu, gdyby coś napisał o niej. Że Amelja godziła się na podobną rolę jego muzy, tego dowodzą trzy fragmenty poetyczne, które Krasiński teraz w Opinogórze wpisał do sztambuchu swej uroczej „cioci“, fragmenty, przesłane jako erotyki prozą, a w których poeta zupełnie otwarcie i bez obłonek pisze o swojej miłości ku właścicielce albumu.

D. 10-go września, po romantycznem pożegnaniu z Amelją, która mu na pamiątkę dała pierścionek i pukiel włosów, wyjechał Krasiński razem z ojcem do Petersburga. Z Knyszyna, gdzie po drodze zatrzymał się na cały tydzień, napisał dwa długie listy: jeden do Reeve'a, drugi do pani Żaluskiej. W pierwszym, opisawszy pokrótce swój przeżyty dopiero co romans z Amelją, tak pisał o swoim ostatniem z nią pożegnaniu: „W końcu odjechała, nazywając mnie zawsze bratem, ja zaś mówiąc jej ciągle przy rozstaniu: Kocham Cię! Nie mogła niczego uzyskać odemnie, ani ja od niej. Pozostaliśmy na miejscach, które nam los wyznaczył“. Do Amelji zaś pisał między innemi (w bardzo obszernym liście francuskim): „Chciałem przymusić się do myślenia o czemś innem, o historii, o filozofji, o polityce, ale stary Rzym i nowa Francja, Platon i Cousin były tylko drogami, które w najdziwniejszych zakrętach wiodły mnie zawsze ku tobie... Ach, gdybym miał opjum!“ Że i przez resztę drogi wciąż marzył o Amelji, świadczył jego list do niej, pisany d. 6-go października.

Przybywszy do Petersburga, zastał tu już Krasiński list od pani Żaluskiej, w którym między innemi znajdował się i taki ustęp: „Żywię dla ciebie uczucie czystsze, estetyczniejsze od samejże miłości: niema nic samolubnego w mojem przywiązaniu. Będę błogosławiła tych, którzy cię uszczęśliwiają, będę kochała tych, których ty pokochasz, a kiedy świat cały cię opuści, znajdziesz mnie taką, jaką dziś jestem. Uczucia moje dla ciebie tak są czyste, że aniołowie mogliby je przyjąć“. Odpisując na ten piękny list, Krasiński tak pisał między innemi. „Kocham, jak siostrę, jedyną na świecie kobietę, która mi powiedziała: Kocham cię!... a ubóstwiam całą miłością kobietę, która mi rzekła: Będę twoją siostrą!... Żadne z moich pragnień nigdy się nie spełniło“. Przez pierwszą z tych kobiet należało rozumieć Henryetę Villan, drugą była pani Żaluska.

Nastroj moralny, w jakim Krasiński znajdował się nad Newą, był tego rodzaju, że „życie samo w sobie wydawało mu się trucizną“, na którą jedynym antidotem była myśl o Amelji, oraz miłość dla niej. W takim nastroju wykończył swojego *Agay hana*, w którym w namiętne sceny miłosne, rozgrywające się między Zaruckim a Maryną, włożył wiele swoich opinogórskich przeżyć z panią Żaluską...

Mimo to jednak miało się już pod koniec jego uczuciom

dla Amelji. Oto w nocy z d. 12-go listopada śniła mu się pani Załuska, ale sen był dziwny, bo zwiastujący jakby zerwanie z opinogórką Beatrice. Śniło mu się, że był w jakimś ogromnym kościele. Nagle ujrzał kobietę z czarnym woalem, w czarnej sukni, która — oczywiście była nią Amelja — przechodząc koło niego, rzekła mu, że go czeka w sali umarłych. Na to on chciał pójść za nią, ale w tejże chwili wyszedł ksiądz dla odprawienia mszy. Przyzwoitość nakazywała poczekać trochę, tak też uczynił. Gdy jednak chciał już odejść od ołtarza, ażeby szukać owej sali umarłych, wyszedł drugi ksiądz ze mszą, wobec czego znów mu wypadało zatrzymać się chwilę. Ale ponieważ w kościele było aż 40 ołtarzy, więc ile razy zamierzał już wyjść, wciąż ukazywał się nowy ksiądz. W końcu, po wysłuchaniu 40-tu mszy, udało mu się opuścić nawę kościelną, aby rozpocząć męczące, jak zmora senna, poszukiwanie owej sali umarłych. W tem mozolnem szukaniu był mu pomocny jakiś dziwaczny diabeł kościelny. Ale nareszcie znalazł swoją ukochaną, klęczącą nad jakimś grobowcem. Już miał się schylić nad jej głową, gdy wtem drzwi otwarły się z trzaskiem, a we drzwiach ukazał się generał, ubrany czarno, z czołem bladym i surowym, i z gniewem na licach zbliżył się ku niemu. Co miało być dalej, nie wiedział, bo się właśnie obudził.

Zdaje się jednak, że dalej miało nastąpić to, co niebawem nastąpiło w rzeczywistości. Oto generał, widząc, że Zygmunt kocha się w pani Załuskiej, przekonał go o niemożliwości innych z jego strony uczuć dla niej, niż braterskie, a użył takich niewzwalczonych argumentów, że poecie nie pozostało nic innego, tylko w pokorze poddać się woli ojcowskiej. Jakoż d. 1-go grudnia napisał Krasiński po francusku uroczysty list pożegnalny do pani Załuskiej, w którym, odwołując się do świata za grobem, wyrażał niepłonną nadzieję, że przeszkody, dzielące ich na tym świecie, znikną na tamtym. Teraz zaś, zniewolony koniecznością, „rzekał się tego, czego pragnął najgoręcej...”

Co pani Załuska po przeczytaniu tego listu pomyślała sobie o tem spotkaniu z Zygmuntem na tamtym świecie, niewiadomo. Wiadomo jednak, że gdy w 60 lat później opowiadała to przejście w swoim życiu przyjaciółce, daleko młodszej od siebie, ale także już starej, zakończyła opowiadanie swoje następującą uwagą: „Mężczyźni nie mogą nigdy zrozumieć, że my się w nich nie Kochamy, i nie mogą nam tego nigdy darować”.

MŁODZIENCZY „IDEAŁ” CHOPINA



oże na moje nieszczęście — pisał 18-letni *Szopenek* do jednego ze swych przyjaciół — ale mam ja już mój *ideał*, któremu wiernie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem *Adagio* do mojego *Koncertu*¹⁾ i który mi inspirował tego *Walca*²⁾ dziś rano, co ci posyłam“. *Ideałem* tym była niejaka panna Konstancja Gładkowska.

Urodzona dnia 10 czerwca 1810 roku, a więc o trzy miesiące tylko młodsza od swego genialnego wielbiciela, przyszła na świat w Warszawie, gdzie ojciec jej był Burgrabią w Zamku. W roku 1829, gdy stała się „*ideałem*“ młodzieńczego Ariela fortepianu, była uczennicą warszawskiego Konserwatorium, w którym, pod kierunkiem Solivy, kształciła się w śpiewie.

W gmachu tegoż Konserwatorium (mieszczącego się wówczas na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Placu Zamkowego) nastąpiło jej pierwsze spotkanie się z Fryderykiem. Było to na dorocznym popisie. Chopin bywał na tych popisach, jako „najlepszy w całym mieście fortepianista“, jako jeden z przedstawicieli miejscowego świata muzycznego, w którym choć najmłodszy wiekiem, zdobył już sobie jedno z najpocześniejszych miejsc. Konstancja wystąpiła tym razem, jako najcelniejsza uczennica Solivy. Przyszły twórca *Nokturnów* był niezmiernie wrażliwy na śpiew, zwłaszcza na śpiew kobiecy, a że panna Gładkowska, obdarzona pięknym mezzo-sopranem, nie tylko śpiewała bardzo ładnie, ale nadto była jeszcze śliczną jasnowłosą dziewczyną o szafirowych oczach, typowym dziewczęciem polskim, więc na popisie tym, oczarowawszy całe audytorjum, rzuciła urok i na Chopina również... Od tej chwili począwszy, stał się „Pan Frycek“ (jak go nazywano) podobnym do szekspirowskiego Romea, z tą różnicą jedynie, że młody Montechi odrazu wyznał

¹⁾ F-moll.

²⁾ Des-dur, op. 70, Nr. 3.

swą miłość, gdy on nie mógł się zdobyć na tyle nawet, iżby się zbliżyć do swej Giulietty, żeby przemówić do niej. Kochał się w niej, marzył o niej, korzystał z każdej okazji, gdy ją mógł widzieć, spotkać na ulicy lub w kościele, ale trzymał się z daleka i kryjąc się ze swem uczuciem, nie miał dość odwagi i śmiałości, by z Konstancją poznać się osobiście.

I tak upłynął szereg miesięcy, rok blisko. Gdy się poznali ostatecznie, niebawem nastąpiło zbliżenie, zawiązała się przyjaźń, zaczął się kleić romansik. Inteligentna i wrażliwa, z usposobieniem artystycznym, nadzwyczaj miła i pełna wdzięku w obejściu, Konstancja posiadała wszelkie dane po temu, by nie tracić na bliższem poznaniu, lecz przeciwnie, zyskiwać. Tak też stało się i obecnie: młody artysta, w miarę, jak coraz więcej przestawał z tem „czułem stworzeniem“ (jak w jednym z listów nazywa Konstancję), coraz bardziej utwierdzał się w swym niewyznanym afekcie ku niemu. Nadzwyczaj muzykalna z natury, rozumiała i odczuwała go doskonale, co oczywiście nie pozostawało bez wpływu na jego miękkie serce... Jakoż chwile, które spędzali razem, bądź w Konserwatorjum (w którym mieszkała Konstancja), bądź w Teatrze Narodowym na operach, bądź w Resursie na koncertach, oboje zaliczali do najprzyjemniejszych. Często ona śpiewała przy jego akompaniamencie (a nikt nie umiał akompanjować do śpiewu, jak „Pan Frycek“!) lub on przegrywał jej swoje najświeższe kompozycje; a choć, bywając w wielkim świecie, poprostu rozrywany po salonach Warszawy, miał niesłychane powodzenie u dam z najwyższych sfer towarzyskich, to jednak na niczych względach i pochwałach nie zależało mu tyle, co na dowodach sympatji i uznania ze strony tej skromnej córki Burgrabiego! W niej widział swój „ideał“, ona była mu natchnieniem, Muzą.

Był to czas właśnie, gdy panna Gładkowska, po skończeniu Konserwatorjum, przygotowywała się do pierwszego publicznego wystąpienia na scenie Teatru Narodowego (którego gmach zajmował wtedy środek Placu Krasińskich). Operą, którą sobie za poradą Solivy — a może i Chopina — obrała na pierwszy debiut, była *Agnes Paëra*. Nazajutrz po tym debiucie, który się powiódł doskonale, pisał „zadowolony“ Chopin do przyjaciela: „Lepiej jest ona na scenie, niż w sali. Nie mówię o grze tragicznej, wybornej, bo niema co powiedzieć. Jak frazuje, tobyś się rozkoszował; cieniuje precudnie, a chociaż z początku głos jej się trząsł ze wzruszenia, jednak później bardzo śmiało śpiewała... Na końcu przywołano ją i rzesistymi okryto oklaskami“.

Od tej chwili, zaangażowana na scenę, Konstancja została śpiewaczką. Występowała z powodzeniem, do którego, obok pięknego śpiewu, w niemałym stopniu także przyczyniała się

i jej niezwykła uroda. Szczególniej podobała się oficerom z pierwszych rzędów krzesel... Znalazło się nawet kilku, co wtargnąwszy za kulisy, czynili możliwe wysiłki, by sobie zjednać uroczą śpiewaczkę, lecz ona „drwiła“ z ich zalotów, bo prócz nich był tam jeszcze i Chopin¹⁾. Wprawdzie jej nie wyznał swej miłości, lecz mimo to domyślała się trochę „największego upału“ w jego sercu i dlatego unikała wszystkiego, coby go mogło zmartwić. Czy go kochała? Z tego nie zdawała sobie dokładnie sprawy, zdaje się jednak, że na dnie tej szczerej sympatji, jaką żywiła dla niego, kryło się uczucie mickiewiczowskiej Zosi, gdy mówi do Tadeusza: „Jużciś, jeżeli kocham, to już chyba pana“. Bądź co bądź Chopinowi, przy każdym spotkaniu z nią, na każde spojrzenie jej, żywiej biło serce. Przykrym dysonansem, który na tle podobnych „chwil jakiegoś lubego odrętwienia“²⁾, coraż bardziej zamącał harmonję tych romansowych duetów, była myśl o rozstaniu, które im niebawem miało położyć koniec.

Termin wyjazdu Chopina za granicę w celu dalszego kształcenia się w muzyce, zbliżał się z dniem każdym. Na samą myśl o tem, myśl, która, jak złowrogi miecz Damoklesa, wisiała nad ich głowami, Fryderyk zapadał w coraz głębsze spleeny, a i Konstancja nie mogła sobie wyobrazić tej chwili rozłączenia się... może na zawsze... Często mówili o tem, a ile razy poruszyli tę bolesną kwestję, natychmiast wesołość uciekała od nich, marszczyła się gładka powierzchnia duszy. Ale jak tu nie mówić o rzeczy, która im wciąż stała przed oczyma! „Co to jest, gdy serce obałamuczone! Nie zawsze człowiek szczęśliwy; może tylko kilka chwil w życiu przeznaczonych mu jest (kosztować szczęścia), więc czemuż odrywać się jeszcze od tych złudzeń, które i tak długo twać nie mogą... Już mię szły napadają mocniejsze, niż zwykle. Jeszcze siedzę, (bo) nie mam dosyć sił do wybrania się na wyjazd. Myślę, że opuszczam Warszawę po to, żebym nigdy już nie wrócił do domu“. Dręczony takim przecuciem, przeczuwając nadto, iż porzuciwszy „wszystkie swoje skarby“, skazany będzie „na wieczne wzdychania“, nie mógł sobie miejsca znaleźć nigdzie, a w sercu czuł coraz większy smutek. „Wychożę z domu, idę na ulicę, tęsknię i wracam do domu. Po co? Po to, żeby znowu tęsknić“. Szczególniej lękał się bolesnej

1) Tarnowski, *Chopin i Grottger*, str. 20—21; „wtenczas, kiedy tylko kilku moskali tobie najgoręcej podobać się chciało, a tyś z nich drwiła, bom ja tam był...“ (Wyjątek z dziennika Chopina).

2) „Uderzony jednym niespodzianem ideału mego spojrzeniem w kościele (u Bernardynów), właśnie w chwili jakiegoś lubego odrętwienia, natychmiast wybiegłem na ulicę i z kwadrans nie wiedziałem, co się ze mną stało. Taki czasem warjat się ze mnie robi, aż strach!“ (Z listu do T. Wojciechowskiego).

chwili pożegnania się z Konstancją, pożegnania, o którym wiedział z góry, ile ich będzie kosztowało obojga. Dlatego, myślał chwilami, czyby nie było najlepiej, wyjechać ukradkiem? „Mam szczerą chęć, po cichu, nie mówiąc nic nikomu, wyjechać od soboty za tydzień, bez pardonu, *mimo lamentów, płaczu, narzekania i padania mi do nóg*. Nuty w tłomok, *wstążeczka na sercu*, dusza na ramieniu i w dyliżans“.

Zanim wyjechał jednak, dał jeszcze d. 11-go października „koncert pożegnalny“ w teatrze, koncert, na którym także śpiewała i panna Gładkowska. Powodzenie było ogromne, a Konstancja — którą on sam pod rękę wprowadził na scenę — śpiewała piękniej, niż kiedykolwiek. „Biało, z różami na głowie, do twarzy prześlicznie ubranej, odśpiewała — przy akompaniamencie orkiestry pod dyрекcją Solivy — *Cavatine z La donna del lago* z recitativem tak, jak (oprócz arji w *Agnes*) nic jeszcze nie śpiewała. Znasz to *O, quante lagrime per te versa!*... Powiedziała *tutto detesto* aż do *u* dolnego tak, że Zieliński utrzymywał, że to jedno *u* tysiąc dukatów warte“.

We dwa tygodnie po tym koncercie wypadło Fryderykowi pożegnać się z ukochaną, tym razem już naprawdę. Jaka scena rozegrała się między nimi w tym dniu pamiętnym: dokumenty milczą. Pewnem jest tylko to, że nim się rozstali, zamienili pierścionki ¹⁾.

Dnia 2 listopada 1830 roku wyjechał Chopin z Warszawy. Po upływie dwóch miesięcy, w drugie święto Bożego Narodzenia, pisząc z Wiednia do swego przyjaciela, Matuszyńskiego, zaczął swój list od następujących słów: „Przeszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów (z Konstancją). Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, *pierścionek gryzę i piszę*“. Już to wogóle od chwili, gdy się znalazł za rogatkami warszawskimi, co moment przypatrywał się temu pierścionkowi, okrywał go pocałunkami, a myśląc o tej, od której dostał tę wymowną pamiątkę, był jak ów bohater z poematu Słowackiego *W Szwajcarji*, który „usychał z żalu, omdlewał z tęsknoty“. Gdziekolwiek się obrócił, nigdzie o niej zapomnieć nie mógł, wszystko zaś, co mu przypominało jej wdzięczną postać, miało dlań podwójny urok, tak dalece, że np. bywając w różnych polskich domach w Wiedniu, najchętniej odwiedzał panią Bajerową, dlatego, że i jej także było na imię Konstancja, że „w domu tej zacnej Polki“ wszystko było znaczone jej imieniem, począwszy od nut, a skończywszy na

¹⁾ Dowodów na to nie brak. O pierścionku, ofiarowanym Chopinowi przez Konstancję, znajdują się w jego listach do Matuszyńskiego kilkakrotne wzmianki. O pierścionku zaś, który Chopin ofiarował Konstancji, posiadam wiadomości od wnuka Konstancji, p. St. Karpińskiego. Będzie o nich mowa wóźniej.

chustkach do nosa, i że tem samem wszystko mu tutaj „przez reminiscencję“ przypominało piękną burgrabiankę. Swoją drogą nie potrzebował aż takich dotykalnych znaków przypomnienia, bo i bez tego myślał o niej prawie ciągle, a gdy pisał do Matuszyńskiego, wtajemniczonego w jego sercowe dzieje, to najwięcej miejsca zajmowały w tych listach „banialuki“ o Konstancji. „Z nikim poufałości, ze wszystkimi grzecznie obchodzić się muszę. Mam ludzi, co mię niby lubią, co mię malują, mizdżą się, przymilają. Cóż mi z tego, kiedy spokoju nie mam? Chyba, jak sobie wszystkie wydobędę listy, otworzę widok króla Zygmunta i Zamku (gdzie mieszkali rodzice Konstancji), *na pierścioneł spojrzę...* Uściskaj odemnie wszystkich moich kolegów. Daj buzi! Ja ciebie chyba razem z życiem, z rodzicami, chyba razem z *nią* kochać przestanę. Mój drogi, pisz do mnie, nawet pokaż *jej* ten list, jeżeli ci się zdaje... Jeżeli cię tak W... szczerze kocha, jak ja, to *Konst...* Nie mogę nawet nazwiska napisać; ręka moja niegodna. Ach, włosy sobie wrywam, kiedy wspomnę, iż mogą o mnie zapomnieć!... Ze mnie dziś *Otello!*... Mój portret, o którym ty i ja tylko mamy wiedzieć, podobniuteńki. Jeżelibyś myślał, że choć trochę przyjemności robi (Konstancji), przez Schucha ci go przyśle“. Do listu tego dołączył Chopin jeszcze „bilecik“ dla panny Gładkowskiej, który to liścik miał jej Matuszyński wręczyć osobiście. W tydzień później, nie otrzymawszy żadnej od przyjaciela swego odpowiedzi w tej kwestji, pisał do niego Chopin, widocznie zaniepokojony tem milczeniem z jego strony, co następuje: „Najdroższa istoto! Masz, coś chciał! Odebrałeś list? Oddałeś?... Żałuję dziś tego, com zrobił. Rzuciłem promyk nadziei tam, gdzie tylko same ciemności i rozpacz widzę. Może ona zadrwi, może zażartuje? Może... Listu od Ciebie nie mam! Rodzicom powiedz, że mi niczego nie brak, że się bawię paradnie, że nigdy sam nie jestem. *Jej* to samo powiedz, jeżeli będzie drwiła! Jeżeli zaś nie, to *jej* powiedz, żeby była spokojną, że się wszędzie nudzę. Pisz jak najczęściej. Piszysz, że wychodzisz z pułkiem. Jakże więc oddasz bilecik? Nie przesyłaj. Ostrożnie! Może rodzice... Możeby źle sądzono!“

Upłynęło pół roku. Artysta, po 8-miesięcznym pobycie nad Dunajem, przeniósł się pod koniec sierpnia do Stuttgartu, ale i tam poszło za nim rzewne wspomnienie Konstancji. Skołatany i rozstrojony ówczesnymi wypadkami politycznymi, o których się dowiadywał z dzienników, a jednocześnie pozbawiony wszelkich wiadomości z Warszawy, niespokojny o swoich najbliższych i... o nią, nie wiedząc, co się z nimi dzieje, czy zdrowi, czy żywi, dręczony najsroższą niepewnością, ile razy z tych szarpiących uczuć spowiadał się w swym dzienniku, zawsze mu obok postaci rodziców, sióstr i najserdeczniejszych przyjaciół i jej

ukochane widmo stawało przed załzawionemi oczyma. Wciąż myślał o niej, tęsknił za nią, niepokoił się o nią. Na bezbrzeżny smutek, tchnący z napisanej teraz właśnie żałosnej *Etiudy C-moll*, złożyła się w znacznej części także i myśl o tem „czułem stworzeniu“, od którego pierścioneł nosił na palcu. „Co się z nią dzieje? Biedna, może w ręku moskiewskiem. Moskał ją dusi, morduje, zabija! Ach! Życie moje, ja tu sam! Chodź do mnie, otrę łzy twoje, zagoję rany teraźniejszości, przypominając przeszłość. Masz matkę? i taką złą... a ja mam taką dobrą... A może już wcale matki nie mam?“ Dręczony tak rozpaczliwemi przywidzeniami, przyczem nieustannie troszczył się o swój błękitnoki „ideał“, miewał i takie czarne chwile, że wątpiąc o wszystkim, zaczynał wątpić i o stałości Konstancji. „Czy ona mnie kochała, czy tylko udawała? — to sęk do odgadnienia. Tak, nie tak, tak, nie tak, nie tak, palec w palec! Kocha mnie? Kocha mnie pewno. Niech robi, co chce!“

W tak ponurym nastroju znalazł się Chopin w końcu września na paryskim bruku. Choć wpadł tu odrazu w wir życia artystycznego i muzycznego, a niebawem i emigracyjnego polskiego, choć go z początku oszałamiała atmosfera nadsekwahńskiej stolicy i choć do smutku i melancholji — zdawało się na pozór — nie miał najmniejszych przyczyn, to jednak nie mógł się opędzić napadom tęsknoty i żałości. Między innemi trapiło go to, że od niejakiego czasu absolutnie był pozbawiony wiadomości o Konstancji. Zaczęło mu to dawać do myślenia, a tem samem przyprawiało o niepokój. W tem uczuciu pisał raz do Wojciechowskiego. „Ach, jakżebym chciał ciebie mieć przy sobie! Nie uwierzysz, jak mi smutno, że nie mam komu się wyjęczyć. Wiesz, jak łatwo zabiorę znajomość, wiesz, jak lubię towarzystwo ludzkie, więc też takich znajomości mam po uszy, ale z nikim, z nikim westchnąć nie mogę! Jestem zawsze, co się tyczy uczuć, w *synkopach*. Wesołym powierzchownie, szczególnie gdy się znajduję pomiędzy swoimi, ale wewnątrz coś mię morduje. *Jakieś przeczucia niedobre*, niepokój, złe sny, albo bezsenność, tęsknota, obojętność na wszystko, chęć życia, to znów chęć śmierci“.

Jeżeli owe niedobre przeczucia tyczyły się Konstancji, to sprawdziły się prędzej znacznie, aniżeli biedny artysta nawet przypuszczał. Bo zaliż mógł podejrzewać, gdy dnia 25 grudnia 1831 r. pisał swój list do przyjaciela, że w tej chwili Konstancja już za niecałe dwa tygodnie miała stanąć na ślubnym kobiercu. Że tak było, niestety, o tem przykra wieść miała nań spaść lada dzień.

Rzecz miała się tak. W tym samym czasie mniej więcej, gdy Chopin stanął w Paryżu, przyjechał do Warszawy pewien młodzieniec, który, poznawszy pannę Gładkowską, zachwycony jej urodą i przymiotami duszy, niebawem poprosił o jej rękę. Po-

nieważ wszystko przemawiało za nim, więc został przyjęty. Był nim 28-letni Józef Grabowski, syn powszechnie znanej i szanowanej rodziny Grabowskich. Przyjechał z Petersburga, gdzie był urzędował w Sekretarjacie Stanu Królestwa Polskiego. Jako rodzony brat Jana Grabowskiego, znanego kupca, i Edwarda Grabowskiego, głośnego mecenasa (zmarłego niedawno), był bardzo dobrą partją, nie pod względem materialnym wprawdzie, gdyż wielkiego majątku nie miał, ale za to pod wszelkimi innymi. Inteligentny, wykształcony, stateczny, młody, a przytem bądź co bądź mogący się nazwać zamożnym, gdy się zakochał w pięknej śpiewaczce, umiał sobie zdobyć jej względy, tak, iż zdecydowała się zostać jego żoną.

A Chopin? Na niego liczyć nie mogła. Wiedziała, że wyjeżdżając za granicę, nie wyjeżdżał na krótko, a co ważniejsze, okoliczności składały się w ten sposób, że wcale nie dało się ręczyć za to, czy Fryderyk wogóle powróci do kraju... Powtóre, choć miała dlań wiele sympatji, to jednak był on za młody dla niej; mając lat 20, trudno, ady myślał o małżeństwie. Lubo genialny jako muzyk, prawie był dzieckiem jeszcze, a jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to stanowczo wyglądał na chłopaczka, który ledwo dzieckiem być przestał. Zdecydowawszy się zostać artystą, po to wyjechał za granicę, by się kształcić w kierunku muzycznym, a nikt nie wątpił, że te studia potrwać lat parę, a może i kilka. Co się tyczy jego miłości, to Konstancja, jakkolwiek się jej domyślała, nigdy nie przypuszczała wszakże, by to zakochanie się mogło być tak wielkiem, a powtóre, choćby nawet było jaknajgorętszem, to było to uczucie studenckie, którego panna, w jej wieku, nie mogła brać na serjo. Ona, mając lat 20, była zupełnie dojrzałą, on zaś, będąc jej rówieśnikiem, nie mógł sobie do nazwy człowieka dojrzałego rościć pretensji. Niepodobna wymagać zresztą, iżby znalazłszy się w jej położeniu, panna chciała czekać na człowieka, *z którym nie była związana żadnem słowem*, a który, przy wrażliwości swego artystycznego i trzpiotowatego usposobienia, bardzo łatwo mógł zapomnieć o niej. A może nawet już zapomniał! W Paryżu miał aż nadto sposobności po temu.

Wszystko to, razem wzięte i rozważone, sprawiło, że panna Gładkowska, z zupełnie czystem sumieniem i nie robiąc sobie żadnych skrpułów z powodu Chopina, została dnia 31 stycznia 1832 roku panią Józefową Grabowską.

Swoją drogą Chopin, gdy mu o tym ślubie napisano do Paryża, nie przyjął wieści o nim obojętnie.

Roznmiął wprawdzie, że okoliczności aż nadto usprawiedliwiały postępek Konstancji, że nie można się jej było dziwić ani poczytać za złe, jeśli w takich warunkach nie wahała się

zostać panią Grabowską, lecz mimo to miał żal do niej, że „próżno wierny był i stały“ Upłynęło lat kilka, a żal ten, pomimo wszystkiego, co zaszło w tym okresie życia Chopina, odzywał się ciągle. Gdy raz, na przyjęciu u hrabiny Collin-Maillard, zagadnął go Albert Grzymała w kwestji jego „ran sercowych“, o których wiedział cośkolwiek, miał mu podobno Chopin — w przeddzień poznania się z p. Sand — odpowiedzieć w te słowa: „Serce moje niezawodnie wyszło dzisiaj do głębi, ale był czas, że pełne ono było po brzegi skarbów uczucia. O, i ja kochałem i jak kochałem! a choć nieraz opowiadałem ci o tem, dziś jeszcze, kiedy pomyślę, jak mój *anioł pokoju* wyglądał, na jakie męki skazało mnie moje z nim rozstanie, kiedy przypomnę, z jakim drżeniem rozkosznem i strasznem zarazem odbierałem listy Matuszyńskiego, w których mi o nim donosił, to staje mi przed oczyma obraz szczęścia, jakie już dawno minęło i jakie nigdy nie wróci. Niestety i ten anioł, była to tylko zwykła Konstancja, zwykła kobieta, i ona także o towarzyszu lat młodości zapomniała i ona oddała rękę innemu. Winić jej jednak nie śmiem. Nie wszystkim sercom dała natura taką, jak mnie, wytrwałość i stałość, i są ludzie, dla których potrzeba ciągle mieć przed oczyma przedmiot ukochany, aby miłość dla niego zachować. Czy wszystkie kobiety takie, rozstrzygać nie chcę, alem już nie ciekawy i w sercu mojem nie masz dla nich miejsca. Prawdziwie kocha się raz w życiu“¹⁾.

Tymczasem młodzi państwo Józefowie Grabowscy, po roku, spędzonym w Warszawie, przenieśli się na wieś, do nabytego umyślnie w tym celu Raducza pod Rawą w Piotrkowskiem. Tutaj, wśród ciszy wiejskiej, żyli szczęśliwi, w najlepszej harmonji, ciesząc się dziećmi, których im Bóg dał pięcioro²⁾. Życie im płynęło spokojnie i bezkłopotliwie: on był wzorowym obywatelem ziemskim, ona zaś, z pięknej śpiewaczki, tak gorąco okłaskiwanej przez publiczność warszawską, a zwłaszcza przez młodych melomanów, przedzierzgnęła się w doskonałą gospozię, całą duszą oddaną domowi, mężowi i dzieciom. Za sceną, którą była opuściła zaraz po zamążpójściu, zdaje się nie tęskniła, co nie znaczy wcale, żeby w dalszym ciągu, w chwilach wolnych od zajęć obowiązkowych, nie uprawiała muzyki i śpiewu. Utwory Chopina, którego sławą już rozbrzmiewała cała Europa, miały w niej gorącą zwolenniczkę. Pozatem bardzo wiele czytała. Wogóle dwór

¹⁾ Zob. Aër (Adam Różewski). Opowiadania i studja. Poznań, 1885. Kontrasty. Ustęp z życia Chopina, str. 69.

²⁾ Z tych żyje tylko jeden syn, Stanisław Grabowski, sędzia gminny w Kaliszu. Starsza córka wyszła za Karpińskiego. Od syna jej, p. Stanisława Karpińskiego, mam podane tu wiadomości o Konstancji.

w Raduczu odznaczał się poziomem umysłowym, jaki się spotyka nie wszędzie po wsiach.

Tak przeszło lat kilkanaście. W roku 1845 spadło na dom Józefa Grabowskiego wielkie nieszczęście: pani Konstancja ociemniała. Stało się to w następujących okolicznościach. „Czytała noc całą *Żyda, wiecznego tułacza*, w owe czasy bardzo poczytną książkę. Nazajutrz doznała szalonego bólu oczu, a już w pół roku potem zaniewidziała“¹⁾. „Naprawdę obwoził ją gorąco przywiązany mąż po sławnych okulistach europejskich: do końca nie odzyskała wzroku“²⁾. Mimo to — pisze o niej spokrewniony z nią przez żonę twórca *Goplany* — los swój znosiła z rzadką rezygnacją, w uczuciach religijnych czerpiąc niespożytą moc ducha. Zajęta domem, wychowaniem dzieci, pomocna mężowi we wszystkich sprawach życiowych, rozumna, dowcipna, wesola, otoczona była uwielbieniem rodziny i okolicy...³⁾. Od chwili, gdy ją Bóg dotknął tak strasznym kalectwem, stała się wielce pobożną, książka bowiem, która ją przyprawiła o ślepotę, była na indeksie⁴⁾.

W r. 1878 umarł Józef Grabowski, poczem Raducz został sprzedany (za 40.000 rubli), a pani Konstancja przeniosła się do Skierniewic, gdzie też odtąd zamieszkała na stałe. O tym końcowym okresie jej życia pisze Wł. Żeleński: „W ostatnich latach wdowiego osamotnienia, po stracie dwóch córek, zateęskniła do muzyki i do fortepianu. Najbliżsi opowiadali, iż często siadała do ulubionego instrumentu, improwizowała lub przypominała sobie dawne melodje. Starość jej otaczał urok poezji. Po życiu pełnem trosk, mimo kalectwa, wracała pogodną duszą do wspomnień młodości i do muzyki...“ Niezależnie od tego rządziła domem, prowadziła gospodarstwo. Ciężkie, kilkadziesiąt lat trwające kalectwo nie zdołało osłabić jej energii życia, łagodności i zadziwiającej inteligencji. Literatura, sztuka, polityka, interesowały ją aż do ostatnich chwil. Wspomnienie Chopina sprawiało jej zawsze niewysłowioną przyjemność. Wielce lubiła opowiadać o nim (co za szkoda, że nikt opowiadań tych nie spisał!), a gdy wyszła książka Karasowskiego, kazała sobie po kilka a nawet kilkanaście razy odczytywać różne z niej ustępy, zwłaszcza listy do Wojciechowskiego i Matuszyńskiego, w których tyle jest mowy o „ideale“. Pierścioneł od Chopina, starannie przechowy-

¹⁾ Na podstawie listu synowej p. Konstancji, pisanego do p. Stanisława Karpińskiego.

²⁾ Z artykułu Wł. Żeleńskiego z powodu książki Nieksa o Chopinie. Bibl. Warsz. 1891, II, 472.

³⁾ Z artykułu Wł. Żeleńskiego z powodu książki Nieksa o Chopinie. Bibl. Warsz. 1891, II, 472.

⁴⁾ Z listu p. Stanisława Karpińskiego.

wany w toaletce, pokazywała chętnie: była to staroświecka z cienkiego druciku obrączka, z oczkiem brylantowem, w srebro oprawnem. Gdy ją raz zapytała synowa, czy nie żałuje, że nie została żoną Chopina? „Ani chwili, odrzekła, gdyż w kalectwie, jakie mnie w życiu spotkało, może Chopin nie okazałby się tak dobrym mężem, jak mój, gdyż był nerwowy, fantasta, słabowity“. W każdym razie, gdy jej po raz pierwszy czytano książkę Karasowskiego, była zdziwiona niepomału, nie przypuszczała bowiem, jak mówiła, że Chopin aż do tego stopnia pałał ku niej miłością.

Dnia 20 grudnia 1889 roku, w równych lat 40 po śmierci tego, który jej swem uczuciem zapewnił nieśmiertelność, Konstancja rozstała się z tym światem. Umarła w Skierniewicach. Pochowana w Babsku, parafji wsi Raducz, obok męża.

ŻYCIE MIŁOSNE PANI SAND



Wielka powieściopisarka George Sand — pisze raz o niej Heine — jest zarazem piękną kobietą. Jest ona nawet wybitną pięknoscią. Jak genjusz, który się wypowiada w jej dziełach, podobnie i jej twarz może być nazwana raczej piękną, aniżeli interesującą; pierwiastek interesujący jest zawsze pełnem wdzięku i uduchowionem odstępstwem od typu piękności, a tymczasem rysy twarzy pani Sand noszą właśnie piętno greckiej regularności. Czoło jest niewysokie, a cudne, przedzielone, kasztanowato-brunatne włosy spadają w lokach na ramiona. Oczy jej są nieco matowe, a przynajmniej nie odznaczają się blaskiem, a ogień ich albo został zgaszony przez wiele wylanych łez, albo przeszedł w jej dzieła, które swe płomienne żagwie rzucają na świat cały. Autorka *Lelii* ma spokojne, łagodne oczy, wcale nie przypominające ani Sodomy, ani Gomory. Nie posiada ona ani emancypowanego nosa orlego, ani figlarnego noska zadartego; poprostu jest to zwyczajny prosty nos. Koło jej ust igra zwykle dobrotliwy uśmiešek, który jednak nie jest bardzo pociągający; nieco obwisła dolna warga świadczy o zmęczonej zmysłowości. Podbródek jest pulchny, ale piękny w proporcjach. Również i jej plecy są piękne, ba, wspaniałe. Podobnież ramiona i ręce są bardzo małe, tak samo jak i jej nogi. Uroki łona niech opisują inni współcześni; ja stwierdzam moją niekompetencję w tym względzie.

Zdaniem pani Ollivior, „jest to raczej przystojna kobietka, niż dama; choć czasem potrafiła być większą damą, niż to sobie wyobrażali niektórzy“. Co pewna również, że w naturze była o wiele przystojniejszą, aniżeli nią jest na wszystkich znanych portretach. „Portrety jej — jak zapewnia Dumesnil w jednym ze swych listów do rodziny — są podobne, ale niepochlebne; uderza wyrazem spokoju, łagodności i słodczy“. Ale prócz tego miała jeszcze coś w wyrazie twarzy, co niesłychanie ku niej pociągało większość mężczyzn. Tem czemś, był niewątpliwie jakiś dziwny powab fizyczny, na który nawet sędziwy Niemcewicz

zwrócił uwagę. Ten powab sprawiał, że od najmłodszych lat zawsze miała wprost wyjątkowe „powodzenie“ [u mężczyzn, *un succès presque incroyable*, jak mówi jej francuski biograf; gdziekolwiek się pojawiła, czy to w Paryżu, czy w czasie podróży, zawsze i wszędzie towarzyszyły jej „konkiety“ wśród spotykanych mężczyzn, co ją często nudziło, a nawet gniewało poprostu. Chciała czy nie chciała, wciąż sobie zdobywała nowych wielbieli. Istna czarodziejka! *Elle attirait les adorations sans le vouloir. C'était une nature de charmeuse.*

Myliłby się jednak, ktoby sądził o niej, że była urodą efektowną: tak nie było wcale, czego ona sama miała świadomość najzupełniejszą, gdy twierdziła, że była *insignifiante d'aspect*, a więc nie rzucającą się w oczy. Przedewszystkiem była drobnej kompleksji, kształtną, proporcjonalną, pulchną, ale niewielką. Wogóle figurę miała 14-letniej dziewczynki, *de la taille d'une fillette de 14 ans*, a że była brunetką o śniadej cerze i wielkich, cudnie oprawnych oczach, czarnych, jak węgle, w których — jakby się wyraził Słowacki — Kupido całym pękiem trzymał najeżone strzały, więc przedewszystkiem robiła wrażenie ognistej, czarnobrewej Hiszpanki, nie frapującej pięknnością, ale posiadającej ogromną dozę tego, co we francuskim języku bywa określane mianem *beauté du diable*. To też, jako „jedna z kuszących form szatana“, żeby użyć wyrażenia Beaudelaire'a, u którego była w dziwnej niełasce, stawała się bardzo niebezpieczną przy bliższem poznaniu. Posiadała jakiś urok, jakiś czar, który mężczyźni wprost przykuwał do niej, którym opętani, nigdy nie mogli wyzwolić się z pod jego władzy. Ci, co z nią mieli do czynienia, których chwilowo uszczęśliwiała swą miłością, nigdy już — zdaniem Balzaca — nie mogli zapomnieć o niej. W miłości jej — jak twierdził Sandeau — był jakiś jad, który się nie dał wyleczyć żadnym antidotem. Kto nie zaznał miłości tej kobiety — słowa Juljusza Sandeau — nie wie, co to ból i nieszczęście. *Celui qui n'a pas connu l'amour de cette femme, ne sait pas, ce qu'est le malheur.* Tenże Sandeau tak opisał wrażenie, jakie czyniła swą ujmującą powierzchownością: „Wszystko w niej ujawniało naturę bujną, bogatą, życie zdawało się tryskać nawet z jej ciemnych loków, kipiało pod ciemną atlasową skórą. Na gładkiem czole nie było jeszcze śladów namiętności, ale już świtała ich zapowiedź; oczy mówiły o walkach i ogniach wewnętrznych“. Musset, który ją nazywał *femme à l'oeil sombre*, nie mógł zapomnieć o tych dziwnych oczach:

Ote-moi, mémoire importune,
Ote-moi ces yeux que je vois toujours!

Jeżeli oczy są „oknem duszy“, to z tych wyglądał przede wszystkim temperament. Temperament ten, ognisty i namiętny, o charakterze zmysłowym, nie bez pewnej *curiosité du vice*, odziedziczyła pani Sand po swych przodkach. Albowiem pochodziła z rodziny, w której żyłach płynęła krew paru generacji zmysłowców i rozpustników. Dość powiedzieć, że w prostej linii pochodziła od Augusta II. Mocnego, elektora i króla polskiego.

Rzecz miała się tak. August II. miał ze słynną z piękności Aurorą Königsmark syna naturalnego, który zasłynął z czasem, jako marszałek Maurice de Saxe. Jeden to z najgłośniejszych awanturników XVIII. wieku. Nieszczęśliwy konkurent do ręki dwóch carowych, Elżbiety Pawłówny i Anny Iwanówny, ale szczęśliwy kochanek Adrianny Lečouvreur i wielu innych aktorek (bo przepadał za teatrem), Maurycy Saski, przy całej swej wojskowej zdolności i dzielności, był przede wszystkim dzieckiem swego czasu, a hołdując lekkiej moralności XVIII. stulecia, zasłynął nie tyle, jako zwycięzca z pod Fontenay, ile jako wielki libertyn, *plus que libertin*. Jako rozpustnik i zmysłowiec był to nieodrodny syn swego grzesznego ojca. Uwikłany w mnóstwo miłostek, zwłaszcza w sferach teatralnych, między innemi miał dłuższy romans z równie piękną, jak rozwiążą śpiewaczką operową, Marie Rinteau, występującą na scenie, jako Mademoiselle de Verrières.

Dzieckiem tej miłości, mniej przelotnej, niż inne miłostki tego saskiego Don Juana, była córka, Maria-Aurora, która, dziwną ironją losu, wyrosła na kobietę bez skazy, czystą, cnotliwą, wzorową, surowych obyczajów. Istny kaprys dziedziczności! Choć wychowana w lekkiej atmosferze świata aktorskiego, i to wśród aktorek i śpiewaczek XVIII. wieku, Maria-Aurora od dziecka odznaczała się wielką skromnością i powagą. Wydana za mąż w 15-tym roku życia, za hrabiego Horna (syna naturalnego Ludwika XV.), który w trzy tygodnie po ślubie zdążył zginąć w pojedynku, przez 15 lat pozostała wdową, aż wreszcie, mając lat 30, poślubiła bardzo bogatego i miłego starca Dupin de Francueil, z którym miała jedyne go syna, Maurycego. Jako ciotka Karola X. i Ludwika XVIII, co sobie ceniła bardzo wysoko, Maria-Aurora niczem nie przypominała sfery, w której wzrosła. Iście katońskiej cnoty, bardzo poważna z natury, nie bez pewnej arystokratycznej wyniosłości, miała wszystkie zalety i wady wielkiej damy, którą też była w każdym calu. Nie darmo w niej płynęła krew królewska! Wyjątkowo inteligentna, bardzo wykształcona, bardzo muzykalna z natury, obdarzona ślicznym głosem i talentem do śpiewu, odziedziczonym po matce, rozmówiona w nauce, w literaturze, w sztukach pięknych, przez całe życie lubiła się otaczać ludźmi uczonymi, z którymi przestawała najchętniej. Wielbicielka filozofji XVIII. wieku, Woltera i Encyklo-

pedystów, była zdecydowaną nieprzyjaciółką kościoła, którą to wolnomysłność doskonale umiała pogodzić z wyjątkowo rozwiniętym instynktem macierzyńskim. Odkąd została matką, całkowicie dała się ować uczuciu macierzyńskiemu, które w niej niewątpliwie było najsilniejszym ze wszystkich uczuć. Owdo-
wawszy dość wcześnie, całkowicie się poświęciła wychowaniu swego jedyne-
go syna. Jakoż wychowała go, jak tylko mogła najlepiej; nie mogła dokazać tylko jednej rzeczy: okiełznać jego
bujną naturę, stłumić popędy, odziedziczone nie po rodzicach, ale po dziadkach i pradziadkach.

Wychowany za rewolucji, w zasadach wolności, równości i braterstwa, z wykształceniem pierwszorzędnym, z wielkim zajęciem dla sztuki i literatury, bardzo muzykalny, ślicznie grający na skrzypcach, przepadający za teatrem, jak przystało na wnuka swego dziadka, Maurycy był naturą szlachetną i prawą, szczerą i artystyczną, ale pozatem, jak przystało na prawnuka August II., naturą bujną i zmysłową. Przyjemnej powierzchowności, a bardzo kochliwego usposobienia, wciąż się uganiał za kobietami, niezależnie od tego, czy była wojna czy pokój. Stąd poszło, że w bardzo młodym wieku został ojcem syna naturalnego, którego matka jego, chcąc nie chcąc, wzięła na wychowanie, jako Hipolita Châtiron. Wstąpiwszy do armji republikańskiej, młody Maurycy Dupin de Francueil odbył przy boku generała Duponta wszystkie kampanie napoleońskie, w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanji, aż w końcu, ranny i wzięty w niewolę przez Austriaków, powróciwszy do swoich, został adjutantem Murata. Podczas kampanji włoskiej uwikłał się w romans z metresą starego generała Duponta, piękną, ale bardzo rozpustną Zofją-Antoniną-Wiktorją Delaborde, ex-aktorką, której teraźniejszość, a zwłaszcza szumna przeszłość, niezmiernie wiele pozostawiała do życzenia. Zakochany w niej, gdy zaszła w ciążę, uniesiony porywem szlachetności, Maurycy postanowił ożenić się z Zofją. Jakoż w r. 1804, na początku czerwca, 16 Preridora, po wielu bolesnych przejściach z matką-arystokratką, stanął z nią w Paryżu przed ołtarzem. W miesiąc później urodziła mu się córeczka, której dano imię Aurory. W cztery lata później, w 1808 r., Maurycy Dupin, skutkiem upadku z konia, odumarł żonę i córkę.

Zrozpaczona po stracie syna, a nienawidząc swej synowej, która jej odpłacała się podobnem uczuciem, babka Aurory, ażeby ją uchronić od złego wpływu matki, sama się zajęła jej wychowaniem, na co Zofja-Antonina-Wiktorja Dupin zgodziła się bez oporu. Owszem, było jej to na rękę, gdyż mając wcale znaczną rentę, jako wdowa po Maurycym Dupin de Francueil, mogła prowadzić znacznie swobodniejszą egzystencję, czego też nie

omieszkała czynić. Istotnie, życie, które odtąd prowadziła w Paryżu, wcale nie było budującym.

Szybko się pocieszywszy po stracie męża, któremu i za życia jego nie była całkiem wierną, a będąc jeszcze piękną i ponętą niezwykle, mogła mieć tylu kochanków, ilu chciała, za czem poszło naturalnie, że miała niejednego. Ciągłe zaabsorbowana miłostkami, całkiem się odzwyczaiła od córki, zupełnie ją powierzwszy opiece babki w Nohant. Wogóle była to kobieta więcej, niż lekka, a od zwykłej *petite bourgeoisie parisienne* różniła się tylko niepohamowaną zmysłowością. Zresztą był to typ kobiety pospolitej, pozbawionej taktu i delikatności, niezawsze odpowiedzialnej za swe postęпки, zupełnie bez wykształcenia. Nim została podrzędną aktorką — *qui avait commencé ses ébats sur les tréteaux d'un petit théâtre et les avait continuées sur le théâtre de la guerre d'Italie* — była modystką w Paryżu, *une midinette*, i jako taka odznaczała się wielką zręcznością, zwłaszcza w strojeniu kapeluszy, dar, który zachowała do końca życia.

Nadmienić wypada, że Zofja Delaborde, nim została panią Dupin, miała córkę z nieznanego ojca, Karolinę, z którą razem mieszkała w Paryżu, z którą też jeździła do Nohant, gdzie zwykle spędzała lato, ażeby choć parę miesięcy być przy swej córce z prawego łóża. Co również charakteryzowało matkę Aurory, że, jako dziecko ludu, a raczej ulicy, a powodowana nienawiścią do swej arystokratycznie usposobionej teściowej, była usposobiona bardzo demokratycznie, nie cierpiała arystokratów, zwłaszcza arystokratek w rodzaju Marji Aurory, której też zatrula niejedną chwilę w życiu. Za to była bardzo pobożną, nigdy nie opuściła mszy św. w niedzielę, a do spowiedzi chodziła najregularniej.

Cóż dziwnego, że córka takiej matki, a prawnuczka takich prababek, jak Aurora Königsmark — po której dostała imię — i Marie de Verrières, również odznaczała się temperamentem namiętnym i zmysłowym i że pochodząc z rodziny, będącej istną profuzją związków i urodzin nieprawych, z rodziny tak obfitującej w dzieci naturalne i adoptowane, już we krwi miała wrodzoną wyrozumiałość dla miłości nielegalnej, co równocześnie szło w parze z nieprzepartym pociąganiem do miłości wogóle, a do cielesnej w szczególności. Stąd, przy usposobieniu romansem, które już było wytworem epoki romantycznej, ciągle potrzeba kochania, stąd wieczna żądza ciągle nowych wrażeń, nowych podniet, nowych upojeń i zachwyków, a wszystko to na tle sporej dozy lekkomyślności w zrywaniu jednych związków dla nawiązania innych. *Il n'y a en moi de fort* — własne słowa pani Sand o sobie — *que le besoin d'aimer*, a że nazywała się

również *un être de sentiment*, którą to kochliwą uczuciowość odziedziczyła po ojcu, więc słusznie powiedziano o niej, że w miłości ceniła przede wszystkim swobodę, że w stosunku do mężczyzn, ku którym zapłonęła gorętszym afektem, zawsze była gotową ważyć się na wszystko, *toujours prête à tout risquer à tout propos*. W miłości widząc główny cel życia, *la raison d'être*, nie nakładała sobie prawie żadnych hamulców pod tym względem, gdy chodziło o zaspokojenie świętego instynktu miłości. Ponieważ obok silnych popędów zmysłowych, duszę miała spokojną i zrównoważoną, więc o ile zakochiwała się łatwo, o tyle również i odkochiwała się prędko, ale dopóki kochała, kochała całą siłą uczucia, na jakie ją było stać, z całym zapałem i entuzjazmem. Kochając, musiała mieć wiarę w swego kochanka, musiała być przekonaną, że kocha najszlachetniejszego z ludzi; wtedy do swej miłości dodawała ogrom współczucia, czułości, iście macierzyńskiej wyrozumiałości i poświęcenia. Gdy traciła wiarę w szlachetność swego kochanka, od razu przestawała go kochać, a więc zrywała z nim. Szybko się lecząc po każdym zawodzie miłosnym, wcale tem samem nie zniechęcała się ani zrażała do miłości wogóle, jako takiej, przyczem do każdej nowej miłości wносиła pewien rodzaj niepoprawnej naiwności i dobroczynności, niczem pensjonarka, kochającą pierwszy raz w życiu. Pozostając pod urokiem ukochanego mężczyzny, tak się przejmowała jego aspiracjami i sposobem myślenia, że przy każdym kochanku żywiła inny kult intelektualny, z kolei zapalała się do innych ideałów: z jednym miała zapał dla poezji, z drugim dla muzyki, z trzecim dla filozofji, z czwartym dla socjalizmu, z piątym dla republikanizmu i t. d. i t. d.

Nie znaczyło to jednak, żeby kiedykolwiek miała dwóch kochanków naraz. Tego nie popełniłaby nigdy, z czego była dumną. *Un seul à la fois, c'était sa règle*. „Nigdy — własne jej słowa o sobie — nie kochałam dwóch mężczyzn jednocześnie, nigdy, nawet w myśli, dopóki trwała namiętność; nie należałam do nikogo więcej, jak do jednego. Jeżeli go nie kochałam, nie zdradzałam, lecz zrywałam z nim. Prawda, że ślubowałam mu miłość wieczną, ale zawsze czyniłam to w dobrej wierze. Za każdym razem, ilekroć kochałam, to całą duszą, tak, że sądziłam, że jest to pierwszy i ostatni raz w mojem życiu. Pewno, że wy nie możecie mnie nazwać kobietą uczciwą, ale ja sama mam to najgłębsze przekonanie, że nią jestem“.

Ale kochając zawsze jednego tylko, prawie nigdy nie miała takiej chwili, żeby nie kochała nikogo. Widocznie, że jak natura, tak i jej serce nie znosiło próżni. Stąd wielka liczba kochanków grających mniejszą lub większą rolę w jej życiu, a dobieranych

z pośród z najświetniejszych indywidualności swego czasu, liczba wielka bardzo, może za wielka nawet, jak na kobietę, która w swem przekonaniu nigdy nie przestała być uczciwą. Ale też nic bardziej zajmującego, jak jej *vie amoureuse*!

Pierwszym, który ją pchnął na drogę przygód miłosnych, był młody przyrodnik, syn sąsiadów z Nohant, Stephan Ajasson de Grandsaigne. On pierwszy uległ jej urokowi niewieściemu, on pierwszy zakochał się w niej, stał się jej wielbicielem. A jednak kochał się bez wzajemności, bo choć miał wielki wpływ na nią, choć pod jego kierunkiem zapaliła się do studjów nad naukami przyrodzonymi, jednego nie potrafił dokazać, żeby i jej dziewicze serce żywiej zabiło ku niemu. Było to w 1820 r., kiedy Aurora miała lat szesnaście zaledwie. Ale choć niekochany, Grandsaigne bardzo zaważył na losach przyszłej autorki *Lelii*. Przedewszystkiem, gdy ludzie, widząc ich bardzo często razem, a często samych na pieszych lub konnych przejażdżkach, zaczęli do tych spacerów, a zwłaszcza do „studjów naukowych“ z Grandsaignem, dodawać złośliwe komentarze; Aurora, rozdrażniona temi plotkami, przestała zwracać uwagę na to, co mówiono o niej, przestała się liczyć z opinią publiczną, zaczęła mieć pogardę dla świata i ludzi. Był to ważny zwrot w jej życiu. Niemniej ważnem było to, że gdy w tym czasie poszła do spowiedzi, co dotąd czyniła bardzo często, a spowiednik zaczął ją pytać o Grandsaigne'a, oburzona powstała, przerwała spowiedź i nigdy już nie wróciła do konfesjonału. Gdy potem Grandsaigne pojechał studjować medycynę do Paryża, wywiązała się między nim a czarnobrewą panną Dupin ożywiona korespondencja, mająca trwać lata całe.

Po śmierci babki, zmarłej w grudniu 1821 r., 17-letnia Aurora, jako bogata dziedziczka, bo już w tej chwili posiadaczka „zamku“ w Nohant, domu w Paryżu i pół miljona franków w kapitale, wróciła do matki, do Paryża, gdzie przedewszystkiem przekonała się niebawem, że więcej była wnuczką swej babki, niż córką swej matki, z którą niewiele miała wspólnego.

Na początku 1822 r. odwiozła ją matka do swoich krewnych Duplessis'ów w Plessis-Picard, gdzie Aurora, poznawszy barona Casimira Dudevant, już we wrześniu tegoż roku 1822 została jego żoną, naprawdę zakochana w swym mężu. Wychodząc za niego, nie przypuszczała ani na chwilę, że jemu przedewszystkiem chodziło o jej majątek, bo wogóle, pełna złudzeń co do jego osoby, nie miała wyobrażenia, jakiego rodzaju był to człowiek. Tymczasem był to człowiek nieciekawy, pospolity, brutalny, ordynarny, niemoralny, pijak, bez żadnej kultury umysłowej, uganijający się za pokojówkami i dziewczętami z ulicy, a przytem wysokiego mniemania o sobie, przekonany o swej wyższości,

nie znoszący, jako były oficer, opozycji, przywykły do wydawania rozkazów, słowem najprzykrzejszy typ na męża. Nawiasem mówiąc, żeniąc się z niedoświadczoną Aurorą, zastrzegł sobie w intercyzie, że on będzie administrował majątkiem (t. j. jej majątkiem, bo sam nie miał prawie żadnego oprócz długów), a jej będzie wypłacał 3.000 franków rocznie. Mimo to wszystko Aurora przez pierwsze dwa lata czuła się szczęśliwą, przekonana o swym mężu, że był dobry i uczciwy, w listach zaś, które do niego pisywała aż do 1824 r., okazywała się nietylko czułą i przywiązaną, ale namiętą nawet. W czerwcu 1823 r. powiła syna, któremu na intencję Maurycego Saskiego dała na imię Maurycy. Bezpośrednio potem przeniesiono się do Paryża. Tu Aurora sama karmiła dziecko, przyczem okazała się niesłychanie troskliwą i kochającą matką. Jednocześnie okazała się niezrównaną gospożą, doskonale umiejącą się krzątać koło domu, porządkować ogród, ba, szyc kamizelki dla męża! Niestety, mąż coraz mniej zaczynał się krępować wobec niej, coraz bardziej ujawniając swoją prawdziwą naturę grubjanina. Niedość, że ją zaczął zdradzać, że zaczął trwonić jej majątek, ale przychodziło do tego, że pijany zaczął ją bić, policzkować, nawet przy ludziach. Stąd częste łzy Aurory, poczucie osamotnienia, rozstrój nerwowy, a wreszcie nieświadomione pragnienie rzeczywistego szczęścia.

W takich warunkach, w 1825 roku, podczas wycieczki w Pireneje, w Bordeaux, poznała 21-letnia pani Dudevant adwokata Aurelego de Sêze, człowieka niepospolitego pod wieloma względami, bardzo wykształconego, bardzo subtelного, o wielkiej delikatności uczuć. Dzięki sprzyjającym okolicznościom, jak wspólnie odbywane wycieczki w góry i nad morze, Aurora zakochała się w młodym adwokacie; podczas jednej wycieczki w Pireneje otwarcie mu wyznała swą miłość, a choć i od niego usłyszała wyznanie wzajemne, to jednak ani na chwilę nie zeszła z drogi cnoty. Była to jej pierwsza prawdziwa miłość, ale miała pozostać platoniczną. Szczegół charakterystyczny, że Aurora, nie chcąc mieć sobie nic do wyrzucenia, a jak powiada jej biograf, *avec sa nobie franchise et sa droiture de caractère honnête et sincère*, do wszystkiego przyznała się mężowi, który jakoś nic nie miał przeciwko tej miłości. W taki sposób zaczęła się ta czysta i niewinna miłość-przyjaźń, istna *amitié amoureuse* dwojga szlachetnych serc, dwóch prawych charakterów. O ile państwo Dudevant nie przyjeżdżali do Bordeaux, gdzie zresztą bywali często (albowiem pan Dudevant miał tam kochankę, o czym nie wiedziała jego żona), o tyle korespondowano ze sobą. Podobna wymiana listów bardzo namiętnych ze strony Aurory i pisanych z niesłychanym poletem poetycznym, a znacznie spokojniejszych ze strony przeciwnej, trwała lat sześć.

W ciągu tego czasu jednak, we wrześniu 1828 r., urodziła się państwu Dudevant córeczka, której dano na imię Solange, a która była córką doktora medycyny, Stefana Ajasson de Grand-saigne, tego samego, który przed laty kochał się w Aurorze bez wzajemności. Widocznie, że teraz, po siedmiu latach, udało mu się pozyskać jej wzajemność.

Jednocześnie ustały jej stosunki z mężem. Pijąc coraz zawzięciej, całkiem się przestał kryć ze swemi miłostkami, tak dalece, że je nawet uprawiał we własnym domu, pod okiem żony, a o ile sam coraz więcej wydawał na swoje potrzeby, o tyle jej skąpił do tego stopnia, że jej nawet nie wypłacał tego — z jej osobistego majątku — do czego się zobowiązał przed ślubem. Ona jednak znosiła wszystko cierpliwie, a nie mając potrzebnych pieniędzy od męża, zaczęła zarabiać własnym przemysłem: tłumaczyła z angielskiego, rysowała portrety, do czego miała wcale niepośledni talencik, malowała na drzewie, w czem również okazywała wiele zręczności i smaku; w wolnych chwilach zaś, ponieważ nie znosiła bezczynności, a potrosze i w celu rozpraszania smutnych myśli, zaczęła się zajmować ludem okolicznym, wchodziła do chat włościańskich, czy to jako nauczycielka dziatwy, czy to jako opiekunka chorych lub biednych. Były to początki tej dobroczynnej działalności, które jej niebawem miały zjednać piękny przydomek *La bonne dame de Nohant*.

Ale te wszystkie zajęcia jeszcze jej pozostawiały tyle czasu, że z całym zapalem pod kierunkiem Juljusza Neraud, swego sąsiada z Nohant, mogła się oddawać studjom nad botaniką. Takie studia przecież, o ile uczennica jest młodą czarnobrewą mężatką, nieszczęśliwą w pożyciu małżeńskim, a nauczyciel młody i przystojny botanik, choćby żonaty i szczęśliwy w pożyciu małżeńskim, jakim był właśnie Neraud, mogą być połączone z pewnem poważnem niebezpieczeństwem dla jednej ze stron, zwłaszcza, gdy nauczyciel jest wrażliwy na urok niewieści, gdy ulega magnetyzmowi czarnych oczu kobiecych. Nieszczęście chciało, że Neraud wcale się nie okazał odpornym pod tym względem, co sprawiło w końcu, że młody nauczyciel nagle rozgorzał namiętną miłością ku swej zameżnej uczennicy. Co gorsza, że ta nieszczęśliwa, bo nieodwzajemniana miłość nie uszła baczności pani Neraud, która, zazdrosna o swego małżonka, bynajmniej nie myślała rezygnować ze swych wyłącznych praw do jego serca, co na zewnątrz zaczęło się objawiać w formie przykrych scen małżeńskich. Biedny botanik, ażeby wyleczyć się ze swojej nieszczęśliwej miłości, ażeby uciec od tych czarnych oczu, których czar opętał go prosto, nie widział innego środka ratunku, tylko daleką podróż w celach naukowych... aż na Madagaskar! Stamtąd pisywał piękne listy do Aurory — o czem pewno nie wiedziała jego żona —

na które otrzymywał jeszcze piękniejsze odpowiedzi, a gdy w końcu powrócił do domowych pieleszy, szczęśliwie uleczony ze swej miłości, zawsze się liczył do najserdeczniejszych przyjaciół pani Dudevant, korespondując z nią przez całe życie.

W roku 1830 przebrała się miara cierpliwości Aurory; widząc, że dłużej nie wytrzyma przy boku takiego męża, oświadczyła mu któregoś dnia *avec un aplomb et un sang-froid qui l'ont pétrifié*, że wyjeżdża do Paryża, że tam będzie odbierać swą pensję. Baron Dudevant opierał się zrazu, kłął, prosił, tłumaczył; nic nie pomogło; Aurora okazała się niezłomną w swym postanowieniu. Nie pozostawało mu nic innego, tylko ustąpić, co też uczynił w końcu. Dnia 4 stycznia 1831 r. pani Dudevant opuściła rodzinne Nohant, przeniosła się na stały pobyt do Paryża. Dzieci zostawiła w Nohant.

Znalazłszy się na paryskim bruku, odrazu przyłączyła się do grupy swoich dobrych znajomych z Berry, którzy tu, jako młodzi adepci literatury, prowadzili prawdziwie Murgerowską *vie de bohème*. Byli między nimi Feliks Piat, Charles Duvernet, Alfons Fleury, Henri Delatouche i Jules Sandeau. Atmosfera ówczesnego Paryża po rewolucji 1830 r., w samych początkach panowania Ludwika Filipa, była przesiąknięta romantyzmem, który właśnie puszczał swoje pierwsze pędy. Młoda „baronowa Dudevant“ odrazu poczuła się w tej atmosferze, jak ryba w wodzie. Zmuszona liczyć się z groszem, dla oszczędności, żeby móc bywać na parterze w teatrach, zaczęła się ubierać po męsku, *en simple bourgeois de l'époque*, i w takim stroju, z włosami ostrzyżonymi do ramion, w zwykłym kapeluszu męskim, choć ją nieznajomi brali za mężczyznę, w znajomych, gdy jej zależało na tem, potrafiła budzić zachwyt.

Do tych znajomych należał w pierwszym rzędzie Juljusz Sandeau, wtedy młodzieniec 20-letni, wielce obiecujący, jako literat, a gdy pani Dudevant, również aspirująca do literatury, zaczęła przemyślać o napisaniu romansu, tyle sobie w tej kwestji miała do powiedzenia z przyszłym autorem *Marianny*, że niebawem została jego kochanką. Jako taka napisała z nim razem, do spółki, romans p. t. *Rose et Blanche*, romans, który odrazu wślawił młodą parę autorów-kochanków.

Zachwycona tem łatwo zdobytym powodzeniem na niwie powieściopisarskiej, odczuwszy instynktownie, że to jest jej właściwe powołanie, współautorka *Rose et Blanche* zaraz zaczęła pisać, już sama zupełnie, nowy romans p. t. *Indiana*, romans, który wydany pod świeżo przybranym pseudonimem o męskim brzmieniu *George Sand*, utworzonym z pierwszej połowy nazwiska Juljusza Sandeau, odrazu jej dał sławę i pieniądze. Następny romans, *Valentine*, jeszcze powiększył jej rozgłos. Powieści te,

śmiało wymierzone przeciwko więzom życia codziennego, zwłaszcza przeciwko instytucji małżeństwa, przeciwko wszelkim kastowym przesądom, a głoszące prawo do większej swobody dla ludzi genjalnych, niż dla zwykłych śmiertelników, odrazu postawiły „George Sanda“ w pierwszym rzędzie znakomitości literackich, do czego Juljuszowi Sandeau jeszcze było daleko.

Niewiadomo, czy go korciła ta jej nagła sława, to jej niesłychane szczęście, ale wiadomo dobrze, że właśnie z jego powodu doznała swych pierwszych bolesnych rozczarowań w Paryżu, że zakochana w nim, a zakochana miłością zmysłową, żądającą zupełnej wyłączności dla siebie, musiała zawieść się na nim. Przekonała się bowiem, że ją zdradzał i to z kim? Z praczką, z którą go — wróciwszy niespodziewanie z Nohant — złapała na gorącym uczynku. Dotknięta tem boleśnie, w tej chwili zerwała z niewiernym kochankiem, a wszystko to przepoiło ją takim niesmakiem, że nigdy o żadnym ze swych kochanków, choć ich miała tylu potem, nie wyrażała się z taką pogardą, jak o autorze *Panny de la Seiglière*. Że i on odtąd powziął dziwną niechęć do niej, tego dał wymowny dowód najprzód w 1839 r. w powieści *Marianna*, będącej paszkwilem na panią Sand, a następnie w 1861 r., kiedy jego głos miał zdecydować o tem, czy Akademia przyzna pani Sand nagrodę 20000 franków, i kiedy ta nagroda została przyznana komu innemu.

Tymczasem w 1833 roku, w chwili zerwania z Juljuszem Sandeau, autorka *Indjany* była poprostu rozrywaną przez redaktorów dwóch najpoczytniejszych przeglądów, *Revue des deux Mondes* i *Revue de Paris*. Zwycięstwo odniósł Buloz, redaktor *Revue des deux Mondes*, który nietylko wziął panią Sand w monopol, ale nawet kochał się w niej beznadziejnie. Ta jego nieszczęśliwa miłość stała się głośną w literackim świecie paryskim, zwłaszcza wśród współpracowników *Revue des deux Mondes*, którzy trochę się naśmiewali z tego afektu redaktora, a pani Sand poczytywali za dowód charakteru, że choć materialnie zależna od Buloz, choć mu się narażała swym brakiem wzajemności, to jednak potrafiła nie uleść jego zakłębom.

Musset, który był także stałym współpracownikiem *Revue des deux Mondes* unieśmiertelnił tę niefortunną miłość Buloz, ku p. Sand w kilku żartobliwych wierszykach. Oto, co raz pisał w tej kwestji, opisując paryskie mieszkanko pani Sand przy quai Malaquais:

George est dans sa chambrette,
Entre deux pots de fleurs,
Fumant sa cigarette,
Les yeux baignés de pleurs.
Buloz assis par terre
Lui fait de doux serments...

Że jednak Bulozowi imponowała ta odporność p. Sand, że zamiast żalu nabrał tem większego dla niej respektu, dla jej charakteru i uczciwości i że ją w gruncie rzeczy szanował za to, że nie chciała zostać jego kochanką, skoro w nim nie mogła się zakochać, o tem świadczą choćby następujące strofy z wiersza Musseta o „cnocie“ autorki *Lelji* i pojedynku o nią dwóch literatów paryskich:

L'ennemi se fit attendre
Jusqu'à quatre heures un quart
Ce qui fut canulant, car
Buloz brûlait de se rendre
Chez madame Dudevant
Qu'il aimait passionnément.

„Messieurs, c'est épouvantable,
Leur dit Buloz tout suant,
George Sand, assurément,
Est une femme agréable
Et pleine d'honnêteté,
Car elle m'a résisté!“

Oprócz Buloza kochał się w niej, w tym samym okresie czasu, przyjaciel Juljusza Sandeau, Emil Regnault, który, choć również kochał się bez wzajemności (bo autorka *Indjany* kochała wtedy Juljusza Sandeau), to jednak w tych wypadkach, gdzie chodziło o bezinteresowne poświęcenie, do którego Sandeau nigdy nie był skłonny, zastępował go sumienne. Gdy np. w 1831 roku pani Sand zachorowała dość poważnie, Regnault czuwał nad nią, niczem siostra miłosierdzia, dniem i nocą, dopóki nie wyzdrowiała zupełnie.

Po zerwaniu z Juljuszem Sandeau, boleśnie zawiedziona w swych najdroższych uczuciach, pani Sand rzuciła się w odmet innej miłości, miłości fatalnej, która na długo miała zatruć i znieprawić jej duszę. Przedmiotem tej miłości, dla której nawet trudno znaleźć odpowiednią nazwę... literacką, była słynna aktorka, Marja Dorval, równie słynna ze swego niezwykłego talentu, jak ze swego rozwiązłego życia. Zawierając „przyjaźń“ z nią, pani Sand szukała raczej odurzenia i zapomnienia po swym zawodzie z Juljuszem Sandeau, a tymczasem doczekała się tego, że ją rozpustna Dorval „zdradziła“ z jej własnym niedawnym kochankiem, z Juljuszem Sandeau!

Rozgoryczona epilogiem swego stosunku z Juljuszem Sandeau, olśniona błyskotliwością umysłu Prospera Merimée, którego poznała w tych czasach, pani Sand zakochała się w nim szalenie, została jego kochanką, ale już po tygodniu, zniechęcona i pełna niesmaku, zerwała z tym zimnym szydercą, który potem

rozповідаł wszystkim, że mu się nie podobała, że nie miała temperamentu.

Nieszczęśliwa w doborze kochanków, nierównie szczęśliwszą była w doborze przyjaciół, którzy w tej epoce stanowili jej najbliższe otoczenie w Paryżu. Pierwszym wśród nich, a najszlachetniejszym ze wszystkich, był François Rollinat, *le meilleur et le plus honnête des hommes*, jak o nim mawiała autorka *Lelji*, w której go sportretowała jako „idealnego przyjaciela” Trenmora. Szczerze, a całkiem bezinteresownie oddany swej znakomitej przyjaciółce, Rollinat stał się prototypem tylu szlachetnych przyjaciół w powieściach pani Sand. Był to jej Horatio, wobec którego ona, niestety, bardzo często występowała w roli Hamleta. Drugim przyjacielem jej, na którym mogła polegać z całym zaufaniem, był Henryk Delatouche, właściwie Aleksander Thibaud, natura poetyczna, charakter bez skazy, choć pesymista niepoprawny. Jemu została przypisana *Lelja*. Trzecim przyjacielem, na którym się pani Sand nie zawiodła, był głośny krytyk z *Revue des deux Mondes*, Gustaw Planche, który ją w 1832 r. pasował na powieściopisarkę, a który, choć nie był jej kochankiem, za jakiego uchodził przez czas jakiś, jednak pojedynkował się za nią z Capo de Feuillide, oburzony jego zjadliwą krytyką *Lelji*.

Na krótko przed wyjściem tej sensacyjnej powieści poznała się jej autorka ze sławnym już wtedy Alfredem de Musset. Ona miała lat 29, on 23. Ona znajdowała się w całym rozkwicie swej *étrange beauté*, czyniąc wrażenie młodej Hiszpanki, *une véritable petite Espagnolle*, on zaś, jako autor poetycznych, ale cynicznych *Contes d'Italie*, cieszył się nie tylko sławą bardzo utalentowanego poety, ale nadto miał opinię dandysa i libertyna, która to niepochlebna opinia była zupełnie uzasadnioną, niestety!

Przystojny blondyn o wdzięcznej powierzchowności pazia, a obdarzony pierwszorzędnym talentem poetyckim, Musset już podówczas był na bardzo niebezpiecznej pochyłości moralnej. Skończony neurastenik, o charakterze kapryśnym i chimerycznym, a przytem bez żadnej siły charakteru, tak młody, jak był w tym okresie czasu, już był zepsutym do szpiku, skończonym cynikiem i rozpustnikiem. Rozpusta, pijaństwo i hazard, to były jego trzy główne nałogi, których niewolnikiem był od najwcześniejszej młodości. Domy gry, szynkownie i lupanary, to były trzy rodzaje lokalów, w których ten romantyczny Rolla spędzał bezsenne noce, z jego poetycznemi *Nocami* nic nie mające wspólnego. Poza tem była to natura szlachetna, wrażliwa, rzewna i namiętna, ale z usposobieniem nieporządnem, któremu wszystko, co tchnęło systematycznością, wydawało się wstrętnem i nieznośnem.

Jako taki, był Musset, od pierwszej chwili zbliżenia się do pani Sand, jej absolutnym kontrastem. Trudno sobie wyobrazić dwa bardziej niedobrane i sprzeczne charaktery. To też nie-szczęściem stało się dla obojga, gdy się zbliżyli do siebie — na bankiecie w *Revue des deux Mondes* — gdy Musset zakochał się w pani Sand (czego jej przez dłuższy czas wyznać nie śmiał) i gdy sobie w końcu potrafił zdobyć jej wzajemność. Zaczął się zwykły romans, w który Musset kładł więcej młodości i żądy, więcej zmysłów, a pani Sand, bardziej zakochana w swym poetycznym kochanku, więcej słabości i dobroci, więcej serca. Będąc nierównie pocziwszą i szczerzą od Musseta, autorka *Lelji*, zostawszy jego kochanką, więcej, niż o swoim, myślała o jego szczęściu, więcej chciała dawać szczęścia, niż go otrzymywać w zamian. Okazało się jednak, że gdy ona była bardzo oddaną i czułą, on czułym nie był wcale. *Je ne suis pas tendre, je suis excessif*, były jego słowa o sobie. O prawdziwości tego spostrzeżenia miała pani Sand sama przekonać się niebawem.

Na razie układało się wszystko, jak sielanka: mieszkanie na quai Malaquais, zajmowane przez panią Sand, stało się prawie mieszkaniem Musseta, aż w końcu, ażeby nie krępować się znajomymi i przyjaciółmi, przeniesiono się do Fontainebleau, właściwie do Franchard, i tam w zupełnej samotności we dwoje, w cudownym lesie tamtejszym, tak długo pito z odurzającej czary szczęścia, że niebawem przyszła chwila, w której dopito się mętów. Lecz to nastąpiło dopiero z końcem jesieni, gdy powrócono do Paryża. Pierwszym, któremu te męty zaczęły psuć smak dotychczasowych upojeń i rozkoszy, równających się czysto zmysłowemu porywom, był Musset. Zazdrosny o przeszłość Aurory — jak książę Karol o przeszłość Lukrecji Floriani — zaczął ją dręczyć i męczyć z tego powodu, przyczem, obok chwil rozczulenia, miewał chwile takiej hysterycznej wściekłości, że nie tylko stawał się brutalnym, ale traktował panią Sand, jak ostatnią ladacznicę. Jednocześnie zarzucał jej cynicznie, że niedość była kurtyzaną, że, jako kochanka, nie była dość zepsutą i wyrafinowaną, że była za dobra, za pocziwa, a za cnotliwa i wstydliva w pieszczotach, że mu nie potrafiła dać tej rozkoszy w miłości, jakiej żądał od niej, a której miał do syta, gdy miał do czynienia z prawdziwymi kurtyzanami. Jednem słowem, zaczynał mieć dosyć Aurory, zaczynał rozczarowywać się nią, zrażać się do niej.

W takich warunkach, które się równały początkowi końca tej romantycznej miłości, powzięto niefortunny zamiar, ażeby razem odbyć podróż po Włoszech. Z tego, że już przeszła właściwa chwila do takiej romantycznej podróży we dwoje, że już się skończył miodowy okres tego poetycznego romansu,

a temsamem musiała przyjsć kolej na piołuny, z tego, niestety, jeszcze sobie nie zdawano sprawy. Jakoż dnia 13 grudnia wyjechano z Paryża, przyczem nadmienić należy, że pani Sand puszczała się z Mussetem w tę podróż za specjalnem pozwoleniem matki poety, która go powierzyła jej opiece, i że przez cały czas tej podróży autorka *Lelji* pozostawała w korespondencji nietylko ze swymi licznymi paryskimi przyjaciółmi, ale i z mężem w Nohant, od którego wymagała ciągłych wiadomości o dzieciach. Szczegół charakterystyczny, że pani Sand, decydując się na odbycie tej podróży z Mussetem, między innymi pobudkami, które ją skłaniały do tego kroku, powodowała się także chęcią przynajmniej czasowego uchronienia poety *de l'ivresse et de la debauché*, co pozwala się domyślać, że jeszcze przed wyjazdem z Paryża zaczął wracać do dawnych nałogów, do pijaństwa i rozpusty.

Co pewna, że ledwo wyjechali z Paryża, autor *Rolli* przestał się krępować względami na swą towarzyszkę, że znalazłszy się na ziemi włoskiej, w dzień zwiedzał pałace i galerje, a noce poświęcał na zwiedzanie włoskich szynków i domów publicznych. A gdy mu p. Sand robiła wyrzuty z tego powodu, tłumaczył jej, że szukał rozkoszy, których mu nie dawała ona, bo — mówiąc słowami jednego z jego późniejszych listów do niej — *les plaisirs que j'ai éprouvés dans tes bras étaient plus chastes, c'est vrai!* Na domiar złego, już w Genui p. Sand zaczęła chorować na rodzaj malarji, połączonej z dysenterją, co oczywiście do tej romantyczno-poetycznej podróży à la Byron niemało musiało dodawać zwykłej życiowej prozy. Z Genui — 22 grudnia — pojechano przez Livorno, Pizę, Bolognę, do Florencji, gdzie p. Sand znów dostała nowego ataku malarji, połączonego z silnymi bólami głowy. Wcale poważnie chora, a temsamem przygnębiona i pełna apatji, wcale nie była w nastroju do zachwycania się pięknosciami Florencji, zwłaszcza, że Musset, znudzony jej chorobą, wcale niedwuznacznie dawał jej do poznania, że nie zna nic nieznowniejszego, aniżeli podróż z chorą kobietą.

Wógóle horyzont coraz bardziej zachmurzał się nad nimi, a przykre dysonanse, których już nie brakło i przedtem, teraz we Florencji zaczęły się stawać coraz dotkliwszemi. Niezdolny do miłości czystej, pełnej przyjaźni i zaufania, opartej na wzajemnym szacunku, a nie cofającej się przed poświęceniem, Musset bez ceremonji zaczął zostawiać p. Sand samą, nie troszcząc się o nią, gdy się zmagala z chorobą; gdy ona siedziała w domu, pisując po kilka godzin dziennie, jeśli się czuła lepiej, on, w dzień wertując kroniki włoskie, z których zaczerpnął temat do sweg *Lorenciaccia*, wieczory i noce spędzał w ekscesach poza domem, w winiarniach i przybytkach rozpusty, zdradzając

swą towarzyszkę podróży *de la manière la plus grossière*. Wszystko to dowodziło niezbicie, że już ich dusze nie odbrzmiewały unisono, że nie tworzyły harmonijnego akordu. Zwłaszcza ona musiała odczuć bankructwo swego ideału, jaki jeszcze do niedawna widziała w Mussecie, bo nie mogła zrozumieć, że będąc z nią razem, szukał rozrywek i uciech gdzieindziej.

Widząc, że Musset był *un éthée en amour, incapable de s'attacher à moi sérieusement*, zmieniła się w swem uczuciu dla niego, zaczęła go kochać inaczej, niż go kochała dotychczas, na to bowiem, żeby kochać całą siłą miłości, do jakiej była zdolna, musiała ubóstwiać swego kochanka — *adorer* — tymczasem ona, z jego własnej winy, nawet go już nie mogła szanować. Ostatni łącznik, jaki ich mógł wiązać z sobą, mianowicie zmysły, także w końcu musiał być odrzucony przez nią, niedość bowiem, że Musset, wracając ze swych nocnych wycieczek, najczęściej wracał w stanie nietrzeźwym, ale któregoś dnia powiedział jej, że boi się, czy nie jest chory...

Było to już w Wenecji, dokąd przyjechali 19 stycznia, a gdzie zamieszkali w Hotelu Danieli na Riva dei Schiavoni. Przybywszy tu, p. Sand od razu położyła się do łóżka. Poważnie chora na malarję w połączeniu z dysenterją i strasznymi bólami głowy, przez dwa tygodnie nie wychodziła z domu, aż wkońcu musiano się uciec do puszczenia krwi, co rzeczywiście spowodowało pożądaný zwrot ku szybkiej rekonwalescencji. Leczył ją dr. Pagello, młody, przystojny Wenecjanin, który bardzo troskliwie zaopiekował się swą pacjentką. Tymczasem Musset, grając w karty (przyczem raz zgrał się do nitki), a przedewszystkiem wyprawiając bachiczne orgje z dziewczętami weneckimi, całkiem nie troszczył się o swą chorą towarzyszkę, stawał się coraz bardziej przykrym w obejściu z nią, a że i ona, choć wogóle panowała nad sobą, raz po raz odezwała się z jakimś wyrzutem, zwłaszcza, gdy wracał pijany i złażdaczony, więc burzliwe sceny, coraz burzliwsze z dniem każdym, zaczęły się powtarzać coraz częściej. Musset nie taił się wcale, że już miał dosyć tej choroby p. Sand, nazywał ją „nudą wcieloną“, „głupią“, „marzycielką“, „pobożnisią“ etc. (co we francuskim oryginale brzmiało: *l'ennui personifié, la rêveuse, la bête, la religieuse*), aż wreszcie któregoś wieczoru oświadczył jej bez ogródki: „George, je m'étais trompé; je t'en demande pardon; mais je ne t'aime pas“. Na co mu ona, obrażona i zraniona w swej miłości własnej odrzekła ze spokojem: „Nous ne nous aimons plus; nous ne nous sommes pas aimé!“

Czuając się lepiej, a widząc, że właściwie wszystko już było skończone pomiędzy nimi, smutna i zniechęcona, p. Sand sama pierwsza proponowała Mussetowi, żeby się rozłączyli, żeby wyjechać z tej przeklętej Wenecji, przyczem wyraziła gotowość

odwiezienia go aż do Marsylji, skąd już sam mógłby wrócić do Paryża. Musset uważał, że istotnie możeby tak było najlepiej, ale z drugiej strony chciał pracować trochę, skoro już raz był w Wenecji. Bo nie należy zapominać, że ci romantyczni kochankowie byli urodzonymi pisarzami, że wszystko, co się działo pomiędzy nimi, nie przeszkadzało im, w przerwach między jedną sceną a drugą, pilnie siedzieć i pisać, co Musset zwykle czynił w ciągu dnia, a p. Sand nocami.

Kto wie jednak, czy pomimo wszystkiego nie byliby wyjechali z Wenecji, gdyby nie Musset, który nagłe 29 stycznia powalony ciężką chorobą na tle *delirium tremens* i rozstroju nerwowego, na dłuższy czas stał się niezdolnym po podróży. Pani Sand, która powoli zaczynała przychodzić do siebie, zaraz wezwała doktora Pagella, z pod którego opieki ledwo wyszła sama, prosząc go, ażeby przyszedł z jakim drugim doświadczonym lekarzem, stan bowiem, w jakim znajdował się Musset, budził najpoważniejsze obawy. Pagello sprowadził doktora Santiniego, gdy jednak ten okazał się skończonym „osłem“, pani Sand umiała pozbyć się go delikatnie, a chorego powierzyła wyłącznej opiece doktora Pagello, przyczem sama, wróciwszy do zdrowia, najgorliwiej się wywiązywała z roli guarde malady. W tej roli istotnie dała dowody niesłychanego poświęcenia, dniem i nocą czuwając przy łóżku poety, nie cofając się przed pełnieniem najniższych posług przy nim, przez tydzień nie rozbierając się wcale. Że ją to wyczerpywało nadmiernie, że przy tej sposobności sama ledwo nie padła z wyczerpania, nadmieniaczby była zbyteczna. Ale zaznaczyć to należy, gdyż stan Musseta był tak groźny, że gdyby nie ta prawdziwie anielska opieka p. Sand, kto wie, czyby był wyszedł z tej choroby. To jej bezprzykładne poświęcenie najlepiej umiała ocenić matka Musseta, która wcale z tem nie tała się przed synem, że gdyby nie opieka, jaką go w Wenecji otaczała jego przyjaciółka, niewiadomo, co by się było stało.

Groźny stan, w którym Musset chwilami dostawał wprost napadów furji, trwał dwa tygodnie. W połowie lutego nastąpiło przesilenie, poczem zaczęła przychodzić powolna rekonwalescencja. Wszelkie niebezpieczeństwo minęło; chory, choć jeszcze wciąż potrzebował nader troskliwej opieki, którą p. Sand i doktor Pagello z prawdziwem zaparciem się siebie pełnili przy nim, już był na drodze do wyzdrowienia.

Podczas tej jego rekonwalescencji, która miała trwać sześć tygodni blisko, p. Sand, dużo przestając z młodym doktorem Pagellem, przyczem musiała podziwiać szlachetną bezinteresowność, z jaką pielęgnował chorego Musseta, coraz bardziej zaczęła przekonywać się do młodego lekarza, który — nie należy zapominać o tem — był pięknym typem czarnookiego Wenecja-

nina, i nie spostrzegła się nawet, jak jej serce, zbolełe i rozżalone przykrym zawodem z poetą *Rolli*, zajęło się nową miłością, którą w niej wzbudzić potrafił dorodny eskulap. Uważając, że po wszystkim, co zaszło z Mussetem przed jego chorobą, miała wszelkie prawo do uważania się za wolną zupełnie, że wobec powracającego do zdrowia Musseta nie potrzebowała krępować się żadnymi względami, że jako jej kochanek już stracił wszelkie prawo do niej, wcale nie myślała powściągać swego nowego uczucia, którem teraz zapłonęła dla pięknego i szlachetnego doktora, a że nigdy nie lubiła kryć się ze swą miłością, gdy ją poczuła dla kogoś, więc zamiast czekać, aż Pagello zorientuje się w sytuacji, sama któregoś dnia wyznała mu z całą szczerością — w prześlicznym piśmie do niego — że go kocha. Sama mu wręczyła to pismo, a gdy on, rzuciwszy na nie okiem, zmieszany, nie wiedział co począć, proponowała mu — w obecności Musseta — żeby z nią wyszedł na miasto, gdzie chciała poczynić pewne zakupy. Trzy godziny trwała ta przechadzka, rozmowa zaś, jaką prowadzili ze sobą, cała się równała nieskończonym warjacioom na temat: kocham Cię! Od tej chwili zaczął się romans autorki *Lelji* z Pagellem.

Wszystko to nastąpiło mniej więcej w drugiej połowie marca, na krótko przed wyjazdem Musseta, który, postanowił wrócić do Paryża. Zamiaru jechania do Rzymu, który żywił początkowo, zaniechał wobec swego stanu zdrowia. Był także chwilowy projekt, że p. Sand wróci z nim razem, t. j., że go odwiezie do Paryża, poczem sama pojedzie do Nohant; lecz projekt ten, wobec miłości dla Pagella, został zarzucony, co nawet Mussetowi zdawało się dogadzać, bo już miał dosyć tej podróży we dwoje, w towarzystwie głupiej „nudy wcielonej“, i wolał wracać sam ze służącym. Naturalnie, że p. Sand chętnie przystała na to, bo, zakochana w Pagellu, zdecydowała się zostać w Wenecji, ażeby z całą swobodą oddać się używaniu swej nowej miłości. Wcale nie jest nieprawdopodobnem, że tylko czekała na wyjazd Musseta, że nie mogła doczekać się tego wyjazdu.

Jednocześnie, oczywiście w tajemnicy przed Mussetem, wobec którego już przestała być szczerą, coraz większą folgę dawała swej miłości ku pięknemu doktorowi, w którym już była zakochana bez pamięci, ku któremu już się wyrzywały nie tylko jej dusza, ale i zmysły. Jeśli je oboje trzymali na wodzy, to tylko siłą woli, ażeby z czystem — względnie — sumieniem móż patrzeć w oczy Mussetowi, który już 29 marca miał opuścić Wenecję. Z niecierpliwością oczekując tego wyjazdu, p. Sand coraz mniej zaczęła przestrzegać względów ostrożności wobec Musseta, co sprawiło, że poeta zaczął się domyślać wszystkiego, że wpadłszy na trop tego nowego romansu swej kochanki, szybko zorientował

się w sytuacji, aż w końcu, nie dając poznać po sobie, że widzi, co się święci, zaczął śledzić swą towarzyszkę, obserwować jej zachowanie się z doktorem, jej wszystkie czynności w obecności i nieobecności Pagella, co naturalnie musiało skończyć się na tem, że ją — na tydzień przed swym wyjazdem — złapał na paru uczynkach, z których mu nie umiała się wytłumaczyć, a które świadczyły niezbicie, że już wcale daleko zdążyła zająć w swej poufałości z Pagellem.

Przyparta do muru, p. Sand wcale nie straciła kontenansu, lecz wyzywana przez Musseta sama odrazu przybrała postawę wyzywającą. Przedewszystkiem, wychodząc ze słusznego założenia, że już przestali się kochać wzajemnie — *puisque nous ne sommes plus rien l'un à l'autre* — zabroniła mu, żeby ją śmiały wypytywać o jakiegokolwiek szczegóły, dotyczące jej miłości dla Pagella. Była to nowa faza w jej życiu, do której jemu wtrącać się zasię. Zakochała się w Pagellu, to prawda! Z tą prawdą, on, Musset, powinien się pogodzić. Ona jest w porządku wobec niego! Nie kocha jej, przestał być jej kochankiem, stracił jej przywiązanie, do czego sam zresztą przyczynił się swem nęgodziwym zachowaniem się względem niej, więc niech się pogodzi z myślą, że przestawszy kochać jego, zaczęła kochać innego. Wkońcu jednak, gdy ją Musset zaczął lżyć niemiłosiernie, przyczem wpadł w taką wściekłość, że to mógł przypłacić życiem, wyparła się wszystkiego, ażeby tem kłamstwem ratować siebie i jego. Skończyło się na tem, że Musset ostatecznie spuścił z tonu, bo nim wyjechał z Wenecji, pogodził się z całą sytuacją, tak dalece, że wyjeżdżając „błogosławił“ tę nową miłość p. Sand, a z Pagellem rozstał się w najlepszej komitywie, powierzając Aurorę jego opiece.

Wyjechawszy dnia 29 marca z Wenecji, Musset odetchnął swobodniej; poczucie, że jest sam, sprawiało mu przyjemność. Z Genewy napisał list do p. Sand, pełen czułości dla Pagella, a stanawszy z powrotem w Paryżu, znów wrócił do dawnego trybu życia: do gry, pijaństwa i rozpusty. Z panią Sand korespondował jak z dobrą przyjaciółką, przyczem listy, pisane do niej, wysyłał pod adresem doktora Pagella. Irytowało go tylko, gdy w Paryżu, w kołach literackich, rozmaicie sobie komentowano jego rozstanie z „George'm“.

Tymczasem pani Sand, gruntownie wyleczona ze swej miłości do Musseta, a całkiem oddana swemu nowemu uczuciu, zaraz we dwa dni po wyjeździe poety, z którym zresztą rozstali się jaknajlepiej, wybrała się z Pagellem na kilkudniową wycieczkę w Alpy aż do granic Tyrolu. Wróciwszy 6 kwietnia do Wenecji, szczęśliwa i zakochana, odrazu wzięła się do pracy, zaczęła pisać po ośm godzin dziennie, tak, że poza chwilami upojen

z Pagellem — o których najwymowniej świadczy jego napisana dla niej *Serenada* — nie tylko przerobiła *Lelję*, w której dopisała mnóstwo ustępów natchnionych romansem z Mussetem, ale skończyła powieść *André*, napisała nową p. t. *Jacques*, tudzież pierwsze *Lettres d'un voyageur*. Prócz tego pisywała mnóstwo listów do przyjaciół, do męża i dzieci, do Musseta (który był tyle uprzejmy, że robił niektóre korekty jej rzeczy nadsyłanych do *Revue des deux Mondes*). Wogóle czuła się nadzwyczaj szczęśliwą teraz w Wenecji. Jedynym dyssonansem, który jej trochę psuł tę wenecką idyllę, były awantury, jakie jej robiły dawniejsze kochanki Pagella, których ona jednak nie traktowała na serjo, tak, że opisując je Mussetowi, przedstawiała te „sceny“ głównie ze strony humorystycznej. Za to o Pagellu pisywała z rozczeniem i zachwytem, jako o aniele dobroci, którego kochała „bez namietności“, ale z ogromną siłą przywiązania. Pagello również był w korespondencji z Mussetem.

W ten sposób upłynął p. Sand czas w Wenecji do drugiej połowy lipca. Rozkochana w Pagellu, nie chcąc rozstawać się z nim, namówiła go, żeby z nią razem pojechał do Paryża, przyczem go na lato zaprosiła do Nohant. Pagello nie odrzucił tej propozycji, zaczęło poszło, że w końcu lipca opuszczono Wenecję. Drogę obrano na jeziora włoskie, Medjolan i Szwajcarję. Z Genewy zrobiono wycieczkę na Mont Blanc aż do Grand Glacier, słowem, cała podróż obfitowała w mnóstwo wrażeń romantycznych.

Do Paryża przyjechano 14 sierpnia. Tu jednak skończyła się poezja tej miłosnej idylli. Najprzód przyjaciele p. Sand, widząc ją z Pagellem, trochę sobie zaczęli pokpiwać na temat tego weneccjanina na paryskim bruku. Powtóre Pagello zaczął być zazdrosnym z powodu Musseta, zwłaszcza, gdy na nim pani Sand wymogła pozwolenie, że w jego nieobecności zobaczy się z Mussetem. Bardzo mu się to wszystko zaczęło niepodobać, szczególnie, gdy to tajemnicze widzenie się z Mussetem trwało dwie godziny przeszło, a zamieniło się w scenę pełną łez i rozczeń wzajemnych. Zaniepokojony podobnym obrotem rzeczy, Pagello zaczął być nieznośnym, równie nieznośnym, jak jego poprzednik, co bardzo zaczęło niecierpliwieć p. Sand. Przyszło do scen gwałtownych, a gdy Pagello, choć otrzymał uprzejme zaproszenie od pana Dudevant, nie chciał jechać do Nohant (co dobrze świadczy o jego subtelności uczuć), skończyło się na tem, że pani Sand dnia 10 września pojechała tam sama. Pagello został w Paryżu, zabrał się do poważnych studjów medycznych, a po jakimś czasie wrócił do Wenecji. Na tem się skończył jego romans z George Sand, z którą też odtąd nie miał żadnych stosunków.

Tymczasem Musset bawił w Badenie, skąd pisywał coraz

namiętniejsze listy do swej weneckiej exkochanki, z zapewnieniami, że żyć nie może bez niej, co mu nie przeszkadzało mieć jednocześnie *une bonne fortune*, którą nawet opisał we wdzięcznej nowelce.

Gdy w październiku pani Sand wróciła do Paryża, gdzie już był także z powrotem i Musset, znów nawiązali stosunki z sobą, znów byli kochankami. Ale ta recydywa nie trwała długo. Od pierwszej chwili — *dès le lendemain* według pani Sand — przyszło do wyrzutów wzajemnych, do przykrych kłótni i scen zazdrości, a choć pani Sand, znów zakochana w poecie, pomimo, że ją traktował niemożliwie — *tu me traitais de bête* — garnęła się do niego, on tym razem stał się bardziej bezwzględny, aż w końcu, w listopadzie, zerwał ten nieznośny stosunek, przyczem całą odpowiedzialność za ten postępek wziął na siebie. Pani Sand nie pozostawiało nic innego, tylko wrócić do Nohant, co też uczyniła rzeczywiście. Rozkochana w Mussecie, czuła się bardzo nieszczęśliwą, że z nią zerwał, pisała czułe listy do niego, na dowód zaś, że jej nic nie nęciło poza tą fatalną miłością, obcięła swe nyszne włosy, główną ozdobę swej twarzy, i posłała je w pakiecie pocztowym — wraz z przepięknym listem — kochankowi do Paryża. Gdy Musset zachorował w tym czasie, zaraz przyjechała do niego, żeby go pielęgnować z poświęceniem bez granic; gdy wyzdrowiał, znów się pokłócili i rozeszli. Pani Sand wróciła do Nohant, gdzie znów otrzymywała od Musseta „dosyć czułe“, ale krótkie listy, na które odpisywała po swojemu, t. j. długo i namiętnie. Że w tym czasie naprawdę czuła się bardzo nieszczęśliwą, świadczy jej list z końca grudnia 1834 r. do Sainte-Beuve'a, prawie cały o Mussecie, a pisany w ciężkiem strapieniu, o jakie ją przyprawiła ta nieszczęśliwa miłość, już nie odwzajemniana przez poetę: bo jednego była pewną, że już przestał ją kochać.

Mimo to w styczniu sytuacja znów zmieniła się w ten sposób, że pani Sand na prośby Musseta wróciła do Paryża, a 14 stycznia pisała do Tatteta: „Alfred est redevenu mon amant“. Nazajutrz zaś, dnia 15 stycznia, ukazał się w *Revue des deux Mondes* jej przepyszny poemat prozą w formie dalszego ciągu *Lettres d'un voyageur*, apoteozujący Musseta. Ale już w trzy dni później pisała pani Sand do Liszta, że chce zerwać z Mussetem. Dłuższy stosunek z nim, pomimo, że go jeszcze kochała w tej chwili, uważała za niemożliwy. Był to człowiek zwyrodniały zupełnie, któremu poprostu przyjemność sprawiało dręczenie jej, znęcanie się nad nią. Ledwo pogodzili się z sobą, gdy tylko znów została jego kochanką, zaraz ją zaczął zdradzać z innymi dziewczętami, przyczem ją wprost znieważał najdziwaczniejszymi podejrzeniami. Tak np. przywidziało mu się, że w tych czasach,

gdy on nie chciał jej miłości, ona była kochanką Liszta. Tego już jej było za wiele.

Widząc, że niema innego sposobu wyzwolenia się ze skorpionowych uścisków tej nieszczęsnej miłości, tylko zerwanie z poetą, ale zerwanie stanowcze raz na zawsze, pani Sand, po porozumieniu się z Sainte-Beuvem, który ją zachęcał do tego kroku, zdecydowała się wyjechać z Paryża, wyjechać niespodziewanie, w tajemnicy przed Mussetem, tak, żeby dopiero po fakcie dowiedział się o wszystkim. Jakoż 6 marca wyjeżdżając do Nohant, uskuteczniła swój zamiar, a niebawem odzyskała spokój i równowagę.

Gdy o tem wiadomość doszła do Musseta, nie bardzo zdawał się być zmartwionym, a przynajmniej nie okazywał żadnej rozpacz. Znow zaczął żyć swem dawnem życiem, które pani Sand w swym ostatnim liście do niego, streściła w następujących słowach: „Mon Dieu, à quelle vie vais-je te laisser! L'ivresse, le vin et les filles, toujours“.

I tak było do końca życia! Romans z autorką *Lelji*, który z jego winy przybrał taki, a nie inny obrót, nic nie zaważył na szali losów poety, jako człowieka, wszystko zaś, co się opowiada o jego rozpacz po zerwaniu z panią Sand, wszystko to jest legendą, ukutą *ad usum delphini* przez jej nieprzyjaciół. Jak człowiek nie wyszedł złamany tą miłością, tak pisarz-artysta nie został sparaliżowany nią bynajmniej; jak p. Sand, tak i Musset ani na chwilę nie przestał pisać skutkiem tej miłości, a jeśli czasami rozpaczał z jej powodu, to jedynie w chwilach poetyckiego tworzenia.

W takich chwilach nie tylko cierpiał czasami, ale niekiedy rozmijał się nawet z elementarnymi zasadami dyskrekcji. Dość powiedzieć, że pierwsza z jego słynnych *Nocy*, poetyczna *Nuit de Mai* ukazała się w *Revue des deux Mondes* już 15 czerwca 1835 r., a więc w trzy miesiące po skończonym romansie z p. Sand. Co gorsza, to, że rozdział z *Confession d'un enfant du siècle*, ten, w którym najdokładniej, prawie bez poetycznych licencji, została opisana historia miłości Musseta i pani Sand, ukazał się w tejże *Revue des deux Mondes* już w numerze z dnia 15 września 1835 r., a więc w pół roku za ledwie po głośnym romansie, który jeszcze wszyscy mieli na ustach, o którym jeszcze długo nie miano zapomnieć. Jeśli się zważy, że Musset w swej powieściowej relacji podkreślił i uwypuklił właśnie najdrastyczniejsze momenty tej romansowej historii, że głównie w niej uwypuklił wszystkie zgrzyty i dysonanse tego miłosnego stosunku, to trudno tego nie nazwać grzechem z punktu widzenia delikatności i dyskrekcji. Jediną okolicznością łagodzącą, która zmniejsza jego winę w tym wypadku, jest sposób, w jaki opisał swą małoszaszcytną

rolę, jako kochanka pani Sand, sposób, w jaki wogóle opisał siebie w stosunku do swej kochanki. Trudno o mniej pochlebny autoportret! Zeszyt *Revue des deux Mondes* z dnia 15 grudnia tegoż 1835 r. przyniósł słynną *Nuit de Décembre*, w której znalazło się takie — dyskrecją bynajmniej nie grzeszące — namiętne złożenie, zwrócone pod adresem pani Sand:

C'était par une triste nuit.
L'aile des vents battait à ma fenêtre;
J'étais seul, courbé sur mon lit.
J'y regardais une place chérie,
Tiède encore d'un baiser brûlant;
Et je songeais comme la femme oubliée,
Et je sentais un lambeau de ma vie,
Qui se déchirait lentement.

Je rassemblais des lettres de la veille,
Des cheveux, des débris d'amour.
Tout ce passé me criait à l'oreille
Ses éternels serments d'un jour.
Je contemplais ces reliques sacrées,
Qui me faisaient trembler la main:
Larmes du coeur par le coeur dévorées,
Et que les yeux qui les avaient pleurées
Ne reconnaîtront plus demain!

J'enveloppais dans un morceau de bure
Ces ruines des jours heureux.
Je me disais qu'ici-bas ce qui dure,
C'est une mèche de cheveux.
Comme un plongeur dans une mer profonde,
Je me perdais dans tant d'oubli.
De tous côtés j'y retournais la sonde,
Et je pleurais seul, loin des yeux du monde,
Mon pauvre amour enseveli.

J'allais poser le sceau de cire noire
Sur ce fragile et cher trésor.
J'allais le rendre, et, n'y pouvant pas croire,
En pleurant j'en doutais encor.
Ah! faible femme, orgueilleuse insensée,
Malgré toi tu t'en souviendras!
Pourquoi, grand Dieu! mentir à sa pensée?
Pourquoi ces pleurs, cette gorge oppressée,
Ces sanglots, si tu n'aimais pas?

Oui, tu languis, tu souffres et tu pleures;
Mais ta chimère est entre nous.
Eh bien, adieu! Vous compterez les heures
Qui me sépareront de vous.
Partez, partez, et dans ce coeur de glace
Emportez l'orgueil satisfait.

Je sens encore le mien jeune et vivace,
Et bien des maux pourront y trouver place
Sur le mal que vous m'avez fait.

Partez, partez! Nature immortelle
N'a pas tout voulu vous donner.
Ah! pauvre enfant, qui voulez être belle,
Et ne savez pas pardonner!
Allez, allez, suivez la destinée;
Qui vous perd n'a pas tout perdu.
Jetez au vent notre amour consumée; —
Éternel Dieu! toi que j'ai tant aimée,
Si tu pars, pourquoi m'aimes-tu?

W maju 1836 r., a więc prawie w równy rok po ostatecznem zerwaniu poety z p. Sand, wyszła w książce *La Confession d'un enfant du siècle*, a zapisać się godzi, że Musset jeden z pierwszych egzemplarzy tej książki, opatrzony odpowiednią dedykacją od autora, posłał pani Sand. Autorka *Lelji* przeczytała ten mistrzowski utwór swego niedawnego kochanka jednym tchem, a przy czytaniu ostatniego rozdziału, który jej niedawno przeżyta przeszłość ukazał w tak jaskrawem oświeceniu, płakała rzewnymi łzami.

Lecz jednocześnie-powzięła także i zamiar, ażeby z czasem opowiedzieć przebieg tej nieszczęśliwej miłości ze swojego punktu widzenia, tak, jak ona zapatrywała się na walki i cierpienia dwojga niezwykłych kochanków. Zamiar ten uskuteczniła p. Sand dopiero w 1858 r., wkrótce po śmierci Musseta, w słynnym romansie *Elle et lui*, w którym bez cienia goryczy, bez żadnego zamiaru poniżenia poety, z całym obiektywizmem opisała — pod osłoną fikcji oczywiście — psychologiczną treść swego romansu z Mussetem.

Tymczasem Musset, po napisaniu swej *Spowiedzi dziecka wieku*, nie przestał raz po raz w swych pismach wracać myślą do pani Sand, z którą przy różnych okazjach widywał się czasami. W ciągu 1837 r. mieli z sobą nawet *six heures d'intimité fraternelle*, a w kwietniu i maju 1838 roku wymienili kilka listów z sobą, z których zwłaszcza listy pani Sand pisane są w tonie nadzwyczaj życzliwym i pełnym godności. W 1840 roku znów nastąpiła wymiana listów pomiędzy nimi, tym razem w sprawie ich własnej korespondencji z lat 1834—1835. W roku 1841 spotkali się w teatrze. W tym samym roku wyszedł jeden z najpiękniejszych wierszy Musseta *Le Souvenir*, będący wspomnieniem szczęśliwych chwil, przeżytych z panią Sand w Fontainebleau. Ostatni raz widzieli się w 1848 roku. Musset, bardzo rozczulony rozmową ze swą dawną kochanką, płakał rzewnie. Niestety, był pijany!

Wogóle trzeba mu oddać sprawiedliwość, że pomimo wszystkiego, co sam czasami w swych utworach pisał o demonicznej rzekomo *femme à l'oeil sombre*, i pomimo wszystkiego, co jego przyjaciele opowiadali o jego romansie z nią, on zawsze do końca życia, o ile nie miał umysłu zamuśnionego alkoholem, zawsze o niej wyrażał się z szacunkiem, stale utrzymując „qu'elle ne l'avait jamais trompé et qu'elle avait toujours été vrai”. Inaczej postępował jego brat, Paul de Musset, który całe życie poświęcił na to, aby spotwarzać panią Sand. Co jednak Alfred de Musset myślał o swym bracie, w którym jakby przeczuwał przyszłego paszkwilistę pani Sand, tego się pozwala domyślać fakt, że gdy chodziło o jego listy do autorki *Lelii*, które, wraz z listami pani Sand do niego, znajdowały się w depozycie u ich wspólnego przyjaciela Papet'a, poeta zażądał od niego solennie, by mu dał słowo honoru, że tych listów nigdy nie odda jego bratu. Podkreślić należy, że zarówno Mussetowi, jak pani Sand niezmiennie zależało na ogłoszeniu tej korespondencji, rozumieli bowiem, że w tych listach była prawda, która najwymowniej będzie broniła ich dobrej sławy, że *la vérité sincèrement dévoilée rehausserait l'honneur des deux parties*. Tak też stało się istotnie, a gdy niedawno ogłoszono tę korespondencję dwojga kochanków, najlepiej na tem wyszła p. Sand, którą te listy rehabilitują pod każdym względem. A ostateczny wniosek, do jakiego dziś w tej sprawie doszła krytyka francuska, jest ten, że pani Sand oddziaływała na Musseta, jako człowieka i pisarza, uszlachetniająco, że miłość ku niej, choć tak obfitowała w dysonanse, w gruncie rzeczy *a exercé une influence ennoblissante, purifiante*.

Na te same lata, co romans z Mussetem, przypadają cztery wielkie przyjaźni w życiu pani Sand, przyjaźni, całkiem pozbawione pierwiastku erotycznego, przynajmniej ze strony autorki *Lelii*, które jednak wywarły bardzo silny wpływ na jej przekonania i zasady. Pierwszym wśród tych przyjaciół, jej światłym doradcą, który jej wybaczał wiele, bo ją rozumiał doskonale, jej spowiednikiem w czasie romansu z Mussetem, jej pocieszycielem po zerwaniu z autorem *Rolli*, był Sainte-Beuve, *chère et précieuse lumière dans ma vie*, jak sama wyraziła się o nim. Drugim był Liszt, z którym w 1834 r. poznała się przez Musseta, a z którym ją łączyła gorąca, ale czysto męska przyjaźń. O miłości nie mogło być mowy pomiędzy nimi, bo nie podobali się sobie wzajemnie, choć lubili się bardzo. Była chwila, że przebąkiwano o ich stosunku miłosnym, ale to były zwykłe plotki, obliczone na zdyskredytowanie p. Sand wobec Musseta, a Liszta wobec hrabiny d'Agoult. Z tą ostatnią oczywiście, jako z „przyjaciółką” Liszta, pani Sand przyjaźniła się również. Była to typowa przyjaźń dwóch kobiet, przyjaźń pełna różnych słabostek i zawiści

ze strony hrabiny d'Agoult, zaczęło poszło, że ta *amitié romanesque* skończyła się na wzajemnej niechęci, co naturalnie musiało wpłynąć oziębiająco na stosunki pani Sand z Lisztem. W zupełnie innym rodzaju była przyjaźń, która ją łączyła z Adolfem Gueroultem, wybitnym dziennikarzem, politykiem i ekonomistą, a przede wszystkim zagorzałym Sainsimonistą. Przez niego zetknęła się autorka *Lelii* z sainsimonistami, tak, że nawet przez pewien czas była pod jakimś wpływem tej „parodji religji”. Niemniejszy wpływ miał na nią Karol Didier, bardzo zdolny literat i dziennikarz, współpracownik *Revue des deux Mondes*, jeden z filarów *National'a*, a także gorliwy rzecznik zasad ks. Lamennais, w którego piśmie *Le Globe* również pisywał wiele. Był to, obok Sainte-Beuve'a, najserdeczniejszy przyjaciel p. Sand, powiernik, przed którym nie miała tajemnic.

Przez Didiera poznała się pani Sand w kwietniu 1835 r. z adwokatem Michelem, któremu powierzyła przeprowadzenie swego procesu rozwodowego. Proces ten, trwający rok blisko, toczący się najprzód w Châtre, a następnie w Bourges, skończył się w 1836 r. zupełną wygraną pani Sand, tak, że — dzięki wymownej obronie swego adwokata — nie tylko uzyskała upragniony rozwód, ale jej przyznano prawo zatrzymania obojga dzieci, do czego przywiązywała największą wagę. Lecz zanim skończył się proces, pani Sand jeszcze w ciągu 1835 r. została kochanką swego prawnego obrońcy, co może nie pozostało bez wpływu na jego gorliwość w prowadzeniu procesu z mężem. Bądź co bądź, Michel stał się istnem bożyszczem dla pani Sand, która, zakochana w nim, przejąwszy się jego republikańskimi zasadami, widziała w nim „drugiego Robespierre'a”, „wcielony ideał stoika”, co wszystko było nieprawdą. Zawiedziona na „młodzieniaszkach”, na znacznie młodszych od siebie Sandeau i Mussecie, i spragniona miłości „męża”, w Michelu znalazła, jak jej zdawało się przez czas dłuższy, wielkiego człowieka na miarę Fidjasza, nie widząc, zaślepiona, że był to fałszywy „wielki człowiek”, będący raczej uosobieniem zaprzeczeniem wszelkiej wielkości i niepopolitości. Przedewszystkiem był to typowy adwokat prowincjonalny, wcale nie ujmującej powierzchowności, bo z wielką łysiną, w ciemnych okularach, z trzeba fularami do zatabaczonego nosa. A jednak pani Sand kochała go namiętniej, niż Musseta, bo gdy tamtego traktowała, jak „dziecko”, w tym widziała swojego „pana”, *dominateur*, nazywała go „Rzymianinem” pełnym starorzymskich cnót, nie przypuszczając nawet, że był to tylko chłop z usposobieniem jakobina. Ale miłość jest ślepa, a co gorzej, że widzi fałszywie. I pani Sand uległa temu daltonizmowi w stosunku do Michela; w zwykłym sekciarzu widziała proroka, w niepoprawnym gadule widziała wielkiego mówcę, w pospolitym brutalu widziała

wcielenie energji, w despotycznym tyranie widziała genialnego mistrza, w typowym warchole widziała śmiałego polityka. Tymczasem był to przeciętny radykał o temperamentie blagiera, i to radykał oportunistyczny, uprawiający politykę interesów, a jako człowiek był naturą ordynarną, wcieloną próżnością, pospolitym rozpustnikiem, a przytem zazdrosnym w miłości. Ale zanim pani Sand poznała się na prawdziwej naturze tego „mistrza“, upłynęło dwa lata z okładem. Przez długi czas była zakochana, szczęśliwa i pełna złudzeń. Lecz przyszła chwila, w której przekonała się, że ten „Rzymianin“, o ile zasługiwał na to miano, o tyle mógł pretendować jedynie do tytułu Rzymianina z czasów Tyberjusza; okazało się bowiem, że ten łysy „stoik“ w okularach zdradzał ją tak samo, jak jej mąż, jak jej dotychczasowi kochankowie. Był to wielki cios dla autorki drukującego się właśnie *Mauprat*. Zaczęły się sceny zazdrości, zarówno z jego, jak i z jej strony, aż w końcu przyszło do zerwania. Jak zwykle zerwała p. Sand, a choć raz i drugi dała się przebłagać swemu *Robespierre en personne*, któremu ten stosunek z autorką *Lelii* dogadzał pod wieloma względami, choćby dlatego tylko, że w nim widział pyszną reklamę dla siebie, że przez ten stosunek utrzymywał się na życiowej widowni, to jednak wkońcu, we wrześniu 1837 r., rozegrała się ostateczna scena tego romansu, po której „Rzymianin“ nie miał już co robić w Nohant. Dla pani Sand było to przejście bardzo bolesne, bo, jak romantyczna miłość dla Musseta, tak i ta miłość dla Michela, bardzo prozaiczna w gruncie rzeczy, również się zakończyła niesmakiem i rozczarowaniem. A jednak ten wątpliwego autoramentu „Rzymianin“ wywarł olbrzymi wpływ na sposób myślenia p. Sand; jemu zawdzięczała swe przekonania demokratyczne i republikańskie, a temsamem antiarystokratyczne i antimonarchiczne.

Niemniejszy wpływ wywarł na nią Lamennais, z którym poznała się i zaprzyjaźniła w 1836 r., a do którego osoby i zasad tak się przywiązała wkrótce, że w liście z maja tego roku, pisanym do pani d'Agoult, temi słowy określiła swój kult dla słynnego apostaty: „Il est si bon et je l'aime tant, que je lui donnerai autant de mon sang et de mon encre qu'il m'en demandera“. Czy autor *Paroles d'un croyant*, korzystając z tego uwielbienia *Lelii*, zażądał również i daniny z jej krwi, którą tak umiał rozgrzać dla siebie, czy też poprzastał tylko na daninie z samego atramentu, którym nie wzgardził bynajmniej, to jest pytanie, na które odpowiadano w rozmaity sposób. Natomiast nie ulega wątpliwości, że pani Sand, choć w gruncie rzeczy miała wstręt do pracy dziennikarskiej, uczyniła wyjątek dla Lamennais'go, pisując do jego dziennika *Le Monde*, że w tem piśmie drukowała swoje świetne i sensacyjne *Lettres à Marcie*, propa-

gujące wolną miłość, rozwód etc., że pod wpływem Lamennais'go stała się namiętną nieprzyjaciółką katolicyzmu, kościoła, papiestwa etc., i że sam Lamennais, choć miał świadomość uwielbienia, jakie wzbudzał w autorce *Lettres à Marcie* (których druk przerwał w połowie), nie bardzo ją traktował na serjo.

Inaczej miała się rzecz z malarzem i rysownikiem Calamattą, który przez czas, gdy z nim p. Sand była *intimement liée*, zrobił jej trzy znakomite portrety. Poznali się w 1835 r., a była to jedna z tych przyjaźni znakomitej autorki, która jej nie przyniosła rozczarowania. Jakoż nie skończyła się nigdy. Wogóle była to chwila w życiu pani Sand, w której zażywała większego spokoju, nie narażona na żadne burze psychiczne (po czasowem zerwaniu z Michelem). Znalazłszy kilku nowych a bardzo oddanych przyjaciół (takich, jak malarz Charpentier, który zrobił jej wspaniały portret, jak wreszcie młody, dość mierny poeta i literat, Felicjan Mallefille, którego gościła w swym domu, jako guwernera do dzieci), prawie nie wychylała się z Nohant, gdzie na wiosnę i w lecie zawsze miała sporo gości. Przez całą wiosnę 1837 r. mieszkali u niej Liszt z panią d'Agoult, (z którą przy tej sposobności romansował trochę, a przynajmniej flirtował udający zakochanego Mallefille), gdy nagle, w lipcu, przyszła wieść do Nohant, że matka pani Sand zachorowała śmiertelnie.

Na tę wiadomość, zostawiwszy dzieci w Nohant, udała się pani Sand, razem z Mallefillem, do Paryża, skąd niebawem, wspólnie z Mallefillem przeniosła się do Fontainebleau, z którym dla niej wiązało się tyle miłych wspomnień o Mussecie. Zamieszkano w oberży, w lesie; p. Sand wzięła się do pisania, a co kilka dni jeździła do chorej matki. Dnia 19 sierpnia umarła pani Dupin. Po pogrzebie, pani Sand wróciła do Fontainebleau, a ponieważ życie bardzo często bywa tańcem miłości i śmierci, więc niespodziewanie sympatja, jaką darzyła Mallefille'a, zaczęła przeobrażać się w miłość, platoniczną zrazu, ale wkońcu zmysłową i cielesną. Rolę Galeotta odegrał ich własny romans p. t. *La Dernière Aldini*, który pisali do spółki, a który sprawił, że przyszedł dzień, w którym już więcej... nie pisali dalej! Tym sposobem przeżyła pani Sand, w tych samych miejscach, gdzie była szczęśliwą z Mussetem, nowy romans z Mallefillem. Dni schodziły na konnych przejażdżkach, na długich spacerach po lesie, na kąpielach w rzece, na herboryzacji, na łapaniu motyli. W nocy pani Sand pisała. Nagle otrzymała wiadomość, że baron Dudevant, korzystając z jej niebytności w Nohant, uwiózł stamtąd Maurycego. Wiadomość okazała się mylną wprawdzie, ale mimo to p. Sand wysłała Mallefilla, ażeby Maurycego przywiózł do Fontainebleau. Ledwo z nim stanął na miejscu, otrzymano wiadomość z Nohant, że baron Dudevant uwiózł stamtąd Solange.

Ponieważ wiadomość okazała się prawdziwą, pani Sand udała się natychmiast, razem z Mallefillem, do Nérac, gdzie obecnie mieszkał jej mąż, odebrała córkę, poczem po spędzeniu kilku dni w Pirenejach wróciła do Nohant, ażeby tu razem z dziećmi — i Mallefillem — spędzić całą zimę. Zakochana w Mallefillu, w którym też nawzajem potrafiła wzbudzić namiętną miłość ku sobie, miłość, która aż mogła stać się niebezpieczną, tak była namiętną i samolubną, pani Sand wróciła do swego zwykłego trybu życia, do którego przybyło jeszcze dawanie lekcji dzieciom, co czyniła z wielkiem zamięłowaniem. Zresztą prowadziła życie spokojne, jednostajne i, jak zwykle, bardzo pracowite.

SPISEK PRZECIWKO CHOPINOWI



liście z Nohant z dnia 23 maja 1838 r. do pani Marliani skarży się pani Sand, że co chwila popada w stan czarnej rozpacz i głupie spleeny, co zresztą da się łatwo wytłumaczyć, bo „w sezonie miłości” pogoda bywa zmienna. *Le temps est variable dans la saison des amours.*

Przez ten „sezon miłości” rozumiała autorka *Lelii* swoją miłość dla Chopina, który tymczasem bawił w Paryżu, i swój stosunek z Mallefillem, który już tracił jej względy. Myślą i duszą była przy tamtym, tęskniła za nim, pożałowała go, a nie wiedziała, czy ta jej miłość, choć odwzajemniana, przedzierzgnie się w romans. Chopin nie był wolnym: był narzeczoną Marji Wodzińskiej, a przynajmniej uważał się za takiego. Wprawdzie nie brakło obaw, iż to trochę problematyczne narzeczeństwo nie jest na najprostszej drodze do ołtarza, ale Chopin uważał się za związanego swoją rolą. Pani Sand wiedziała o tem wszystkim, bądź od Chopina samego, bądź od jego serdecznego przyjaciela i powiernika, Grzymały. Wiedziała również, że Chopin, choć oficjalnie był niby to zakochany w Marji, to jednak naprawdę pozostawał już pod jej urokiem.

Pragnąc przeciąć ten gordyjski węzeł, w tem znaczeniu, aby sytuacja stała się jasną, jeżeli nie dla Chopina, to przynajmniej dla niej, napisała pani Sand w pierwszych dniach czerwca 1838 r. następujący list do Grzymały, list, który, ogłoszony niedawno po raz pierwszy w książce Włodzimierza Karenina¹⁾ ze wszech miar zasługuje na to, aby z nim zapoznać ziomków Chopina.

List ten, w wiernym przekładzie z francuskiego oryginału, brzmi jak następuje:

„Nigdy, drogi przyjacielu, nie może mi się przytrafić, ażebym powątpiewała o prawości twoich rad w stosunku do mnie; po-

¹⁾ Włodzimierz Karenin. *George Sand*, t. III. (1838 do 1848). Paryż, 1912, str. 44—53.

dobna obawa nigdy ci nie powinna przyjść na myśl. Wierzę w twoją ewangelję, choć jej nie znam dobrze anim ją poddawała badaniom, z chwilą bowiem, gdy istnieje taki wyznawca, jak ty, musi to być ewangelja najwznioślejsza ze wszystkich. Bądź więc błogosławiony za swe poglądy i bądź spokojny o moje myśli. Postawmy kwestję wyraźnie po raz ostatni, albowiem od ostatecznej twojej odpowiedzi w tym przedmiocie zależeć będzie całe moje zachowanie się na przyszłość; a skoro miało już dojść do tego, mam żal do siebie samej, że nie przezwyciężyła obawy, jaka mną owładnęła, gdym cię w Paryżu chciała zapytać o wszystko. Zdawało mi się wtedy, iż to, czego się dowiem, popsułoby *mój poemat*. I w istocie poszarzał on już nieco, a raczej zbłądł bardzo. Lecz cóż to szkodzi! Ewangelja twoja, gdy każe myśleć o sobie dopiero na ostatku, jest również i moją, nawet wtedy, gdy nakazuje nie myśleć o sobie wcale, jeżeli szczęście tych, których kochamy, odwołuje się do całej naszej mocy nad sobą. Słuchaj mnie uważnie i odpowiedz mi jasno, kategorycznie, bez ogródek. Czy osoba, którą on chce, lub powinien, albo myśli że powinien kochać, ma dane po temu, aby go uczynić szczęśliwym, czy też może mu przyspożyć cierpień i smutków? Nie pytam, czy ją kocha, czy jest kochany przez nią, i czy to jest w stopniu mniejszym lub większym, niż w stosunku do mnie. To bowiem, co się dzieje we mnie, pozwala mi wiedzieć w przybliżeniu, co się w nim dzieć musi. Pragnę wiedzieć, o której z *nas dwu* powinien zapomnieć, albo którą powinien rzucić ze względu na swoje życie, które mi się wydaje zbyt wątłem i kruchem na to, aby się zmagać z wielkimi boleściami. Nie chcę pod żadnym warunkiem brać na siebie roli złego geniuszu! Nie jestem bynajmniej *Bertramem Mayerbeera* i nie mam zamiaru występować przeciwko przyjaciółce z lat dziecięcych, o ile nią jest piękna i czysta *Alicja*; gdybym była wiedziała, że istniał już jakiś związek w życiu naszego dziecka, a w jego duszy jakieś szczęście, nigdybym się nie była pochyliła ku niemu, aby wdychać w siebie zapach kadzidła, przeznaczonego na inny ołtarz. Tak samo i on byłby się niewątpliwie cofnął przed moim pierwszym pocałunkiem, gdyby mu było wiadome, że w tej chwili była jakby zamezną. Nie znaczy to jednak, abyśmy się zwodzili wzajemnie: poprostu oddaliśmy się wichrowi, który zawiął, i który nas oboje porwał na chwilę w jakiś inny przestwór.

Ale to jeszcze nie dowód ani powód, abyśmy po tem niebiańskim rozplamieniu i po tej wędrówce poprzez rajskie dziedziny nie mieli wrócić na ziemski padół. Cóż z tego, iż, biedne ptaszyny, mamy skrzydła do lotu, kiedy nasze gniazdo jest na ziemi, a gdy śpiew aniołów wzywa nas ku górze, krzyk naszej rodziny ściąga nas na dół. Co do mnie, to nie chcę by-

najmniej uledez namiętności, chociaż na dnie mego serca płonie jeszcze ognisko bardzo zagrażające chwilami. Dzieci moje dadzą mi potrzebną siłę do złamania wszystkiego, coby mnie od nich oddalić mogło, albo sposób urządzenia sobie życia, który się okaże najlepszym, ze względu na ich wychowanie, ich zdrowie, ich dobrobyt itd. Tak np. nie mogę osiąść na stałe w Paryżu z powodu choroby Maurycego itd. Poza tem jest istota wybrana, *doskonała* pod względem serca i honoru, z którą nie rozstanę się nigdy, albowiem jest to jedyny człowiek, który, od roku przeszło żyjąc ze mną, ani razu, *ani przez jedną* minutę, nie dał mi cierpieć ze swego powodu. Jest to także jedyny człowiek, który mi się oddał całkowicie i absolutnie, bez żalu o przeszłość, bez zastrzeżeń na przyszłość. Powtóre natura to tak dobra i skromna, że nie mogłabym doprowadzić jej do tego, aby z czasem zrozumiała wszystko, dowiedziała się o wszystkim; jest to miękki wosk, na którym położyłam swoją pieczęć, a gdy na nim zechcę zmienić jej odbicie, jakiejż będę potrzebowała ostrożności i cierpliwości, ażeby mi się to udać mogło. Dziś jednak byłoby to niemożliwe, i szczęście jego jest świętością dla mnie ¹⁾).

Oto, co się tyczy mnie: zobowiązana tak, jak jestem, związana mniej więcej na lata całe, nie mogę życzyć sobie, ażeby nasz *mały* ²⁾ ze swojej strony także zrywał krępujące go węzły. Gdyby więc zechciał dołączyć swoją do mojej, byłoby to dla niego bardzo niekorzystne, bo uczyniwszy to już dla kogo innego, nie mogłabym mu zastąpić tego, coby porzucił dla mnie. Sądzę, że miłość nasza może trwać tylko w tych warunkach, w jakich się zrodziła, to jest, iż od czasu do czasu, gdy pomyślny wiatr sprowadzi nas jedno ku drugiemu, będziemy robili wycieczki w krainę gwiazd, a potem rozłączymy się znowu, by w dalszym ciągu stąpać po ziemskich nizinach, albowiem jesteśmy dziećmi matki-ziemi. Bóg nie pozwolił nam na odbywanie naszej doczesnej pielgrzymki dłoń w dłoni. Dopiero w niebie sądzone nam spotkać się znowu, a przelotne chwile, które tam spędzimy przy sobie, będą tak piękne, że wynagrodzą całe życie, spędzone na tym świecie.

Obowiązek więc mój jest ściśle określony. Mogę go jednak spełnić, nie sprzeniewierzając mu się nigdy, w dwojaki całkiem różny sposób: pierwszy polegałby na trzymaniu się możliwie zdaleka od Chopina, na unikaniu wszystkiego, coby mogło myślenie jego zaabsorbować, na niedopuszczaniu do tego, byśmy się mogli znaleźć sam na sam; drugi, przeciwnie, zasadzałby się na mo-

¹⁾ Mowa o Mallefillu.

²⁾ t. j. Chopin.

żliwem z mej strony zbliżeniu się do niego (pod warunkiem jednak, aby to niczem nie groziło Mallefillowi), na łagodnem przypominaniu mu się w chwilach odpoczynku i szczęścia, na czystem przyciśnięciu go czasami do mego łona, gdy wicher niebiański zechce nas porwać i unieść w zaświaty. Do pierwszego sposobu ucieknę się w tym wypadku, jeśli mi powiesz, że wiadoma *osoba*¹⁾ posiada wszelkie dane po temu, by dlań stać się źródłem uczucia czystego i prawdziwego, by go otoczyć swą pieczołowitością, by mu życie ułożyć, wyrównać i uspokoić, i jeśli nakoniec o to chodzi ze względu na niego, ażeby jej miał szczęście swoje do zawdzięczenia, a ja bym do tego mogła stać się przeszkodą. Jeśli dusza jego, *nadmiernie*, może *szalenie*, może świadomie pełna skrupułów, cofnie się przed kochaniem dwóch różnych istot, a każdą odmiennie, jeżeli tydzień, którybym z nim raz jeden na pewien przeciąg czasu spędziła razem, mógłby na resztę roku popsuć mu szczęście jego domowego ogniska; wtedy, tak, wtedy, przysięgam ci: uczynię wszystko z mej strony, ażeby zapomniał o mnie. Co się tyczy drugiego sposobu, to go uchwyć się wówczas, gdy mi z dwóch rzeczy powiesz jedną: albo że jego szczęście domowe może i powinno pogodzić się z kilku godzinami czystego uczucia i słodkiej poezji, albo że szczęście domowe wogóle jest dlań niemożliwem, i że małżeństwo albo jakiś podobny do małżeńskiego pożycia związek byłby grobem dla tej artystycznej duszy: iż tedy należy go za wszelką cenę odwieść od tego i nawet starać się być mu pomocnym w przewyciężeniu jego w tym względzie skrupułów religijnej natury.

Oto w przybliżeniu granica, którą oznaczę ściśle, do której dochodzą moje przypuszczenia. Ty mi powiesz, czy się mylę. Myślę, że będąca w mowie osoba musi być urocza, zupełnie godna miłości i szacunku, bo takie stworzenie, jak on, może kochać to tylko, co jest czyste i piękne. Mam jednak powody do mniemania, że ty nie jesteś zwolennikiem małżeństwa dla niego, wiązania się na cały czas życia rzeczywistego, interesów, trosk domowych, tego wszystkiego, słowem, co zdaje się być dalekiem od jego usposobienia i przeciwnem natchnieniom jego muzy. I jabym obawiała się dlań tego; ale pod tym względem nie mogę niczego stwierdzać, ani o niczem rozstrzygać, bo istnieje cały szereg spraw, w których zakresie jest mi on całkiem nieznany. Widziałam tylko powierzchnię jego istoty, i to oświetloną słońcem. Ty więc ustalisz moje pojęcia w tym zakresie. Rzeczą to największej wagi, abym знаła dobrze jego położenie, a to w celu ugruntowania mojego własnego. Według mojego zapatrywania, nadałam poematowi naszemu taki obrót, że nie

¹⁾ Marja Wodzińska.

będę wiedziała nic, absolutnie nic o jego życiu *pozytywnem*, ani on o mojem, tak, że w niczem nie potrzebowałby odstępować od swych wyobrażeń religijnych, światowych, poetycznych, artystycznych, bez najmniejszej konieczności zdawania mi z nich sprawy, na prawach wzajemności naturalnie, ale żeby dusze nasze wszędzie, w jakimkolwiek miejscu i w jakiegokolwiek chwili naszego życia, gdy nam się spotkać z sobą wypadnie, zawsze znajdowały się na wyżynie szczęścia i ideału. Albowiem, nie wątpię o tem, człowiek jest lepszy, gdy kocha miłością wzniosłą, i mniej zdolny do popełnienia przestępstwa, gdyż bardziej zbliża się do Boga, będącego źródłem i ostoją tej miłości. Kto wie, czy nie tam właśnie, jako w ostatniej instancji, wypadnie ci, drogi przyjacielu, szukać najlepszego oparcia dla jego serca; toś mu powinien starać się wytłumaczyć, i to w sposób, iżby w niczem nie urazić jego pojęć o obowiązku, o poświęceniu i ofierze religijnej. Czego lękałabym się najbardziej, coby mi mogło przyczynić najwięcej troski, coby we mnie mogło zrodzić nawet postanowienie, ażeby *stać się dla niego umarłą*, to gdybym we własnem mniemaniu musiała się uważać za postrach i wyrzut w jego *duszy*; nie, nie mogę stawiać się w sytuacji, gdziebym się widziała zmuszoną do staczania walki z widmem i wspomnieniem innej kobiety (o ileby to nie była istota, zdolna go, niezależnie odemnie, doprowadzić do zguby). W tym razie zbyt wiele mam poszanowania dla własności, a raczej jest to jedyna własność, jaką szanuję. Nie chcę nikomu kraść nikogo, chyba gdyby chodziło o wykradzenie więźniów dozorcóm więziennym, albo o uratowanie skazanych z rąk katów. Powiedz mi, czy jest to może *Rosja*, której obraz dziecku naszemu stoi przed oczyma; gdyby tak było przypadkiem, błagałabym niebiosą o użyczenie mi wszystkich uroków Armidy, ażeby go uchronić od rzucenia się jej w objęcia; ale jeżeli to jest *Polska*, dajmy mu spokój. Niema nic takiego, coby dorównać mogło ojczyźnie, a gdy się ją raz posiada, nie trzeba myśleć o stworzeniu sobie innej. W tym przypadku starać się będę być dla niego poprostu rodzajem *Włoch*, które się jeździ zobaczyć, któremi się rozkoszuje w porze wiosennej, gdzie się jednak nie zostaje na zawsze, bo to jest kraj, posiadający więcej słońca, aniżeli łóżek i stołów, a *życiowy komfort* znajduje się poza jego granicami. Biedne Włochy! Świat cały o nich marzy, pragnie ich lub żałuje; ale nikt tam mieszkać nie może, bo jest to kraj nieszczęśliwy, nie mogący dać szczęścia, którego sam nie posiada. Jest jeszcze jedno, ostatnie, przypuszczenie, którem uważam za właściwe podzielić się z tobą. Nie jest wyłączone, że on już swojej *przyjaciółki z lat dziecięcych* nie kocha wcale i że do związania się z nią wiecznymi ślubami może nie mieć w gruncie rzeczy żadnej ochoty, lecz jego po-

czucie obowiązku, pojęcie o honorze rodzinnym i Bóg wie, co jeszcze, domagają się od niego tego bezwzględnego poświęcenia swojej osoby.

Jeżeli tak jest, to bądź dlań, mój drogi, jego dobrym aniołem; ja całkiem do tego mieszać się nie mogę; tyś jednak powinien; uchron go przed zbyt surowymi wyrokami sumienia, uchron go przed jego własną cnotą, przeszkodź mu za wszelką cenę stawać się dobrowolną ofiarą, albowiem w rzeczach tego rodzaju (jeśli chodzi o małżeństwo lub o jeden z tych związków, które, nie mając tego samego uświęcenia, mają tę samą moc obowiązującą i tę samą trwałość), w rzeczach tego rodzaju, mówię, poświęcenie ze strony tego, który oddaje swą przyszłość, nie jest warte tego, co mu dała przeszłość. Przeszłość jest rzeczą oszacowaną i ściśle określoną; przyszłość to nieskończoność, albowiem jest nieznana. Istota, która za zwrotem pewnej wiadomej sumy poświęcenia żąda poświęcenia całej reszty życia, wymaga rzeczy niegodziwej, a jeśli ten, od którego się żąda czegoś podobnego, jest zakłopotanym wielce z powodu konieczności bronienia swych praw i jest gotów uczynić zadość swym pojęciom o szlachetności i słuszności, to powinnością przyjaźni jest ratować go i być bezwzględnym sędzią jego praw i jego obowiązków. Pod tym względem nie daj się powodować słabością i bądź pewnym, że ja, która nienawidzę uwodzicieli, ja, która zawsze trzymam stronę kobiet wyzyskiwanych i zwodzonych, ja, którą uważają za adwokata swojej płci i która się tem szczycę, iż nim jestem, gdy zajdzie potrzeba, nieraz już zrywałam przecież z moim autorytetem siostry, matki i przyjaciółki, gdy chodziło o zobowiązanie się tego rodzaju. Zawsze potępiałam kobietę, gdy chciała być szczęśliwą kosztem szczęścia mężczyzny, zawsze rozgrzeszałam mężczyznę, gdy żądano od niego więcej, aniżeli mógł poświęcić dla wolności i godności ludzkiej w zaciąganiu jakichkolwiek zobowiązań. Przysięga na miłość i wierność jest zbrodnią albo podłością, gdy usta wymawiają to, czemu przeczy serce, a wszystkiego można żądać od mężczyzny, tylko nie podłości albo zbrodni. Poza tym jednym przypadkiem, t. j. poza przypadkiem, gdyby pragnął zdobyć się na poświęcenie zbyt ciężkie, sądzę, drogi mój przyjacielu, że należy nie zwalczać jego przekonań, ani zadawać gwałtu jego popędom. Jeżeli serce jego, jak moje, potrafi znieść dwie miłości całkiem różne, jedną, która jest, że tak powiem *ciałem* życia, i drugą, któraby była tego życia *duszą*, będzie to wyjście z trudności najlepsze, albowiem położenie nasze wtedy okaże się sposobnem dla naszych uczuć i myśli. Tak samo bowiem, jak nie zawsze jest się wzniosłym, jest się także i szczęśliwym nie zawsze. Nie będziemy się widywali codziennie, nie każdego dnia będziemy w posiadaniu świętego ognia, ale będą

się zdarzały dni piękne, dni, gdzie i święte ognie będą mogły wybuchnąć płomieniem.

Może byłoby dobrze również powiedzieć mu o mojem położeniu w stosunku do Mallefilla. Zachodzi obawa, żeby, nie znając tej sytuacji, nie stworzył sobie czegoś w rodzaju obowiązku względem mnie, któryby go krępował i w bolesny sposób stawiał się w konflikcie z *tamtym*. Czynię cię absolutnym panem i sędzią tej zażyłości; zrobisz z niej użytek, jeśli chwilę uważasz za odpowiednią, albo ją jeszcze zatrzymasz przy sobie, jeśli przypuszczasz, że mogłaby ona zwiększyć jego zbyt świeżej doby cierpienia. A możesz mu już powiedzieć o wszystkim. W każdym razie, cokolwiek zrobił lub zrobić zamierzasz, ja potwierdzam to i uważam za dobre.

Co się tyczy sprawy oddania się lub nieoddania, to uważam, że wobec tego, co nas zajmuje w tej chwili, jest to sprawa drugorzędna. Swoją drogą jest to sprawa ważna sama przez się, albowiem jest to sama treść życia kobiety, to jej najdroższa tajemnica, to jej najbardziej wyrobione zasady, to jej najbardziej skrupowana zalotność. Tobie jednak, mój bracie i przyjacielu, wyznam z całą prostotą tę wielką tajemnicę, którą wszyscy, co wymawiają me imię, opatrują tak niestworzonymi komentarzami. A to dlatego, iż pod tym względem nie mam ani sekretu, ani teorii, ani doktryny, ani jakiejś stałej opinii, ani uprzedzenia, ani pretensji do jakiejś szczególnej mocy, ani małpiarstwa w kierunku spirytualistycznym, niczego wreszcie, coby było ułożone z góry lub równało się przyzwyczajeniu, i jestem przekonana, że to nie są również jakieś fałszywe zapatrywania, ani rozpusta, ani wstrzemięźliwość. Często w mem życiu dawałam się unosić popędom, ale te popędy były zawsze szlachetne; zawiodłam się niejednokrotnie na osobnikach, lecz nigdy na sobie samej. Mam sobie wiele głupstw do wyrzucenia, alem nie zgrzeszyła nigdy niczem niskiem, ani podłym. Słyszę, jak wiele się mówi w sprawie moralności ludzkiej, o społecznej czystości i cnocie. Wszystko to nie jest jeszcze jasne dla mnie, o niczem też jeszcze nie doszłam do ostatecznych wniosków.

A jednak nie jestem bynajmniej bez troski o te sprawy; wyznam ci szczerze, iż pragnienie pogodzenia jakiegokolwiek teorii z mojemi uczuciami zawsze było wielką sprawą i wielką boleścią mojego życia. Uczucia były zawsze silniejsze znacznie od rozumowań, granice zaś, któremu sobie usiłowała, zakreślić, nie przydawały mi się na nic. Dwadzieścia razy zmieniałam przekonania. Przedewszystkiem jednak wierzyłam w wierność! Głosiłam jej zasady, stosowałam ją w praktyce i wymagałam jej... Nie dotrzymywano mi jej, co zresztą i ja czyniłam. A jednak nie czułam nigdy wyrzutów, bo w przeniewierzaniach się moich szłam zawsze

za czemś w rodzaju fatalności, za jakimś pożądaniem ideału, które mnie zniewalało do porzucania braku doskonałości na korzyść czegoś, co mi się zdawało zbliżać do niej.

Znałam kilka rodzajów miłości: miłość artystyczną, miłość kobiecą, miłość siostrzaną, miłość macierzyńską, miłość poetyczną, i nie wiem jaką jeszcze? Bywały takie, które rodziły się i umierały tego samego dnia, a nie ujawniały się przed tym, który je wzbudzić potrafił. Nie brak i takich, które stały się męczarnią mego życia, które mnie doprowadziły do rozpacz, niemal do szaleństwa. Znam i takie, które mnie przez lata całe trzymały zamkniętą w jakimś niepomiarowanym spirytualizmie. A wszystko to było bezwzględnie szczerem. Istota moja wstępowała w te różne fazy, podobnie — według wyrażenia Sainte-Beuve'a — jak słońce wstępuje w znak Zodiaku. Niejednemu, coby mnie sądził tylko na podstawach zewnętrznych przejawów, mogłabym się wydać warjatką lub hypokrytką; każdemu jednak, który mnie obserwował, czytając w głębi mej duszy, wydałam się tem, czem jestem w istocie, entuzjastką w rzeczach piękna, namiętnie łaknącą prawdy, bardzo czułego serca, bardzo, bardzo niezdecydowaną w sądach, często bezmyślną, zawsze działającą w dobrej wierze, nigdy małostkową, ani mściwą, dosyć skłoną do gniewu, ale Bogu dzięki łatwo i całkiem zapominającą o złych rzeczach, zarówno jak i o złych ludziach.

Oto moje życie, mój drogi: jak widzisz, nie jest ono nadzwyczajne. Niema w niem nic godnego podziwu, choć jest niejedno do pożałowania, ale niema też i nic takiego, coby mogło być potępionem przez ludzi prawych. Jestem tego pewna, iż ci, którzy mnie posądzali o brak dobroci, zmyślali na ten temat, i nic łatwiejszego dla mnie, jak dowieść im tego, gdyby mi się tylko chciało zadać sobie trud opowiadania i grzebania we wspomnieniach, ale mnie to nudzi i nie mam już pamięci dla niezapominania o urazach.

Jak dotychczas, zawsze byłam wierną temu, którego kochałam, wierną najzupełniej: w tem znaczeniu, że nigdy nie zdradziłam nikogo, że nigdy nie przestawałam być wierną bez żadnych do tego przyczyn, które, gdy stawały się winą drugiej strony, zabijały moją miłość we mnie. Z natury nie jestem niestała. Przeciwnie, tak jestem nawykła kochać wyłącznie tego, który mnie kocha rzetelnie, tak mało skłonna do zapalania się, tak przyzwyczajona do życia w gronie mężczyzn, bez myślenia o tem, iż jestem kobietą, że naprawdę byłam trochę zmieszana i zbита z tropu, gdy sobie zdałam sprawę z wrażenia, jakie na mnie uczyniło to maleństwo¹⁾). Jeszczem się nie otrząsnęła z mego

¹⁾ Chopin..

zdziwienia, a gdybym była bardzo dumną, czułabym się bardzo upokorzona na myśl, iż w takiej chwili mojego życia, gdy się uważałam za całkiem uspokojoną i ustaloną, raptem wpadłam, jak do wody, w nastrój psychiczny, równający się niewierności uczucia. Sądzę, iż byłoby źle, gdybym mogła przewidzieć, rozumować i zapobiedz temu wybuchowi; ale byłam zaskoczona nim znienacka, a nie mam tego w naturze, aby rozumem starać się zapanować nad sobą, gdy się już dałam usidlić miłości. Nie robię sobie wyrzutów, ale stwierdzam tylko, że jestem jeszcze bardzo wrażliwa i słabsza, aniżeli przypuszczałam. Ale nic sobie z tego nie robię, ile, że nie jestem wcale próżna; dowodzi mi to tylko, że wogóle powinnam pozbyć się wszelkiej próżności i nigdy nie pysznić się niczem w zakresie odwagi i siły. Jeśli mnie to zasmuca, to jedynie przez to, iż szczerłość moja, której hołdowałam tak długo i z której byłam dumną potrosze, nagle została nadwyrężona i narażona na szwank. Będę zmuszona kłamać, tak samo, jak inni. Zapewniam cię, iż dla mej miłości własnej będzie to większym utrapieniem, aniżeli nieudała powieść lub wygwizdana sztuka teatralna; boleję nad tem trochę, a cierpienie to być może, iż jest jakąś pozostałością dumy; a może to jest głos z nieba, wołający ku mnie, iż należało postarzyć się bardziej przez wzgląd na moje oczy i uszy, a przez wzgląd na moje serce przede wszystkim. Gdy jednak niebo żąda od nas wierności dla ziemskich uczuć, to dlaczego pozwala czasem aniołom mieszać się między nas i stawać nam w poprzek drogi?

Wielki problemat miłości jeszcze więc unosi się ponademną! Miłość musi iść w parze z wiernością: tak mówiłam niedawno, jak dwa miesiące temu, a niestety, zaprzeczyć nie mogę, że już nie czuła tej samej miłości dla tego biednego Mallefilla, gdy go ujrzała znowu. Co pewna, to, że od czasu, gdy wrócił do Paryża (gdzie go musiałeś widzieć), zamiast z niecierpliwością czekać jego powrotu i być smutną z powodu rozłąki z nim, cierpię mniej i oddycham swobodniej. Gdybym doszła do przekonania, iż częste widywanie się z Chopinem tylkoby musiało zwiększyć to oziębienie, czuję, iż *obowiązkiem* moim byłoby wyrzeczenie się tego.

Oto punkt, do którego dojść chciałam: do ciebie należy wypowiedzieć swoje zdanie w tej sprawie posiadania się wzajemnego, co dla wielu umysłów jest rozstrzygającym w rzeczach wierności. Co do mnie, to przypuszczam, iż jest to pojęcie fałszywe; można być mniej lub więcej wiernym, gdy jednak pozwoliło się komuś zawładnąć swą duszą i przystało się na zwykłe pieszczoty, i to z uczuciem miłości, niewierność jest już faktem dokonany, reszta zaś nie może być uważana za tak ciężkie

wykroczenie: albowiem kto stracił serce, stracił wszystko. Większą miałoby wartość stracić ciało, a zachować duszę nietkniętą. Tym sposobem w *zasadzie* jestem zdania, iż uświęcenie nowego związku zupełne zwiększyłoby winę w stopniu niewielkim; w rzeczywistości jednak wyłączone nie jest bynajmniej, iż po oddaniu się sobie przywiązanie nasze mogłoby się stać bardziej ludzkim, bardziej namiętnem, bardziej bezwzględne. Jest to nawet prawdopodobne, a nawet nie ulega wątpliwości. Oto dlaczego, gdy się chce żyć razem, nie należy zadawać gwałtu naturze ani prawdzie, cofając się przed połączeniem zupełnym; gdy jednak okoliczności zmuszają żyć osobno, jest niewątpliwie roztropnem, a więc jest obowiązkiem i prawdziwą cnotą (równającą się w tym razie poświęceniu), powstrzymać się... Jeszczem o tem nie myślała poważnie, i gdyby był tego zażądał w Paryżu, byłabym ustąpiła, poprostu dzięki tej naturalnej szczerości, która sprawia, iż nienawidzę wszelkich ostrożności i zastrzeżeń, wszelkich fałszywych szacunków i małostkowości, jakiegokolwiek byłyby rodzaju. Ale list twój skłania mnie do gruntownego zastanowienia się nad tem przedsięwzięciem. Powtórę smutek i zmieszanie, jakich doznałam wobec ponownych pieszczot Mallefilla, i odwaga, jakiej potrzebowałam, aby je ukryć przed nim, także są dla mnie przestrogą. Pójdę więc za twoją radą, mój drogi. Oby to poświęcenie mogło być rodzajem pokuty za to coś w rodzaju krzywoprzysięstwa, które mam sobie do wyrzucenia.

Nazywam to poświęceniem, gdyż nie przyjdzie mi może łatwo pogodzić się z widokiem tego anioła, cierpiącego z mojej przyczyny. Miał on, jak dotychczas, dużo panowania nad sobą, ale nie jest dzieckiem. Widziałam dobrze, jak namiętność ludzka czyniła w nim szybkie postępy i że czas był rozstać się. Oto dlaczego nie chciałam z nim spędzić nocy, poprzedzającej mój wyjazd, i prawie was wypędziłam od siebie.

A teraz, skoro ci już mówię wszystko, powiem ci jeszcze, iż mi się w nim jedna rzecz nie podobała, mianowicie, będąc wstrzemięźliwym, powodował się on niewłaściwemi pobudkami. Aż do owej chwili pozwalałam mu na ten sposób zachowania się, bo sądziłam, iż to czyni ze względu na mnie, przez nieśmiałość, a nawet z powodu wierności dla innej. Wszystko to zakrawało na poświęcenie, a tem samem miało pozory mocy nad sobą, a przede wszystkim łatwo zrozumiałej skromności. To mnie najbardziej dlań ujmowało i podobało się w nim.

U ciebie jednak, w chwili gdyśmy się mieli żegnać, a pragnąc przezwyciężyć ostatnią pokusę, powiedział dwa czy trzy słowa, jakich się nie spodziewałam usłyszeć od niego. Zrobił wrażenie na mnie, jakby sobie pomyślał *fe!* na wzór świętoszków, na modłę zwykłych *ludzkich* trywjalności, i jakby się rumienił z po-

wodu pokuszenia, któremu uległ, i jakby się bał splugawić naszą miłość przez jedno uniesienie więcej. Zawsze byłam przeciwną podobnemu sposobowi zachowania się wobec ostatniego miłosnego uścisku. Jeżeli taki ostatni uścisk nie jest rzeczą równie świętą, równie czystą, równie oddaną, jak wszystko inne, to cofać się przed nim nie jest żadną cnotą. Ta nazwa *miłości cielesnej*, którą się posługujemy dla określenia czegoś, co dopiero w niebie ma swe miano, *nie podoba mi się i razi mnie*, raz jako bluźnierstwo, a jednocześnie jako pojęcie z gruntu fałszywe. Czyż dla natur wzniosłych może istnieć miłość czysto cielesna, a dla natur szczerych miłość czysto duchowa? Czyż można sobie wyobrazić, by kiedykolwiek istniała miłość bez jednego choćby pocałunku, albo pocałunek miłosny bez przymieszki zmysłowej? *Pogardzać ciałem* może być wtedy tylko mądrym i pożytecznym, gdy w grę wchodzi istoty, które poza *ciałem* innej nie przedstawiają wartości; gdy jednak chodzi o kogoś, kogo kochamy, wtedy, odmawiając sobie rozkoszy zmysłowych, nie należy posługiwać się słowem *pogardzać*, lecz słowem *szanować*. A zresztą nie biorę tu pod uwagę *słów*, których użył. Nie przypominam ich sobie dokładnie. Powiedział on, zdaje mi się, że *pewne rzeczy* mogłyby mu popsuć wspomnienie. Nieprawdaż, że choć się wyraził w tak głupi sposób, to jednak nie myśli inaczej? Gdzież jest ta nieszczęsna kobieta, która mu takie zostawiła wspomnienie miłości cielesnej? Znaczy to, iż musiał mieć niegodną siebie kochankę! Biedny anioł! Należałoby powiesić wszystkie kobiety, które obrzydzają w oczach mężczyzn najszanowniejszą i najświętszą rzecz na świecie, to boskie misterjum, tę sprawę życiową, która jest najpoważniejszą i najwspanialszą w całym życiu społecznym. Magnes chwyta się żelaza, zwierzęta przywiązują się jedne do drugich na podstawie różnicy płci. Nawet rośliny ulegają prawu miłości, a człowiek, który sam jeden na tym ziemskim świecie otrzymał od Boga dar boskiego odczuwania tego, co zwierzęta, rośliny i metale odczuwają materialnie, człowiek, u którego pociąg elektryczny przemienia się w pociąg uczuciowy, świadomy, inteligentny, człowiek sam jeden tylko zapatruje się na ten cud, który się nagle dokonywa w jego duszy i ciele, jako na niską potrzebę, i mówi o niej z pogardą, z ironją, albo ze wstydem! Dziwne to zaiste! A rezultatem tego sposobu rozdzielania ducha od ciała była konieczność zakładania klasztorów i... lupanarów.

Oto list prawdziwie okropny. Sześciu tygodni najmniej będziesz potrzebował na odczytanie go. Bądź co bądź, jest to moje *ultimatum*. *Jeśli jest szczęśliwy*, albo ma być szczęśliwy dzięki *niej*, *zostaw go w spokoju*. Jeśli ma być nieszczęśliwy, *nie dopuść do tego*. Jeżeli może być szczęśliwy przeze mnie, nie przestając nim być *z nią*, to *z mojej strony mogę urządzić się tak samo*.

Jeżeli nie może czuć się szczęśliwym ze mną, ażeby jednocześnie nie czuć się nieszczęśliwym z nią, *to trzeba, żebyśmy się zaczęli unikać i żeby zapomnieli o mnie*. Z tych czterech sytuacji niema innego wyjścia. Co do mnie, to przyrzekam ci, potrafię mieć dosyć mocy nad sobą, by zastosować się do tego, albowiem chodzi tu o *niego*, a jeśli nie odznaczam się wielką cnotą w stosunku do siebie samej, to dla tych, których kocham, umiem zdobyć się i na wielkie poświęcenie. Powiesz mi szczerą prawdę; liczę na to i czekam.

Nie potrzeba zupełnie, byś mi pisał list, którybym mogła pokazać każdemu. Nie potrzebujemy tego ani ja, ani Mallefille. Za bardzo się szanujemy, byśmy od siebie nawet w myśli wymagały zdawania sprawy ze szczegółów naszego życia.

Niepodobna, by pani Dorval miała zapatrywania, o które ją posądzasz. Jest ona raczej *legitymistką* (jeżeli ma wogóle jakie przekonania), aniżeli republikanką. Mąż jej jest karlistą. Musiałeś być u niej w godzinach jej prób albo pracy. Aktorka wogóle trudna jest do ujęcia. Daj jej spokój; napiszę do niej i odpiszę ci. Była mowa o wyjeździe moim do Paryża i nie jest wyłączone, że interesy moje, które Mallefille zajmuje się w tej chwili, a przewlekające się jakoś, będą wymagały tego, bym przyjechała do niego. Nic jednak nie mów o tem *małemu*¹⁾. Jeśli pojedę, dam ci znać o tem i zrobimy mu niespodziankę. W każdym razie, ponieważ potrzebuję niejakiemu czasu, ażeby móżdż swobodnie wyjechać, zacznij już przedwstępne kroki w tym kierunku, gdyż chciałabym was mieć tego lata w Nohant i to możliwie najwcześniej i na jaknajdłużej. Zobaczysz, że ci się tu będzie podobało; o tem, czego się obawiasz, niema mowy. Żadnego szpiegowania, żadnych plotek, niczego wogóle, co trąci prowincją; jest to prawdziwa oaza wśród pustyni. Niema żywej duszy w całym departamencie, któraby miała pojęcie o tem, co to jest Chopin albo Grzymała. O tem, co się dzieje u mnie, nikt nie wie nic zgoła. Widuję tylko *zaufanych* przyjaciół, takie same, jak wyanielskie istoty, w których głowie nie powstała nigdy żadna myśl zdrożna o tych, dla których mają szczerą sympatję. Przyjedziesz, mój drogi, pomówimy swobodnie, a wtedy i dusza twoja, tak zgębiona, ożyje tu na wsi. Co się tyczy *małego*, to przyjedzie, jeżeli będzie miał ochotę; w tym wypadku jednak chciałabym, żebyś mnie uprzedził zawczasu, ażebym mogła wyprawić Mallefilla bądź do Paryża, bądź do Genewy. Pretekstów nie zbraknie, a najmniejsze podejrzenie nigdy mu nie przyjdzie na myśl. Jeżeliby *mały* nie chciał przyjechać, nie staraj się go przekonywać; boi się on świata, jak wogóle boi się, sama nie wiem czego.

¹⁾ Chopinowi.

Ale ja zawsze w istotach, które kocham, szanuję to wszystko, czego nie rozumiem. Co do mnie specjalnie, to we wrześniu, przed wybraniem się w dalszą podróż, pojadę do Paryża. Moje zachowanie się względem niego zależeć będzie od tego, co mi odpiszesz. Jeżelibyś sam nie mógł znaleźć rozwiązania zagadki, którą ci stawiam, postaraj się otrzymać je od niego; poszperaj w jego duszy, bo chcę wiedzieć, co się w niej dzieje.

Teraz jednak znasz mnie doskonale. W ciągu dziesięciu lat nie napisałam dwóch takich listów. Jestem bardzo leniwa i niecierpię tyle pisać o sobie. Uchroni mnie to przecież od mówienia o sobie jeszcze więcej. Umiesz mnie teraz na pamięć, a gdy załatwisz swoje rachunki z Trójcą, *możesz mi lufę przyłożyć do skroni...*

Bądź zdrow, mój drogi, pozdrawiam cię całą duszą. Jeżeli w ciągu tej długiej gawędy pozornie nic nie mówiła o tobie, to dlatego, ponieważ zdawało mi się, że przez cały czas mówiła o sobie do mojego drugiego *ja*, które z pewnością jest moją lepszą częścią, lepszą i droższą.

George Sand.

Choć nie dochowała się odpowiedź Grzymały na list powyższy, to jednak wszystko, co nastąpiło potem, łatwo pozwala domyśleć się, w jakim duchu wypadła ta odpowiedź. Jako dokładnie wtajemniczony w sytuację, gdy chodziło o stosunki Chopina do Wodzińskich, Grzymała, jak zresztą i sam Chopin, w czerwcu r. 1838 był przekonany, że z mąki tej chleba nie będzie, a choć Fryderyk był niby po słowie z Marją, to przecież gdyby jej rodzice życzyli sobie tego małżeństwa, nie pozostawialiby Chopina w takim zawieszeniu, w takiej niepewności, równającej się niemal pewności, aby sobie to małżeństwo wybił powoli z głowy. W tem najgłębszem przeświadczeniu, potwierdzonem przez sceptyczne zapatrywania Chopina, który — wobec ustania wszelkich listownych stosunków z Wodzińskimi — już był zwątpił zupełnie, by mógł liczyć na Marję, Grzymała, odpisując pani Sand, nie omieszkiał zapewnić jej, że Chopin w tej chwili nie ma najmniejszego powodu oglądania się na swoją „przyjaciółkę z lat dziecięcych“, że o tem, by sobie mógł robić jakieś skrupuły z jej przyczyny, nie może być mowy. Jednem słowem, wszystko składało się po myśli pani Sand, szczerze zakochanej w Chopinie, czemu Grzymała, odpisując autorce *Lelii*, nie omieszkiał dać odpowiedniego wyrazu.

Dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją naprawdę, i widząc, iż nic nie staje na przeszkodzie, by poszła za porywem swej miłości, pani Sand natychmiast pojechała do Paryża.

Przed Mallefillem, którego już zaczęła trzymać zdala od siebie, upozorowała swój przyjazd... interesami, a do Grzymały na wyjeździe z Nohant napisała bilecik tej treści:

Interesy moje zniewalają mnie do wyjazdu. We czwartek będę w Paryżu. Przyjdź do mnie, ale zrób tak, żeby *mały* nic o tem nie wiedział. Zrobimy mu niespodziankę.

G. S.

Zamieszkać, jak zawsze, u pani Marliani.

Ten *mały* spiszek pani Sand z Grzymałą, aby jej przyjazd do Paryża był niespodzianką dla Chopina, udał się zupełnie, tak dalece nawet, iż pani Sand już nie wróciła do Nohant. Całe lato spędzono w Paryżu i okolicy, a jak szczęśliwe narody nie mają historii, tak i te miodowe miesiące nie pozostawiły po sobie żadnych pisanych śladów. Pierwsze historyczne momenty zaczęły się z powrotem Mallefilla (którego pani Sand wyprawiła na cały sierpień nad morze), gdy o mało co nie przyszło do pojedynku Mallefilla z Chopinem, a potem, gdy Mallefille o mało co nie zabił pani Sand, przyłapawszy ją na ulicy, jak wychodziła od Chopina...

W każdym razie historia musi skonstatować fakt, iż diawoleństwem, który pośredniczył w zawiązaniu się stosunku Chopina z panią Sand, był nie Liszt — jak to mylnie twierdzono dotychczas — lecz Grzymała. On właściwie skojarzył ten związek, bo gdyby on był mu przeciwny, pani Sand nie byłaby się rozeszła z Mallefillem, a tem samem nie byłaby się związała z Chopinem.

Jakże boleśnie wobec takiego prologu, w którym Grzymała tak niedwuznacznie występuje jako *spiritus movens*, brzmi epilog tej całej historii, epilog, w którym tenże Grzymała bierze na siebie rolę oskarżyciela pani Sand, jako złego geniusza Chopina.

Tym epilogiem był list Grzymały, już po śmierci Chopina pisany do Augusta Leo, list, w którym czytamy, między innemi, co następuje: „Agonja, po spowiedzi i przyjęciu św Sakramentów, trwała jeszcze trzy dni i trzy noce. W tych chwilach o władnęło mną przekonanie, iż gdyby nie był miał nieszczęścia poznania George Sand, która zatrąła całe jego istnienie, byłby dożył najpóźniejszego wieku“.

Bądź co bądź, Chopin był wprost przeciwnego mniemania w tej sprawie, czemu dał wymowny wyraz na kilka dni przed śmiercią, mówiąc o pani Sand do jednego ze swych przyjaciół:

— *Si je ne m'étais pas éloigné d'elle, je ne commencerais pas mon agonie.*

Znaczy to, że Chopin umierał z przeświadczeniem, iż gdyby trzymał się wiernie pani Sand, niewątpliwie byłby żył znacznie dłużej...

NIEZNANE EROTYKI GAWALEWICZA



bibliotece mej posiadam egzemplarz Z n a k u z a p y t a n i a Marjana Gawalewicza z następującą dedykacją autorską: „*Kochanemu p. Ferdynandowi na pamiątkę miłych wczasów w Berlinie, szczerze przyjazny i życzliwy M. Gawalewicz*“ 12/XII. 1899.

Gdy dziś, po latach, odczytuję tę dedykację, stają mi żywo w pamięci te istotnie „miłe wczasy w Berlinie“, na których pamiątkę autor *K r ó l o w e j N i e b i o s* ofiarował mi swoją wzruszającą „Kartkę z dziejów młodego serca“, lecz jednocześnie przesłania się to pogodne wspomnienie, niby żałobnym welonem, smutną mgłą melancholji, skoro pomyślę, że Gawalewicz już od lat kilku spoczywa na lwowskim cmentarzu...

Było to w drugiej połowie września 1899 roku, bezpośrednio po uroczystościach odsłonięcia pomnika Słowackiego w Miłosławiu. W powrocie stamtąd, Gawalewicz, Piltz i ja, zatrzymaliśmy się na kilka lub kilkanaście dni w Berlinie, ażeby tutaj, w Central-Hotelu, w zupełnym spokoju, w dali od warszawskiego rozgardjaszu, popracować nieco intensywniej, o co tak trudno w syrenim grodzie. Gawalewicz postanowił nie wyjechać prędzej, dopóki nie napisze serji rozdziałów swojej *Warszawy*, która wtedy drukowała się w odcinku *Kurjera Warszawskiego*; Piltz był zaabsorbowany nową polityczną broszurą, której pojedyncze ustępy miał już napisane; ja zaś, wówczas zajęty gromadzeniem materiałów do monografji o Chopinie, przyjechałem z zamiarem pracowania w tutejszej bibliotece uniwersyteckiej. Jakoż każdy z nas trzech, jeden niezależnie od drugiego, z zapalem wziął się do swojej roboty. Gawalewicz, z którym mieszkalem razem w jednym pokoju, nieraz przez cały dzień, od rana do 6-ej wieczór, w szlafroku, nieumyty i nieogolony, nie wychodził z numeru, tylko pisał bez wytchnienia, zapisując „maczkiem“ po kilkadziesiąt karteczek małego kratkowanego bloczka; Piltz również po całych dniach siedział nad swą broszurą, której świeżo napisane urywki, czasem nam odczytywał wieczorem; a ja całe

przed i popołudnia spędzałem w bibliotece. Schodziliśmy się najczęściej wieczorem dopiero, między 6-tą a 7-mą, na obiedzie w restauracji Central-Hotelu. Wieczory spędzało się w teatrze, w *Deutsches Theater* na sztukach Ibsena i Hauptmanna, w *Lessing-Theater* na gościnnych występach Eleonory Duse, w *Opernhaus'e* na wagnerowskich *Nibelungach*. Po teatrze szło się na kolację, a gdy się wracało do hotelu, jeszcze czasami gawędziło się w numerze, albo Gawalewicz nam czytał bardziej dramatyczne momenty ze swej powieści, napisane w ciągu dnia.

W ten sposób upłynęło dwa tygodnie blisko, od 18 września do 2 października. W ciągu tych kilkunastu dni, poza naszymi zwykłymi zajęciami, jeszcześmy sporo czasu spędzali w znajdującym się przy wejściu do Central-Hotelu „Barze amerykańskim“, gdzie za bufetem — jak o tem przekonaliśmy się zaraz pierwszego dnia po przyjeździe — przesiadywały dwie śliczne bufetowe, dwie rodzone siostry: starszą, czarnobrewa brunetka, wyglądała na Włoszkę, młodsza zaś, Lottchen, uroczą 19-letnią blondynka z prześlicznymi fioletowymi oczami o czarnych brwiach i rzęsach, śmiało mogła być nazwana ideałem goethowskiej *Gretchen*. Nietylko, że była bardzo ładną, jak rzadko trafia się między Niemkami, ale, co dziwniejsze, posiadała obok wrodzonej i wcale wyrafinowanej kokieteryj, jeszcze i niepospolity wdzięk i czar. Słowem, jak na rodowitą córę Berlina, był to poprostu fenomen, którego urok pobudzająco oddziaływał na wyobraźnię męskiej połowy mieszkańców Central-Hotelu. Stąd rzadkie chwile, żeby przy bufecie w „barze“ nie było gwaru i pełno; bo jeśli chodziło o atrakcję, to obie siostry Nagel — tak się nazywały te panny — niewątpliwie były atrakcją pierwszorzędną, całkiem wyjątkową. Każda oczywiście miała swych wielbicieli, których uwielbienie mierzyło się stosowną ilością wypijanych *Soda-Brandy* lub *coctail'ów*. Nadmienić wypada, że obie siostry były bez zarzutu pod względem moralnej konduity. Cnota ich, choć codziennie wystawiana na niebezpieczne próby różnego rodzaju, ze wszystkich tych mniej lub więcej natarczywych zalotów wychodziła bez szwanku.

Piękna *Lottchen* nawet, przy okazji, powiedziała wielkie słowo, bardzo kobiece, godne zapisania na wieczną rzeczy pamiątkę. Chodziło o to poprostu, żeby w czasie między 4-tą a 6-tą po południu, gdy miała wychodne, zdecydowała się na przejażdżkę powozem po Thiergartenie. Ale choć propozycja była tentująca, Lottchen mimo to odmówiła kategorycznie, na wszystkie nakłaniające perswazje odpowiadając stale:

— *Ich kann nicht.*

Gdy jednak ten argument nie wystarczał namawiającemu, ona, motywując swą odmowę, w końcu, z odpowiednim naciskiem,

dała stanowczą odpowiedź, która, o ile kusicielowi ostatecznie zamykała usta, o tyle jej pod każdym względem przynosiła zaszczyt:

— *Ich kann nicht, das heisst: Ich will nicht.*

Odpowiedź ta, z jednej strony wymownie świadcząca o dobrem prowadzeniu się uroczej Lotty, z drugiej niegorzej świadczyła o jej dowcipie. Cóż dziwnego tedy, że z tak sprytną dziewczyną gawędziło się bardzo przyjemnie, niezależnie od jej urody nawet.

Skorośmy raz zrobili już to odkrycie, że w barze przy szklance *Soda-Brandy* można spędzać nader miłe chwile, chętnie przerywaliśmy nasze umysłowe zajęcia, ażeby do nich wprowadzać dłuższe lub krótsze intermezza pod znakiem sympatycznej Lotty. Piltz wtedy zapominał o ministerjalnej powadze polityka i redaktora *Kraju*; Gawalewicz z czystym sumieniem odkładał na bok *Warszawę*; a niżej podpisanemu zdarzało się nieraz, że po *lunch'u*, zamiast iść do biblioteki, znaczną część popołudnia spędzał w barze.

Podczas jednej z takich popołudniowych rozmów, Lottchen, zaintrygowana osobistością Gawalewicza, spytała mię o niego: Kto to taki?

— *Das ist ein berühmter polnischer Dichter und Schriftsteller*, odrzekłem.

— *Ein Dichter?* odparła zdziwiona, ale i uradowana zarazem Lotta. *Also da soll er mir doch in meinem Stammbuche einen Vers schreiben.*

Przyrzekłem jej, że o tem powiem Gawalewiczowi, a jednocześnie zapewniłem ją z góry, że *mein Freund*, znany ze swej galanterji wobec pięknych dam, niewątpliwie zadość uczyni jej prośbie.

I nie omyliłem się pod tym względem. Gawalewicz bowiem, gdyśmy wieczorem wszyscy trzej znaleźli się w barze, odrazu wyraził gotowość napisania wiersza do albumu Lotty, a gdy mu dała swój sztambuch, pełen różnych banalności pamiątek, powziął śmiałą decyzję wpisania jej czegoś *à la Heine* na poczekaniu. Jakoż, namysliwszy się chwilę, skreślił następujący wierszyk, który następnie, z zachwytem zaaprobowany przez Lottę, wpisał jej do albumu:

Augen hast du wie zwei Sterne,
Einen Rosen-Mund zum Küssen:
Deiner denk ich in der Ferne,
Schade, dass wir scheiden müssen.

Że Gawalewicz, jako tłumacz prozy i wierszy Heinego, dobrze umiał po niemiecku, o tem wiedzieliśmy wszyscy, wiedząc zresztą, iż wogóle posiadał dokładną znajomość kilku języków; ale żeby

po niemiecku umiał tak dobrze, by móżdż na poczekaniu pisać wiersze *à la Heine*, i to w języku Heinego, o tem nie mieliśmy pojęcia. To też, gdy przeczytaliśmy ten jego wierszyk dla Lottchen, zaimponował nam mimowoli, bo ani Piltz, ani ja, pomimo naszych niemieckich nazwisk i nienajgorszej znajomości języka Goethego, nie znaliśmy go tak, by móżdż pisać po niemiecku, a dopiero wierszem! Naturalnie, że nie omieszkaliśmy wyrazić naszego podziwu Gawalewiczowi, on zaś, widocznie podniecony temi gratulacjami, obiecał nam, że od tej chwili codzień podejmie się napisać wierszyk dla Lotty, co oczywiście wznieciło ogólne zaciekawienie, a piękna Lottchen była w siódmym niebie... Swoją drogą nie przypuszczaliśmy narazie, by Gawalewicz tę obietnicę traktował na serjo. Okazało się jednak, iż byliśmy w błędzie.

Już nazajutrz, gdyśmy o zwykłej porze zeszli się w barze u Lotty, Gawalewicz napisał dla niej, na temat jej ślicznych docłeczków, gdy się uśmiechała, następujący wierszyk:

Liebchen mit dem Engelgrübchen,
Kleiner Teufel bist du doch,
Und das süsse Engelgrübchen
Ist ein wahres Teufelsloch.

Man fällt d'rin, sobald du lächelst,
Hilflos d'rein man fallen muss...
Möcht' die unselige Stelle
Decken stets mit einem... Kuss!

Następnego dnia — a była to niedziela — gdyśmy wieczorem zeszli się w barze, Gawalewicz przyszedł już z gotowym wierszem, napisanym w ciągu dnia, a brzmiącym, jak następuje:

Wie die Fee in ihrer Grotte,
Sass im Bar die schöne Lotte,
Und statt Lilien, Veilchen, Rosen,
Schenkte sie... Spirituosen.

Süsse Gifte liess sie träufeln
In die Gläser, in die Herzen;
Wie ein Engel unter Teufeln,
That sie mit den Gästen Scherzen.

Wenn ich ihrer Worte lauschte
Und ihr Lächeln sah... Bei Gotte!
Weiss nicht, was mich mehr berauschte:
Cognac oder die Lolotte.

Nazajutrz byliśmy świadkami, jak Gawalewicz, popijając *Triple sec*, wykoncypował taką przestrożę dla Lotty:

Hüte dich vor Taschendieben,
 Holdes Mädchen mein;
 Mehr Gefahr kommt von dem Lieben:
 Hüte dich vor Herzensdieben
 Und vor Liebeschein.

Następnego dnia, gdy oprócz nas trzech przyszli jeszcze z nami do baru zobaczyć piękną Lottę bawiący w Berlinie przejazdem Stefan Krzywoszewski i Stanisław Lenz, Gawalewicz skreślił taki wierszyk okolicznościowy, zastosowany do chwilowej sytuacji.

Es kamen ihrer fünf
 Und lauter Polen...
 Der Teufel soll sie holen!
 Lottchen, nimm dich in Acht!
 Schmeiss die viere
 Bei der Thüre,
 Sag dem fünften
 Gutenacht!

Wierszyk, napisany nazajutrz podczas migreny, był dowcipną grą słów na temat nazwiska Lotty, *Nagel*, w zestawieniu z pojęciem gwoźdźcia, który po niemiecku, jak wiadomo, również nazywa się *Nagel*:

Weisst nicht, von wo die Schmerzen
 Kommen, o armer Kopf!
 Ein Nagel sitzt dir im Herzen,
 Ein Nagel in dem Kopf.

Vernagelt bist du gänzlich
 Und ganz caput...s ist klar:
 Es steckt in dir die Blonde,
 Die Nagel aus dem Bar.

Innego dnia, w czasie obiadu w Central-Hotelu, gdy myśmy gawędzili z Piltzem, Gawalewicz, wiedząc, iż na czarną kawę pójdziemy do baru, napisał taki wiersz do Lotty, omal że nie godny Heinego:

Willst du, liebes Mädchen, hören
 Ach, die schönsten Liebeslieder,
 Gib mir meinen Lebensfrühling,
 Meine zwanzig Jahre wieder!

Und ich sing dir früh und abends
 Wunderbare, süsse Ständchen,
 Und ich schreib dir alle Tage
 Der Gedichte ganze Bändchen.

Ich entwickle dich zur Rose,
 Junge Knospe voller Wonne,
 Und mit meinem Lied, du Sternlein,
 Will entflammen dich zur Sonne!

Poesie und Liebeszauber
 Sollen uns die Tage schmücken;
 Ich berausche dich mit Liedern,
 Du mich mit den blauen Blicken...

Heut' doch singe ich vergebens,
 Lied und Sehnen gehn zu Nichte:
 Höchstens einen... Soda-Brandy
 Darf ich hoffen für Gedichte.

Tymczasem zbliżała się chwila naszego wyjazdu z Berlina, a więc i chwila rozstania z Lottą. Nie ulega wątpliwości, żeśmy wszyscy trochę byli pod jej urokiem, że więc, mając opuścić Central-Hotel, przedewszystkiem żalowaliśmy miłych chwil, spędzonych z Lottchen. Oczywiście, iż w barze, w dniu wyjazdu, kiedyśmy już wieczorem mieli się do warszawskiego pociągu, Gawalewicz nie omieszkiał napisać pożegnalnego wiersza, wiersza, w którym doskonale i dowcipnie wyraził to, czegośmy wszyscy trzej jednak serdecznie życzyli urodziwej Niemeczce. Żeśmy jej życzyli dobrze, o tem nie potrzebowała wątpić, tak samo jak wiedziała, żeśmy właśnie z powodu jej niezwyklej urody, trochę się obawiali o jej przyszłość, przewidując, że podobna uroda w mieście takim, jak Berlin, łatwo może być przyczyną zejścia na bezdroże... Tak pięknej dziewczynie, jak Lotta, łatwo mogła się sprzykrzyć uczciwa praca na kawałek chleba, bo nie ulegało wątpliwości, iż jej zajęcie w barze, jako bufetowej, od 9-tej rano do 12 w nocy z dwugodzinną przerwą od 4-tej do 6-tej, było pracą ciężką i mozolną, choć okraszana flirtem z całym legionem wielbicieli. A przytem, jako pozycja socjalna, było to stanowisko w randze panny służącej, tak dalece, iż piękna Lotta, mieszkająca, jak cała służba Central-Hotelu, na czwartem piętrze, nie miała prawa, na równi z całą służbą hotelową, jeżdżenia windą, lecz musiała wchodzić i schodzić tylnymi schodami, na co się nam skarżyła wielokrotnie. Bo mniejsza o schodzenie z góry, ale wchodzenie na górę, często po kilka razy dziennie, męczyło ją bardzo. Tymczasem z jej urodą łatwo mogła mieć willę, powóz i cały sztab służby do swej dyspozycji. Wystarczało tylko przestać być uczciwą dziewczyną. Wszystko to mając na myśli, Gawalewicz, w czasie naszej ostatniej sjeisty w barze, tak napisał pięknej Lotce na pożegnanie:

Das Leben ist wie ein Hotel:
 Die Leute kommen und gehen,
 Und sagen sich nur en passant:
 „Also auf Wiedersehen!“

Auf Wiedersehen, Lotte, nun,
 Bleiben sie schön und munter,
 Und geh'n Sie immer nur hinauf,
 Und geh'n Sie nie herunter!

Gedenken Sie der Polen drei,
 Die wie ein Traum zerronnen,
 Drei Polen aus der Polakei,
 Die Sie so lieb gewonnen!

W parę godzin potem, rozmawiając o pięknej Lottchen, z którą nam ciężko było się rozstawać, siedzieliśmy już w pociągu, pędzącym w kierunku Warszawy.

Jeszcze przez cały rok, za pośrednictwem różnych znajomych, nie ustawały nasze stosunki z uroczą Lottą, bo za każdym razem, jeżeli ktoś jechał do Berlina, zawoził dla niej *Herzliche Grüsse* od nas. Czynili to wszyscy bardzo chętnie, ponieważ była to rekomendacja, z góry zapewniająca wielce sympatyczne przyjęcie ze strony Lottchen. Albowiem wspominała nas bardzo mile, dopytując się ciekawie, co porabiamy, kiedy znów przyjedziemy do Berlina, do Central-Hotelu? Bo, że nie stanęlibyśmy gdzieindziej, tego była absolutnie pewną.

Ale po roku dowiedzieliśmy się od kogoś, co świeżo powrócił z nad Sprewy, że już w barze nie zastał naszej faworytki. Co się stało? Oto — dowiedział się od jej następczyni — sprzykrzywszy sobie chodzenie po schodach na 4-te piętro, niepomna ojcowskiej rady Gawalewicza, rzuciła swe miejsce za bufetem i pojechała z jakimś milionerem do Nizy.

WIELKA MIŁOŚĆ WIELKIEGO CESARZA¹⁾

o zwycięskiej bitwie pod Pułtuskim, w której pobił Moskali na głowę, wybrał się Napoleon dnia 31 grudnia 1806 r. rozstawnymi końmi do Warszawy, gdzie — jak to z góry było do przewidzenia — czekało go, jako oswobodziciela Polski z pod pruskiego jarzma, tryumfalne przyjęcie. Ponieważ zima była w całej pełni, więc jechał w zamkniętej karecie. Jechał okólną drogą na Błonie, bo inne trakty były zawałone taborami. Młodziutka Klementyna Tańska miała szczęście widzieć go podczas tej podróży i tak wrażenie swe opisuje: „Napoleon nie bardzo mi się romansowo ukazał. Miał konie zaprzęgać w Cegłowie, w karczmie, na drodze z Błonia do Sochaczewa. Ta karczma należała do naszej pani starościny i pojechaliśmy tam czekać na niego. Właśnie powozy nasze stanęły, kiedy cesarz zajechał także, wysiadł nawet, a że jakoś poszedł za karety naszą, wszystkie panie rzuciły się do okien, a ja, jako najmniejsza, do okienka w tyle karety“.

¹⁾ Druk nowego wydania książki niniejszej był już rozpoczęty, gdy, jako feljetoniście Kurjera Warszawskiego, zdarzyła mi się sposobność napisania jeszcze paru przygodnych artykułów o miłości w życiu sławnych ludzi. Pierwszym z tych szkiców, nie roszcujących sobie bynajmniej pretensji do oryginalności, bo tylko streszczających w sposób popularny i poczytny prace cudze, jest historia Wielkiej miłości wielkiego cesarza, podająca wyniki książki Stanisława Wasylewskiego o Szambelanowej z Walewic. Następny szkic, zatytułowany jako Pieśń o miłości i śmierci jest treściwą esencją, wyciągniętą z pracy Władysława Fabri'ego, wydanej niedawno p. t. „Trystan i Izolda Wagnera w świetle listów do Matyldy Wesendonk i jej otoczenia“. Obszerniejsza nieco opowieść o Marjannie d'Alcoforado i Kawalerze de Chamilly powstała pod wrażeniem listów miłosnych nieszczęśliwej zakonnicy, wydanych po polsku w przekładzie Przybyszewskiego. Zamieszczony na końcu szkic o Pierwszej miłości Asnyka drukowany był w r. 1921 w Tygodniku Ilustrowanym i jest przyczynkiem do biografii poety w znacznej części oryginalnym, na samodzielnych studiach opartym.

W kilka godzin potem, na przeprzegu koni w Błoniach, w karczmie przydrożnej, spotkał się Napolen z jadącą właśnie z Walewic do Warszawy piękną szambelanową Marją z Łączyńskich Anastazową Colonna-Walewską.

Olśniony pięknnością młodziutkiej, niewielkiego wzrostu, 20-letniej Polki, o dużych oczach koloru niezapominajek, w włosach blond, o cerze brzoskwiniowej, 37-letni wówczas „Bóg wojny“ i cesarz Francuzów, odrazu uległ jej dziwnemu czarowi, co oczywiście musiało się skończyć poznaniem, bo namiętny Korsykanin nigdy się nie odznaczał nieśmiałością wobec płci pięknej. Dlaczegożby więc uroczej szambelanowej, która na nim od pierwszej chwili tak odurzające uczyniła wrażenie, nie miał uczynić tego zaszczytu, o którym marzyło tyle wielkich pań ówczesnych, i nie wszcząć z nią zwykłej rozmowy? Rozmawiać z cesarzem, z Napoleonem, toż to był honor i szczęście nielada!

I.

Ale to był dopiero romantyczny początek, jakby poetyczny — choć na prozaicznym tle karczmy — prolog do romansu. Pierwszy rozdział rozegrał się nazajutrz w Warszawie, na świetnym balu zamkowym, którym to balem, po entuzjastycznym powitaniu cesarza i wielkiej armji przez ulicę, powitała Napoleona i jego sztab warszawska elita towarzyska. Na balu tym znalazła się i piękna pani Walewska, a cesarz był tak oczarowany jej niezwykłą urodą, jej pełną wdzięku postacią, jej niewysłowionym powahem i słodyczą, iż prawie nie zwracał uwagi na inne strojne i ubrylantowane damy, a zaraz po tym wieczorze, d. 2 stycznia, przesłał do mieszkania pięknej szambelanowej wspaniałe kwiaty wraz z następującym własnoręcznym listem:

Panią tylko widziałem, panią tylko podziwiałem, pani tylko pożądam. Proszę o szybką odpowiedź, która uspokoi moje niecierpliwe pragnienie.

N.

Ten równie śmiały, jak szczerzy list cesarski pozostawiła pani Walewska bez odpowiedzi. Było to niebywałą zuchwałością z jej strony, ale nie widziała innego sposobu, aby ratować swą dobrą sławę i godność kobiecą. Wprawdzie jej mąż liczył sobie lat 70 przeszło, ale z tym starcem jednak miała syna, a więc chciała pozostać wierną jego ojcu, któremu przecież wierność zaprzysięgła przed ołtarzem. Powtóre, wychowana w zasadach katechizmowych, choć może młodość i piękność domagały się swoich praw, nie chciała rozstawać się z cnotą i szacunkiem względem samej siebie. Jednem słowem, nie odpisując Napo-

leonowi na jego wyzywający i namiętny list, mówiła stanowczo: Nie! Nic z tego! Niech sobie amory swoje wyperswaduje. Zwracał je pod niewłaściwym adresem.

Nie była bardzo uczoną, nawet nie błyszczała inteligencją, ale była z gruntu kobietą uczciwą i dlatego znalazła tyle odwagi, ażeby takiemu potentatowi, jak Bonaparte, zrobić afront! *Elle refusa*, jak to zanotował po tacytowsku Constant, zdziwiony tym niebywałym faktem.

Niezrażony tem, a nawet podniecony tym niespodziewanym oporem, Napoleon po dwu dniach daremnego oczekiwania na odpowiedź, napisał d. 4 stycznia, jeszcze jeden list, tym razem dłuższy i jeszcze namiętniejszy, niż poprzedni, a już uderzający w ton błagalny, na jaki się tylko człowiek naprawdę zakochany bez pamięci zdobyć może.

Czy ci obrzydłem, o Pani! Miałem prawo spodziewać się czego innego. Czyżbym się mylił? Zainteresowanie Pani zmniejszyło się widocznie, moje zaś zwiększa się. Zabierasz mi spokój.

O, użyż trochę radości i szczęścia biednemu sercu, które pragnie Cię uwielbiać. Czyż tak trudno zdobyć się na odpowiedź? Winnaś mi już Pani dwie.

N.

Ale i te zakłęcia, godne zakochanego studenta, a nie potężnego cesarza, pozostały bez skutku. Pani Walewska znów na nie odpowiedziała milczeniem. M mało tego. „Dano do zrozumienia cesarzowi — słowa są Trembickiej — że żąda niemożliwości, że wybrał kobietę, z którą może przegrać“. Ale to podnieciło tylko miłość Napoleona, miłość, jakiej w tym stopniu doświadczał po raz pierwszy w życiu.

Jednocześnie wieść o tym afekcie cesarza, wcale przez jego świtę nie utrzymywana w tajemnicy, zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, co w rezultacie skończyło się na tem, że najbliższe otoczenie Marji, począwszy od jej braci, młodych Łączyńskich, będących oficerami w armji napoleońskiej, a skończywszy na różnych kuzynkach, ciotkach i przyjaciółkach, zaczęło perswadować zbyt, ich zdaniem, cnotliwej i niewinnej „parafjance“, aby nie opierała się woli potężnego władcy, od którego przecież zależał los ojczyzny, a który za cenę jej miłości gotów dać Polsce niepodległość.

Ale szambelanowa zacięła się w swym uporze, tak dalece, że gdy powstała kwestja pójścia na bal, który miał być popisem piękności i elegancji dam z wielkiego świata warszawskiego, a na którym miał być Napoleon ze swoją świtą, ona oświadczyła kategorycznie, że na ten bal — na którym cesarz z pewnością liczył na spotkanie się z nią — nie pójdzie stanowczo.

W tym wypadku jednak, wobec presji, jaką na nią wywarło w sposób bezwzględny, musiała ustąpić ostatecznie. Poszła więc, ale w jednym kierunku postawiła na swoim, mianowicie: zamiast wystąpić w wielkiej tualecie, jak to czyniły wszystkie zaproszone damy, ubrała się skromnie nadzwyczaj, w białą sukienkę, przybraną niezabudkami. Może to była wyrafinowana kokieterja kobieca, zdająca sobie sprawę, iż ten skromny, prawie zaściankowy strój zrobi swoje, jako wdzięczny kontrast do atłasów i aksamitów, do rodowych klejnotów i koronek.

Co pewna, iż Napoleon, od pierwszej chwili, gdy ujrzał swoją wybrankę, od razu ją zaczął wyróżniać wśród innych dam. Ją też poprosił do kadryla (co naturalnie równało się największemu zaszczytowi), a że wogóle nie umiał tańczyć, więc w tańcu tłumaczył się przed nią, iż tańczy tak źle i niezgrabnie, na co mu piękna Marja odrzekła podobno:

— *Trop bien pour un héros!*

Ta jej historyczna odpowiedź dopełniła miary zachwytu Napoleona: poprostu szalał z miłości. „Nazajutrz po balu (pisze w swym słynnym dzienniku Constant, przyboczny kamerdyner Napoleona) zdziwiony byłem nadzwyczajnem podnieceniem cesarza. Wstawał, chodził, siadał i znów wstawał. Zdawało mi się, że nie zdołam dnia tego doprowadzić do końca toalety Napoleona. Natychmiast po śniadaniu cesarz dał poufną misję pewnemu wysokiemu dygnitarzowi, którego nie wymienię, zalecił mu złożyć wizytę p. Walewskiej i wyrazić jej hołd i życzenie cesarza“.

Tym wysokim dygnitarzem był Duroc, wielki nadworny rajfur Napoleona, nie odmawiający mu najdrażliwszych nawet przysług *jusqu'à l'absence du sens moral*, a którego zadaniem w Warszawie było znalezienie imperatorowi jakiej interesującej Polki, „aby cesarz tem lepiej poznał kraj, o którym wiedział tyle tylko, co z Rulhiera“. Ażeby ten „hołd“ ze strony cesarza dla pani Walewskiej wyrażony został o ile możności jaknajdobitniej, ofiarował jej Duroc w imieniu swego władcy wspaniałe brylanty. Okazało się jednak, że ani cesarz, ani jego sługa, nie zdawali sobie sprawy z psychologii Polki... uczciwej; klejnoty bowiem, które mogły zachwiać cnotę każdej innej kobiety, w oczach pani Walewskiej tylko cesarzowi... zaszkodziły. Czuła się srodze urażoną podobnym ze strony Napoleona... nietaktem i brakiem delikatności.

Nie pozostało nic innego, tylko naprawić ten fałszywy-krok, jednym słowem, przeprosić dumną Marję. W tym celu zaprosił ją Napoleon na obiad do zamku, obiad na trzy osoby, do którego oprócz tej, na której cześć był urządzony, zasiadł tylko cesarz z Duroc'iem, jako przyzwoitką. Ale i ten obiad nie spowodował pożądanego przez Napoleona zwrotu: pani Walewska nie chciała słyszeć o tem, aby mogła zdradzić swojego męża. W głowie

się jej to poprostu pomieścić nie mogło. Trudno, zdarzają się między Polkami takie fanatyczki cnoty! Ale tym razem uknuto na cnotę pani Walewskiej formalny spisek, i to spisek o charakterze... patriotycznym. Poruszono wszystkie możliwe sprężyny, ażeby piękna szambelanowa zrezygnowała ze swej wierności małżeńskiej, od tego bowiem, czy ulegnie cesarzowi, czy nie, zależała... przyszłość ojczyzny! Oprócz Duroc'a, i Francuzów ze świty cesarskiej, którym naturalnie nie o losy Polski chodziło, lecz o dostarczenie miłej rozrywki cesarzowi, na czele akcji stanęła cała koterja z pałacyku pod Blachą, nietyle może z ks. Józefem, ile z wytrawną w tego rodzaju zabiegach „Vaubanką“ na czele; ażeby zaś ta uplanowana na cnotę pani Walewskiej ofenzywa patriotyczna bezwzględnie doprowadziła do upragnionego celu, wciągnięto do działania i takich ojców narodu, jak Wybicki, przewodniczący „septarków“ czyli członków komisji rządzącej. Podobno, że i sędziwy marszałek Sejmu czteroletniego, Małachowski, osobiście podjął się drażliwej wysoce, jak w danym wypadku, roli dziewosłęba, i zaklinał szambelanową „w imieniu Sprawy“, wyjaśniając jej, co może w tej chwili Napoleon zdziałać dla narodu, jeśli ona złoży mu w ofierze swą cnotę.

Ale ponieważ te ustne argumenty jeszcze niedostatecznie przekonywały cnotliwą szambelanową, więc przesłano na jej ręce imieniem komisji rządzącej następujący (w języku francuskim zre-dagowany) akt urzędowy:

Pani! Małe przyczyny sprowadzają często wielkie skutki. Kobiety zawsze wywierały wielki wpływ na politykę świata. Historia od czasów zamierzchłych aż do nowożytnych potwierdza ową prawdę. Dopóki namiętności rządzić będą ludźmi, dopóty wy, o kobiety, dzierżyć będziecie w sobie władzę straszliwą... Czy Pani sądzi, że Estera oddała się Assenerusowi z uczucia miłości? Czy strach, jaki on w niej budził, gdy padła zemdlona pod grozą jego spojrzenia, nie dowodzi, iż uczucie obcem było temu związkowi? Estera poświęciła się dla zbawienia narodu i uzyskała sławę wy-bawicielki. Obyśmy to samo mogli powiedzieć o twojej sławie, o Pani, i o naszym szczęściu! Czyż nie jesteś, o Pani, córką, matką, siostrą i małżonką gorliwych patriotów polskich? Pamiętaj o tem, co powiedział pewien sławny człowiek, pewien święty i pobożny kapłan, Fenelon: „Ludzie, dzierżący władzę, nie mogą postanowieniami swemi wyrzec zamierzonego skutku, jeżeli kobiety nie pomogą im!“ Posłuchaj, o Pani, tego głosu, abys potem mogła cieszyć się radością dwudziestu milionów ludzi.

Tu nastąpił szereg podpisów najznakomitszych w kraju osobistości, łącznie z podpisami wszystkich uczestników rządu tymczasowego.

Ale i ten akt urzędowy, choć uciekający się do tak historycznych argumentów, nie okazałby się jeszcze dostatecznym taranem do rozbicia zakamieniałej cnoty pięknej Estery polskiej, gdyby nie sam Napoleon, który niewątpliwie powiadomiony przez Duroc'a o całej akcji patriotów warszawskich, zdecydował się napisać jeszcze jeden list do pani Walewskiej (choć na dwa poprzednie nie otrzymał żadnej odpowiedzi), list, w którym i on, niezależnie od zaklęć o swej miłości dla niej, przemówił do jej uczuć patriotycznych, jako Polki, zapewniając ją, iż od niej zależy wyłącznie, aby jego sympatja dla Polski stała się gorętszą.

List ten, datowany 12 stycznia, a równający się już obietnicy politycznej, brzmiał, jak następuje:

Są chwile, w których zbyt wielkie powodzenie ciąży, i tego właśnie doświadczam. Jakże mam zadośćuczynić potrzebie zakochanego serca, któreby chciało paść do twych nóg, lecz wstrzymuje je ciężar ważnych okoliczności i paraliżuje najżywsze pragnienia? Oh, gdybyś chciała!... Ty jedna możesz usunąć dzielące nas przeszkody. Mój przyjaciel Duroc ułatwi ci wszystko. Oh, przyjdź, przyjdź! Wszystkie twe życzenia będą spełnione. Twoja Ojczyzna będzie mi droższą, gdy znajdziesz litość dla mego biednego serca.

N.

Ale znalazł się jeszcze jeden argument, najsilniejszy ze wszystkich, a całkiem ani przez patriotów warszawskich z „Aristidesem polskim“ na czele, ani przez Napoleona i jego „przyjaciela“ Duroca nie brany w rachubę, argument, który, jednak wystarczył sam jeden, aby przechylić szalę decyzji Marji. Tym argumentem był nie patriotyzm, nie poświęcenie dla dobra ojczyzny, nie podporządkowanie cnoty i wierności małżeńskiej racji stanu i interesom politycznym, ale głos serca Marji, tego młodego i czułego serca, które aż do tej chwili nie znało uczucia prawdziwej miłości, a które teraz, pod wpływem osobistego uroku Napoleona, nagle, wzruszone jego namietnością, dało znać o sobie, zabiło z wyjątkową siłą, słowem, jak serce Aldony, pokochało „męża wielkiego na ziemi“. Było to tak proste, tak naturalne! Przymuszona do poślubienia człowieka bogatego, ale starego, którego śmiało mogła być nie tylko córką, lecz nawet wnuczką, choć wychowana w zasadach patryarchalnych, niemal zaściankowych, jednak, będąc młodą i piękną, nie mogła nie marzyć — jak każda młoda dziewczyna — o takim królewiczu z bajki, któryby, sam

zakochany, i ją potrafił rozplómić ku sobie, rozkochać odwzajemnianą miłością. Okoliczności w życiu Marji jakoś się układały w ten sposób, że ten wymarzony królewicz aż dotychczas nie pojawił się na jej drodze. Nagle podczas owego przeprzegu koni w Błoniu ujrzała go na własne oczy, nie w marzeniu sennem, lecz na jawie, prawdziwego, żywego, młodego i pięknego, i to nie żadnego królewicza, lecz samego cesarza, Napoleona, imperatora, „boga wojny“, bohatera, przed którego potęgą i geniuszem drżał świat cały, przed którym korzyły się wszystkie władze cesarskie i królewskie, który obalał stare i tworzył nowe trony! Taki mocarz, po świeżem zwycięstwie nad Polski największym wrogiem, stanął przed nią niespodziewanie, niczem królewicz z bajki, i ten człowiek z piętnem geniuszu na czole i w swych Jowiszowych oczach, o klasycznej urodzie Antinousa, niczem Romeo, niczem Werther, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, a kochając sam, błagał o wzajemność, „podziwiał“ i „pożądał“, rzucał jej „do nóg“ swoje „biedne serce“, obiecywał spełnić jej „wszystkie życzenia“, byle mu za jego gorącą miłość odpłaciła taką samą miłością. W tem widział swoje największe szczęście, on, cesarz Francuzów, król włoski, pan i dyktator świata! I jak tu, będąc młodą, piękną i spragnioną kochania, nie pokochać takiego człowieka?

Więc też, po krótkiej walce z sobą, pokochała go naprawdę, szczerze, namiętnie, całą siłą swej młodej i czystej duszy, całym sercem swoim, równie szlachetnem, jak czułem. A sprawiły to nie intrygi i namowy ziomek, nie mefistofeliczne kuszenia Duroc'a i „Vaubanki“, lecz cudowną tę w duszy jej metamorfozę sprowadził sam Napoleon i jego własna ku niej, namiętna i nieprzeparta miłość.

Wobec tego znikły powody do dalszego oporu, a choć przy tej sposobności — jak świadczy Constant w swym pamiętniku — nie obeszło się bez łez, to jednak stało się pragnieniu Napoleona zadość, o czem najwymowniej, już 15 stycznia, świadczył jego serdeczny i czuły list do ukochanej, list, w którym już ją nazywa po imieniu.

Oto rzeczony list, przesłany razem z kwiatami, a wyraźnie pisany pod świeżem wrażeniem szczęścia i upojenia niem.

Marjo, moja słodka Marjo, pierwsza myśl moja należy do Ciebie, mojem pierwszym pragnieniem jest ujrzeć Cię. Wszak powrócisz, nieprawdaż? Obiecałaś mi to. Jeżeli nie, orzeł poleci ku Tobie. Przyjaciół zapewniam, że ujrzę Cię przy obiedzie. Przyjmij te kwiaty, błagam Cię!

Niech się staną tajemnym węzłem, ułatwiającym nasze ciche porozumienie wśród ciżby, która nas otacza. Wysta-

wieni na spojrzenia tłumu, będziemy się mogli pojąć wzajemnie. Gdy rękę do serca przycisnę, wtedy zrozumiesz, że ono całe Tobą jest zajęte, a w odpowiedzi przyciśnij bukiet! Kochaj mnie, moja miła Marjo, i niech Twa ręka nigdy bukietu tego nie rzuca.

Ale ten namiętny kochanek był... żonatym, i miał (w Moguncji w tej chwili) zazdrosną połówicę, która, wiele słysząc o piękności i zalotności Polek, koniecznie chciała przyjechać do Polski, aby tu pilnować swego kochliwego małżonka. Napoleon jednak nie pragnął tego wcale, to też powiedziano równie dowcipnie, jak trafnie,¹⁾ iż listy jego do Józefiny mogą być świetnym podręcznikiem dla niewiernych małżonków. Jakoż, ażeby uspokoić jej zazdrość, zapewniał ją, iż „wszystkie Polki są właściwie Francuzkami! Mimo to dla mnie istnieje tylko jedna kobieta. *La connais-tu?* Ty nią jesteś!“ W innym liście, pisanym w wilję poznania Walewskiej, pisze do Józefiny: „Śmiałem się do rozpuku, czytając twe ostatnie listy. Nabrałaś o Polkach wyobrażenia, na jakie wcale nie zasługują“. Gdy mu Józefina doniosła na początku stycznia, że myśli go w Warszawie odwiedzić, odpisał jej (już będąc zakochany w Walewskiej): „Nie wybieraj się duszko, do Polski, bo, uważasz, drogi tutejsze są bardzo złe“. W kilka dni później zaś (gdy mu dusza coraz bardziej wyrwała się do opornej Marji), tak się starał Józefinie wyperswadować jej warszawskie projekty: „Wracaj do Paryża, gdzie jesteś potrzebna, bądź wesoła i okaż siłę charakteru...“ A 7 stycznia, a więc mniej więcej podczas owego balu, na którym z Marją tańczył kadryla, i kiedy jego miłość dla niej już rozsadzała mu serce, tak pisał do swej zazdrosnej małżonki: „O, jak bardzo chciałbym spędzać te długie wieczory przy tobie! Ale cóż robić?“

Mimo te zapewnienia, Józefina niebawem dowiedziała się o pani Walewskiej i afekcie Napoleona ku niej, a choć nie wiedziała jeszcze wszystkiego, to jednak zaczęła przeczuwać coś niepożądanego dla siebie. W tem uczuciu rzekła raz do jednej ze swych dam dworu:

— Wdzięki tej Polki niepokoją mnie. Lecz pewna jestem, że uda mi się zapobiedz niebezpieczeństwu.

Okazuje się, że nigdy, gdy chodzi o wierność męża, nie należy być pewną siebie, nawet gdy się jest cesarzową!

W końcu stycznia, a więc po dwu tygodniach miodowych upojeń z szambelanową, Napoleon opuścił Warszawę, rozstał się z ukochaną. Twardy głos historii nakazywał mu przerwać

¹⁾ Stanisław Wasylewski: „Szambelanowa z Walewic“, Lwów 1921, Nakładem H. Altenberg, str. 94.

chwilowo uroczą sielankę miłosną i zmierzać do przedarcia karty Europy z pomocą nowych krwawych bitew. Przygotowując się do nich, obrał sobie nowy Cezar na kwaterę piękny zamek Finkenstein, a zdecydowany pozostać tam przez czas dłuższy, zaraz posłał gońca do Warszawy z błagalnym listem do „słodkiej Marji“, aby przyjechała do niego, aby położyła koniec jego tęsknotom.

List przyszedł w samą porę, albowiem życie pani Walewskiej w stolicy, po wyjeździe cesarza, nie należało do najprzyjemniejszych. Dość powiedzieć, że często zalewała się łzami. Przedewszystkiem znalazła się w bardzo drażliwej sytuacji względem swego sędziwego małżonka, który wprowadzie na wszystko patrzył przez palce, udając, iż nie wie o niczem, ale ona dusiła się w tym małżeńskim konflikcie. Powtórę musiała znosić niejedno ironiczne spojrzenie, niejedną złośliwą aluzję ze strony swych przyjaciółek i kuzynek, które, choćby przez zawiść, nie mogły strawić jej szczęścia, jej wyjątkowej pozycji. Po trzecie zanudzano ją prośbami o protekcję u cesarza, nie mówiąc już o komisji rządzącej, której członkowie niecierpliwie oczekiwali rychłego już zbawienia ojczyzny. A wreszcie zbyt troskliwą roztańczano nad nią opiekę, zbyt skwapliwie spieszono jej z pomocą, którą posuwano tak daleko, iż nawet listy pisano w jej imieniu do cesarza, niby to dlatego, iż ona sama nie umiała tych listów wystylizować należycie, co zirytowało Napoleona, gdy się dowiedział o tem. *Ecrivez-moi, comme vous voudrez, mais je ne veux pas de tiers dans mes relations avec vous.* Nie chciał po prostu, ażeby pisywała do niego pod dyktandem, nie sama, co jej serce dyktowało.

Otrzymawszy zaproszenie do Finkensteinu, pani Walewska, już bez chwili wahania, opuściła Warszawę i w towarzystwie brata swego, świeżo mianowanego adjutantem-komendantem w sztabie księcia Neufchatel, wyruszyła do kwatery cesarskiej.

Trzy tygodnie, które tu w cichym i odludnym zamku przeżyła przy boku Napoleona, równały się poematowi. Na dobrą sprawę widywała tu tylko dwie osoby: cesarza i jego kamerdynera. „Jadali zazwyczaj razem — notuje w swym pamiętniku Constant — sam podawałem do stołu i byłem świadkiem rozmowy obojga: żywej i podnieconej ze strony Napoleona, tęsknej i melancholijnej ze strony pani“. Poza tem *la douce Marie* nie opuszczała komnat starego zamku. „Czytała wiele, a raczej oglądała obrazki, lub też przypatrywała się z poza zazdrostki musztrum gwardji na dziedzińcu i słyszała twardy głos imperatorskiej komendy“.

Nawiasem mówiąc, cesarzowa Józefina dowiedziała się przez swych zauszników, iż Napoleon nie jest w Finkensteinie sam,

i nie omieszkła mu tego w listach swych dać delikatnie do zrozumienia. Napoleon uspokajał ją, jak mógł. Oto co raz pisał do niej: „Przeniosłem kwaterę moją do przepięknego zamku, gdzie jest bardzo wiele kominków. Lubię bardzo wstawać w nocy i patrzeć w ogień. To jest szalenie przyjemne... Nie bądź kapryśną i zazdrosną, bo to nieładnie“.

Ale „bóg wojny“ nie mógł zbyt długo oddawać się gruchaniu z piękną Afrodytą, bo właśnie miał przed sobą Iławę, Gdańsk, Frydland i Tylżę. Jakoż opuścił „przepiękny zamek“ w Finkensteinie, podążając na krwawe pola chwały, a pani Walewska wróciła do Warszawy, gdzie niebawem z gazet mogła się dowiadywać o nowych świetnych zwycięstwach swego ubóstwianego kochanka. Bo, że się ubóstwiali wzajemnie, to ani dla niego, ani dla niej nie było tajemnicą. Tymczasem, korzystając z bytności w Warszawie, była sposobna chwila po temu, aby ostatecznie zlikwidować swój stosunek z mężem, którego śmiesznej roli należało wreszcie położyć koniec, a przy tej sposobności, wobec tak trjumfalnego powrotu, „popatrzeć z uśmiechem w oczy tych wszystkich ludzi, którzy ją przedtem widzieli płaczącą“.

Tak upłynęła cała wiosna. W końcu czerwca, po całym szeregu świetnych zwycięstw, które go wyniosły na sam szczyt sukcesów wojennych, szczyt, który przed nim osiągnęli swego czasu tylko Aleksander Macedoński i Juliusz Caesar, odbywał Napoleon trjumfalny wjazd do Paryża, a w wraz z nim, po cichu pod dyskretną opieką Duroc'a, który jej przyjazd umiał, zwłaszcza przed Józefiną, otoczyć potrzebną tajemnicą, przybywała do stolicy Francji także i *la douce Marie*. Zamieszkała w ustronnym pałacu przy rue de la Victore nr. 48, a choć istniało tajemne przejście z jej apartamentów do entresolu cesarskiego w Tuilleryach, to, oprócz nadwornego krawca, pana Leroy (pierwszego krawca *empire'u*), u którego ubierała się piękna szambelanowa z Walewic, nikt w całym Paryżu nie wiedział o jej pobycie. Bawiła tu w całym tego słowa znaczeniu *incognito*. Tylko, gdy ukazywała się na ulicach stolicy, paryżanie zachwycali się jej urodą, nie wiedząc naturalnie, kto jest ta czarująca osoba.

Co jednak nie ulegało wątpliwości, i z czego sobie piękna Marja aż nadto dobrze zdawała sprawę, to, że Napoleon był w niej zakochany jak student, że upojony jej miłością, nietylko zaczął się uczyć po polsku, lecz nawet, nauczony przez Marję, śpiewał polskie piosenki. To też łatwo sobie wyobrazić zdumienie jednego z generałów polskich w tym czasie, gdy jadąc raz z cesarzem karetą, usłyszał nagle, jak jego dostojny towarzysz zaczął sobie nucić ni stąd ni zowąd: „Wanda leży w naszej ziemi, co nie chciała Niemca“.

Oto, do czego potrafi doprowadzić mężczyznę polka, gdy go uszczęśliwi swą miłością.

W tych warunkach przebyła pani Walewska w Paryżu cały miesiąc, poczem wróciła do Warszawy. Tymczasem Napoleon ruszył na wojnę do Hiszpanji.

Z nadejściem roku 1808, gdy zaczął się karnawał, w Warszawie, jako stolicy Księstwa Warszawskiego, nie było końca balom. Pani Walewska, imponując swemi paryskimi toaletami od Leroy, bywała na wszystkich, przyczem zauważono (jak to zapisała p. Potocka), że „wyrobiła się nadzwyczajnie podczas swego pobytu we Francji i nabrała skromnej pewności siebie“. W poście, gdy różne panie z księżną Wirtemberską na czele, kwestowały po ulicach, piękna pani Walewska, także chodziła po Nowym Świecie z puszką, a że najprzedniejsi kawalerowie słodzili rozmową utrudzenie dam, więc kwesty te, w których złote dukaty hojnie wpadały do puszek, były bardzo miłym poświęceniem.

Z kolei zaczął się rok 1809, a z nim przyszło do bitwy pod Wagram, a następnie pod Raszynem. Warszawa, od kwietnia do czerwca przeżywała czasy ukupacji austriackiej; w Warszawie zaś, gdy cesarz bił hiszpanów, a potem austriaków, piękna szambelanowa, niezależnie od zabaw wielkoświatowych, od których się nie uchylała bynajmniej, przeżywała swój rok tęsknoty za nim. O nim tylko myślała w skrytości sercu, do niego tylko wyrывała się jej rozkochana dusza. *Toutes mes pensées* — zwierzała się Constantowi — *toutes mes inspirations, viennent de lui et retournent à lui, il est tout mon bien, mon avenir, ma vie!*

Gdy jednak zwycięski Napoleon, powaliwszy do swych nóg przewrotną Austrię, znalazł się w Wiedniu, w Schönbrunn, natychmiast pani Walewska, „pod pozorem potrzeby wód kąpielnych“ (jak zapisuje Niemcewicz), pojechała do Wiednia, aby tam znowu przeżyć długi szereg dni szczęścia. Zaczęły się one w połowie czerwca, a miały trwać aż do połowy września, czyli całe trzy miesiące.

Pani Walewska mieszkała w osobnej wili w pobliżu pałacu, a choć z Napoleonem widywali się ciągle, to jednak pobyt jej w Wiedniu otoczony był najściślejszą tajemnicą. Wiedział o nim Constant, który po szambelanową codziennie jeździł bez liberji cesarskiej, wiedzieli różni generałowie polscy, jak Krzyżanowski, Chłapowski, Załuski, Łubieński, ale oni sumiennie przestrzegali „tajemnicy służbowej“. W tych warunkach, poza romansem z Napoleonem, upływało Marji życie w stolicy nad Dunajem bardzo przyjemnie. Powóz do dyspozycji, teatry, koncerty, sporo znajomych z arystokracji polskiej, jak np. Wittowie i Krasińscy, oto, jak jej czas chodził. W liście do żony z 31 lipca 1809 r.

pisze generał Lubieński: „Przedwczoraj w teatrze poszedłem do loży p. Witte¹⁾. Zastałem Anastazową Walewską, która opowiadała mi o Warszawie, z kąd wyjechała dopiero po wyjściu austriaków“.

Odwrotną stroną medalu tego pobytu w Wiedniu było dla pięknej Marji jej uprzywilejowane stanowisko w stosunku do cesarza, wskutek czego znów ją nagabywano o protekcję, przyczem naturalnie i inne intrygi niemałą grały rolę. W liście z 22 sierpnia do żony pisze Tomasz Lubieński w tej sprawie: „Nie wspominałem Ci też o intrygach tutejszych, bo są mało znaczące. Robią je najwięcej przez Anastazową Walewską. Chcieli i mnie do nich wciągnąć, ale szczęściem nie wmieszałem się wcale“. Drugim dezawantażem, który często psuł Marji jej szczęśliwe chwile wiedeńskie, była polityka, mianowicie deputaci Księstwa Warszawskiego z Matuszewiczem na czele, którzy, dowiedziawszy się o poczynaniach politycznych Napoleona z dyplomataami austriackimi, poczynaniach, które w polakach mogły budzić rozmaite wątpliwości, ciągle konferowali z panią Walewską, poczem ona musiała te sprawy stosownie omawiać z cesarzem.

Na szczęście była to chwila, gdzie Marja miała nadzwyczajny na Napoleona wpływ, albowiem w pierwszych dniach września mogła mu zwierzyć się ze szczęśliwą nowiną, że jest w stanie błogosławionym... Napoleon, który nigdy takiej nowiny nie był słyszał z ust Józefiny Beauharnais, był w siódmym niebie. Nie dziw więc, iż w takiej sytuacji, starając się o ile możności dogodzić swej ukochanej i spełniać wszelkie jej życzenia i zachcenia, i o Polsce myślał życzliwiej.

Podobno, iż gdy już w naradach schoenbruńskich zadecydowane zostało przyłączenie do Księstwa Warszawskiego Krakowa, Sandomierza, Lublina i Zamościa, Napoleon, uważając, że to powinno ująć polaków, rzekł w tej kwestji do Marji:

— *Eh bien, vous avez la nouvelle Gallicie?*

Na to pani Walewska miała odpowiedzieć:

— *Fi donc, rien que cela*²⁾.

W każdym razie jedno było pewnem, iż pani Walewska, o ile tylko mogła, wstawiała się w rozmowach z Napoleonem za Polską.

Świadczy o tem, między innymi i Niemcewicz, który, prawdopodobnie na podstawie relacji Matuszewicza, zanotował w swym dzienniku, co następuje: „Pani W... jest osobą nawet w słabości

¹⁾ Witte, syn Zofji Greczynki (żony Szczęsnego Potockiego), który teraz był w służbie w armji Napoleona.

²⁾ Nie mógł tego jednak Napoleon powiedzieć do Marji po 14 października, albowiem wyjechała ona z Wiednia już w połowie września.

szacowną, nie chce przyjmować darów i najwyższych ofiarowanych sobie korzyści, tylko ażeby Polskę przywrócił“.

W połowie września, gdy jej wypadło żegnać się z Napoleonem, wracającym już do Paryża, ofiarowała mu wśród łez, jako rzewną pamiątkę, złoty pierścionek, opleciony jej blond włosami, z napisem: *Quand tu cesseras de m'aimer, n'oublie pas que je t'aime*¹⁾.

W napisie tym była delikatna aluzja do niesłuchanie bolesnego dla Marji faktu, który, niestety, nie był dla niej w Wiedniu tajemnicą: że Napoleon dla względów politycznych i dynastycznych, postanowił rozwieść się z Józefiną i ożenić się w możliwie najkrótszym czasie z arcyksiężniczką austriacką, Marją Luizą. Przeszkodzić temu, w imię swojej miłości dla Napoleona i jego miłości dla niej, nie było w jej mocy. Albowiem decydowała w tym wypadku nieubłagana racja stanu.

Z tem bolesnem uczuciem w sercu wróciła pani Walewska, w towarzystwie Wittów, do kraju, do Walewic, ażeby tam wśród ciszy wiejskiej czekać rozwiązania. Jakoż dnia 4 maja 1810 r. urodziła syna, Aleksandra, na którego uroczyste chrzciny, wśród innych gości, przyjechał do Walewic oficjalnie rezydent dworu francuskiego z Warszawy, ażeby na nich reprezentować... ojca!

Szkoda tylko, że ten szczęśliwy ojciec, do którego ten syn był tak uderzająco podobny, właśnie na kilka tygodni przed jego przyjściem na świat, poślubił uroczyście w Compiègne... austriaczkę Marję Luizę!

Ile łez na wieść o tem wylała Marja, to już tylko jej (a może i jej mężowi) było wiadomem.

III.

Przyszedłszy do zdrowia, młoda matka, z synkiem, z bratem i panną służącą opuściła Walewice, udając się na dłuższy pobyt do Paryża. Najwidoczniej chodziło o to, ażeby syn mógł wzrastać pod okiem ojca.

Zamieszkała naprzód przy ulicy du Houssaie, poczem przeniosła się na rue de la Victoire, do tego samego pałacu, który zajmowała dawniej. Życie upływało jej bardzo przyjemnie. Przedewszystkiem odwiedzał ją marszałek Duroc, który „rad z lekkiej służby“, przedewszystkiem miał za zadanie (najwyraźniej poleczone mu przez cesarza) spełnianie jej wszelkich zachceń, a następnie co pierwszego każdego miesiąca przynosił jej rentę w kwocie 10.000 franków. Prócz niego odwiedzał ją codziennie lekarz Corvisard, tudzież krawiec Leroy, który poznawszy gust szambe-

¹⁾ Gdy przestaniesz mnie kochać, nie zapomnij, że ja cię kocham.

lanowej i jej „miłość do szmatek“, doradzał wszelakiego rodzaju stroje. Nadto codziennie łoża w teatrze i powóz na każde zawołanie.

A cesarz? Od niego miała codziennie list, na który odpowiadała najczulej, tylko, niestety, widywała go stosunkowo rzadko, bo Napoleon bardzo był na wysoki wobec Marji Luizy... Mimo to bywał raz po raz w pałacu przy rue de la Victoire, ale najczęściej ona z synkiem, prowadzona przez Constanta, przychodziła potajemnie „czarnymi schodkami“ do cesarskiego gabinetu w Tuillerjach. „Było to — zapisuje Constant — wielką dla cesarza radością, oglądał to dziecko, tak dziwnie do ojca podobne. Brał je w ramiona, mówił mu: *Je te fais comte*, potem ścisnął matkę i syna“. W dowód zaś swego ojcowskiego przywiązania obdarzył Aleksandra Walewskiego majoratem we Włoszech z rentą roczną 169.516 franków.

Marja Luiza wiedziała o bytności pani Walewskiej w Paryżu, ale też poza tem nie wiedziała nic więcej. W mniej szczęśliwym położeniu była matka Aleksandra Walewskiego, która w ciągu r. 1811 dowiedziała się o przyjściu na świat „króla rzymskiego“, przyczem naturalnie musiała przestać się łudzić, aby ją Napoleon jeszcze mógł kochać tak, jak dawniej. Ona, jako ojca swego syna, kochała go tak samo, ale to postaci rzeczy nie zmieniało w niczem.

Karnawał r. 1811 spędziła szambelanowa w Warszawie, a choć na balach występowała w przepysznych toaletach od Leroy, znajdowali ją niektórzy „bardzo świeżą, ale nie tak piękną, jak dawniej“. Po południu bywała w cukierni u Lessla na czekoladzie, gdzie jej przypatrywano się ciekawie.

Z Warszawy przeniosła się na wieś do siebie, gdzie ją też zastał rok 1812. Powiadają, że Napoleon w powrotnej drodze z nad Berezyny koniecznie chciał wstąpić do Walewic, a ustąpił jedynie pod wpływem perswazji otoczenia, że chwila nie jest po temu.

Czy pani Walewska dowiedziała się o tem, niewiadomo, ale jedno jest pewnem, iż w dwa tygodnie później, w sam dzień Nowego Roku, ona pojechała do Paryża, z synem naturalnie. I dziwna rzecz, ona, która przedtem unikała wszelkich wystąpień oficjalnych, teraz zaczęła bywać u dworu, na wielkich recepcjach w Tuillerjach. Może były to jedyne okazje, gdzie mogła widywać cesarza, nad którego głowę po odwrocie z Moskwy gromadziły się coraz czarniejsze chmury¹⁾. W końcu r. 1813 sprzymierzeni przeciw Bonapartemu przekroczyli Ren, osaczony Napoleon,

¹⁾ W czasie jej bytności w Paryżu, zaprzyjaźniona z generałową Wincentową Krasińską, gdy ta urodziła syna, Zygmunta (przyszłego autora „Iridjona“), pani Walewska trzymała go do chrztu.

zdawszy rejencję Marji Luizie, już w styczniu wyjechał do armji, ale jeszcze i w tej opresji pisał do swego podskarbiego, aby zapewnić los małego Walewskiego: *Ce qui m'interesse, c'est surtout l'enfant, et la mère après.*

Gdy pokonany Napoleon, już w przewidywaniu abdykacji, przebywał w Fontainebleau, pani Walewska zapragnęła zobaczyć się z nim w tej tragicznej dla obojga chwili. „Gdy przybyła o g. 10-tej wieczorem — zapisuje Constant — wszedłem do gabinetu, aby uwiadomić o tem cesarza. Leżał na łóżku, zatopiony w myślach. Nie odpowiedział ani słowa. Dopiero po drugiem odezwaniu się mojem mruknął: Poproś, aby zaczekała! Siedziała więc w przyległym gabinecie, ja zaś dotrzymywałem jej towarzysztwa. Godziny ciągnęły się w nieskończoność. Czekala ciągle. Aż przykro było patrzeć na jej głęboki, cichy ból. Poszedłem po raz drugi. Cesarz nie spał. Ale tak bardzo pograżył się w dumanie, że znowu nic nie odpowiedział. Nareszcie, gdy dzień się zrobił, pani W. opuściła pałac, z obawy, aby jej nie zobaczono. Po jakiejś godzinie cesarz wychodzi i chce ją prosić. Opowiadam mu wszystko, niczego nie ukrywając. Napoleon wzruszył się do głębi: Biedna kobieta! Jak ona musiała to odczuć! Constant, to mi jest bardzo przykre! Gdy ją tylko zobaczysz, wytłumacz mnie. Bo przecież ja mam tyle... tyle kłopotów! Rzuciwszy te słowa niemal ze złością, począł gwałtownie trzeć ręką czoło“.

Nie mając możności zobaczenia się z cesarzem, napisała do niego Marja d. 15 kwietnia (1814 r.) list, w którym mu ze swych uczuć dla niego nie robiła tajemnicy. Na list ten odpisał jej Napoleon własnoręcznie zaraz nazajutrz, co następuje:

Marjo! Otrzymałem Twój list z d. 15 b. m. Uczucia, które masz dla mnie, wzruszyły mnie do żywego. Są one godne Twej pięknej duszy i dobroci serca.

Gdy załatwisz swe interesy i gdy będziesz jechała do wód w Lucques lub w Pizie, zobaczę Cię z wielkiem i prawdziwym zainteresowaniem. Również i syna Twojego chcę zobaczyć, dla którego uczucia moje pozostaną zawsze niezmiennione. Niech Ci się dobrze powodzi, nie kłopotz się, wspominaj mnie życzliwie i niewątp nigdy we mnie.

16 kwietnia, 1814.

N.

Był to prawdopodobnie ostatni list Napoleona do „słodkiej Marji“.

Wkrótce potem znalazł się Napoleon, jako wygnaniec, na wyspie Elbie. Bawił z nim razem brat kasztelanowej, generał Łączyński, co było ułatwieniem dla Marji, aby tu odwiedziła ojca swojego syna. Jakoż przyjechała tu na 3 dni w towarzystwie

siostry, a synka przyodziła w kontusik. Wzruszony Napoleon odstąpił paniom swą ciasną kwaterę, a sam przez ten czas spał w namiocie. W rozmowach z Marią zwierzył się jej Napoleon ze swych planów na najbliższą przyszłość, o której wogóle był dobrej myśli.

Dnia 3 września pani Walewska opuściła Elbę, udając się okrętem wprost do Neapolu, do Murata, gdzie postanowiła czekać na dalszy rozwój wypadków. Jakoż pozostała tu przez całą zimę, a gdy Napoleon, po ucieczce z Elby, 15 marca stanął znowu jako imperator, w Tuillerjach, pani Walewska natychmiast puściła się vetturinem do Paryża, wioząc, jako kurjer dyplomatyczny, ważne od Murata zlecenia. W tej roli przyjął ją Napoleon w pałacu Elizejskim na oficjalnej audencji. Było to, zdaje się, ich ostatnie spotkanie w czasie słynnych „stu dni”. Potem przyszła bitwa pod Waterloo, aż w końcu Napoleon znalazł się na wyspie św. Heleny.

Sytuacja zmieniła się zasadniczo, wobec czego 30-letnia *la douce Marie*, syna odesławszy do Walewic, a wolna już po niedawnej śmierci swego męża-kasztelana, wyszła w r. 1816 za mąż za hr. d'Ornano, jednego z najpiękniejszych oficerów wielkiej armji, a do końca wiernego cesarzowi. Zmuszona kryć się przed Bourbonami, młoda para zamieszkała w Belgji, osiadłszy w Liège na stałe. Ale jako żona oficera bez żołdu, piękna hrabina d'Ornano nie miała tu świetnej egzystencji... Po roku wydała na świat syna. Nadmienić należy, iż Napoleon, gdy się dowiedział o jej zamążpójściu, przyjął wiadomość tę z bolesnym wyrzutem, co oczywiście, zakomunikowane Marji, nie było jej obojętnem.

Wogóle miała smutny koniec życia. Coraz bardziej upadająca na zdrowiu, z zarodem śmiertelnej choroby w piersiach, wybrała się w grudniu, w mroźny i śnieżny czas, do Paryża i tu d. 9 grudnia 1817 r. po krótkich cierpieniach oddała Bogu ducha¹⁾.

¹⁾ Przewiezione do kraju, zwłoki pani Walewskiej spoczęły w podziemiach kościoła parafjalnego w Kiernozi, w powiecie Gostyńskim.

PIEŚŃ O MIŁOŚCI I ŚMIERCI



kompromitowany politycznie, gdy w r. 1848 wybuchła rewolucja w Niemczech, musiał trzydziestokilkuletni Ryszard Wagner, wówczas dyrektor opery w Dreźnie, uciekać za granicę. Jakoż schronił się z żoną do Szwajcarii, gdzie zamieszkawszy w Zurychu, rozpoczął najpłodniejszy pod względem twórczym okres swego burzliwego życia.

W początkach roku 1852 poznał się twórca *Tannhäusera* z 24 letnią wtedy Matyldą z Luckemayerów Wesendonk, żoną bardzo bogatego przemysłowca zurychskiego, Ottona (o dwa lata od Wagnera młodszego). Dopiero od lat czterech zamężna, była to osoba niezwyklej urody i wdzięku, bardzo inteligentna i muzykalna, słowem „piękna dusza“, jakby powiedział Goethe. Że Wagner, notabene nie bardzo szczęśliwy w małżeństwie, wkrótce poznał się na jej niepospolitych zaletach, dowodem jego list z marca 1853 do Liszta, zachęcający go do przyjazdu do Zurichu, gdzie pozna „bardzo miłą“ kobietę. Że i pani Wesendonk niebawem zaczęła ulegać urokowi genialnego muzyka-rewolucjonisty, tego również pozwalał się domyślać jego list do Uhliga z doniesieniem, że *das ewig Weibliche* znowu wienlewa ochotę do życia, a „wilgotne, błyszczące oko kobiece“ nowemi go napawa nadziejami.

Skończyło się na tem, że zobopólna sympatja szybko przerodziła się we wzajemną miłość, że między piękną Matyldą a płomiennym autorem komponowanych właśnie *Nibelungów* związał się romans, idealny wprawdzie, ale namiętny. Już w czerwcu 1854 r. przegrywka do świeżo wykończonych szkiców *Walkirii* zaopatrzona była literami: „G(eseget) S(ei) M(athilde)“; a opracowana na nowo w pół roku później uwertura do *Fausta* zawierała na końcu następującą dedykację: „R. W. Zurich 17 Jan. 55 zum Andenken S.(einer) l.(ieben) F.(reudin)“.

Pod wpływem tej upajającej miłości (której rozwojowi sprzyjał jeszcze wyjazd pani Wagnerowej do Niemiec) zaczął się Wagnerowi snuć pomysł do dramatu muzycznego o Tristanie

1 Izoldzie, pomysł, ściśle z uczuciem dla pani Wesendonk związany, o którym w liście do Liszta w jesieni 1854 taka znalazła się wymowna wzmianka:

Ponieważ dotychczas nigdy w życiu nie zaznałem prawdziwego szczęścia miłości, przeto chcę temu ze wszystkich snów najcudniejszemu wystawić pomnik, w którym ta miłość powinna się od początku do końca prawdziwie nasycić: mam w głowie pomyślanego „Tristana i Izoldę“, najprostsza, ale pełnej krwi muzyczna koncepcja: „czarną flagą“ która na końcu powiewa, chce się następnie przykryć, by... umrzeć.

Tym jednak, któremu życie naprawdę mogło się zacząć przykrzeć, był raczej mąż Matyldy, który, szybko zorientowawszy się w sytuacji, nie tylko nie przestał być przyjacielem swego szczęśliwego rywala, lecz delikatność w stosunku do żony, nie tażącej się przed nim ze swym uczuciem, posunął do ostatecznych granic. Wagnerowi było to bardzo na rękę, to też, nie krępując się wobec Wesendonka, żonę jego wielbił za to podwójnie, że tak lojalnie postępowała ze swym wyrozumiałym małżonkiem. „Wielkość jej — pisał raz w jednym z listów — polegała na tem, że zawsze męża o stanie swego serca informowała i nastrajała go stopniowo aż do zupełnej rezygnacji co do niej“.

Tymczasem Wagner, zajęty komponowaniem *Nibelungów*, nie mógł sobie miejsca znaleźć w Zurichu, albowiem co się wprowadził do jakiegoś mieszkania, musiał się wyprowadzać dla braku potrzebnej do pracy ciszy. Zakochana w mistrzu Matylda tak sobie tę jego kwestję mieszkaniową wzięła do serca, że wymogła u męża, aby obok budującej się ich willi nad jeziorem zakupił dla Wagnerów sąsiadujący z nią domek. Że jej to nie przyszło łatwo, ile, że Wesendonk w gruncie rzeczy nie lubił „mistrza“, to nawet dla samego Wagnera nie było tajemnicą. Inaczej nie pisałby w tej sprawie, że „ona (Matylda) była tą, która wśród niesłychanych walk wymogła to na nim, aby dla mnie piękny kawałek gruntu obok swojego zakupił“. W każdym razie nie chodziło jej tyle o dogodzenie swej fantazji, ile o stworzenie wielkiemu artyście takiego środowiska pracy, o jakim roił w swych marzeniach.

Tym sposobem już na wielkanoc 1857 r. wprowadzili się Wagnerowie do swojej nowej siedziby, z której okien mieli cudowny widok na jezioro i góry, a którą zachwycony mistrz słusznie nazwał „azylem na zielonem wzgórzu“, ile że istotnie stał ten domek na grzbiecie pagórka, oddzielającego jezioro od doliny rzeki Sil. W cztery miesiące później wprowadzili się Wesendonkowie do swej świeżo wykończonej willi na wzgórzu obok.

Na takim tle zaczęła się istna sielanka pomiędzy obu domami, sielanka, w której musiało nie braknąć upojnych duetów miłosnych, skoro Wagner, przerwawszy pracę nad *Nibelungami*, w ciągu września skończył tekst *Tristana i Izoldy*, a w grudniu skomponował pięć pieśni miłosnych p. t. *Träume*, o których to „snach“ sam był zdania, że „niczego lepszego od tych pieśni nie napisał nigdy i tylko bardzo mało z jego dzieł może się z nimi porównać“. Pieśni te, które z czasem weszły do miłosnego duetu w drugim akcie *Tristana*, istotnie zawierały ogromną głębię uczucia, które w tym czasie widocznie osiągnęło swój zenit.

W końcu grudnia skończył już Wagner „wielki wybuchowy duet“ z końca pierwszego aktu, duet, który w jego własnem mniemaniu, „wypadł pięknie nad wszelką miarę“. Niestety, rzeczywistość nie stała na wysokości poezji tego duetu, w kwartecie bowiem, który tworzyły dwa sąsiadujące z sobą małżeństwa, niebawem dysonanse zaczęły brać górę nad harmonją. Mąż Matyldy, choć jej taktem i dobrocią utrzymany w stosownych korbach, nie zawsze potrafił się utrzymać w tej trudnej roli, a pani Wagnerowa już w październiku wywołała szereg przykrych nieporozumień ze swą bogatą i piękną rywalką. Dnia 3 kwietnia, z powodu przejętego listu męża do Matyldy, pani Wagnerowa zrobiła jej dość wulgarną awanturę, po której wzajemne stosunki sąsiedzkie stały się wysoce naprężonemi.

Z listem tym przesłał Wagner Matyldzie ołówkowe szkice swej ewertury do *Tristana i Izoldy*, bo właśnie nazajutrz, dnia 4 kwietnia 1858 r. skończył kompozycję 1-go aktu. Bezpośrednio potem zaczął komponować akt drugi, którego szkic już w lipcu miał na ukończeniu. Ale sytuacja, głównie z powodu zachowania się małżonki mistrza, doszła do tak nieznośnego napięcia, iż pozostanie nadal w „azylu“ stało się niepodobieństwem. Jakoż dnia 17 sierpnia Wagnerowie opuścili Zurich: ona pojechała do Drezna, on zaś puścił się przez Genewę do Wenecji. Na wyjeździe pożegnał swą ukochaną takim krótkim liścikiem:

Bądź zdrowa! Bądź zdrowa, najdroższa! Odjeżdżam ze spokojem. Gdziekolwiek się znajdę, zawsze będę tylko twój. Staraj się zachować mi moje „azylum“. Do widzenia! do widzenia! Ty luba duszo mej duszy! Bywaj zdrowa! Do widzenia!

W Wenecji zamieszkał Wagner w ogromnym zupełnie pustym pałacu nad kanałem, że jednak nie miał fortepjanu, po który dopiero napisał do Erarda, więc na dłuższy czas przerwał pisanie drugiego aktu *Tristana*. A zresztą, ażeby go napisać tak,

jak tego domagał się tekst, należało przeżyć jeszcze cały szereg upojeń miłosnych, które w „azylu“ były nie do pomyślenia, które teraz wszakże, w romantycznej Wenecji, na tle lagun i gondoli, łatwo mogły się stać upragnioną rzeczywistością. Wystarczało, aby Matylda przyjechała do Wenecji, aby tu ich miłość przejawiała się w całej pełni, tak, jak w drugim akcie *Tristana i Izoldy*.

Jakkolwiek marzenie o takim zupełnym szczęściu mogło się zdawać nieziszczalnym, mimo to sądzonem było Wagnerowi zaznać go w stopniu najwyższym. We wrześniu pani Wesendonk przyjechała do Wenecji, co dla obojga miało się równać szczęściu bez granic. Wspominając te upajające chwile, podczas których czarowna Wenecja stała się dla nich Edenem, pisał Wagner w swym, przeznaczonym dla Matyldy dzienniku, jak następuje:

Nie! Nie żałuj nigdy, tych pieszczot, któremi moje marne życie upiększyłaś! Ja ich nie znałem, tych pachnących kwiatów, wykwitłych na najczystszej podłożu najszlachetniejszej miłości. Com, jako poeta, prześnił, musiało dla mnie raz tak cudnie stać się rzeczywistością, na ten powszedni grunt mego ziemskiego bytowania musiała ta łagodnie ożywcza i oczyszczająca rosa rozkoszy upaść... Teraz stałem się szlachcicem: otrzymałem najwyższe pasowanie na rycerza. Jeszcze oddycham czarowną wonią tych kwiatów, które zerwałaś mi z serca swego, bo to były zarodki życia: tak wonię cudowne kwiaty boskiej śmierci, wiecznego żywota.

Wkrótce po wyjeździe Matyldy z Wenecji, dnia 6 października, nadszedł wreszcie z Paryża tak upragniony przez Wagnera fortepjan; a w trzy dni potem pracował już mistrz *con amore* i z zapalem nad drugim aktem *Tristana*. Za podstawę służyły mu jego zuriskie „Sny“. O pracy tej tak pisał Wagner d. 9 października do swej ukochanej:

A więc rozpocząłem wreszcie! A czem? Miałem naszych pieśni tylko całkiem ulotne szkice ołówkowe, często zgoła niewykończone i tak nie wyraźne, że musiałem się obawiać, że je kiedyś całkiem zapomnę. A więc zabrałem się przede wszystkim do tego, aby je sobie na nowo przeagrać i na nowo sobie wszystko żywo w pamięci uprzytomnić; następnie przepisałem je starannie. Obecnie nie potrzebujesz mi twoich już przesyłać; mam je już sam. To była moja wstępna robota. Przy ich pomocy próbowałem skrzydeł...

A więc wracam znowu do „Tristana“, ażeby przy jego pomocy dać sposobność głębokiej sztuce mówiącego tonami milczenia za mnie do ciebie mówić...

Jednak nigdy nie miałem o tem pojęcia, żebym w tobie miał znaleźć to, za czem szukałem, tak niezawodnie, do tego stopnia wszelką tęsknotę kojące, wszelkie pożądanie zaspakajające, jak znalazłem!

W miarę, jak postępowała praca nad drugim aktem, przekonywał się Wagner coraz bardziej, że jedynem źródłem natchnienia była dlań Matyllda i wspomnienia przeżytych z nią i przekochanych dni szczęścia. Oto co pisał o tem do niej d. 9 października:

Nie miej mnie za tak wielkiego, że ja cały tylko dla siebie i z siebie mogę być taki, czem jestem i jakim jestem. Czyż ty naprawdę nie zdajesz sobie z tego jeszcze sprawy, do jakiego stopnia ja tylko z ciebie żyję.

Obudziłem się z krótkiego, ale głębokiego snu, po długim, okropnem cierpieniu. Stałem na balkonie i patrzałem w dół na czarne pole kanału: szalał huragan. Mój skok, mój upadek nie byłby zauważony...

Nie licz nic na moją sztukę! Ona nie jest dla mnie pociechą, nie jest uzupełnieniem: jest tylko towarzyszką mej głębokiej harmonji z tobą, żywicielką życzenia, aby w twoich ramionach umrzeć... Gdy przyszedł Erard, mógł mi tylko schlebiać, ponieważ twoja głęboka niewzruszona miłość zajaśniała mi po burzy pewniej i jaśniej, aniżeli dawniej. Z tobą zdolnym do wszystkiego: bez ciebie nic nie potrafię!

Dnia 8 grudnia, pracując właśnie nad wielkim duetem miłosnym z drugiego aktu napisał Wagner w swym dzienniku dla Matylldy:

Od wczoraj zajmuję się znowu Tristanem. Jestem ciągle w akcji drugim. Jednak, cóż to będzie za muzyka! Chciałbym całe moje życie tylko nad tą muzyką pracować. Jakie to będzie głębokie i piękne, a najszczytniejsze cuda kojarzą się tak układnie w głowie. Czegoś podobnego przecież nigdy jeszcze nie stworzyłem: ale bo też ja cały rozpływam się w tej muzyce: nie chcę nic zgoda o tem wiedzieć, kiedy ona będzie gotowa. Ja żyję w niej wiecznie. A ze mną?

A z nim żyła w niej Matyllda! Do jakiego stopnia zaś tworząc tę muzykę, pogrążał się Wagner myślą we wspomnieniach o ukochanej, dowodził tego najwymowniej ustęp z dziennika, zapisany pod datą 22 grudnia:

Od trzech dni noszę się z tem miejscem: „Wem du umfangen, wem du gelacht“ i „In deinen Armen dir geweiht...“ Doznałem długiej przerwy i nie mogłem podczas tworzenia odszukać wiernego wspomnienia. Ogromnie mnie to gniewało. Ani kroku naprzód. Nagle zapukał djablik: ukazał mi się, jako nadobna muza. W jednej chwili było to miejsce dla mnie jasne. Siadłem do fortepianu i napisałem je tak prędko, jakbym je już oddawna umiał na pamięć. Ktoś srogi znajdzie w niej trochę reminiscencji: „Sny“ straszą przytem. Ty mi jednak przebaczysz! Ty kochana! Nie żałuj tego nigdy, że mnie kochasz! To boska rzecz!

W połowie stycznia r. 1859 cały drugi akt *Tristana* był prawie ukończony: domagał się tylko ostatecznego wyczyszczenia w szczegółach. Zaabsorbowany pracą nad nim, tak pisał Wagner d. 19 stycznia do Matyldy:

Właśnie wczoraj, o tej godzinie, w tej samej chwili, przyszło twe pozdrowienie, jako konieczność, przez czasy sprowadzona. Siedziałem przy fortepianie: stare złote pióro snuło właśnie ostatnie ogniwo drugiego aktu „Tristana“ i kreśliło, ociągając się, uchodzący czar pierwszego widzenia się zakochanej pary. Gdy się, jak to zwyczajnie przy instrumentowaniu bywa, z ostatniem uspokojeniem oddam rozkoszowaniu się mą własną twórczością, pogrążam się jednocześnie często w nieskończoność myśli, które mi mimowoli przedstawiają tę nawskróś niezwykłą, a dla świata wiecznie niezrozumiałą naturę poety, artysty...

Ja swojemi poetyckimi koncepcjami wyprzedzałem zawsze swoje doświadczenia... „Latający Holender“, „Tannhäuser“, „Lohengrin“, „Nibelungi“, „Wotan“, byli prędzej w mej głowie, niż w mem doświadczeniu. W jakim jednak cudownym stosunku stoję teraz do Tristana, to pojmiesz pani przecież łatwo. Nigdy żadna idea nie została tak ściśle doświadczona.

W lutym 1859 r. komponował już Wagner akt trzeci. Mimo to wciąż jeszcze szlifował i cyzelował akt drugi, który nietylko mu się „udał“, ale wobec którego (jak pisał do Matyldy) „wszystkie moje poprzednie prace, te biedoty, pójdą w ką“. Kosztował on go wiele wysiłku, bo pracował nad nim, jak i nad całością zresztą, z taką pedanterją, jakgdyby już przez całe życie nad niczem innem pracować nie miał, ale „za to będzie on piękniejszy od wszystkiego, com kiedykolwiek stworzył; najmniejsza fraza ma dla mnie znaczenie całego aktu, z taką troskliwością wykonuję ją“.

Jakby w przeświadczeniu, że poetyczna Wenecja, gdzie tak był szczęśliwy ze swą ukochaną i gdzie stworzył akt drugi swej pieśni miłości, już mu więcej natchnienia dać nie potrafi, opuścił ją Wagner w końcu marca, zdążając przez Medjolan do Lucerny, ażeby tam ukończyć akt trzeci, i żeby być bliżej Matyldy, do której tak pisał z drogi:

„Wenecja wydaje mi się, jak sen z bajki. Usłyszysz pani kiedyś pewien sen, który tam w tony ubrałem“.

W Lucernie, nim się doczekał nadejścia wysłanego z Wenecji fortepianu, bez którego praca kompozytorska była niemożliwa, miał szczęście widzenia się zaraz po swym przyjeździe przez parę dni z Matyldą, która tu odwiedziła go z Zurichu...

Zaraz po jej wyjeździe, skoro i fortepian po przeprawie przez Gotard znalazł się w jego salonie, zabrał się Wagner do dalszej pracy kompozytorskiej. „Akt trzeci zaczęty“, donosił Matyldzie dnia 10-go kwietnia.

Podczas tego okresu najwyższego rozkwitu, takie bogactwo zarodków zaczęło w duszy mej kiełkować, że obecnie potrzebuję tylko sięgnąć do mojego zapasu, aby sobie bez zachodu kwiat wyhodować. Wydaje mi się również, że ten napozór najboleściwszy akt nie zdoła zaabsorbować mnie do tego stopnia, jakby się tego spodziewać było można. Ogromnie zaabsorbował mnie akt drugi. Najszczytniejszy płomień życia buchał w nim niewysłowionym pożarem tak jasno, że mnie parzył i trawił bezpośrednio. Im bardziej pod koniec aktu zaczęło przygasać, a z żaru wyłoniło się łagodne światło uwielbienia śmierci, zacząłem się uspakajać.

„Ten Tristan to będzie *coś strasznego!*“ pisał Wagner do Matyldy w kilka dni później, podkreślając dwa ostatnie wyrazy. „Ten ostatni akt!!! Ja się boję, że ta opera będzie zabroniona, o ile nie zostanie cała sparodjowana przez złe przedstawienie. Tylko średniej dobroci spektakle mogą mnie ratować. Zupełnie dobre musiałyby ludzi do warjacji doprowadzić... Właśnie płaczę przy komponowaniu. Ten ostatni akt, to prawdziwa febra przemiana: najgłębsze, wprost niesłychane cierpienie, tęsknota, a potem z miejsca niesłychana radość i szal!“

Po trzech miesiącach wytężonej pracy, zadowolony „jak ongiś Jehowa“ ze swego dzieła, zakończył wreszcie Wagner w sierpniu tę swoją pieśń nad pieśniami o *Tristanie i Izoldzie*. „Chcę i muszę — pisał 4-go sierpnia do Matyldy — skończyć w sobotę, z samej ciekawości, aby się przekonać, jak mi potem będzie na duszy“. I skończył rzeczywiście.

W listopadzie znalazł się Wagner w Paryżu, i tu otrzymał z Lipska korektę 3 aktu *Tristana*. „Do jakiego stopnia — pisał do Matyldy — mnie wgląd w tę ostatnią ukończoną pracę ożywił, wzmocnił, wypełnił i natchnął, może sobie pani przedstawić. Taką radość chyba tylko ojciec przy widoku swojego dziecka może odczuwać“. Niestety, zaraz potem przyszło bolesne rozczarowanie, intendent bowiem opery w Karlsruhe, odrzucił *Tristana*, uważając, iż opera ta jest „niemożliwa do wystawienia“. Wobec tego zaczął Wagner myśleć o zaprodukowaniu jej w Paryżu. W celu przygotowania do tego publiczności paryskiej, zorganizował szereg koncertów, składających się z wyjątków ze swoich oper. Na jednej z prób dał pierwszy raz do przegrania uverturę do *Tristana*. „No, i dopiero w tej chwili, jakgdyby mi łuska z oczu spadła, w jaką ja nieskończoną odległość odbiegłem od świata podczas ostatnich lat ośmiu. Ten mały wstęp muzyczny był dla muzyków czemś tak niepojęcie nowem, że ja dosłownie musiałem prowadzić moich ludzi od nuty do nuty, jak do odkrywania szlachetnych kamieni w szybie“. W końcu *Antrakt do Tristana* był odegrany na trzecim koncercie, pozornie z wielkiem powodzeniem. Mimo to, do wystawienia *Tristana* w Paryżu nie przyszło. Miejsce jego zajął *Tannhäuser*, co nie przeszkadzało jednak, że myślą wracał Wagner wciąż do *Tristana*. „Ten Tristan — pisał o nim w sierpniu 1860 r. podczas przygotowań do *Tannhäusera* — jest i pozostanie cudem!“

Jak ja mogłem stworzyć coś takiego, to staje się dla mnie coraz niezrozumialszem: gdym go znowu przeczytał, musiałem oczy wytrzeszczyć, a uszy nadstawić! Jak strasznie będę musiał kiedyś pokutować za to dzieło, gdy zechcę je dokładnie wystawić: zupełnie jasno zdaję sobie z góry sprawę z tych niesłychanych cierpień: bo nie taję tego przed sobą, że przekroczyłem w tym wypadku daleko wszystko, co leży w zakresie naszej możliwości: cudownie genialni artyści, którzyby jedynie tutaj dorośli do zadania, przychodzą na świat tylko niesłychanie rzadko. A jednak nie mogę się oprzeć próbie: gdybym tylko orkiestrę słyszał!

W kilka miesięcy zaś potem, w grudniu, pod wpływem obcowania z różnymi paryskimi artystami i śpiewakami, z którymi, oczywiście, debatował na temat *Tristana*, tak się zwierzał Matyldzie:

Chętnie przyznaję to, że skoro teraz rzucę okiem na moich „Nibelungów“, na „Tristana“, zrywam się ze strachem jakby ze snu, mówiąc do siebie: „Gdzie byłeś? Tyś śnił! Otwórze oczy i patrz: tutaj jest rzeczywistość!“

Ale choć ta rzeczywistość na razie równała się szeregowi gorzkich zawodów, mimo to czuł się szczęśliwym i wdzięcznym Matyldzie, że go do napisania dzieła tego natchnęła. „Za to, że napisał *Tristana*, dziękuję Pani z najgłębszego serca po wszystkie wieki!”

Nakoniec, po upływie lat 5 blisko, miał być *Tristan* wystawiony w r. 1865 w Monachjum. Zapraszając oboje Wesendonków na zapowiadzaną w maju premierę, pisał do nich rozentuzjarmowany Wagner w tych (zbyt lakonicznych może) słowach:

Przyjaciółko!

Tristan będzie cudowny! Przyjedziecie?

15 maja premiera.

Wasz R. W.

Premjera ta odbyła się dopiero w dniu 10 czerwca, nastrój jednak, w jakim wtedy pozostawał Wagner, nie miał nic wspólnego z nastrojem, w jakim pisaną była ta opera: miejsce bowiem Matyldy Wesendonk zdążyła już zająć w sercu mistrza Cosima Bülow.

MARJANNA D'ALCOFORADO I KAWALER DE CHAMILLY

TRAGEDJA SERCA KOBIECEGO.



Był w Portugalji ród znamienity i możny d'Alcoforadów, który częstokroć ojczyźnie i królowi znaczne oddawał usługi. W drugiej połowie XVII wieku, gdy z powodu wybuchu zażartej wojny między Portugalją a Hiszpanją, nastały czasy bardzo niespokojne, główny przedstawiciel tego rodu, lękając się o swoje mienie, wielce w tej zawierusze zagrożone, i w przypuszczeniu, że utraciwszy je, mógłby swym dwóm ukochanym córkom nie dać w stosownej chwili odpowiedniego ich wysokim koligacjom posagu, oddał je w młodym wieku do arystokratycznego klasztoru w miasteczku Beja na pograniczu między Andaluzją a Estramadurą. Po jednej z nich, mianowicie młodszej, wszelki ślad zaginął całkowicie (prawdopodobnie umarła w kwiecie wieku), starsza zaś, Marjanna, przyjęła śluby zakonne.

Życie w tym dystyngowanym klasztorze, który, jako najokazalszy gmach w całym miasteczku, wcale nie był narażony na jakiekolwiek niebezpieczeństwa wojenne, upływało pięknej płomiennoookiej Marjannie — bo była niezwykle piękną — w zupełnym spokoju i ciszy, a nawet szło w parze z wielu przyjemnościami natury towarzyskiej; albowiem były to czasy, gdy życie klasztorne w Portugalji (jak zresztą i w Hiszpanji i we Francji), wbrew swym surowym w teorii regułom, w praktyce bynajmniej nie odznaczało się przepisaną surowością obyczajów... Zamożniejsze zakonnice nie mieszkwały w osobnych celach, ale zajmowały wytworne mieszkania. Prócz tego i świeckie damy z wielkiego świata, o ile się opłacały odpowiednio, miały prawo przebywania w klasztorach (jak n. p. dziś u Sercanek), co nieraz miało to w następstwie, że tam wносиły zbytek, światowość, a często i ...zły przykład. „Zakonnice szły ich śladem, a jeżeli reguła nakazywała długie powłóczyste habity, poczęły je krótko obcinać, by tem lepiej uwydatnić zgrabne nóżki w pantofelkach. Reguła karała zakonnicę, schwytaną sam na sam z mężczyzną,

dziesięciu latami więzienia, utraceniem prawa do kraty i zupełnem odcięciem od świata, a tymczasem nie było nic łatwiejszego, niż dostęp do klasztoru. Tak n. p. hrabia Szomberg wykradł najspokojniej zakonnicę i miał z nią kilkoro dzieci; a słynne procesy Gaufridi'ego w roku 1610, Urbain Grandiera w roku 1632—1634, Magdaleny Barent w r. 1633—1647, odśłoniły całą otchłań historycznej zarazy, grasującej po ówczesnych klasztorach. W ogóle reguły i surowe dawniej obyczaje klasztorne uległy w drugiej połowie XVII wieku ogromnemu rozluźnieniu...

I.

Seraficzny spokój, w jakim 26-letniej Marjannie d'Alcoforado upływało w ciągu kilku lat przykładne życie klasztorne, został nagle w pierwszych miesiącach 1667 roku przerwany wspaniałą paradą wojskową na rynku w Beji, której to paradzie przypatrywały się między innemi i zakonnicę miejscowego klasztoru Matki Boskiej. Zgromadzone na werandzie klasztornej, skąd można widzieć bramy Mertoli i cały plac jak na dłoni, podziwiała one, jak regiment jazdy francuskiej, pod sztandarem słynnego generała Szomberga, ćwiczył się i manewrował na pięknych rumakach.

Regimentem tym dowodził młody i dorodny 30-letni junak, Noël Bouton, marquis de Chamilly, znany wśród swoich kolegów wojskowych nie tylko ze swej szalonej odwagi i awanturniczości, idących w parze z niemniej szaloną lekkomyślnością, ale i ze swego niebywałego szczęścia do kobiet, które mu w całym pułku wyrobiło opinię zjadacza serc niewieścich. Pochodząc ze starej i bardzo poważanej szlachty burgundzkiej, a nie stworzony ani na księdza, ani na uczonego, bo nie odznaczał się ani wybitną inteligencją, ani zamiłowaniem literackiem, a od dziecka mając daleko większy pociąg do korda i pistoletów, niż do pióra i książek, bardzo wczesnie wstąpił do wojska, zwłaszcza iż były to czasy wojny, w których jego lwia odwaga i siła fizyczna nader wdzięczne znajdowały pole. Jakoż awansował bardzo szybko, ile że wojna była jego żywiołem. Gdy jednak Francja, po szeregu zwycięskich kompanji, zaczęła zaznawać pokoju, młody markiz czuł się nie swój, i pomimo uroków dworu Ludwika XIV nudził się w Wersalu, tęsknił za wojaczką. Jakoż, gdy Portugalja wdała się w krwawą wojnę o niepodległość z Hiszpanją i wzięła sobie do pomocy sławnego francuskiego generała Szomberga, kawaler de Chamilly zaciągnął się pod jego zwyciężki sztandar i puścił się do Portugalji, gdzie go Szomberg niebawem mianował kapitanem, stawiając na czele całego regimentu jazdy. W tej roli zakwaterował się urodziwy markiz w małym

pogranicznym miasteczku Beja, skąd wypadły zbrojne do pobliskiej Hiszpanji były na porządku dziennym.

Jako taki, w dniu owej parady na rynku przed bramami Mertoli, harcował młody Chamilly na ognistym rumaku przed frontem swej konnicy, podziwiany przez zgromadzoną na placu gawieź, oraz przez zakonnice z klasztoru Matki Boskiej. Harcując tak, czem oczywiście starał się zaimponować głównie owym zakonnicom, między którymi — jak mu to było wiadomem — z pewnością nie brakło pięknych dziewcząt z najlepszych domów, zauważył, że jedna z tych zakonnic, stojąca w oknie, a bardzo piękna, nie spuszczała go z oka, lecz była wpatrzona weń, jak w obraz. Spostrzegłszy to, powodowany zwykłą w takich razach kokieteryją wytrawnego uwodziciela, czynił wszystko możliwe, by na niej uczynić jaknajsilniejsze wrażenie, słowem, by rozpłomienić miłość w jej sercu. Że mu się to całkowicie udało, dowodziło jej własne w sprawie tej wyznanie, któremu z czasem miała nadać następujący wyraz: „Tak, widziałam (ach, jak często!) jakieś cwałował z postawą i wejrzeniem, które mnie oczarowały, i przy tem oknie stałam onego nieszczęsnego dnia, kiedy po raz pierwszy uczułam pierwsze oznaki mej zgubnej miłości. Zdawało mi się, jakobyś starał mnie się przypodobać, pomimo, żeś mnie zauważył między wszystkimi, z którymi byłam razem, a jakieś przystanął, wyobraziłam sobie, żeś zapragnął, bym Cię dokładnie ujrzeć i całą Twoją zręczność i śmiałość, z jaką konia ostrogami wspiałeś, podziwiać mogła. Byłam wylęknioną, gdyś go zmusił do wzięcia ciężkiej przeszkody. Jednem słowem, czułam się nagle silnie opanowaną przez wszystko, coś robił; już wtedy czułam, że nie jesteś mi obojętny, a wszystkie twoje czyny i zabiegi odnosiłam do siebie“.

I czyniła to trafnie, z właściwą w takich razach kobietom intuicją. Albowiem już kochała, albowiem w mgnieniu oka serce jej zapłonęło gorącym ogniem miłości; a ta zdrożna miłość odrazu tak wyczuliła jej nerwy, że wystarczyło jej obserwować młodego junaka, jak się popisował swą zręcznością i odwagą, by odgadnąć i mieć niezachwianą pewność, że o nią mu chodziło, że z myślą o niej i z chęcią oddziaływania na jej wyobraźnię tak wodził koniem i wystawiał się na szwank.

Tak miała się rzecz istotnie, a że dostać się do klasztoru wogóle nie było trudno (bo kraty klasztorne „prawie się nie zamykały“ z powodu ciągłych odwiedzin u zakonnic), więc i Chamilly, któremu piękna Marjanna wpadła w oko, niedługiego potrzebował czasu, by, powziąwszy postanowienie zrobienia z nią znajomości, zamiar ten urzeczywistnić. Ułatwił mu to brat jej, Baltazar d'Alcoforado, który, jako towarzysz pancerny Chamillego,

nie przeczuwał naturalnie, jakie ten krok może mieć dla siostry jego następstwa.

Nie przewidywała tego i Marjanna, gdy ją Chamilly zaczął odwiedzać w klasztorze; bo choć cała już płonęła najgorętszym ku niemu afektem, to jednak w nim nie widziała przejęcia się sytuacją: przeciwnie, uważała, że postępowanie jego było „tak sobie od niechcienia“, słowem, że całej sprawy nie traktował na serjo, poważnie. Ona tymczasem, choć jeszcze nie była pewną jego uczucia, choć jeszcze nie przyszło do jakichkolwiek wyznań, zwłaszcza z jego strony, już była pod jego urokiem, już go uważała za „godnego swej miłości“. A jednak on jeszcze jej nietylko nie powiedział, ale nawet — przez cały czas pierwszych u niej odwiedzin za kratą — nie dał jej do zrozumienia, że ją kocha, że nią jest zajęty!

Ale ponieważ widywali się „dzień w dzień“, a więc codziennie, przeto niebawem sposób postępowania Chamillego wobec pięknej zakonnicy, której uczuć dla siebie domyślił się z łatwością, zmienił się zasadniczo: widząc, że jest na najlepszej drodze do zdobycia namiętnej córy d'Alcoforadów, że ją rozniecona silnie namiętność poprostu pcha w jego objęcia, zmienił bez wahania taktykę, a że w sztuce uwodzenia kobiet był aż nadto biegłym, więc odrazu zaczął używać wobec Marjanny wszystkich wypróbowanych a niezawodnych sposobów, mogących mu zbałamucenie jej ułatwić.

Jakoż „zaczął robić wysiłki, by ją oszołomić“. A więc zapewniał ją, że jest piękną, że największą dla niego rozkoszą być z nią razem, „oszałamiał ją pochlebstwami“ i „świętymi zaklęciami“, a te „zdradzieckie zapewnienia“ posuwał tak daleko, że „nie zostawił jej ani spokoju, ani wytchnienia swemi usilnemi zalotami“. Pod tym względem miał olbrzymią nad nią przewagę, gdyż o ile on miał wielkie doświadczenie we wszelkiego rodzaju Donżuanowskich poczynaniach, o tyle ona była zupełną w rzeczach romansowych nowicjuską, o czym z czasem tak sama pisała: „Przyznaję, żeś Waćpan miał wielką przewagę nademną i żeś mnie zniewolił, iż Cię aż do obłędu pokochałam, ale nie masz się znowu czem tak bardzo pysznić. Byłam młodą, łatwo-wierną. zamknięto mnie od dzieciństwa w klasztorze; widziałam wokół siebie tylko samych ludzi niemiłych; nigdy nie słyszałam tego rodzaju pochlebstw, jakimi mnie Waćpan bezustannie zasypywał; zdawało mi się, że Jemu zawdzięczam ten wdzięk i piękność, którąś we mnie odnajdywał, i na którą oczy moje otworzyłeś; słyszałam o Waćpanu li tylko rzeczy pochlebne, czyniłeś Waćpan wszystko, by tylko miłość we mnie rozbudzić“.

Ta jego pozorna „namiętność“ i te jego „zachwyty“, które

jej „doszczętnie zawróciły głowę i serce“, „wprawiły ją w drzenie“, a choć jednocześnie miała silne postanowienie, by pozostać cnotliwą, to jednak on, coraz większą z dniem każdym zdobywając władzę nad nią, coraz bardziej zaczął „wkraczać w zakres tych postanowień“, aż jej „bezgraniczne zakochanie“ w końcu „sprowadziło ją na bezdroża“...

Wszystko układało się tak „gładko i szczęśliwie“, że ani się spostrzegła, jak któregoś dnia „nie mając względu na nic, bez upamiętania oddała mu się po raz pierwszy“. Wprawdzie „ogień i namiętność“, zdawały się bić od niego, gdy wkraczał do jej pokoju, i sprawiały, że wtedy „zaznawała niepojętych rozkoszy“, ale mimo to żałowała nieraz, że mu uległa tak łatwo i prędko. „Ze zbyt wielką ufnością — pisała raz w tej sprawie — przyzwyczaiłam Waćpana od samego początku do tej wielkiej namiętności, a trzeba być fałszywą i chytrą, by kazać się kochać. Trzeba ustawicznie chytrze i przebiegle szukać środków, aby wciąż na nowo rozpalać kochanka: miłość zaraz nie spłodzi miłości“. „Gdybym była uporczywie — pisała innym razem — sprzeciwiała się zapędowi Twojej miłości, gdybym Ci była dawała powody do cierpienia i radości, aby silniej jeszcze rozdmuchiwać ogień twojej namiętności i całkiem Cię w moc swoją dostać: gdybyś w postępowaniu mojem był zauważył cośkolwiek, coby przebiegłość i podstęp było zdradzało, jednym słowem, gdybym się była kierowała rozsądkiem, a nie przyrodzonym pociąganiem, który mnie ku Tobie skłonił, a któryś Ty mnie odrazu odczuć nauczył...“ wtedy może by to było egoizmem i wyrachowaniem z jej strony, ale w miłości należy postępować egoistycznie, jeżeli się z niej całą rozkosz wycisnąć pragnie. Ona, niestety, uniesiona swą szaloną miłością, na nic nie zważała, lecz biegła na ślepo.

On zaś, gdy już osiągnął wszystko, gdy się mógł pochwalić tak czarującą kochanką, rozkochany w niej — zdawałoby się — bez pamięci, do szaleństwa, poprostu wysilał się na to, by w nią wpoić to przeświadczenie. Jak zwykle w takich sytuacjach nie omieszkął używać najbanalniejszych sposobów, które do reszty miały otumanić namiętną Marjanę.

A więc przedewszystkiem znosił jej różne drobne upominki. Między innemi ofiarował jej raz piękną bransoletkę, innym razem uszczęśliwił ją swym portrecikiem.

A ona? Ona, oszołomiona doznawaniem szczęściem, upojona rozkoszą, żyła tylko cudowną teraźniejszością, ani na chwilę nie myśląc o przyszłości. Widując go „codzień“, pewna, że ją kochał niemniej, niż ona jego, „zaślepiona“, wyobrażała sobie, że wogóle nie może być mowy o jakiegokolwiek rozłące, i była przekonana, że piękny margrabia, zakochany w niej śmiertelnie, tak, jak ona w nim, już do końca życia zostanie z nią razem,

słowem, że zostanie w Portugalji na zawsze, rezygnując z całej świetnej przyszłości, jaka go mogła czekać we Francji na dworze królewskim. Uważała bowiem, że skoro się dostało takiego szczęścia, jak on, tak kochając i będąc kochanym, jak to jemu przypadło w udziale, to nie można myśleć o dobrowolnem wyrzekaniu się tej życiowej wygranej, bo ceniłże innem w podobnych okolicznościach byłby jego powrót do kraju? Nie, to było absolutnie wykluczone! Nie przypuszczała też nic podobnego.

Nie przewidywała również, by jej rozkosz mogła się skończyć prędzej, aniżeli jej miłość, bo przedewszystkiem, uniesiona wirem namiętności, któremu nie myślała stawiać nawet najslabszego oporu, (przeciwnie, dawała mu się nieść bez opamiętania), wierzyła święcie, że kocha nie tylko pięknego rycerza i junaka, ale szlachetnego człowieka, który jej jednej poświęcił swe wszystkie myśli i uczucia, swe wszystkie pragnienia i marzenia!

Nie znaczyło to jednak, by tego rajskiego nieziemskiego — choć bardzo ziemskiego — szczęścia raz po raz nie miała zamąconego przez różne — nieuniknione w każdej miłości — obawy i niepokoje. Że tak bywało często, dowodziły jej własne słowa o tych swoich ówczesnych uczuciach i utrapieniach. „Czyż nie byłam już nieszczęśliwą wtedy, gdym Waćpana codziennie widywała? O mało nie umierałam z lęku, że mi się sprzeniewierzysz... Chciałam Cię widzieć, w każdej chwili i porze dnia, ale to było niemożliwem. Lękałam się niebezpieczeństwa, na jakieś Waćpan był narażony, gdyś przychodził do klasztoru... Żyć przestawałam, gdyś nie był w obozie. Byłam zrozpaczona, że nie jestem piękniejszą i godniejszą Waćpana, bolałam nad moim skromnym stanem. Częstokroć zbierał mnie lęk, że skłonność, którą Waćpan zdawał się żywić ku mnie, mogła by Ci w jakikolwiek sposób szkodzić. Uroiło mi się, że nie dosyć jeszcze Cię kocham. Obawiałam się dla Waćpana gniewu mojej rodziny. Jednem słowem przeżywałam marne życie...“ Ale to były tylko złe chwile, które na tle bezgranicznego szczęścia i upoięń miłosnych, jakich kosztowała jednocześnie, wydawały się drobnymi kolcami na łodydze wspaniałych róż w pełnym rozkwicie.

Pijąc z czary rozkoszy, poprostu nie dopuszczała do tego, żeby rozsądek mógł dojść do głosu. Wystarczało jej, by dorodny margrabia zjawił się w jej progu, by go „ujrzała w swoim pokoju z całą namiętnością i ogniem, jakie jej okazywał“, ażeby zapomnieć o świecie całym, ażeby się opamiętać choć na krótko. A jednak — jak to sama przyznawała później — należało to uczynić. „W tych szczęśliwych chwilach — pisała o nich zczasem — powinnam była zdobyć się na tę siłę, by przywołać rozsądek mój ku pomocy przeciw temu nieszczęsnemu nadmiarowi błogości i zmusić go do przewidzenia“ (możliwych smutków i cier-

pień z tego powodu). „Alem Ci się oddała na oślepienie i bez pamięci, i nie byłam w stanie o czemkolwiek myśleć, coby moją rozkosz zatruci i mnie powstrzymać mogło, by się nie upijać całem mojem jestestwem płomienistemi dowodami Twojej namiętności. Zbyt wielką rozkoszą było dla mnie czuć Cię przy sobie, anizeli byłabym zdolna o tem pomyśleć, że pewnego pięknego poranku daleko odemnie odbiegiesz. Wprawdzie przypominam sobie, żem Ci kilka razy mówiła, iż przez Ciebie stanę się nieszczęśliwą; ale lęk mój szybko się rozpraszał, a uczuwałam rozkosz Tobie go złożyć w ofierze i całą się oddać ułudzie Twoich oszałamiających zapewnień“.

Niestety, te odurzające chwile szczęścia i beztroski trwały bardzo niedługo. Zwierzała się z tego piękna Marjanna bardzo przywiązanej do niej Donie Brites, która wogóle stała się jej powiernicą, tak, iż nie miała przed nią tajemnic, ani gdy chodziło o szczęście, ani gdy chodziło o różne zmartwienia i troski; bo choć na pozór nie było żadnych bezpośrednich i namacalnych powodów do jakichkolwiek obaw i smutków, to jednak nie brakło oznak, które jej mogły dać do myślenia...

Przedewszystkiem, gdy minął pierwszy szal uniesienia, piękny kapitan zaczął sobie stosunek z piękną Marjanną traktować coraz złej: niedość bowiem, że ją zaniedbywał czasem, gdy mu się nadarzyła jaka rozrywka, np. gra lub polowanie, ale nadto ile razy wyruszano na jaką wojenną wyprawę do Hiszpanji w postaci zuchwałej wycieczki na wroga, wycieczki ryzykownej i niebezpiecznej, z której bodaj że nigdy wszyscy nie wracali żywi, a wielu wracało złej lub ciężiej rannych (bo z drapieżnymi i zaciekłymi Hiszpanami nie było żartów), Chamilly — niczem drugi Kmicic — zawsze był pierwszy do takich awanturniczych przedsięwzięć, ani na chwilę nie licząc się ze śmiertelną o niego obawą w takich razach namiętnej swej kochanki. Nie pomagały jej łzy i zaklęcia, nic go nie mogło powstrzymać od wystawiania życia swego na szwank. Gdy chodziło o to, żeby on coś poświęcił dla niej, żeby sobie czegoś odmówił ze względu na nią, stale doznawała zawodu. Wyrzucała mu to nie raz, ale zawsze na próżno. Wyrzucała mu to i później, gdy w ten sposób pisała o tych z nim przejściach: „Pozwoliłam się oszelecić bardzo zwykłymi przymiotami. Bo właściwie coś Waćpan uczynił, coby mnie mogło dla Ciebie ująć? Coś mi poświęcił? Czyś nie szukał tysiąca innych rozrywek? Czyś może dla mnie zaniechał gry i łowów? Ażaliś nie był pierwszym, który łączył się z armją, a ostatnim, który wracał? Czyś nie wystawiał się z warjacką fantazją na niebezpieczeństwa, mimo, żem Waćpana błagała, byś się oszczędzał?“

Wszystko to nie mogło Marjanny nie przyprawiać o nie-

pokój. Cóż dopiero, gdy któregoś dnia Chamilly zwierzył się przed nią, że we Francji zostawił jakąś damę, w której kochał się przed wyjazdem. Gdy zaś chciała wiedzieć trochę szczegółów o tej jego miłości, nie zawahał się opowiedzieć jej „bardzo szczerze“ wszystkiego... Oczywiście, że nie było to subtelnością z jego strony, że tem swoim szczerem wyznaniem nie uspokoił obaw swej lubej, jej podejrzeń, a w następstwie tego i jej cierpień z powodu tej wiadomości. Zaczęła się lękać o to przede-wszystkiem, by nie chciał wrócić do Francji, do swojej dawnej kochanki, o której nie zapomniał najwidoczniej, skoro sam nie-przymuszony wszczął rozmowę o niej. A jednocześnie zaczynała powątpiewać o tem, czy on istotnie — jak to sobie niebacznie i naiwnie wyobrażała dotychczas — gotów zostać dla niej w Portugalji na zawsze. Owszem, że wszystkiego, co mówił przy różnych okazjach, z łatwością mogła dojść do wniosku (za późno, niestety), że prędzej czy później będzie musiał do Francji powrócić, że jest wykluczonym, by mogło być inaczej. Wiedział więc — co ona dopiero teraz spostrzegła — że w jego życiu Portugalja była tylko epizodem, że nie może tu przebywać bez końca.

Uświadomiwszy to sobie, biedna Marjanna zaczęła miewać chwile zwątpienia: z czego też nie robiła tajemnicy ani przed Donią Brites, ani przed swym ukochanym, o którym zaczynała wątpić, czy ją naprawdę kocha tak gorąco, jak ją o tem, zwłaszcza w pierwszej fazie ich romansu, zapewniał solennie. Słowem, zaczęła powątpiewać o jego szczerości, coraz bardziej tracąc pewność, że jego miłość istotnie była namiętnością, a bojąc się, czy jej nie traktował, jak zwykłą przelotną miłośćkę, poprostu jak przyjemną rozrywkę kawalerską?

Bo zdarzały się chwile, w których piękny Chamilly zdawał się być zmęczonym tym obowiązującym stosunkiem, chwile, w których robił wrażenie, że go przeraża „ta straszna, nieokiełznana, ze wszystkich więzów rozpetana namiętność“ pięknej zakonnicy. Czy tak było istotnie? Czy rzeczywiście zaczynał mieć jej dosyć?

W każdym razie, gdy któregoś dnia otrzymał list z Paryża od brata, by wracał do Francji służyć królowi, bo takie jest życie rodziny, to przy pierwszym widzeniu się z Marjanną oświadczył jej bez wahania, że musi odjechać, i to zaraz, bo właśnie odpływa okręt, na który będzie się mógł zabrać.

Na nic się zdały strumienie łez Marjanny, wprost odcho-dzącej od przytomności na tę nagłą wieść, tem strasniejszą, że spadła na nią, jak grom z jasnego nieba; nic nie pomogły per-swazje, by starał się zostać w Portugalji, gdzie sobie zdobył tyle szacunku i sympatji. Ani chciał słyszeć o tem! Zamiast dać

odpłynąć okrętowi, a czekać na przyjazd następnego statku, uparł się jechać zaraz, tłumacząc Marjannie, że mu honor nakazuje opuścić ją czempredzej, a zresztą musi być posłuszny wezwaniu rodziny, nie mówiąc już o patriotycznym obowiązku.

Przekonawszy się, iż postanowienie Chamillego, by wyjechać i rozstać się z nią, jest niezłomne, biedna Marjanna odrazu przewidziała wszystkie nieszczęścia, które na nią spadną po jego wyjeździe, ale, jak to kobieta kochająca, pocieszała się nadzieją, którą w niej zresztą Chamilly podsycił, że przecież to rozstanie bynajmniej nie jest rozłąką raz na zawsze. Wierzyła kochankowi, gdy jej robił nadzieje, że powróci, by z nią jeszcze czas jakiś spędzić razem; bo wierzyła, że ma do czynienia z człowiekiem uczciwym, który z nią sobie ostatecznie postąpi zgodnie z honorem, po rycersku, jak na szlachcica i żołnierza przystało.

W takich warunkach, zaledwie po paru miesiącach szczęścia i upojen miłosnych, wypadło Marjannie pożegnać się z ukochanym.

Okropna to była chwila w jej życiu; bo niedość, że ją bolały różne „dość nędzne wybiegi“, któremi Chamilly starał się uzasadnić w jej oczach swój nieodwołalny wyjazd, ale nadto nie mogła nie zauważyć, że z nią wogóle żegnał się oziębło, że jego namiętność zdawała się wystygłą zupełnie. A jeszcze i pozatem nie mogła się opędzić podejrzeniu, iż Chamilly, w którym pokładała tyle bezgranicznej ufności, chwycił się pierwszego lepszego pozoru, by wyjechać i odczepić się od niej; bo absolutnie miała to głębokie przeświadczenie, że gdyby stanowczo chciał zostać, albo przynajmniej przedłużyć swój w Portugalji pobyt, nicby mu w tym wypadku nie stanęło na przeszkodzie. Ale jemu widocznie zależało na tem, ażeby opuścić ten gościnny kraj, gdzie tyle zaznał rozkoszy, i dlatego tak sobie list brata pozornie wziął do serca.

Skończyło się na tem, iż Chamilly, przyrzekłszy Marjannie pisywać do niej, wsiadł na okręt.

II.

Zostawszy sama, opuszczona przez kochanka, zrozpaczona Marjanna, zmuszona „lękać się wszystkiego“, pograżyła się w najcięższe praktyki religijne, co jeszcze spotęgowało jej chorobliwy rozstrój. Wyczerpana udręczeniami moralnemi, które ją przyprawiały o noce bezsenne, popadła w chorobę, w której najsprzeczniesze uczucia rozsadzały jej rozgorączkowaną pierś.

Uczuciom tym dała kiedyś sama następujący wyraz: „Jak daleko czuję się oddaloną od tego wszystkiego, co mi się swego

czasu majaczyło! Spodziewałam się, że z wszystkich tych miejsc, przez które przejeżdżać będziesz, listy od Ciebie otrzymywać będę, i to rzeczywiście długie listy. Wierzyłam, że będziesz miłość moją sycić nadzieją, iż Cię znowu ujrzę, i myślałam, że znajdę ukojenie w tem silnem przeświadczeniu, iż mi pozostaniesz wierny. W ten sposób wydawało mi się możliwem, że będę mogła wyżyć bez ostatecznych utrapień. A nawet snułam lekkie plany, by wszystkie siły, jakie jeszcze mam, wyteńczyć, aby wyzdrowieć, chociażbym zyskała pewność, żeś o mnie całkiem zapomniął“.

W takim nastroju, a raczej bolesnym rozstroju, otrzymała Marjanna parę pierwszych listów od Chamillego, listów jednak, nie pisanych z drogi, jak się tego spodziewała zrazu, ale już po przybyciu na miejsce.

Listy te, „zimne, pełne wiecznych powtarzań, z połową papieru niezapisaną“, sprawiły jej bolesne rozczarowanie; uważała bowiem, że z nich w gruncie rzeczy wiało obojętnością, że w nich Chamilly „całkiem ordynarnie“ dawał do poznania, „jak mu utęskniony był koniec“. Widocznie, że z chwilą, gdy rozstał się z nią, już jej nie wiele miał do powiedzenia.

Mimo to miewała chwile, że przemyślała o wyjeździe do Francji, o odszukaniu tam ukochanego, życia z nim razem. Ale to były sentymentalne rojenia zakochanej, rojenia nie mające żadnej realnej podstawy, albowiem rzeczywistość, ta pozioma, nieubłagana w swej prozie rzeczywistość, przedstawiała się całkiem inaczej.

III.

Na tę rozdzierająco smutną rzeczywistość otwierały jej stopniowo oczy, nadchodzące w dalszym ciągu listy Chamillego, listy banalne w najwyższym stopniu, bez głębszej treści, a przytem, rozważane ściślej, nie wolne i od sprzeczności. Raz pisał co innego, raz co innego, a czuło się przytem, że to było pisanie raczej dla formy, jakby pod przymusem moralnym; że młody markiz w głębi duszy myślał sobie o wiele gorzej, jeżeli chodziło o jego stosunek do pozostałej w Portugalji kochanki; że oszczędzając jej „rozzagwione uczucie“, nie chciał być zupełnie szczerym, więc wolał ją łudzić, czyli okłamywać.

Ona jednak, z przenikliwością zaostrzoną przez miłość, odgadywała te jego rzeczywiste intencje, przeczuwając, że tylko to w listach tych może być brane na serjo, co w nich brzmi negatywnie; wszystkiego zaś, co niby to jest obietnicą lub przyrzeczeniem, nie należy poważnie brać pod rozwagę. To się mimo-

woli wyczuwało z całego tonu tych listów, od których wiało dziwnym chłodem.

W jednych starał się jakby usprawiedliwiać, że postąpił sobie zbyt lekkomyślnie, że sobie z tego powodu robi wyrzuty, że nieraz nim miota rozpacz na samą myśl o stanie, w jakim ją pozostawił, wyjeżdżając tak nagle. W innych znów starał się ją pocieszać po swojemu, by nie przejmowała się zbytnio tem całym przejściem, a jednocześnie żądał od niej, by jednak nie zapominała o nim, by myślała o jego uczuciach dla niej.

Pod tym względem, gdy chodziło o to, żeby liczyła się z jego uczuciami, mógł być całkiem spokojnym, tylko należało mieć pewność, jakiego rodzaju były te jego uczucia dla niej? A właśnie w tym kierunku wątpliwości Marjanny były aż nadto uzasadnione. Bo o co jej chodziło głównie? O to, żeby ich obecne rozstanie było czasowem jedynie, a nie na zawsze. W tej kwestji zaś listy Chamillego nie dawały żadnych gwarancji. Wprawdzie robił jej niejaką nadzieję, że może mu się uda przyjechać do niej kiedy, by z nią znów czas jakiś spędzić, ale były to tylko nieobowiązujące obiecanki... Co zaś nie uśmiechało mu się wcale, czego poprostu „lękał się“ całkiem poważnie, to żeby ona przypadkiem nie chciała za nim przyjechać do Francji. Do tego przyznał się w jednym ze swych listów z całą naiwną otwartością, co oczywiście nie mogło jej nie zaboлеć szczególnie.

Wogóle listy te, rozwiewające wszelkie złudzenia, poruszyły Marjannę do głębi. Oto, jak sama określiła uczucie swe po ich przeczytaniu (a raczej po wczytywaniu się w nie uważnem i krytycznem), zwłaszcza po ostatnim liście, najbardziej beztreściwym ze wszystkich: „Biedne moje serce! Twój list ostatni wprowadził je w dziwny stan: tak się tłukło w mej piersi, że zdawało się, iż się z niej wyrwie i wybiegnie ku Tobie! Byłam tak zmożona temi strasznymi wstrząśnieniami uczuć, że przez więcej niż trzy godziny odchodziłam od zmysłów. Było to, jakobym się ze wszystkich sił broniła, by powrócić do życia, do tego życia, które dla Ciebie stracić muszę, a którego dla Ciebie zachować nie mogę. W brew mej woli wróciłam znowu do siebie. Uczucie, że o mało co z miłości nie umarłam, radość mi sprawiało, i rada byłam, że wreszcie miał nadejść kres cierpieniom, które duszę mą smagały, że Ciebie niema. Po tych wszystkich gwałtownych przejściach mocno osłabłam; ale jakżebym mogła żyć bez bólu, dopóki Cię ujrzeć nie zdołam. Znoszę to cierpienie bez skargi, boś Ty jest, który mi je sprawił“. Zwłaszcza swym ostatnim listem!

Na list ten, jak i na poprzednie zarazem, postanowiła Marjanna odpisać koniecznie, co jednak w tych wojennych czasach, wobec przedzielenia Portugalji od Francji przez Hiszpanję,

wcale nie było łatwym. Ale w końcu, dzięki specjalnym w tym kierunku staraniom i zabiegom jej brata, udało się uzyskać możliwość przesłania listu do Paryża.

Ożywiło to Marjanę cokolwiek, tak dalece, że nawet w swym liście do Chamillego przyznała się do tego z całą szczerością. „To jedno przyznać muszę — pisała otwarcie — że sposobność, którą brat mój mi wyjednał, bym do Ciebie pisać mogła, uradowała mnie i rozproszyła na chwilę rozpacz, w jakiej żyję“.

Pierwszy ten list Marjanny do ukochanego, pisany w grudniu 1667 r. jeszcze był cały przesiąknięty miłością i tęsknotą, choć niemniej zawierał gorzkich wyrzutów, ile że był bezwzględnie szczerym wyrazem tego strasznego życiowego zawodu i rozczarowania, pod których brzemieniem biedna opuszczona żyła po rozstaniu się z ukochanym.

Kochała jeszcze, a więc była skłonna do przebaczenia mu wszystkiego, gdyby okazał chęć poprawy i... powrotu do niej; ale żadną miarą nie mogła stłumić przykrego uczucia żalu, który w niej był wzbudził swoim całym postępowaniem: najprzód swym nagłym a wcale nie koniecznym wyjazdem, który mógł odwlec jeszcze na długo, a powtórę swemi listami, które odślaniały całą pustkę i jałowość jego żołnierskiej, ale nie rycerskiej duszy.

W tem rozdzierającym i upokarzającym uczuciu kobiety zawiedzionej i porzuconej w sposób niegodny i krzywdzący, hamując się widocznie, ażeby nie być zbyt surową w sądzeniu swego niestałego amanta, tak pisała do niego:

Rozważ tylko, kochanie Ty moje, jak bardzo byłeś nierozważny, jak mało przewidujący! Biednyś Ty! Oszłomiła Cię twoja lekkomyślna nadzieja, i nawzajem mnie nią oślepiłeś!

Namiętność, na której budowałeś tyle wspaniałych planów, sprawia Ci teraz li tylko śmiertelną rozpacz, dającą się porównać jedynie z okrucieństwem rozłąki, która jest jej przyczyną.

Ta Twoja nagła ucieczka, której ból mój, jakkolwiek tak wynalazczy w środkach nowych cierpień, nie jest zdolny w całej doniosłości jej smutku dostatecznie określić, żaliż mi to po wszelką wieczność nie dozwoli ujrzeć tych oczu, w których tyle miłości widziałam, które mnie nauczyły odczuwać rozkosze, jakie mi się zdały nieskończoną błogością, które poprostu wyrugowały wszelkie inne uczucia, a mówiąc szczerze, całą mnie wypełniały!

Moje biedne oczy straciły w Twoich jedyne światło, które mi życie i krasę dawało: pozostały im tylko łzy, a nie

znam innego z nich pożytku, jak tylko płacz, ustawiczny płacz, odkąd się dowiedziałam, żeś postanowił tę straszną rozłąkę, która niezadługo mą śmiercią się stanie.

A jednak zdaje mi się nagle, jakoby mnie coś ciągnęło do cierpień, których Ty jeden jesteś przyczyną. Całe moje życie Tobie poświęciłam, od pierwszej chwili, w której oczy moje na Tobie spoczęły, i odczuwam tajemną rozkosz Tobie je w ofierze złożyć.

Westchnienia moje wybiegają za Tobą po tysiąc razy na dzień, a nie dają mi żadnego ukojenia...

Co więcej, biedne te jej westchnienia — przekonana była — i jemu nic dać nie mogły, prócz świadomej pewności jej nieszczęścia, które jej żadnej nie pozostawiało nadziei, a wiecznie powtarzało to samo.

Powtarzało zaś, jakimś głosem współczucia i litości, jakby następującą radę:

— Przestań wreszcie, przestań biedna Marjanno, przestań się tak daremnie wyczerpywać! Dość już westchnień, płaczu i żalów za kochankiem, którego nigdy już nie ujrzysz, który po za morze kędyś do Francji popłynął, by od ciebie uciec, a teraz opływa w przyjemnościach i rozkoszach i ani na sekundę nie pomyśli, że ty cierpisz, i rozgrzesza cię z uczuć, za które na żadną podziękę dla ciebie zdobyć się nawet nie może!

Bo myśląc o nim wyobrażała go sobie na świetnym tle ogrodów i salonów Wersalu, płocho zabawiającego się z kobietami, które również były łase na jego męską urodę, a które żadnych sobie nie robiły skrupułów, gdy chodziło o bałamucenie się z nim.

„Ależ nie! (pisała w dalszym ciągu) Nie mogę się zmódz, by tak źle myśleć o Tobie. Za mocnom spragniona, by módz Cię uniewinnić. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, byś mógł zapomnieć o mnie!“

Czyż nie jestem dość nieszczęśliwa, by mnie jeszcze fałszywe podejrzenia pożerać miały? Dlaczegoż miałabym się wyteżać, aby we wspomnieniach moich zniszczyć to wszystko, coś uczynił, by mi dać dowody Twojej miłości? Dlaczegoż taką radość to wszystko mi sprawiało, że musiałabym być niewdzięcznem stworzeniem, gdybym nie doznawała tej samej rozkoszy, kochając Cię teraz tak, jak niedawno, gdy w całej pełni kosztowała pewności, że mnie kochasz.

Jest że to możliwe, aby wspomnienia tych słodkich chwil mogły się stać tak straszną goryczą? I mająż one wbrew wszelkiemu porządkowi praw natury na to jedynie służyć, by mi serce rozdzierać?

Biedne to jej serce o mało nie pękło od dnia jego wyjazdu, a największe cierpienie sprawiała jej myśl, że ten, którego ona ukochała tak niesamowitem uczuciem, okazał się tak niewdzięcznym.

Ja, biedne dziecko człowiecze! Taką to zapłatą, którą mi się wywdzięczasz? Za to, że Cię tak gorąco ukochała!... Ale wszystko mi jedno. Postanowiłam ubóstwiać Cię przez całe moje życie i nikogo więcej nie pokochać. I to jedno Ci powiem: dobrze zrobisz, jeżeli i Ty żadnej innej nie pokochasz.

To jednak wydawało się jej przy jego usposobieniu bardzo wątpliwem; przekonała się bowiem, że do takiej miłości, jaką ona zapłonęła do niego, on wogóle nie był zdolny. Przedewszystkiem — dochodziła do wniosku — nie odznaczał się potrzebną do tego wybrednością, nie mówiąc już o tem, że i stałość nie zdawała się być mu właściwą.

Zadowolniłbyś się może miłością, mniej gorącą od mojej? Być może, iż znalazłbyś kobietę piękniejszą odemnie (a przecież mówiłaś kiedyś, że jestem piękna), ale żadnej nie znajdziesz, któraby Cię tak gorąco kochała, jak ja, a ta reszta, to wszystko po za tem, to głupstwo i marność.

A już co ją zasmucało najbardziej, to te jego listy, któremi sobie najgorsze w jej oczach wyrobił świadectwo. „I dajże spokój — pisała mu z ich powodu — wypełniać listy twoje rzeczami, które są czcze i nic nie znaczą, i przestań pisać, bym myślała o Tobie“.

Nie mogę zapomnieć o Tobie, i również nie zapominam, żeś mi robił nadzieję, iż powrócisz i małą chwilkę pragniesz przy mnie pozostać.

Czemuż całego życia nie chcesz być ze mną?

Gdybym mogła uciec z tego rozpaczego klasztoru, z pewnością bym tu nie czekała w Portugalji na to, czy Twoje zapewnienia się ziszczą. O nie! bez wahania popędziłabym za Tobą, odszukała Cię i szła za Tobą i kochała Cię ponad cały świat.

Ale nawet nie chciała myśleć o tem, by to mogło być możliwem. Na to bowiem, żeby ona mogła się ważyć na taki krok, musiałaby być pewną jego uczuć, a ona tymczasem nie wątpiła raczej o obojętności z jego strony. „Nie chcę karmić nadziei, któraby mi mogła dać jakieś ukojenie, i na oślep pragnę się rzucić w moje nieszczęście i bezmiar mej męki“.

To zaś powinienes i musisz mi powiedzieć, czemuś takie wysiłki robił, by mnie oszołomić, podczas kiedyś wiedział, że pewnego pięknego poranku mnie porzucisz. Zkądżeż u Ciebie to pragnienie, by mnie wtrącić w nieszczęście? Czemuś mnie nie pozostawił w spokoju i ciszy w moim klasztorze? Czym Ci może coś złego zrobiła?

Ale, proszę, wybac mi, kochanku mój! Nie robię Ci żadnych wyrzutów. Nie jestem w stanie wzywać przekleństw i zemsty na Ciebie; przeklinam tylko moje straszne przeznaczenie! Kiedy nas rozłączyło — tak mi się przynajmniej zdaje — spowodowało na nas całe to nieszczęście, którego od niego lękać się mogliśmy. Nie uda mu się przecież rozłączyć serc naszych: miłość, silniejsza niż przeznaczenie, połączyła je nierozzerwalnie na całe życie!

To przeświadczenie dodawało jej otuchy do znoszenia cierpień; bez tej wiary nie miałaby potrzebnej wytrwałości do godzenia się ze swą niedolą. Ale była przekonana, iż to chwilowe zło minie w końcu, iż przyjdzie chwila, w której miłość zwycięży wszystko, a więc i oziębłość ze strony jej ukochanego. Bo chyba nie zobojętniał dla niej zupełnie.

Jeżeli Ci cośkolwiek na mnie zależy, to pisuj często do mnie! Na tom sobie chyba zasłużyła, że gorliwie będziesz się starał powiadamiać mnie, co się w Twem sercu dzieje i jakie koleje życia swojego przechodzisz.

A ponadto wszystko: przyjedź, by mnie ujrzeć!
Bądź zdrow!

I jeszcze w ostatniej chwili, gdy już miała zapieczętować list, dopisała następujące zwierzenie:

Nie mam sił papieru tego z rąk wypuścić, tego papieru, który Ty trzymać będziesz w ręku. Ach, gdybym ją mogła być tą rzeczą, która szczęścia tego kosztować będzie!

Ale piszę koszalki opałki, jak głupia. Wiem przecie, że to niemożliwe! Bądź zdrow! Trudno mi pisać dłużej. Bądź zdrow! A nie przestań nigdy mnie kochać!

I pozwól, bym jeszcze straszniejsze znosiła dla Ciebie cierpienia!

Temu ostatniemu życzeniu Marjanny miało się za sprawą Chamillego aż nadto stać zadość.

IV.

Przedewszystkiem na długi ten i serdeczny list nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Wywnioskowała z tego, że margrabia widocznie się uczuł obrażony jej zbyt wielką otwartością, że więcej, niż wyrazy czułości, trafiły mu do serca zawarte w liście tym wyrzuty.

Strapiona tem, nie mogąc darować sobie, że tak nie umiała zapanować nad swem rozżaleniem, „zameęczała się nudą i zniechęceniem do wszystkiego“, i wpadła w taki stan, że jej życie obrzydło i stało się nieznośnem; poprostu nabrała wstrętu do wszystkiego, do rodziny, do odwiedzających ją przyjaciół, a w pierwszym rzędzie do tego klasztoru, w którym się zaczęła czuć jak w strasznem beznadziejnem więzieniu.

Pogrążona w tęsknocie i rozpacz, poprostu zapominała, że jednak w tym klasztorze, zarówno ze strony najbliższych, jak i dalszych, wciąż doznawała dowodów współczucia; wszyscy bowiem, począwszy od przełożonej, a skończywszy na siostrach klasztornych, nie tylko się interesowali jej nieszczęściem, ale spieszyli z wyrazami pociechy, starając się przynieść ulgę jej cierpieniu. „Wszyscy ludzie — jak to przyznawała sama — zauważyli zupełną zmianę w mojej istocie, postępowaniu mojem i osobie. Mówiła o tem ze mną przeorysza, z początku surowo, a potem z niejakiem wymiarkowaniem. Com jej odpowiedziała, nie wiem. Zdaje mi się, że się z wszystkiego wypowiadała. Nawet najsurowsze mniszki mają litość nademną, i to je skłania, by mi okazywać współczucie i zmiłowanie. Wszyscy są wzruszeni moją miłością... Dona Brites męczyła mnie niedawno tak bardzo, by mnie z mego pokoju wyciągnąć, a ponieważ myślała, że toby mnie mogło rozerwać, więc poprowadziła mnie na spacer na werandę, skąd można widzieć bramy Mertoli. Jak tylko tam weszłam, opadł mnie straszny ciężar bezlitosnych wspomnień, tak, że całą resztę dnia przeplakałam. Zaprowadziła mnie z powrotem do pokoju, gdzie się rzuciła na łóżko i myślałam o tem, jak nikłe są widoki, że mogłabym znowu kiedykolwiek powrócić do zdrowia. To wszystko, co się tu robi, by mnie pocieszyć, zaostrza moje cierpienia, a nawet środki lecznicze są dla mnie tylko dalszą przyczyną męczarni“.

Cierpiąc z powodu rozłąki z ukochanym, raz próbowała pogrążyć się w dojmujących praktykach religijnych, to znowu przeżywała o ucieczce z klasztoru, by pojechać do Francji, bo choć chwilami starała się wmówić w siebie, iż mimo wszystko Chamilly prędzej czy później zdecyduje się przyjechać do niej, choćby z dobrego serca, jeżeli nie z miłości, to jednak przeważały chwile zwątpienia o tem.

W takich warunkach, w jakieś cztery miesiące po wyjeździe Chamillego, myślała Marjanna z niewypowiedzianym smutkiem i żalością o zbliżającej się rocznicy jej romansu z pięknym wojakiem, romansu, który z jego nie z jej winy został tak niemiłosiernie przerwany; gdy nagle, któregoś dnia, dano jej znać, że za kratą czeka na nią oficer z pułku Chamillego, mający dla niej specjalne od niego wiadomości. Z bijącym sercem pobiegła się z nim rozmówić.

Okazało się, że przybyły zjawił się na wyraźne zlecenie Chamillego, który do niego pisał obszernie, i że — stosownie do życzenia pułkownika — gotów jest zabrać z sobą list dla niego od niej, bo wraca do kraju. Że jednak wyjeżdża w najbliższych godzinach, więc o ile jest zdecydowana list ten napisać niezwłocznie, o tyle on poprostu czekać nań będzie.

Marjanna naturalnie, choć pisała do Chamillego niedawno i jeszcze nie miała od tego czasu żadnych od niego wiadomości, postanowiła skorzystać z tak dobrej okazji; ale zanim przeszła do siebie pisać, pragnęła trochę porozmawiać z towarzyszem pancernym swego kochanka, i dowiedzieć się od niego, jakie on miał informacje o pułkowniku? co mu tenże pisał w swym liście?

Otóż przekonała się z jego opowiadania, że Chamilly do swego podkomendnego pisał z daleko większymi szczegółami o sobie, niż do niej. Od niego n. p. dowiedziała się dopiero teraz, że Chamilly zmuszony był z powodu burzy zarzucić kotwicę w Algarve, że wogóle miał bardzo ciężką przeprawę morską. Mimo to, podczas całej podróży był w jaknajlepszym usposobieniu... szczegół, który ją dotknął przykro. Ale co ją dotknęło najprzykśzej, że ten podkomendny Chamillego był wogóle o jego różnych sprawach bez porównania lepiej poinformowany, aniżeli ona, że poprostu Chamilly był z nim, jako przed swym kolegą pułkowym, bardziej wylanym i szczerym, aniżeli przed nią, której wogóle — jak o tem przekonywała się teraz dowodnie — wielu rzeczy mówić nie uznał za stosowne, a niektóre wprost starał się ukryć przed nią. Tego się nie spodziewała po nim, ufając mu bezwzględnie.

W takim uczuciu, poprosiwszy oficera, by nie niecierpliwił się zbytnio, wróciła do swego pokoju, by poskarżyć się Chamillemu na swą niedolę.

Zaczęła od obawy, że bardzo musiał cierpieć podczas srożącej się burzy morskiej, „a lęk ten — pisała — tak mnie przeniknął, żem chwilowo przestała myśleć o całej mojej własnej męce“. Tylko, że była wielka różnica między jego czysto fizycznym cierpieniem, a jej męczarniami moralnymi, na jakie ją wyjazdem swym naraził. A nietylko przez to, że ją odjechał i porzucił,

nie będąc do tego wcale zmuszonym, ale całym swoim późniejszym sposobem zachowania się względem niej.

A pozatem, czy Ty rzeczywiście myślisz, że Twój podkomendny większy ma udział w tem, co się Tobie przydarzy, aniżeli ja? Dlaczegoż on lepiej o wszystkim wie, i dlaczego wogóle do mnie nie pisał? Byłabym w najwyższym stopniu nieszczęśliwą, gdybyś nie był miał do tego sposobności, odkąd wyjechałeś, a jeszcze nieszczęśliwszą, gdybyś był miał sposobność, a nie pisał.

A niestety, uświadomiła to sobie dzisiaj, podczas rozmowy z jego podkomendnym, że okazji do pisania z drogi nie brakło mu wcale, skoro mógł pisać do swych przyjaciół pułkowych; tylko widocznie zbywało mu na ochocie, na dusznej potrzebie podzielenia się z nią doznawanemi w czasie podróży wrażeniami.

Jesteś bezgranicznie niesprawiedliwy i niewdzięczny; ale głębszą żalobą bolałoby moje serce, gdyby to miało nieszczęście na Twoją głowę sprowadzić. Już wolę, że to wszystko pozostanie bezkarnie, aniżeli bym chciała być pomszczoną.

Bo przecież miała brata, który bardzo łatwo mógł — a może i chciał — stanąć w obronie jej czci.

Z wszystkich sił opieram się wszelkim dowodom, któreby mnie wreszcie przekonać musiały, że już mnie więcej nie kochasz, i wolałabym się tysiąc kroć razy chętniej oddać swojej namiętności, aniżeli posłuchać głosu rozsądku, który mi nakazuje skarżyć się na Twoją oziębłość. Ile męczarni byłbyś mi mógł oszczędzić, gdyby postępowanie Twoje już w pierwszych dniach, gdy Cię ujrzała, było tak sobie od niechcenia, jak mi się ono w ostatnich czasach wydawało. Ale któżby go nie był uważał za szczere? Ileż to nas kosztuje, jakich długich wahań, zanim poczynamy wątpić o szczerości tych, których kochamy!

Doskonale widzę, że najdrobniejsze uniewinnienie Ci wystarcza, a mimo, że się nawet nie raczysz kiedykolwiek o nie pokusić, miłość moja służy Ci tak wiernie, iż w żaden sposób nie jestem w stanie Ciebie, jako winnego osądzić, a jeżeli, to jedynie na to, by Cię w niewysłowionem szczęściu uniewinnić.

A jednak cała wina sprowadzenia na nią nieszczęścia była po jego stronie. On bowiem, dla dogodzenia swej próżności,

sprowadził ją na bezdroża, „a następstwem wszystkiego tego, co tak gładko i szczęśliwie się rozpoczęło, nic, prócz snów, łkań i ciężkiej bolesnej śmierci, bez złudnej pociechy, bez jakiegokolwiek pomocy!“ „Prawda, żem zaznała niepojętych rozkoszy, gdym Cię kochała, ale kosztują mnie one teraz zbyt straszne cierpienia. A ostrze tych wstrząśnień, które przez Ciebie w udział mi się dostały, wybiega zawsze daleko po za cel“. Bo gdyby jej całe postępowanie było pełne zimnej rachuby, w stosunku do niego i jego afektu: „O, wtedy mógłbyś mnie srogo ukarać, i mocy swej nademną nadużywać z niejakim przebłykiem sprawiedliwości, chociażby wszystkie moje starania i zakusy zostały z pewnością bez skutku“.

Ale wydawałeś mi się być godnym mej miłości, zanim mi jeszcze powiedziałeś, że mnie kochasz; okazałeś mi się w silnem, namiętnem uniesieniu, byłam oślepiona, i oddałam się mej miłości ku Tobie bez myśli i bez rozumu. Ty nie byłeś tak ślepy jak ja; i czemuś mnie pogrążył w ten nędzny stan, w jakim się teraz znajduję? Czegoś właściwie chciał od mej miłości, która Ci się przecież tylko ciężarem stać mogła w całym swym bezmiarze?

Wiedziałeś bardzo dobrze, że na zawsze w Portugalji pozostać nie możesz. I dlaczegoż zapragnąłeś wybrać mnie właśnie, by mnie w takie nieszczęście wtrącić? Przecież byłbyś mógł bezwątpienia znaleźć tu kobietę, piękniejszą odemnie, a która by Ci mogła służyć do różnych rozkoszy, boś szukał tylko takich, które są pośledniejszego gatunku; kobietę, która by Cię była wiernie kochała, jak długobyś przy niej był pozostał, a którąbyś mógł porzucić bez wyrzutu, że stajesz się wiarołomnym i okrutnym.

Postąpiłeś sobie raczej jako tyran, który się na to wziął, by mnie udręczyć, aniżeli jako kochanek, który powinien myśleć, by kochankę swoją w wieczny zachwyt wprowadzić. I dlaczego, na Boga, pragniesz być tak twardym i nieubłagalnym dla serca, które li Tobie tylko przynależy?

Wiem aż nadto dobrze, że uprzedzić się do mnie równie Ci łatwo, jak mnie, by się całkiem na Twoją korzyść odmienić. Nie byłabym potrzebowała całej mojej miłości ani nawet poczucia, że coś nadzwyczajnego dla Ciebie robię, a już zdołam sprzeciwić się całkiem innym i lepszym cokolwiek powodom, jak te, które Cię spowodowały, by mnie opuścić! Byłyby mi się wydały słabe i nikłe, a w całym świecie nie były by się takie znalazły, które by mnie od Twego boku odciągnąć zdołały.

Ale jemu zależało tylko na tem, by korzystając z pierwszego nadarzonego pretekstu, móżd powrócić do Francji! Okręt od-

pływał! Czemu nie pozwolił mu odpłynąć? Rodzina jego pisała, ażeby wracał! A czy jemu nie wiadomo o wszystkim, co ona od swojej rodziny z jego powodu wycierpieć była zmuszoną? Honor mu nakazywał, żeby ją opuścił! A ona, czy myślała o swej czci i honorze? Musiał wracać do ojczyzny, by służyć królowi! Jeżeli to wszystko, co o nim opowiadają, jest prawdą, to zaiste nie potrzebował on jego pomocy i łatwo mógł go zwolnić z obowiązków.

Ach, jakabym ja była szczęśliwa, gdyby mi danem było całe życie spędzić przy Tobie! Ale jeżeli to była wola przeznaczenia, że okrutna rozłąka miała nas rozdzielić, to jednakowoż myślę, że winnam się weselić, iż nie postąpiłam wiarołomnie, a za żadne skarby świata nie byłabym w stanie na taką podłość się zdobyć.

Wiem, och wiem, że Cię kocham aż do obłędu. A jednakowoż nie skarżę się na obłąkaną moc całej mej miłości. Przyzwyczaiłam się do wszystkich jej męczarni i udręczeń, a nie mogłabym żyć bez tego szczęścia, które odczuwam w mej miłości ku tobie w tysiącach straszliwych tortur.

Nienawidzę wszystkiego, na com zmuszona patrzeć, wszystkiego, co mi przymus robić każe. I tak zazdrosną czuję się w mej miłości, że zdaje mi się, jakoby wszystkie moje czynności, wszystkie moje obowiązki powinny się odnosić do Ciebie. Wiesz, że ja mam wyrzuty sumienia, jeżeli jednej sekundy mego życia Tobie w ofierze nie składam.

Cóżbym ja najbiedniejsza z biednych zrobiła bez całej mej miłości, która moje serce wypełnia! Czyżbym ja może mogła przeżyć to wszystko, w czem bezustannie wszystkie moje siły skupione, czyżbym była w stanie prowadzić spokojne i obojętne życie! Nie! Nigdybym się nie mogła przyzwyczaić do życia tak czczego i tak bez treści.

Dziś treścią jej życia były, prócz katuszy moralnych, błogie i bolesne wspomnienia, związane z jej tak szczęśliwą z początku, a tak smutną w końcu miłością.

Chociażbym nie potrzebowała Cię oszczędzać, nie winnam wywoływać w tobie wspomnień, z obawy, by Cię nie obciążać większą jeszcze winą, jaką ta Twoja winą jest w rzeczywistości (o ile to wogóle byłoby możliwem), a zatem, aby nie być zmuszoną czynić sobie wyrzutów, żem trudziła się tak nadaremnie, by Cię zmusić, abys mi pozostał wierny.

Nie chcesz nim być, nie! Jakżebym zresztą mogła spodziewać się od mych listów i oskarżeń tego, czego miłość

moja i moje oddanie się wobec Twojej niewdzięczności zdziałać nie zdołały? Aż nadto jestem przeświadczona o mojem nieszczęściu. Twoje niesprawiedliwe postępowanie nie pozwala mi na jedno mgnienie oka wątpić: odkąd mnie porzuciłeś, niema nic, czegobym nie była zmuszona się lękać.

Czyżbym ja miała być sama jedna, która się Tobą zachwyca? Dlaczegożby nie miało być innych jeszcze oczu, które Twój blask oślepił? Zdaje mi się, że nie zasmuciłoby mnie to, gdyby inne uczucia moje własne poniekąd usprawiedliwiały; pragnęłabym nawet, byś wszystkie kobiety we Francji w zachwyt wprowadził, a żadna Cię nie kochała, i Tobie każda obojętną była. To jest śmieszna, niemożliwa myśl, wiem o tem dobrze. Ale odczułam aż do uprzykszenia, żeś nie jest w stanie wywzajemnić się jakąś większą stałością, i że mógłbyś o mnie bez wszelkiej obcej pomocy zapomnieć, nawet nie potrzebowałaby Cię do tego zmuszać nowa miłośćka. A może pragnęłabym jednakowoż, byś miał jakiś rozumny powód; byłabym wtedy, to prawda, nieszczęśliwszą jeszcze, Ty jednakże mniejszą w mych oczach winą byłbyś obarczony.

Jasno sobie z tego zdawała sprawę — o czem ją zresztą starał się zapewniać w swych listach — że przybywszy teraz po dłuższej niebytności do Francji, na razie będzie swój czas trawił w wolności i swobodzie, nie w Paryżu lub Wersalu, lecz na wsi, i nie w służbie wojskowej, lecz jako człowiek prywatny. Rozumiała doskonale, że zmęczony po długiej podróży, z przyjemnością będzie opływał w wygody domowe, nie myśląc z razu o jakichkolwiek „niezwykłych rozrywkach“. Nie rozumiała tylko, dlaczego w tych warunkach „lękał się, że nie może wtórować jej rozżagwionej miłości“. „O, zaiste, nie masz się czego lękać! Będę już zadowolona, jeżeli Cię raz na jakiś czas ujrzę i jak tylko wiedzieć będę, że mieszkamy w tym samym kraju“. W to jednak przestawała już wierzyć, chyba, żeby ona za nim pojechała do Francji, bo żeby on zdecydował się mieszkać dla niej w Portugalji, to już uważała za wykluczone, poznawszy jego usposobienie.

W co za to uwierzyć była najbardziej skłonna, to, że we Francji za dużo jest pięknych i płochych kobiet, by go która nie pochwyciła w swe sidła.

A może całkiem się mylę, a inna kobieta przykuje Cię silniej do siebie twardą i zimną pogardliwością, aniżeli ja zdołałam tem wszystkiem, w czem woli Twojej posłuszną byłam? Czyż mogłoby to być możliwem, że złe obchodzenie

się z Tobą mogłoby Cię silniej rozpalać?... Ale zaczem odważysz się rzucić w rzeczywiście wielką namietność, to pomyśl o tych bezgranicznych męczarniach, które ja z Twego powodu znoszę: o moich niepewnych zamysłach, o moich przeskokach uczuć, o całym wybujałym bólu moich listów, o mojej naiwnej ufności i mojej rozpacz, o mojej tęsknocie i zazdrości! W jakie nieszczęście samochcąc się wtedy wtrącis! Błagam Cię i zaklinam, byś przykład, który mój stan daje, wziął sobie do serca: na wszelki wypadek będzie Ci to nauką i wielką korzyścią, to wszystko, co ja w strasznym cierpieniu przeżywam.

Najbardziej zazdrosną była o tę damę z jego sfery, w której — jak to jej wyznał kiedyś — kochał się w swoim kraju.

Przed pięciu czy sześciu miesiącami zrobiłeś mi przykre zwierzenie: opowiadałeś bardzo szczerze, że kiedyś kochałeś jakąś damę w Twoim kraju. Jeżeli to ona jest Ci przeszkodą, byś mógł wrócić do mnie, to powiedz mi tylko bez ogródek, całkiem mnie nie oszczędzaj, aby skończyła się ta męka, która mnie pożera. Jeszcze tli we mnie i podtrzymuje mnie słaba nadzieja, ale jeżeli i ona jest tylko ślepą uludą, to milszem mi, zaiste, całkiem ją stracić, a z nią razem i siebie.

Przyslij mi jej wizerunek i jeden z jej listów! Opowiedz mi wszystko, co Ci mówiła! Może w tem znajdę ukojenie albo też powód do strasniejszych jeszcze cierpień. Nie jestem w stanie w dalszym ciągu żyć w ten sposób, a niema żadnej zmiany, któraby mi nie była dobrodziejstwem.

Pragnęła również mieć wizerunki jego brata i bratowej, o których jej opowiadał z wielką sympatją. „Wszystko to, co dla Ciebie przedstawia jakąś wartość, jest mi drogiem. Czuję, jakby to wszystko, co się do Ciebie odnosi, całkiem mnie schłonęło: sobą samą przestałam już zupełnie rozporządzać“.

Mam chwile przywidzeń, iż mogłabym rzec się samej sobie do tego stopnia, że mogłabym w poddańczej pokorze być służebnicą tej, którą byś Ty pokochał. Tak się czuję zmiażdżoną Twojem złem i wzgardliwem postępowaniem, że czasami nie ośmielam się nawet o tem pomyśleć, że miałabym przecież prawo być zazdrosną, a mimo to Ci się nie obmierzić. I myślałam, że popełniam największą niesprawiedliwość, na jaką sobie pozwolić mogłam, gdy Tobie czynię wyrzuty. I aż zbyt często przekonywam się sama o tem, że nie wolno mi mówić w gniewie o uczuciach, które Ty odrzucasz.

W tem miejscu przerwano jej pisanie listu, oficer bowiem, który nań czekał w parlatorjum, kazał ją prosić, by kończyła czem prędzej, bo mu trudno czekać tak długo. Kazała go uspokoić, że już za chwilę dokończy listu, żeby więc czekał cierpliwie.

Przejrzawszy to, co napisała dotychczas, spostrzegła, że może zbyt otwarcie przyznawała się do swych cierpień, a zbyt nieogłędnie szafowała wyrzutami. W obawie, żeby tem nie wywołać obrazy, postanowiła uderzyć w inny ton, nieco łagodniejszy; nie chciała bowiem, żeby ten, którego mimo wszystko jeszcze kochała tak namiętnie, mógł się czuć urażonym jej pretensjami.

Z tą intencją tak pisała w dalszym ciągu:

Z całą mocą postanowiłam sobie tak pisać, abyś mógł czytać i nie czuł się obrażonym, ale wypadło inaczej: zbyt głupio. Najlepiej że zakończę.

Ach, nie czuję się dość na siłach, by się do tego zmusić. Zdaje mi się, jakbym z Tobą mówiła, kiedy do Ciebie piszę, i mam wrażenie, że jesteś w jakiś sposób ze mną.

Gdy następnym razem pisać Ci będę, to list mój nie będzie ani tak długi, ani tak przykry. Będiesz mógł ten list spokojnie otworzyć, polegając na tem, co Ci tu mówię. W każdym razie jest to jaknajzupełniejsza prawda, że nie powinnam mówić z Tobą o miłości, która ci obmierzła, i odtąd już nigdy tego nie zrobię.

Gdy jednak przypomniła sobie, że właśnie za parę dni upłynie rok, jak, porwana huraganem miłości, straciła w objęciach Chamillego swą niewinność dziewczęcą, nie mogła się powstrzymać, by mu jeszcze raz nie wypomnieć jego niegodnego z nią postąpienia.

Teraz za kilka dni będzie rocznica, kiedy się po raz pierwszy Tobie bez upamiętania oddałam, nie mając względu na nic. Twoje uczucia wydawały mi się gorące i stałe i nigdy nie byłabym w stanie pomyśleć, że miłość moja stanie się dla Ciebie tak niemiłym uprzykrzeniem, że będziesz zmuszony przedsięwziąć podróż pięćset milową i wystawić się na wszelkie niebezpieczeństwa morza, byle mnie tylko odbiedz. Niema człowieka, od którego bym zasłużyła na podobny postępек. Przecież musisz sobie przypominać to wszystko, coby Cię mogło zobowiązywać do kochania mnie wbrew Twojej woli.

Tu znowu przerwano jej pisanie, komunikując, że oficer, który ma list ten zabrać z sobą, „każe powiedzieć po raz ostatni,

że dłużej czekać nie może“. Wobec tego kazała go prosić jeszcze o małą chwilkę cierpliwości i tak pisała na zakończenie:

Och, jak mu spieszo! Z pewnością i on porzuca tu jakąś nieszczęsną dziewczynę.

Bądź zdrow! Więcej mnie kosztuje list ten zapieczętować, aniżeli Ciebie kosztowało mnie porzucić... może na zawsze! Bądź zdrow!

Nie ośmielałam się obsypać Cię tysiącem tych pieszczotliwych imion, ani oddać się bezpamiętnie moim uczuciom. Kocham Cię tysiąc razy więcej, aniżeli moje życie, i tysiąc razy więcej, aniżeli jestem w stanie to sobie uświadomić. Och, jakże jesteś mi drogi i jaką mękę mi zadajesz! Nie piszesz do mnie: nie mogłam się powstrzymać, żeby Ci tego raz jeszcze nie wypomnieć.

I znowu powracam do początku, a oficer pojedzie. Mniejsza o to. Niech jedzie, niech jedzie! Piszę raczej do siebie, aniżeli do Ciebie. Szukam tylko drogi ratunku, by dla duszy swojej znaleźć ukojenie. Ten długi list, tak czy tak tylko Cię przerazi. Nawet go nie przeczytasz. Com ja biedna zrobiła, żem musiała zostać wtrąconą w takie nieszczęście! Czemuś tak zatruł moje życie? Och, żem ja nieszczęsna nie urodziła się w innym kraju!

Bądź zdrow i wybacz mi! Nie odważam się zakłąć Cię, byś mnie kochał. Patrz, jak strasznie spodliło mnie moje przeznaczenie! Bądź zdrow!

V.

„Ani nie wiem, czem jestem, ani co czynię, ani czegom jest spragniona. Jestem w strasznej rozterce tysiącem sprzecznych uczuć. Czyż możesz sobie nędzniejszy stan wystawić?“

Temi słowy określiła najtrafniej sama Marjanna swój opłakany stan moralny, w jakim jej — bezpośrednio po wysłaniu tego drugiego listu do kochanka — żyć teraz w klasztorze wypadło. A nie były to jedyne powody, które jej życie czyniły uprzykrzonym, tak, iż chwilami zaczęła przemyślać o samobójstwie. Bo nietylko wewnętrzne walki i zgryzoty rozstrajały jej skołataną duszę, ale nadto miała mnóstwo największych przykrości i z innych stron. Przedewszystkiem znalazła się w wielkim zatargu ze swoją rodziną, która, gdy się dowiedziała o jej romansie z Chamillym, nie mogła wobec podobnego skandalu zachować się obojętnie. Że naturalnie, wobec niemożności pomśzczenia swego honoru rodzinnego na zbiegłym fraucziku, cały

gniew i żal dano jej niezawsze w patryjchalny sposób do poznania, to się rozumiało samo przez się.

Ale te przejścia z rodziną były jeszcze niczem prawie wobec konfliktu z regułą klasztorną. Rzecz, dzięki plotkom, stała się głośną w kraju, co oczywiście było w najwyższym stopniu przykrem dla klasztoru, w którego murach mogło przyjść do takiej gorszącej afery. Wywołało to cały szereg dochodzeń, dla Marjanny wielce upokarzających i bolesnych.

Na nic się zdały coraz surowsze praktyki religijne, w których starała się znaleźć źródło zapomnienia. Nic nie pomagało, nic nie potrafiło złagodzić jej katuszy moralnych, nic nie mogło sprowadzić kojącego snu na zapłakane powieki, nic nie było zdolne zmniejszyć uczucia wstydu, który palił jej wybladłe czoło; a co najgorsze, to, że nic nie potrafiło osłabić tego nieszczęsnego uczucia zazdrości, które jej wciąż rozdzierało piersi, ile razy pomyślała o Chamillym, o życiu, jakie pędzi we Francji, niczem już nie krępowany.

Uczucia te, wśród których jakby wiła się z bólu, ona sama określiła najlepiej, tak je malując dosadnie: „Straciłam dobre imię i cześć moją, naraziłam się na najstraszniejszy gniew mojej rodziny, na cały rygor przepisów naszego kraju przeciw zakonnicom... Żyję z całą męką złamanych ślubów moich, a czynię wszystko w równej mierze, by życie moje podtrzymać, jak, żeby je zniszczyć“.

Temi strasznymi uczuciami miotana, gdy mijały tygodnie, a żaden list z Francji nie przychodził, napisała któregoś dnia, dla ulżenia swej męce serdecznej, trzeci list do Chamillego, choć właściwie, wobec tak długiego milczenia z jego strony, czuła, że postąpiła by z większą godnością, gdyby pierwsza nie pisała do niego. Ale cóż robić, kiedy miłość jej i żal były większe, niż jej kobieca duma.

„Co się ma ze mna stać — od tego zaczęła swój list — i co chcesz, abym uczyniła?“ Bo przedewszystkiem, wobec braku wiadomości od niego, nie wiedziała, czego się trzymać? co postanowić o swoim losie? czy całkiem rozstać się z nadzieją, czy też jeszcze mu ufać cokolwiek?

Rozłąka z Tobą, kilkakrotne zakusy pogrążenia się w praktyce religijnej, lęk, by nie zniszczyć całkowicie tej odrobiny zdrowia przez tyle bezsennych nocy i udręczeń, ta odrobina nadziei Twego powrotu, Twoja ostygła namiętność, ta oziębłość, z jaką się ze mną żegnałeś, odjazd Twój, spowodowany dość nędznymi wybiegami, to wszystko, tysiąc innych równie drobnych, jak niepotrzebnych przyczyn, mogło mi dać jako tako pewną ostoję, gdybym jej potrzebowała. A jak się oka-

zuje, byłam to ja sama, przeciw której walkę wszcząć musiałam; a z pewnością nie miałam wyobrażenia, jak byłam słabą, ani przewidzieć nie mogłam tego wszystkiego, co teraz przecierpieć muszę.

Ja biedne stworzenie, do jakiejż litości ja nie mam prawa, skoro nie mogę z Tobą podzielić mego cierpienia, a muszę się samą, samiuteńką widzieć, oddaną na łup mego nieszczęścia!

To przeświadczenie zabija mnie. Umieram z przerażenia na myśl, że ty przy wszystkich naszych rozkoszach nie odczuwałeś nic z całej istotnej głębi. Och, tak, tak! Teraz dopiero widzę, jak fałszywą była Twoja miłośćka. Zdradzałeś mnie za każdym razem, gdyś mi mówił, że najwyższą rozkoszą dla Ciebie być ze mną razem sam na sam.

Jedynie tylko mojej własnej wytrwałej miłości zawdzięczam całą Twoją miłość i miłosne uniesienie. Na zimno powziąłeś zamiar, by krew moją do pożaru żozżagwić. Miłość moją uważałeś jako zdobyte zwycięstwo, ale serce Twoje nigdy nie zabiło gorętszym porywem.

Ale nie jesteś nieszczęśliwy i tak całkiem wyzbyty z wszelkiej uczuciowej delikatności, żeś nie umiał lepiej wyzyskać mojej bezgranicznej miłości? I jakżeż to się stać mogło, że przy takim ogromie mej miłości nie mogłam Ci dać szczęścia do syta?

Z miłości ku Tobie oplakuję niewyczerpane rozkosze, któreś utracił. Co za nieszczęśliwy los nie pozwolił Ci ich do dna wyczerpać! Och, gdybyś je tylko był zaznał, z pewnością byłbyś się dowiedział, że są one niewątpliwie więcej warte, jak to zadosyćuczynienie, żeś mnie oszukał, i że stokroć większem szczęściem i głębszą rozkoszą jest kochać z całą namiętnością, aniżeli być kochaną.

Kocham Cię do obłędu, a może nawet nie jestem w stanie zgwałcić mego serca, by zapragnęło, abys musiał znosić męczarnie również gwałtownej miłości. Samabym się zabiła, a gdybym tego uczynić nie zdołała, umarłabym w udręczeniu, gdybym była pewną, że nigdy spokoju nie znajdziesz, że Twoje życie niczem nie jest prócz rozpaczą i marnością, że płaczesz bez ukojenia, a wszystko Ci jest wstrętnem i nie-nawistnem. Nie mam dosyć sił, by dźwigać ciężar własnych cierpień; jakżebym mogła podnieść te, które by mi Twoje nieszczęście zgotowało, a które by tysiąckrotnie boleśniej na mych barkach spoczęły?

Ale również nie mogę się do tego stopnia przemódz, bym mogła zapragnąć, abys nigdy już o mnie nie myślał, i aby całkiem szczerze powiedzieć, jestem do szaleństwa

zazdrosną o wszystko we Francji, co Tobie radość i wesele sprawia, co Twoje serce zachwyca i przyjemnie Cię rozrywa.

Ale po co mu ona to wszystko pisała? Na to pytanie sama sobie nawet nie umiała odpowiedzieć. Bo przecież widziała aż nadto wyraźnie, że co najwyżej odczuwał dla niej... litość, a ona wcale nie pragnęła litości z jego strony! I była „zła sama na siebie“, gdy pomyślała, co wszystko poświęciła dla niego, a co on jej odpłacił czarną niewdzięcznością. Tę jego niewdzięczność uważała za największe ze swych wszystkich nieszczęść.

A mimo wszystko czuję tak jasno, że moje wyrzuty sumienia nie są szczerze, że z całego serca wystawiłabym się na stokroć razy większe niebezpieczeństwa z miłości ku Tobie, i że odczuwam smutną radość, iż całe moje życie i cześć moją na jedną postawiłam kartę.

Czyż nie było to moim obowiązkiem oddać Ci to wszystko, co miałam najkosztowniejszego, do Twego rozporządzenia? I czyż nie miałabym być zadowoloną, że zrobiła z tego taki właśnie użytek, jaki robiłam? Zdaje mi się nawet, że nie jestem na tyle zadowolona, jakbym nią być powinna, z tych wszystkich mych męczarni i mej nieskończonej miłości, chociaż niestety nie jestem w stanie wmówić w siebie, że jestem z Ciebie zadowolona.

Jako zakonnica zaś, która złamała swe śluby zakonne, prosto umierała ze wstydu. A przytem musiała się kryć ze swem uczuciem, to też rozpacz jej, którą była obezwładniona, mogła żyć tylko w tych listach. Pozatem musiała się kryć przed światem.

Gdybym Cię tak przepastnie kochała, jak Cię o tem zapewne już tysiąckrotnie zapewniałam, czyż już dawno nie musiałabym spocząć na marach?

Sprzeniewierzyłam się Tobie, Tyś powinien się na mnie uskarżać. Och, czemuż Ty tego nie czynisz? Widziałam, jakieś odjeżdżał, nie mogę się spodziewać ujrzeć Cię kiedykolwiek z powrotem, a mimo to dyszę jeszcze. Zdradziłam Cię. Z głębi duszy błagam Cię o przebaczenie. Bądź twardy dla mnie! Powiedz, że nie widzisz, aby uczucia moje były dość głębokie. Bądź wybredniejszy, nie dajże się przecież tak łatwo zadowolić. Napisz mi, że wymagasz, iżbym z miłości ku Tobie umarła. Błagam, zaklinam Cię, daj mi tę pomoc, abym mogła przewyciężyć słabość mej płci i moje wahania rzeczywistym czynem rozpacz!

Tragiczny mój koniec zmusiłby Cię myśleć o mnie częstokroć, wspomnienie o mnie stało by Ci się drogim, a może

tak niezwykła śmierć poruszyłaby Twoje serce. Czyż to nie daleko więcej warte, niż ten ochłap życia któryś mi pozostawił?

Ale czas już był kończyć ten znowu za długi list (którego on może nie będzie miał cierpliwości przeczytać do końca), więc postanowiła go przerwać. Jakoż tak pisała na zakończenie:

Bądź zdrow! Och, jakżebym pragnęła, bym Cię nie była nigdy ujrzała!... Ale jak silnie i głęboko odczuwam nieszczęść w tem pragnieniu! W tym samym momencie, w którym Ci to piszę, czuję jasno, że stokroć razy wolę być nieszczęśliwą i kochać Cię, aniżeli bym miała Ciebie nigdy nie ujrzeć.

Oddaję się pokornie przeznaczeniu mojemu na łup bez szemrania przeciwko jego wyrokowi, bo Tyś jest, któryś nie chciał odmienić ich na lepsze.

Bądź zdrow! Przyrzecz mi, że będziesz odczuwał pełne miłości współczucie ze mną, jeżeli umrę z tej udręki, i że miłość moja bezgraniczna wypełni Cię przesytem i odrazą do wszystkiego innego. Ta pociecha mi starczy; jeśli taką jest wola przeznaczenia, że mam Cię nazawsze opuścić, nie chciałabym Cię pozostawić jakiegś innej. Przecież nie będziesz tak wyszukanie okrutnym, aby chcieć wyzyskać moją rozpacz i zapragnąć dać więcej jeszcze się kochać i tem się chełpić, żeś posiadał największą miłość, jaka kiedykolwiek istniała na świecie.

Coś mi mówi, że za często Ci piszę o tem, jak mi to całe życie jest nie do zniesienia. Z całego serca dziękuję Ci za rozpacz, w której mię pogrążyłeś, a nienawidzę spokoju, w którym żyłam, zanim Cię poznałam.

Bądź zdrow! Moja miłość rośnie z każdą chwilą, która ubiega! Och, jak dużo miałabym Ci jeszcze do powiedzenia!

Bądź zdrow, raz jeszcze! Piszę Ci zbyt długie listy, wiem o tem dobrze. Nie oszczędzam Cię dostatecznie. Proszę Cię, wybac mi, i ośmielam się żywić nadzieję, że okażesz się trochę względny dla biednej, obłąkanej istoty, która, jak wiesz, nie była nią dawniej, zanim Cię kochać poczęła,

Bądź zdrow!

Na list ten znowu się nie mogła doczekać odpowiedzi.

VI.

W końcu upłynęło sześć miesięcy, jak nie miała od Chamillego ani jednego listu. Było to zapomnienie nie do darowania.

Wzburzona niem, rozżalona, zagniewana, a mimo to przebacząca i kochająca, Marianna żyła w ciągłej tęsknocie i rozpacz, a gdy sobie wyobraziła, że on tymczasem we Francji opływał we wszelkie rozkosze, że już z pewnością uwikłał się w jaką nową awanturkę miłosną, wrzała oburzeniem i wzdardą, pełna politowania dla jego pospolitości.

Uczuciom tym, pisząc do niego, taki dała niekrępowany wyraz: „O ileż więcej jesteś Ty pożalowania godnym, kiedy zaprawdę daleko lepszym jest cierpieć tak, jak ja cierpię, aniżeli pławić się w bezmyślnych rozkoszach, jakie Ci Twoje kochanki we Francji dają. Nie zazdroszczę Ci Twej obojętności: wzbudza ona we mnie tylko litość“. Swoją drogą była ciekawa niezmiernie, czy Chamilly rzeczywiście mógł o niej do tego stopnia zapomnieć, by z całym spokojem zabawiać się z innemi kobietami? Nie będąc zupełnie wolną od obaw w tym kierunku, „tem jednym — pisała dumnie — chełpić się mogę, że jam jest, bez której tylko męty rozkoszy spijać możesz, i jestem szczęśliwszą od Ciebie, bo silniej dusza moja gore“.

Mimo to zazdrościła jego dwóm ordynansom, z których figurami także się dla niej wiązały różne miłe wspomnienia, bo oni pojechali z nim razem, a ona musiała zostać: „Och, jak ja zazdroszczę szczęścia Manoelowi i Franciszkowi. Dlaczegoż to ja nie mogę być bezustannie przy Tobie, jak oni. Z pewnością byłabym Ci towarzyszyła i daleko wierniej służyła. Niczego innego w tym świecie nie pragnę, prócz, by Cię widzieć. I przynajmniej nie zapomnij o mnie!“

W każdym razie ona nie zapominała o nim, tak, że ciągle, w dzień i w nocy, był jej w pamięci przytomny. „Od czasu, jak wyjechałeś, nie miałam ani jednej chwili, w którejbym się czuła dobrze, a moją jedyną pociechą: powtarzać tysiąc razy dziennie imię Twoje. Niektóre z sióstr wiedzą, w jaki politowania godny stan mnie wtrąciłeś, i bardzo często mówią ze mną o Tobie. O ile mi możebnem, pozostaję w moim pokoju, do którego tak często do mnie przychodziłeś; wiecznie i bez ustanku zapatrzona jestem w Twój obraz, który mi jest droższym, aniżeli życie moje. Jest mi on niejaka pociecha, ale sprawia mi też tylko udręczenie, jeżeli o tem pomyślę, że może Cię już nigdy nie ujrzeć“.

Ażeby ją trochę rozerwać, uradzono w klasztorze, by, jako oddźwierna, pełniła służbę przy furcie klasztornej. „Zrobiono mnie od niedawna tu w klasztorze furtjanką. Wszyscy ludzie, którzy ze mną mówią, są przekonani, że nie jestem przy zdrowych zmysłach. Nie wiem, co im odpowiadam, a zakonnice musiały chyba tak samo rozum stracić, jak ja, jeżeli mi jakiśkolwiek urząd powierzyły“. Bo nawet we własnem mniemaniu była daleką od równowagi umysłowej.

Wśród takich smutnych okoliczności odwiedził ją któregoś dnia jeden z oficerów francuskich, a wiedząc, co ją z Chamillem łączyło, „miał to zlitowanie“, iż mówił z nią o nim „więcej niż trzy godziny“. Opowiadał jej między innemi, że Francja zawarła pokój, czyli, że nie było już żadnych fizycznych przeszkód, utrudniających Chamillemu przyjazd do Portugalji.

Rozmarzona i wzruszona tą długą z towarzyszem Chamillego rozmową, gdy wróciła do swego pokoju, Marjanna nie mogła wytrzymać, żeby o tem nie napisać do swego umiłowanego, by mu nie zaproponować, żeby, wobec zakończonej wojny, wybrał się pocieszyć nieszczęśliwą. „Jeżeli tak jest rzeczywiście — pisała mu w tej tak obchodzącej ją sprawie — to nie mógłbyś przyjechać, odwiedzić mnie i zabrać mnie z sobą do Francji? Ale nie zasługuję na to. Czyń, co uważasz za dobre. Moja miłość nie zależy już od tego, w jaki sposób się ze mną obchodzisz“.

Swoją drogą obchodził się z nią niegodziwie i to mu postanowiła napisać otwarcie. Od tego też zaczęła swój list, czwarty z kolei, jaki pisała do niego.

Doszłam do przekonania, że wyrządzam uczuciom mego serca najwyższą zniewagę, jeżeli się kuszę dać Ci je poznać, pisząc o nich. Jakabym była szczęśliwa, gdybyś Ty własną płomienną miłością mógł je odgadnąć i w całym ogromie objąć!

Ale nie mogę się na Ciebie zdać, i nie mogę się powstrzymać, by Ci nie powiedzieć, jakkolwiek daleko łagodniej, aniżeli czuję, byś mnie tak nie męczył, jak mnie męczysz tem zapomnieniem, które mnie do rozpacz doprowadza, a które jest hańbą dla Ciebie samego! W każdym wypadku jest to conajmniej słuszne i sprawiedliwe, że musisz się z tem pogodzić, by wysłuchać moich skarg na całe to nieszczęście, które coprawda przewidziałam, gdym zrozumiała, żeś silnie postanowił mnie porzucić. Wiem doskonale, żeś się myliła, gdym przypuszczała, że sobie uczciwiej wobec mnie postąpisz, jak to zazwyczaj bywać zwykło.

Wierzyłam, że moja bezgraniczna miłość musi mnie wynieść ponad wszelką nieufność, jakoteż pozwoli mi dostąpić zasługi, dotrzymania mi większej wiary, jakiej się zwykle nie znachodzi. Ale pragnienie Twoje, by mnie zdradzić, przemogło sprawiedliwość, jaką mi jesteś winien za wszystko to, com dla Ciebie uczyniła.

A jednak przyznać muszę, że niemniej byłabym nieszczęśliwą, gdybyś mnie tylko dlatego kochał, że ja Cię kocham. Wszystko chciałabym zawdzięczać jedynie tylko Twej własnej

miłości. Ale jak daleko mi do tego, jeżeli już sześć miesięcy przeszło, a ja nie otrzymałam od Ciebie ani jednego listu!

Całe to nieszczęście przypisuję zaślepieniu, z jakim miłość moja pchała mnie ku Tobie. Mogłam-że przewidzieć, że moja rozkosz rychlej się skończy, aniżeli miłość moja? Mogłam-że się spodziewać, że całe życie pozostaniesz w Portugalji i zaniechasz nadziei na przyszłość swoją w kraju Twoim, by się wszystkimi myślami mnie jednej poświęcić?

Dla udręczenia mego nie znajdzie się nigdy ukojenia, a wspomnienie tego wszystkiego, com skosztowała, wypełnia mnie rozpaczą. Czyż rzeczywiście ma tęsknota moja zczeznąć, a ja Cię nigdy nie ujrzę w moim pokoju z całą namiętnością i ogniem, jakie mi okazywałeś?

I nie mogła zapomnieć tych jego „zdradzieckich zapewnień“, jakimi ją wtedy oszołomić się starał, a którym ona wierzyła naiwnie, bo zakochana bez pamięci. Dopiero teraz otworzyły się jej oczy, dopiero dzisiaj przekonała się dowodnie, ile prawdy t. z. ile nieszczerości było w tych jego pozornych czułościach.

Całkiem jasno widzę, coby mogło się stać lekarstwem dla wszystkich mych cierpień. Rozwiałyby się w tej samej chwili, w którejbym Cię kochać zaprzestała. Ale ja biedne, nieszczęsne dziecko człowiecze, cóżby to był za lęk dla mnie!

Och, nie! Wolę zaiste więcej jeszcze cierpieć, aniżeli o Tobie zapomnieć. I czyż to zresztą odemnie zależy? Ja, która nie mogę sobie wyrzucić, bym zapragnęła choćby jednej chwili, w której bym przestała Cię kochać?! /

A mimo to nie mogła liczyć na jego stałość! Przekonawszy się, jak mało troszczył się o nią (skoro ją mógł tak długo pozostawiać bez najmniejszych wieści o sobie), już tak daleko szła w swych skromnych wymaganiach, że czułaby się zadowoloną, gdyby ją wspominał chociażby. Ale, niestety, i tego nie mogła być pewna.

Do takiej drobiny nie zacieśniałam koła mych pragnień wtedy, gdym Cię dzień w dzień widywała; ale zdołałeś wreszcie mnie pouczyć, że zgadzam się na wszystko, co chcesz.

A jednakże nie żałuję, że Cię ubóstwiałam. Rozkoszą mi to i słodyczą, żeś mnie uwiódł. Żeś się tak okrutnie odemnie oderwał, może już po całą wieczność, nie zmniejsza w niczem mojej pałającej miłości.

Chciałabym, aby wszyscy ludzie o tem wiedzieli; nie robię z tego najmniejszej tajemnicy; jestem zachwycona, że dla Ciebie to wszystko robiła, com robiła wbrew wszelkiej obyczajności. Cześć moja i religja nie istnieją w niczem innem, jak tylko w tem, by Cię kochać do obłędu, jak długo żyję, odkąd już raz Cię pokochałam.

Nie mówię Ci tego wszystkiego, aby Cię zmusić, byś mnie pokochał. Nie powinienes się w niczem krępować. Niczego od Ciebie nie pragnę, czegobys nie zrobił z własnej chęci i woli, i odrzucam wszystkie dowody Twojej miłości, którebys równie dobrze mógł powstrzymać. Będzie mi to prawdziwą radością, jeżeli będę Cię mogła uniewinnić, że mi nic nie piszesz, jeżeli Ci to może przyjemność sprawia, że nie potrzebujesz się tem utrudzać, i odczuwam serdeczną potrzebę wszystkie Twoje błędy Ci przebaczyć.

Nie mogła się tylko pogodzić z myślą, że może już nie sądzonem jej zobaczyć go jeszcze kiedy. Z tą myślą kończyła swe pisanie:

Jakżeż może się stać to możliwem, że nie miałabym Cię już nigdy ujrzeć! Czyś mnie już rzeczywiście na zawsze porzucił? Myśl ta doprowadza mnie do rozpacz.

Och, już nie zdzierży tego Twoja biedna Marjanna. Wpadnie w omdlenie, gdy list ten ukończy.

Bądź zdrow, bądź zdrow! I miej zlitowanie nademną!

Okazało się jednak, że zaklinała napróżno; Chamilly bowiem, całkiem niewzruszony jej zaklęciami, ani myślał o powrocie do niej...

VII.

Przekonał ją o tem, i to w sposób nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości, list Chamillego, jaki po długim przeciągu czasu, bo po upływie pół roku przeszło, otrzymała w końcu, list, będący już odpowiedzią na jej wszystkie cztery listy naraz.

List ten, ofiarujący jej... przyjaźń, i pełen pozatem najbanałniejszych komplementów, oburzył ją do najwyższego stopnia. Tego już jej było nadto! To też, odpisując Chamillemu, nie zawahała się ani chwili, aby mu otwarcie i bez ceremonjalnych ogródek uczynić wiadomem, co myślała o tym jego liście i... o nim samym:

„Głupie zapewnienia o przyjaźni ze strony Waćpana i śmieszne grzeczności Jego ostatniego listu upewniły mię o tem, żeś

Waćpan wszystkie moje listy otrzymał, które do Niego pisałam, a zarazem, że nie zrobiły one na sercu Jego najmniejszego wrażenia. A jednak czytał je Waćpan! Niewdzięczniku! Jestem na tyle jeszcze bezrozumna, że pogrążam się w rozpacz, iż muszę przestać się łudzić, że może nie doszły rąk Waćpana i że Mu ich nie oddano. Przeklinam szczerłość Waćpana! Czyż może prosiłam Go o to, byś mi powiedział całą, czystą, niekłamana prawdę? Dlaczegoś mi Waćpan nie pozwolił żyć dalej w mej miłości?“ „Mógłbyś się przecież tem zadowolnić, by więcej nie pisać do mnie. Nie prosiłam Cię przecież, byś mi przemocą oczy otwierał... Czyż nie jestem dość nieszczęśliwą, żem nie mogła Waćpana zmusić, byś mnie dalej okłamywał i łudził, że już teraz nie mam innego Dlań uniewinnienia?“

Zrozumiawszy nareszcie, co miał znaczyć ten list Chamillego, który, wycofując się ze swego stosunku z nią, już go właściwie od chwili wyjazdu swego z Portugalji uważał za skończony *de facto*, postanowiła Marjanna zerwać z nim ostatecznie. Żeby zaś nie miał choćby najmniejszych w kierunku tym wątpliwości, zdecydowała się odesłać mu przy okazji wszystkie jakie miała od niego cenniejsze upominki, łącznie z jego podobizną i listami. Z listów zachowała sobie na pamiątkę tylko dwa ostatnie, jako najskuteczniejsze *antidotum* na wszelkie możliwe recydywy miłosne z jej strony. Różne drobiazgi, które miała od Chamillego, a które dotąd, naiwna, przechowywała, jak relikwie, spaliła wszystkie. Wysyłkę do Francji niespalonych pamiątek po Chamillym powierzyła siostrze Brites. Jego zaś powiadomiła o tem wszystkim w następujących słowach: „Przy pierwszej lepszej sposobności przeszlę Waćpanu to, co jeszcze mam w posiadaniu od Niego. Nie potrzebujesz się Waćpan obawiać, że kiedykolwiek pozwolę się jeszcze skusić, by Mu pisać. Nie położę nawet Jego nazwiska na przesyłce. Wszystko oddałam do załatwienia Donie Brites, która mi zawsze była powiernicą, w rzeczach wprawdzie nieskończenie różnych od tych. Niechcę mieć do niej tej nieufności, którąbym miała dla siebie samej, gdybym się pokusiła to sama zrobić. Podejmie ona wszelkie środki ostrożności, tak, że mogę być całkiem upewnioną, że Waćpan otrzyma portret swój i bransoletki, które mi kiedyś darował. Pragnę atoli, abyś Waćpan wiedział, że już od kilku dni uczułam się całkowicie na mocy, móc podrzeć i popalić to wszystko, co miało być rękojmią Jego miłości, a dla mnie tak drogiem. Ale ja Waćpanowi okazywałam tyle słabości, że Waćpan naturalnie nigdyby nie był w stanie przypuścić, bym mogła być zdolną do takiej ostateczności. A więc chcę się rozkoszować cierpieniem, jakie mi sprawiła rozłąka z tem wszystkim, a Waćpanowi wyrządzić chociażby odrobinę przykrości. To jedno przyznaję ku hańbie nas

obojga, że daleko silniej uczułam się spętana temi drobnostkami, aniżelibym to Waćpanowi powiedzieć chciała, i że zrozumiałam, iż znowu muszę się odwołać do całego mego rozumu, by móc się oderwać od każdego kawałka, nawet wtedy, gdy w siebie wmawiała, że już nie czułam się więcej z Waćp. związaną. Ale z pomocą tylu doskonałych przyczyn i rozsądku, można wreszcie osiągnąć wszystko, co się chce. Wszystko oddałam Donie Brites. Ile łąz kosztowało mnie to postanowienie! Po tysiącnych zmianach i przemianach uczuć, o których Waćpan najłżejszego wyobrażenia mieć nie może, a z których doprawdy Waćpanu sumitować się nie potrzebuję, błagałam ją, by mi nigdy nic o tych drobnostkach nie mówiła, nigdy ich mnie nie oddawała, nawet, gdybym ją miała o to prosić, aby raz jeszcze ujrzeć; a przede wszystkim, by je Waćpanu przesłała bez uprzedniego powiadomienia mnie o tem“.

Dopiero w kilka dni po uporaniu się z tą definitywną likwidacją pamiątek po Chamillym zasiadła Marianna do napisania listu do niego, a pisząc go, zaraz od pierwszych wierszy poczynając, nastroiła się na całkiem inny ton, niż to czyniła przy swych poprzednich listach: dotychczas, z sercem przepełnionem miłością i tęsknicą, pisała namiętnie i czule, jak pisze kobieta kochająca, choć rozżalona, do kochanka, który mimo wszystko nie przestał jej być drogim; teraz zdecydowała się napisać list oficjalny, list kobiety, zranionej w swych najdroższych uczuciach, do mężczyzny, którym pogardza.

„Piszę do Waćpana po raz ostatni — taki był początek listu — i mam nadzieję, że różnica tak w wyrażeniu, jak i tytułowaniu osoby Waćpana, da Mu do zrozumienia, że udało Mu się wreszcie przekonać mnie o tem, że Waćpan już mnie więcej nie kocha, a zatem, że i ja przestać muszę Waćpana kochać“.

A pogodzić się z tą koniecznością nie przyszło jej bynajmniej łatwo.

Wtedy dopiero właśnie poznała nadmiar mej miłości, gdy wszystkie siły wyteżyła, by się z niej wyleczyć, a lękałam się, że nigdybym się nie była odważyła, zrobić tą próbę, gdybym była mogła przewidzieć, że będzie tak trudna i mnie o takie gwałtowne wstrząśnienia przyprowadzi. Jestem przekonana, że byłabym daleko mniej cierpiała, gdybym Go dalej kochała mimo Jego niewdzięczność, niż teraz, kiedy Go już na zawsze opuszczam. Utiwalałam się w tej pewności, że miłość moja była droższą, niż osoba Waćpana, i przeżyłam obłędne cierpienia, kiedy była zmuszona ją zwalczać, nawet wtedy, gdy niegodne i obrażające postępowanie WP. mi ją obrzydziło. Przyrodzona duma mej płci nie wystarczała mi,

by powziąć jakieśkolwiek postanowienie wobec WPana. Och ja nieszczęsna! Znosiłam Twoją wzgardę; poddałabym się nienawiści Jego, odbolałabym całą tę zazdrość, jakaby mi wyrządziła skłoność Waćpana do jakiejś innej. Wtedy miałabym przynajmniej jakieś silne uczucie, z którembym się zмагаć musiała! Ale obojętność Waćpana jest mi nie do zniesienia. To jednakowoż winien Waćpan wiedzieć, żem się przekonała, iż nie jest On wart moich uczuć i że już poznałam wszystkie Jego złe przymioty.

Ale jeżeli to wszystko, com dla Waćpana zrobiła, warte tego, by mieć pewien wzgląd na to, o co poproszę, to błagam Waćpana, by nigdy już nie pisał do mnie i był mi w ten sposób pomocnym, bym Go mogła doszczętnie zapomnieć. Gdybyś Waćpan mógł dać mi choćby najślabszy dowód, że czytanie tego listu ból Mu sprawiło, to możliwem stałoby się mogło, żebym Mu uwierzyła. I możliwe, że tego rodzaju zwierzenie i możebność takiego przypuszczenia mogłoby mnie rozgoryczyć i rozgniewać; a to wszystko mogłoby żar mojej namiętności na nowo rozniecić.

A zatem przestań Waćpan troszczyć się o to, co czynię. Z pewnością wywrócił byś wszystkie moje postanowienia, tak, jakieś rozpoczął w zakres ich wkraczać. Nie chcę nic wiedzieć o tem, jaki skutek list mój wyrze i jakie wrażenie uczyni. Nie zakłócaj więc Waćpan stanu, w jaki się wprawić pragnę! Zdaje mi się, że mógłbyś Waćpan dostatecznie być zadowolonym z nieszczęścia, w jakieś mnie wprawił, wszystko jedno, jakiś miał zamiar, by mnie w nieszczęście wtrącić. Nie obdzieraj mnie Waćpan z tej ostatniej niepewności: mam nadzieję, że z czasem ją do czegoś doprowadzę, co da się porównać ze spokojem mej duszy.

Tymczasem przyrzekała mu solennie, że nie będzie go nienawidzieć, albowiem „zbyt mało ufa silnym uczuciom, aby się na to zdobyć“.

Całkiem nie wątpię, że tu w moim kraju znalazłabym wierniejszego kochanka, ale któż byłby w stanie mnie zniewolić, bym mu się odwzajemniła? Czyż miłość, jakiegoś innego mężczyzny mogłaby zdziałać, by na mnie wrażenie zrobić? Czyż nie doświadczyłam, że człowiek, który zakosztował miłości, nigdy nie zapomni tego, który ją jako pierwszy rozbudził do ogromu tej namiętności, jaką w stanie jest objąć. A czyż ja nie wiem, że wszystkie jego uczucia związane są z bożyszczem, jakie sobie wytworzył, że nigdy nie zdolen zapomnieć swych pierwszych wrażeń i nigdy już z swych pierwszych ran się nie wyleczy; że każda nowa

miłość, która mu chce przyjść z pomocą i wyteża się, by go wypełnić i radość mu sprawić, roztacza przed nim ułudę wrażliwości, której już odczuć nie można; że wszystkie rozkosze, których szuka, bez pragnienia, by je znaleźć, nie zdadzą się na nic więcej, jak tylko, by mu uprzytomnić, że nic mu nie jest tak drogiem, jak wspomnienie całego bólu i udręczenia.

Czemuś mi Waćpan kazał poznać całą tę niedostateczność i gorzkość umiłowania, które wiecznie trwać nie może, i wszystkie te nieszczęścia, które idą ręką w rękę z miłością, nie odwzajemnioną? Dlaczegoż ślepy popęd i okrutne przeznaczenie prawie zawsze się nierozzerwalnie łączą, abyśmy tym w udziale przypadły, których pragnienie za jakąś inną goni?

A gdybym nawet mogła się spodziewać jakiejś rozrywki w nowym stosunku i mogłabym natrafić na jakiegoś szczerego człowieka, któryby mnie pokochał, to jednakowoż mam tyle litosnego współczucia z samą sobą, że uczuwałabym najsroższe wyrzuty sumienia, gdybym najnędzniejszego człowieka na tym świecie miała wtrącić w podobny stan, w jaki Waćpan mnie wtrąciłeś. I pomimo, że nie potrzebuję mieć żadnych na Niego względów, nie mogłabym się na to zdobyć, by się tak srogo na Nim pomścić, nawet wtedy nie, gdyby to przez zmianę jakiegoś nieprzewidzianego wypadku odemnie zależało.

Tu przyznała się otwarcie, że próbowała nawet uniewinnić go we własnych oczach, albowiem „rozumie to bardzo dobrze, iż zakonnica nie bardzo się do tego nadaje, by miłość wzbudzić”. Uważała jednak, że nie była to dlań wcale okoliczność łagodząca.

Ale potem wydaje mi się zaraz, że gdyby mężczyźni byli zdolni posłuchać głosu rozsądku, jaki wybór w miłości czynić należy, to właśnie przekładaliby mniszki ponad wszelkie inne kobiety. Bo nic nie istnieje, coby właśnie mniszkom mogło przeszkadzać, bezustannie myśleć tylko o ich miłości; nie są rozproszone przez te tysiączne rzeczy, które wypełniają i na drzazgi rozszczepiają życie kobiet, w świecie żyjących. A wydaje mi się, że nie musi to być zbyt wielką przyjemnością, jeżeli się widzi, że te, które się kocha, zajęte są tysiącnymi fatalaszkami, i trzeba już mieć nadzwyczaj mało delikatności uczuć, by nie popaść w rozpacz, gdy się słyszy, jak o niczem innem nie mówią, prócz o towarzysztwie, strojach i przechadzkach. Bezustannie jest się od-

danym na łup zazdrości, bo przecież one są zmuszone okazywać grzeczność i przystępność i z wszystkimi się zabawiać.

A któż może być pewnym, że nie odczuwają pewnej przyjemności przy całej tej wolności, a przeciwnie skłaniają się ku swym małżonkom jedynie tylko z ostatecznym wstrętem i odrazą! A jaką nieufnością muszą darzyć kochanka, który nie każe się im spowiadać z każdej ich czynności, a na ślepo i bez niepokoju wierzy w to, co mu powiedzą, i z największym zaufaniem i najzupełniejszym spokojem na to patrzy, gdy muszą swe obowiązki małżeńskie spełniać.

Ale nie było jej życzeniem, by mu przemawiać do rozsądku i przekonywać go, że powinien ją być kochać. Były to, jej zdaniem, nieskończenie marne środki, a ona przecież, w stosunku do niego, „zużyła, i to bezskutecznie, takie, które były bez porównania lepsze“. Ale wiedziała aż nadto dobrze, jak nieubлагanym jest jej los, by się kusić miała o sprzeciwianie się mu wogóle. Taka już była jej dola, jej przeznaczenie, by przez całe życie pozostać nieszczęśliwą.

A jednak mogłaby być szczęśliwą, gdyby on okazał się innym, t. j. takim, jakim go sobie wyobrażała początkowo.

Gdybyś był Waćpan po swoim odjeździe z Portugalji dał mi jakiśkolwiek dowód swej miłości, byłabym wszystko uczyniła, co jest w mej mocy, aby się stąd wydostać! Byłabym się przebrała, by stąd uciec i Waćpana odszukać.

A pomyśl Waćpan, co by się było ze mną stało, gdybym była przyjechała do Francji, a Waćpan się o mnie nie zatroszczył! W jaki stan rozczarowania i obłędnej rozpacz nie musiałabym była popaść! A jaką bezgraniczną hańbę byłabym sprowadziła na głowę mej rodziny, która mi jest tak drogą teraz, gdym przestała Waćpana kochać!

Z listu mego widzi Waćpan, jak już teraz jasno pojmuję, jak łatwo mogłoby być możliwem, bym mogła wpaść w daleko większe jeszcze nieszczęście, jak to, w któreś mnie Waćpan wtrącił.

Przemawiam do Waćpana całkiem rozsądnie, przynajmniej raz jeden w mojem życiu. Och, jak Waćpan będzie zachwycony, że tak się opanowałam, jak będzie ze mnie zadowolony!

Ona jednak już o tem nie chciała dowiadywać się od niego. Przy tej sposobności prosiła go raz jeszcze, by przypadkiem nie chciał pisać do niej.

Czyś Waćpan nigdy, chociażby na jedną chwilkę, o tem nie pomyślał, jak się ze mną obszedł? I nigdy Mu to na myśl nie przyszło, że ma wobec mnie daleko większe zobowiązania, aniżeli wobec kogokolwiek bądź na całym świecie?

Kochałam Waćpana, jak tylko w obłędzie kochać można. Jak ja pogardzałam wszystkim innem!

Waćpan nie postępował wobec mnie tak, jakby przystało na człowieka i czci i honoru! Musiałeś Waćpan mieć do mnie jakiś przyrodzony wstręt, jeżeliś mnie nie zdołał pokochać bezpamiętnie.

Dowodził tego przedewszystkiem jego wyjazd z Portugalji, wcale nie konieczny, ani tak pilny. „A czyżem się nie dowiedziała, że podczas całej podróży byłeś Waćpan w jaknajlepszym usposobieniu?”

Trudno się jej było dziwić w takich warunkach, że musiała go w końcu znienawidzić śmiertelnie, czego zresztą nie widziała powodu ukrywać teraz przed nim. Owszem, czuła raczej, iż jest zniewolona przyznać się do tego, a zniewolona jego niegodziwym postępowaniem.

Mimo to zdawała sobie sprawę, że ona sama była główną sprawczynią swego nieszczęścia, że ona sama, przez swą poczciwość i szczerłość, sprowadziła je na siebie. Bo nie tak należało postępować z nim, jak ona, żeby go na zawsze przykuć do siebie.

Waćpan zapragnął, bym Go kochała, a jakeś ten zamiar powziął, nic nie istniało, coby Cię powstrzymać mogło, aby go nie przeprowadzić. Byłbyś się nawet na to zdobył, by mnie pokochać, jeżeliby to wydało się koniecznem. Ale zbyt rychło przekonałeś się, że i bez miłości dopniesz swego celu, i wcale Ci ona nie była już potrzebną. Och, co za podły i niski postępek! Czyś Waćpan rzeczywiście myślał, że wolno Mu bezkarnie mnie oszukiwać?

Ta jego bezkarność w połączeniu z jej niepomszczoną krzywdą, to było upokorzenie dla niej, a zniewagą dla jej rodziny. Jakoż nie omieszkała mu tego w liście swym wypomnieć.

Gdyby kiedykolwiek jakiś wypadek miał Waćpana zawieruszyć kiedy w te strony, to mogę Go zapewnić, że oddam Go wtedy na pastwę zemsty mej rodziny. Żyłam długo w stanie poświęcenia samej siebie i w ubóstwianiu bożyszczą, w stanie, który dreszczem przerażenia mnie zdejmuję, a moje wyrzuty sumienia smagają mnie z nieubłaganem okrucieństwem. Widzę jak na dłoni, jak hańbiące są moje

zbrodnie, któreś mnie Waćpan popełniać zmuszał, a już niestety nie wypełnia mnie ta ślepa namiętność, która nie dozwoliłaby mi ujrzeć całego ich ogromu! O, kiedyż nadejdzie czas, gdy się uczuję wyzwoloną z tych wszystkich męczarni?!

A mimo to wszystko zdaje mi się, że nie życzę Mu coś złego, że nawet mogłabym się pogodzić z tem życzeniem, byś był szczęśliwy. Ale jakżeż nim być możesz, jeżeli masz wogóle jakieś serce?

Chciałabym raz jeszcze do Waćpana napisać, aby Mu udowodnić, że po niejakiś czasie przecież się trochę uspokoiłam. Jaką rozkosz mi to sprawi, że będę mogła Mu w oczy cisnąć wyrzuty za Jego niegodziwe zachowanie się wtedy, gdy już mniej mi serce krwawić się będzie; pokazać Mu, że nim pogardzam, że mówię o Jego zdradzie z najgłębszą obojętnością, że zapomniałam o wszystkich mych rozkoszach i udręczeniach, i że nigdy o Nim nie myślę, prócz wtedy, gdy zechcę.

Bo nareszcie wydobyła się z tego zaczarowanego koła, w które przez niego została wtrąconą.

Waćpan przysłużył mi się ogromną pomocą, a szczerze się przyznaję, że potrzebowałam jej w najwyższym stopniu. Jeżeli teraz odsyłam listy Waćpana, to te dwa ostatnie któreś mi napisał, chować, i w nich rozczytywać się będę bez końca, daleko gorliwiej, aniżeli w pierwszych. To będzie moją obroną przed dawną słabością. Ale jak drogo mnie one kosztują i jakbym pragnęła, abyś był zezwolił, bym Cię nie była przestała kochać.

Wiem bardzo dobrze, że zbyt dużo jeszcze jestem zajęta moimi wyrzutami i zdradą Waćpana, ale Waćpan nie powinien zapomnieć, że samej ślubowałam spokojniejsze życie i albo je osiągnę, albo też postanowię rozpaczliwy krok, o jakim się Waćpan bez zbytecznego wzruszenia i żalu dowie.

Ale już nic więcej od WPana sobie nie życzę. To prosty obłąd, że Mu to tak często i tyle razy powtarzam. A jest koniecznem, bym wybiła sobie Waćpana z myśli i o Nim zapomniała.

I nawet wierzę w to, że już nigdy do Niego nie napiszę.

Czyż może jestem zobowiązana dawać Mu dokładną sprawę z tego, jak uczucia moje się zmieniają?

Na sarkastyczne to pytanie, tak pełne — jak i cały ostatni ustęp zresztą — krwawej ironji, odpowiedziała sobie Marjanna

przecząco, uważając, że tak jej nakazywał postąpić nie tylko honor rodziny d'Alcoforadów, ale i jej własna obrażona duma.

VIII.

Groźby, że w ostateczności, gdyby po doznanym zawodzie miłosnym nie mogła znaleźć upragnionego spokoju, gotowa „postanowić rozpaczliwy krok“ t. j. targnąć się na życie, nie spełniła Marianna, na szczęście, nigdy; a choć po tragicznych wstrząśnieniach z powodu Chamillego bardzo podupadła na zdrowiu, to jednak sądzone jej było doczekać późnego wieku.

W zapiskach klasztornych (ogłoszonych przez historyka portugalskiego Cordeirę) napisano o siostrze Mariannie d'Alcoforado, że „przez wszystkie lata gorąco się służbie Bożej oddawała, wszystkim, jako przykład świeciła, nikt się na nią nie poskarżył, bo dla wszystkich była łagodną, i mimo wysokiego stanu i budzącej pobożności, zawsze pozostała w cieniu i na uboczu“. Raz tylko była kandydatką na przełożoną, mianowicie w r. 1709, ale na 109 głosów padło na nią zaledwie 48 (w klasztorze bowiem nie zapomniano o ciężkim występku, jakiego się przed laty przez złamanie ślubów zakonnych dopuściła). Pełniąc ciężką pokutę, dużo cierpiała i chorowała fizycznie, a choroby i utrapienia wszelkiego rodzaju znosiła z oddaniem się woli Bożej i z gorącym pragnieniem „by gorsze i cięższe jeszcze cierpienia ją nawiedzały“.

Śmierć miała pogodną, spokojną. „Gdy czuła, że koniec nadchodzi — zapisuje kronika klasztorna — prosiła o św. Sakramenty, które przyjęła całkiem przytomna; dziękowała Bogu, że ją uznał za godną, iż raczył zejść do przybytku jej serca; umarła z oznakami, iż w całej pełni żywot swój w łasce zakończyła, a do ostatniej chwili nie utraciła mowy“. Umarła 28 lipca 1723 r. w 83-cim roku życia.

A Chamilly? Jemu życie do samego końca słało się po różach. Rozpoczętą w Portugalji karierę wojskową zakończył na świetnym stanowisku Marszałka Francji. Doskonale ożeniony, z panną z wielkiego rodu, równie mądrą, jak bogatą, dużo się ocierał o dwór w Wersalu, i jako takiemu wystawił Saint-Simon w swych pamiętnikach wiecznie-trwały, choć niebardzo chwalébny pomnik.

„Chamilly — pisze słynny pamiętnikarz — był w rzeczywistości tęgim i dość dobrze zbudowanym mężczyzną; ale równocześnie był bardzo grubiański i tak głupi, tak ciężki na umyśle, że gdy się na niego patrzyło i jego bredni słuchało: człowiek nie tylko, że nie był w stanie pojąć, by się w nim jakaś kobieta

rozkochać mogła, ale nawet wątpić należało iżby mógł posiadać jakiś talent wojenny. Jeżeli zrobił wogóle jakąś karierę mimo swej potwornej głupoty, to zawdzięcza to jedynie swej żonie, mądrej i rozgarniętej osobie. Znając dokładnie wartość swojego męża, pani Chamilly na krok go nie odstępowała, wszystko za niego robiła, a on nawet tego nie miarkował“. Ona-to za pośrednictwem ministra Chamillarda wyjednała dla niego łaskę marszałkowską. „Do niego też adresowane były słynne Listy portugalskie jednej zakonnicy, którą poznał był w Portugalji, a która z miłości ku niemu oszalała“¹⁾).

¹⁾ Słynne te listy ukazały się w tłumaczeniu francuskim z portugalskiego oryginału, który zaginął, w Paryżu u Claude Barbina w r. 1669, w przekładzie hrabiego de Cuillaraques (przyjaciela Chamillego). Od tego czasu wyszło ich mnóstwo wydań. Na język polski przetłumaczył je i stosownym wstępem objaśniającym opatrzył Stanisław Przybyszewski. Wyszły one w Warszawie w drugim wydaniu, jako wydawnictwo „Lektora“ w r. 1921, p. t. „Listy miłosne Marjanny d'Alcoforado“. Szkic niniejszy oparty został na tem wydaniu. Do przekładu Przybyszewskiego wprowadziłem gdzieś tam drobne zmiany stylistyczne.

PIERWSZA MIŁOŚĆ ASNYKA



swym pięknym wierszu, poświęconym Kaliszowi, jako swemu *Rodzinnemu miastu*, a będącym rzewnem wspomnieniem spędzonych nad Prosną lat dziecięcych i szkolnych, kreśli Asnyk między innemi i taki obrazek:

Chociaż przechodzę około okienka,
Pod które dawniej zbliżałem się z drżeniem,
Już w niem nie siedzi *figlarna panienka*,
Co była pierwszej miłości marzeniem,
I tylko gzemsy opuszczone sterczą,
I patrzą na mnie dziwnie i szyderczo.

Jak to wykazano w swoim czasie ¹⁾, figlarnem tem dziewczęciem była w latach 1852—1856 kaliszanka, Walerja Nawrocka, w r. 1852 panienka 16-letnia, córka zamożnych obywateli, stale w Kaliszu zamieszkałych. Bardzo rozwinięta umysłowo, łączyła wybitną inteligencję z „porywającym wdziękiem“, co, oczywiście, łącznie z wrodzoną kokieterją, czyniło ją niebezpieczną w stosunku do mężczyzn, a cóż dopiero, jeśli tym przedstawicielem rodu męskiego był 14-letni Asnyk, wówczas od roku 1849 doskonale uczący się w szkole gimnazjalista, znany z tego wśród kolegów i znajomych, że miał talent do pisywania wcale zgrabnych wierszy. Wprawdzie go w domu rodzicielskim nieraz strofowano za to, a zwłaszcza ojciec, dawny żołnierz polski, był przeciwny tym poetyckim aspiracjom swego jedynaka; on jednak, nie zrażony temi ojcowskimi wątpliwościami, odpowiadał na nie z widoczną ufnością w swoje przyszłe powołanie: „Jak będę sławny, to ojciec wtedy nie powie: Na co to pisanie?“

I.

Na święta wielkanocne w r. 1852 wybrali się oboje państwo Asnykowie z synem na wieś do Kalinowej, do swych znajomych, państwa Szrubarskich. Tam poznał przyszły autor *Legendy pierw-*

¹⁾ Por. „Biesiada Literacka“ z r. 1902, Nr. 26—29, artykuł Z. Sokołowskiej.

szej miłości piękną pannę Walerję, która od razu zrobiła na nim bardzo silne wrażenie, tak iż zakochał się w niej momentalnie, która jednak miała tę wielką wadę, iż była od niego o całe dwa lata starszą, co w tym wieku stanowi ogromną różnicę, zwąwszy, iż chłopiec 14-letni jest jeszcze dzieckiem, choćby był nawet takim wesołym urwisem, jak Asnyk wówczas, kiedy panna 16-letnia jest już panną na wydaniu, a w każdym razie może nią zostać niedługo.

Nie zważając na to, młodziutki poeta zaraz zaczął snuć różową przędzę marzeń, podczas gdy panna ani przez chwilę tego studenckiego afektu nie brała na serjo. Bawiła się z nim chętnie, tak dalece, że nawet, gdy się w chłopięcej swawoli wdzierał na drzewa, lub przeskakiwał przez rowy i płoty, nieraz w tych zabawach dotrzymywała mu towarzysztwa, bo bardzo była żywa i wesoła z natury, ale nie znaczyło to jeszcze bynajmniej, by się przejmowała jego miłosnem dla niej uczuciem, którego domyślała się wprawdzie, choć jej go nie śmiał wyznać otwarcie, na które jednak ani myślała reagować. Bo co innego przecież jest dorosła panna, dumna z pierwszej długiej sukni, a co innego studentek w mundurku szkolnym, choćby nawet pierwszy uczeń w klasie!

Mimoto wrażenia z Kalinowej (gdzie prawdopodobnie i wakacje spędzano wspólnie) znalazły z czasem, po latach, swe poetyczne odbicie w dwóch wierszach El...ye'go, w *Powrocie do domu* i w *Cichem wzgórzu*. W pierwszym z tych rzewnych liryków, malującym w noc księżycową widok „wioski, co w dole ponad srebrzystym rzucona strumieniem“, „wysmukłemi topolami“ zdala rzucała się w oczy, opisuje poeta, jak

Świadomy drogi, przez laszek brzozowy,
Zbiegł na dół ścieżką i zniknął w olszynie,
Aż stanął wkrótce na mostku przy młynie,
Słuchając jego z bocianem rozmowy.

Co mu powiedział bocian i młyn stary
Swoim klekotem, płynącym po rzeczce?
Jakie obudził wspomnienia i mary
Ten głos dwóch starców w nieustannej sprzeczce?
Nie wiem. Lecz silniej pobladły mu lica
W srebrzystym świetle bladego księżyca,
I boleść w niemej utopił zadumie,
Szukając wspomnień w śpiewnym rzeczki szumie.

Wiatr mu z bliskiego przynosił ogrodu
Znajomych kwiatów woń pamiętną, miłą...
I zaczął marzyć, jak kiedyś za młodu,
Jak gdyby w życiu nic się nie zmieniło!
I cała przeszłość stanęła tak żywa,
Skupiona w jednym tęczowym obrazku;
I pierzchłe złotej młodości ogniwa
Nabrały teraz nieznanego blasku.

Cichego szczęścia najmniejsze wypadki,
 Jasnym płomieniem świecące ognisko,
 I te najśłodsze pocałunki matki.
I drugie, również anielskie zjawisko:
 Wszystko to widział w dziwnej mgle niebieskiej,
 Jak poplątane cudne arabeski.

Wiersz o *Cichem wzgórzu* przynosi inne sielskie wspomnienie z Kalinowej, związane z panną Walerją, jako „anielskim zjawiskiem“ w ówczesnem życiu młodego gimnazysty z Kalisza.

Znam ja jedno piękne wzgórze;
 Na niem kwitną przy figurze
 Przeźroczyście polne róże.

Boża męka pochylona
 Patrzy z ciszą i spokojem,
 W świat wyciąga swe ramiona
 Ponad ziemskim krwawym znojem.

Jak tam słodko, jak tam błogo!
 Niedotknięte bólem, trwogą
 Serca w niebo płynąć mogą.

Tęsknych dumań nic nie zmaci;
 Cichnie ludzkiej głos boleści...
 Chyba wietrzyk listkiem trąci
 Lekko, śpiewnie zaszeleści...

Kiedy słońce z nieba schodzi
 W swojej złotem tkanej łodzi,
 W purpurowych fal powodzi;

To nad wzgórkim twarz swą zniża,
 Pożegnalnym blaskiem strzela
 I całuje stopy krzyża,
 Święte stopy Zbawiciela.

Pod tym krzyżem w *pierwszej wiosnie*
 Z polną różą, co tam rośnie,
 Wyglądałem w świat radośnie;

Pod tym krzyżem w ranek jasny
 Na mogile kwiaty rwałem,

a że to czynił razem z panną Walerją, do której mu w tej „pierwszej wiosnie“, jako do „anielskiego zjawiska“ wyrывała się jego dusza młodzieńcza, to się rozumie samo przez się... Niemniej zdaje się być pewnem, że kiedy poeta w zakończeniu tego pięknego wiersza powiada, że chciałby znów „siaść pod krzyżem na mogile“ i raz jeszcze usłyszeć o zmroku

Pieśń nabożną tego ludu,
 Co się modląc ze łzą w oku
 Oczekuje zawsze cudu,

to należy go sobie podczas tej rzewnej ludowej sceny wyobrazić przy boku panny Walerji i razem z nią zasłuchanego w tę „pieśń nabożną“.

II.

Gdy powrócono do Kalisza, państwo Asnykowie nie tylko nie przerwali miłej znajomości z rodzicami Walerji, ale dopiero na dobre zaciśnęli jej węzły, tak, że niebawem zapanowała serdeczna przyjaźń między obu domami. Widywano się i bywano u siebie często, a młody Asnyk, z każdym dniem coraz bardziej ulegający urokowi „figlarnej panienci“, korzystał z każdej okazji, żeby z nią być razem. Jakoż miał aż nadto sposobności po temu, by się przekonać osobiście, że

Pierwsze uczucia to kwiaty wiosenne,
Co się swą własną upajają wonią,
Przed żywszym blaskiem jeszcze w cień się chronią
I wierzą jeszcze w swe trwanie niezmiennie.

Pierś mu wzbierała uczuciem i

Wonny miłości kwiat
Perłowym blaskiem lśnił.

Chwile, które spędzał z panną Walerją, przyprawiały go o rozmarzenie. Choć młodziutki poeta niby to kochał się szalenie, co dla panny nie było tajemnicą, to jednak głównie chodziło o zabawę, jak to między dwojgiem młodych, prawie jeszcze dzieci.

To też, gdy się rozbawili oboje, nieraz posuwali się w swawoli tak daleko, że aż pani Asnykowa musiała hamować ich zapał, przestrzegając, by nie przesadzali w zbytkach.

Nie znaczy to przecież, by nie uprawiali i poważniejszych rozrywek. Owszem, lubili i to. Szczególniej nęciły ich rozrywki umysłowe, literackie, związane z poezją, która dla obojga miała nieprzeparty urok. Zdarzało się często, że Asnyk, przychodząc do państwa Nawrockich, przynosił z sobą dla panny Walerji przepisane przez siebie wiersze, których następnie na wyścigi oboje uczyli się na pamięć. Że zaś i on i ona odznaczał się niepowседневną inteligencją, że i on i ona wzrosli w niebanalnej atmosferze umysłowej domowej, zwłaszcza gdy chodziło o uczucia patriotyczne, narodowe, więc i dysputy poważne o sprawach społecznych i politycznych nie były wyłączone z ich rozmów. Bo nie brakło spraw i kwestyj, do których się zapalały ich młodociane umysły...

Bardzo miłe chwile spędzali u sąsiadki państwa Nawrockich, w tym samym domu mieszkającej, pani Czajkowskiej, ociemniałej staruszki, którą Walerja często odwiedzała z dobrego serca, a do której raz po raz szła z młodym Asnykiem, by jej czytać na głos, w czym przyszły autor *Legendy pierwszej miłości* celował oczywiście.

Początkowe strofy tej „legendy“ (ukazującej jednak tę „pierwszą miłość“ już przez heinowski pryzmat) doskonale dają wyobrażenie o charakterze tej niewinnej, dziecinno-romansowej idylli.

Ja ją kochałem — tak mi się zdaje —
Bo cudną była w szesnastej wiosnie;
Umiała patrzeć na mnie miłośnie
I rwać mi serce w nadziemskie kraje:
A więc w jej oczach, pełnych tęsknoty,
Tonałem wzrokiem, i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie
Ponad jej włosów wybiegły sploty:
Tak, że je zrywać ustami chciałem,
I byłbym przysiągł, że ją kochałem.

Ja ją kochałem! Ach! jestem pewny!
Bom często błdził w noc księżycową,
Przypominając mojej królowny
Każde spojrzenie i każde słowo;
A w gwiazdy patrząc wpólnieprzytomnie,
Widziałem usta zwrócone do mnie,
Że aż mnie brała wielka pokusa
W wonne powietrze rzucić całusa...
Lecz się obrazić skromnej lękałem,
I dość mi było, że ją kochałem...

Miłość to była, lecz taka cicha,
Że sam przed sobą bałem się zdradzić,
I tylko kwiatów szedłem się radzić:
Czemu dziś smutna? i czemu wzdycha?
Ale o serca jej tajemnicę
Nie chciałem nawet lilji zapytać;
A gdy w ogrodu weszła ulicę,
Stałem, nie śmiejąc wzrokiem ją witać,
I tylko do nóg upaść jej chciałem,
Kiedy w jej oczach łezki dojrzałem...

W każdym razie ta wspomniana tu „tajemnica serca“ panny Walerji może dać do myślenia, bo że na dnie tej tajemnicy nie było miłości dla Asnyka, to jest pewnem, to nawet dla niego nie było tajemem...

A ponieważ był zakochany, jak student, a przynajmniej jak przystało na studenta, więc przeżywał z panną Walerją dużo chwil miłych, upajających... jego, nie ją, chwil lubego i nieszkodliwego flirciku, z których jedną nawet opisał w swej *Spóźnionej odpowiedzi*, również na ton heinowski nastrojonej.

Miałem raz jedną szczęścia chwilę,
Chwilę radosną, lecz zbyt krótką:
Patrzałaś na mnie dziwnie a mile,
Siedząc cichutko.

Ja byłem wtenczas tak wymowny!
Tyś mię słuchała, pieszcząc pieska,
Na ustach uśmiech wykwił czarowny,
A w oku łezka.

Mówiłem wiele w upojeniu,
Miłością brzmiało każde słówko;
A tyś tonęła w słodkiem marzeniu,
Z schyloną główką.

Słyszałem serca twojego bicie,
Widziałem w wzroku wzruszeń tyle...
Ach! jeszcze dzisiaj oddałbym życie
Za taką chwilę!

Wyznałem moją miłość całą,
Czekając, co mi powiesz sama;
Nie wiem, co ze mną wtenczas się działo...
W tem weszła mama.

Ja się zmieszałem, a tyś się zlekła
I odtrąciłaś ręką pieska;
Pierzchła odpowiedź, i w locie pękła
Bańka niebieska.

Ale zdarzały się i takie chwile, że młody romantyk wydawał się pannie w swych romantycznych porywach dosyć komicznym. Raz np. przyszedł do państwa Nawrockich w nowej pelerynie, zwanej ponszą. Gdy go ujrano w niej, wszystkich ogarnął śmiech, a „figlarna panienka“ wcale nie była ostatnią, którejby ta jego śmieszność nie ubawiła serdecznie. Na nic się zdały wszelkie argumenty młodego właściciela ponszy: choć się odcinał jak mógł, nikt się nie dał przekonać jego dowodzeniom i replikom, tak, że wrażenie śmieszności, które wywołał swoją ponszą, pozostało niezatartem.

Jakież jednak było zdziwienie państwa Nawrockich, gdy nazajutrz zjawił się u nich Asnyk znowu w swojej romantycznej ponszy, ale, stanąwszy w progu, w żaden sposób nie chciał iść dalej. Dopiero wtedy spostrzeżono kartkę, którą miał przypiętą do peleryny, a na tej kartce był wypisany następujący wiersz:

Ponszu mój, ponszu, z ciebie się śmieją!
I ze mnie także ludzie się śmieją...
Lecz ja się cieszę błogą nadzieją,
Ze śmiech szyderców wichry rozwieją!

Ponszu mój, ponszu, z ciebie się śmieją!
 I ze mnie także śmieją się ludzie;
 Lecz jam spokojny, myślę o cudzie,
 Cud ich nawróci, cud ich oświeci!
 Dziś oni tylko śmiać się umieją,
Bo jeszcze młodzi, bo jeszcze dzieci.

Ponszu mój, ponszu, z ciebie się śmieją!
 I ze mnie także ludzie się śmieją.
 Więc, gdyśmy bracia losów kolejną,
 Niech się tam ludzie śmieją i śmieją!

Zawarte w wierszu tym pełne pobłażliwości wyrażenie: „*Bo jeszcze młodzi, bo jeszcze dzieci*“, pozwala się domyślać, iż najbardziej ze wszystkich w domu państwa Nawrockich śmiała się z tej Asnykowskiej ponszy panna Walerja.

Mimo to imponowały jej czasem jego wiersze, które pisywał przy każdej nadarzonej sposobności, a między którymi nie brakowało już i udatnych. Zachęcona tym przykładem swego wielbiciela, postanowiła i ona wstąpić na tę drogę i napisała parę wierszyków, które mu dała do przeczytania. Wiersze te jednak nie zyskały jego aprobaty. Choć zakochany w ich autorce, mimo to, nie potrafił się zdobyć na tyle obłudy, żeby chwalić, co uważał za liche, i powiedział to pannie otwarcie... Zmysł krytyczny i uczciwość literacka wzięły górę nad sentymentem... Dowód to, że już w młodym gimnazjum tkwił materiał na przyszłego autora studjów literackich o *Antygonie* i *Trubadurach prowansalskich*.

III.

W roku 1854 skończył Asnyk gimnazjum. Ponieważ miał dopiero 16 lat, więc do żadnego wyższego zakładu naukowego nie mógł być jeszcze przyjętym. Był za młody. Nie pozostawało nic innego, tylko musiał zostać jeszcze dwa lata w domu, zanim nie dojdzie do przepisanego wieku.

Czas ten, bardzo dla Asnyka miły pod każdym względem, ile że dawał mu dużo swobody, upływał dlań z wielką korzyścią. Czując wrodzony pociąg do pióra (choć ojciec wciąż był przeciwny wszelkim marzeniom o karierze literackiej i poetyckiej), z całym młodzieńczym zapałem wziął się do pracy nad sobą, a żądny wzbogacenia umysłu, kształcił się poważną lekturą, tak, że „przeczytał przez ten czas wszystko, co było do przeczytania w Kaliszu“.

Pozatem kochał się i pisał wiersze z myślą o swym ideale, lub na tematy, związane z wdzięczną osobką panny Walerji.

Wśród tych okoliczności napisał raz wiersz *Na śmierć słowika*, wiersz, którego geneza była następująca:

Na dziedzińcu domu państwa Nawrockich rósł piękny kasztan z rozłożystymi konarami. Pod tym kasztanem stała ławeczka, na której często siadywano w pogodne wieczory wiosenne. Poetycznie usposobieni Asnyk i panna Walerja żalowali tylko, że niema słowika. Nagle, któregoś wieczoru, usłyszeli cudny śpiew słowicza, rozlegający się z pośród liści kasztanu, i odtąd co wieczór przysłuchiwali się tym miłosnym zawodzeniom i trylom. Ale pewnego dnia znaleziono pod drzewem ptaszynę... nieżywą. Zasmuceni tą śmiercią, młody poeta i jego „figlarna“ Beatrice, zrobili trumienkę z kart, a gdy ptaszka pochowali w ogrodzie, Asnyk poświęcił mu takie epitaphium:

Wiosny śpiewaku, martwym widzę ciebie.
Czy trzeba było twoich dźwięków w niebie,
O biedny ptaszku? Czyżes tak zawczasie
Wyśpiewał wszystkie twego życia pieśnie?
Czyś na to umilkł, ażeby wraz z pieśnią
Pokryć swe życie zapomnienia pleśnią?
Czy głosu zbrakło, czy nie stało męstwa
Śpiewać hymn życia, wielki hymn męczeństwa?

Biedny śpiewaku! U twego podnóża
Nie kwitnie żadna lilja ani róża.
Nie masz słanego łoża z wonnych kwiatów,
Co kiedyś twoich słuchały tematów,
A coby wonią kołysały ciebie,
Jaśniały blaskiem na twoim pogrzebie.

Nie masz ty nawet rodzinnego gniazda,
Gdzieby choć jedna zaświeciła gwiazda
Nad twojem czołem aureolą chwały,
Gdzieby ci gaje rzewnie zaszumiały,
I gdzieby księżyc posrebrzył ci lice,
Gdzieby nad tobą płakały dziewice,
Dziewice, które w pierwszy brzask poranny
Słuchały twojej niebieskiej hosanny.
O, gdzież są one, by na skroń proroka
Wylać łzę jedną z błękitnego oka!

Leżysz na zimnej pościeli samotny,
Na ziemi twardej, na trawie wilgotnej,
Bez śpiewu braci, bez kadzideł woni:
Bez łez spoczywasz w cienistej ustroni!
Ale, śpiewaku, już ja wiem, co zrobię:
Złożę cię w godnym twoich pieśni grobie.

Z bzu i fiołków łoży ci uścielę,
Starannie osty i piołun oddzielę,
Zawezwę różę: splecie ci koronę,
Lilja na piersi srebrzystą zastonę.

I gwiazd poproszę, by blaski sypały;
 Poproszę krzewin, by rzewnie szumiały,
 I łązy uronim na twoim pogrzebie:
 A tak cię uczcimy pieśnią godną ciebie.

Cokolwiekby się dało powiedzieć o artystycznej wartości tego wiersza, zdaje się być pewnem, że gdzie takie wieczorne sjeśty pod rozłożystym kasztanem, umilane śpiewem słowiczym, powtarzają się dość często, tam muszą się tworzyć nastroje romansowe. Cóż dopiero, gdy w grę wchodzi młody poeta, z zapalem rozczytujący się w romantykach, i młoda, dorastająca, a „figlarna“ panienka, ładna, inteligentna. Wprawdzie panna Walerja, choć doskonale zdawała sobie sprawę z uczuć swego przyjaciela i wielbiciela, nie podsycala ich bynajmniej, owszem, przy każdej sposobności sprowadzała go z dziedziny uludy na ziemię, i nieraz, gdy rozplamieniał się nadmiernie, oblewała go zimną wodą; ale i ta ostudzająca metoda zawodziła czasami. Bo z miłością niema żartów.

Któregoś dnia np. przyszło do bardzo bolesnej sceny pomiędzy nimi. Oto Asnyk ofiarował pannie Walerji wierszyk, wyraźnie dla niej i z myślą o niej napisany, a równający się ni mniej, ni więcej, tylko otwartemu wyznaniu miłości. Przeczytawszy go, panna Walerja nie zawahała się postawić kwestji jasno i stanowczo: oto, przedarłszy kartkę, rzuciła ją — w oczach autora — w ogień. Widząc to poeta, w którym jeszcze dziecko brało górę nad hartem męskim, rozplakał się. Albowiem była to dlań klęska podwójna: raz, jako zawiedziona miłość, a powtóre, jako obrażona duma.

Zdawało się w pierwszej chwili, że po tej scenie skończy się poetyczna sielanka z „figlarną panienką“, że choć w niej widział „anielskie zjawisko“, to przecież, boleśnie dotknięty w swej miłości własnej, zrazi się do swego ideału.

Nie zraził się jednak. Nie mogąc zdusić swej miłości dla niej, w dalszym ciągu bywał codziennie w jej domu, a gdy się zaczął sezon zimowy, z rozkoszą jej towarzyszył na wszystkie koncerty, przechadzki i wieczory. A jednocześnie, pod wrażeniem różnych przeżyć, pisał wiersze i piosenki, o których sam z czasem tak pisał żartobliwie:

Najpiękniejszych moich piosnek
 Nauczyła mnie dziewczeczka,
 Mistrzem bowiem były dla mnie
 Harmonijne jej usteczka.

Te usteczka brzmiały zawsze
 Jakąś piosnką świeżą, nową;
 Każdy uśmiech był melodią,
 Śpiewem było każde słowo.

Wszystko, o czym serce śniło,
Wszystko, o czym nawet nie śni,
Odbijało się w jej oczach
I płynęło w słodkiej pieśni.

Więc mnie zawsze przy jej boku,
Wpatzonego w jej oblicze,
Kołysały śpiewne mary,
Czarodziejskich brzmień słodyczne.

Autor tych wierszyków, wówczas już młodzieniec 18-letni, smukłego wzrostu, biały i różowy, z bujną czupryną i piękniemi, pełnemi melancholijnego wyrazu oczyma, mimo to nie posiadał warunków, by móc asystować pannie na wydaniu, jaką już była panna Walerja. Przedewszystkiem nie miał dostatecznego wyrobienia towarzyskiego, a zwłaszcza salonowego. Nieśmiały z natury, nie umiał tańczyć, a przynajmniej tańczył tak niezgrabnie, tak wiecznie pannie nadeptywał na suknię, tyle razy w tańcu oberwał jej falbanę, że o ile z nim decydowała się tańczyć na wieczorkach prywatnych, o tyle na balach publicznych, na których mogła przebierać pomiędzy najlepszymi danserami, musiał rezygnować z tej przyjemności.

Gdy ją raz na balu w resursie zaprosił do mazura, o którym nie miał pojęcia, odmówiła mu wręcz, mówiąc:

— Nie chcę narażać pana i siebie na śmieszność.

Biedny poeta był w rozpacz, ale nie było rady.

Te sceny na różnych balach i wieczorkach tańczących w mniej lub więcej ścisłym związku pozostające z różnemi sukienkami balowemi, a także i z różnemi nastrojami karnawałowemi, wpływającemi na usposobienie rozbawionej panny na wydaniu, znalazły swe poetyczne odbicie w następujących strofach *Legandy pierwszej miłości*:

Bo przypuszczałem, że smutek rzewny,
Rozlany na jej anielskiej twarzy
Wypłynął z serca i siadł na straży...
Tak przeczuwałem, nie będąc pewny.
I sam już nie wiem, jak się to stało,
Że zapytałem drżący, nieśmiało:
Co jest jej smutku dziwną przyczyną,
I czemu łezki po twarzy płyną?
Na to odrzekła smutnemi słowy,
Że nie ma świeżej sukni balowej...

Chociaż wyrazy te obojętne
Upadły szronem, co serce ziębi,
Ale jej oczy mówiły smętne,
Że się myśl inna kryje gdzieś głębiej!
Więc pomyślałem, żem był za śmiały,

I chcąc złagodzić moją zuchwałość,
 Balowej sukni chwalilem białość;
 Chwalilem ciernie, które jej bronią
 Przed zbyt ciekawych natrętą dłońią.

Przypuszczenie Asnyka, iż powodem smutku i źle ukrytych łez jest co innego, niż suknia balowa, że „myśl *inna* kryje się gdzieś głębiej“, bo w serduszkach, dobrze świadczyło o przenikliwości młodziutkiego poety, o jego znajomości serca kobiecego. Albowiem istotnie panna Walerja w tym karnawale miała inne, daleko poważniejsze powody do zmartwień... Jakie? W każdym razie Asnyk, kiedy miał uzasadnione podejrzenie, iż tu w grę wchodzi jakaś sprawa sercowa, a może jaki bolesny zawód sercowy, był, zdaje się, najbliższym prawdy. A że panna, nie chcąc się przyznać do rzeczywistego powodu swego smutku i łez, złożyła je na karb... sukni balowej, na to był za inteligentny, ażeby się nie poznać na takim farbowanym lisie. A powtóre sam był zakochany, więc w stanie nerwowego przeczulenia, czyli że intuicyjnie czytał w serduszkach panny, że to serduszek wyrzywało się do kogoś innego, co również bywał na tych balach...

Wogóle panna Walerja, rozglądająca się za poważniejszymi epuzerami (wszak miała już 20 lat), na swego poetycznego adoratora patrzyła trochę z góry, jak królowa na pazię, dla którego miała wiele sympatji, ale który wcale nie był poważnie brany w rachubę. Pod tym względem i jej rodzice byli tego samego zdania, uważając, że Asnyk, choć miły i utalentowany młodzieniec, bezwarunkowo był za młody na męża dla ich córki, o dwa lata przecież starszej od niego.

Całkiem inaczej rozumowali państwo Asnykowie. Wiedząc, że ich Adaś był zakochany w pannie Walerji, która im bardzo odpowiadała, jako przyszła synowa, marzyli o tem, żeby za uzbierane pieniądze, do których dołączyłoby się posag panny (zdaje się znaczny), kupić wieś, tę samą Kalinową, gdzie młodzi poznali się z sobą, i po ślubie osiedlić ich tam na gospodarstwie. Niestety, ojciec Walerji bardzo krytycznie zapatrywał się na te nierealne projekty, twierdząc, całkiem słusznie zresztą, że 18-letni Adaś, jeszcze dziecko prawie, o wszystkim mógł myśleć w tej chwili, ale nie o małżeństwie, na które miał jeszcze przynajmniej kilka lat czasu, gdy tymczasem Walerja, o ileby znalazła stosownego oblubieńca, zaraz mogła wyjść za mąż. Wobec tego, gdy rodzice poety, chcąc wiedzieć, czego się trzymać, wystąpili z konkretną propozycją, pan Nawrocki dał odpowiedź odmowną.

Nie popsuło to jednak zażyłych stosunków przyjaźni między obu domami, tylko, że młody poeta od tej chwili ciągle musiał się mieć na baczności, ażeby nie powiedzieć jednego słowa za

wiele. Bo gdy tylko wystąpił z jaką aluzją do swej miłości, gdy tylko usiłował dać do zrozumienia, że się kocha, a chciałby się kochać z wzajemnością, zaraz go panna bardzo delikatnie i dowcipnie przywoływała do porządku, udając przedewszystkiem, iż nie rozumie o co mu chodzi, że nie przypuszcza nawet, by mógł myśleć o czemś więcej, niż o zwykłej, do niczego nie zobowiązującej przyjaźni.

Poeta z początku niedość się orjentował w sytuacji, ale w końcu poznał się na subtelnej taktyce panny i nie pozostawało mu nic innego, tylko *faire bonne mine au mauvais jeu*.

W jaki sposób przejawiała się ta jego nieodwzajemniana miłość, a przytem, jak na nią reagowała panna Walerja, o tem daje zupełnie dokładne pojęcie *Legenda pierwszej miłości*, wprowadzie ironizująca na ten temat, ale osnuta na zdarzeniach i epizodach prawdziwych.

Jednak już potem częściej myśl płocha
Trącała skrzydłem w błękit mych marzeń,
I z różnych rozmów, sprzeczek i zdarzeń

(bo nie obywało się czasami i bez sprzeczek)

Stawiałem wnioski: kocha? nie kocha?
I z tem pytaniem, jak Hamlet nowy,
Chodziłem długo w ranek majowy;

(a więc już po owym pamietnym karnawale)

A kwiaty wonią, drzewa szelestem
Odpowiadały: Kocham i jestem!
Nim powtórzyłem setne pytanie,
Wybiegła wołać mnie na śniadanie.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że opisany tu epizod należy odnieść do jednego ze wspólnych pobytów na wsi, w Kalinowej.

Różowa ze snu, w słońcu przejrzysta,
Stała przedemną jasna i czysta.
Zamiast brylantów na złote włosy
Jaśminy kładły kropelki rosy...
I tak oblana światła potokiem
Jeszcze mię swoim paliła wzrokiem;
A ja zmieszany, mówiłem do niej
O drzew szeleście i kwiatów woni...
Lecz ją nudziła moja rozprawa,
Bo rzekła: „Chodź pan, wystygnie kawa“.

Oj! Oj! Figlarko! — myślałem z cicha —
Nie chcesz mnie słuchać na głos i w oczy,
Za to twój uśmiech mówi uroczy
I pierś, co mocniej teraz oddycha.

Nie chcesz mnie słuchać, bo w serca drzeniu
 Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,
 Gdy ci wypowiem z schyloną twarzą
 Słowa, co w ustach moich się ważą...
 Wtem ona, widząc, żem zadumany,
 Rzecze: „Pan jesteś dziś niewyspany..“

I tak mię nieraz mała psotnica
 Zbijała z tonu krótkimi słowy.
 Jam się w anielskie wpatrywał lica,
 I w usta pełne niemej wymowy.
 I myśl czytałem, co z oczu strzela;
 A serca mego tamując bicie,
 Czułem, że nic nas już nie przedziela,
 Że toniem razem w marzeń błękicie...
 Lecz gdy się tylko spojrzałem tkliwiej,
 Pytała: „Czemu pan się tak krzywi?“

Podczas takich niewinnych sam na sam prosiła raz panna Walerja swego młodego adoratora, którego coraz udatniejsze wierszyki zaczynała cenić naprawdę, ażeby jej wpisał coś do pięknego sztambuchu (w czerwonej oprawie), w którym chciała mieć wpisy swoich bliższych znajomych i przyjaciół. Asnyka spotkał ten zaszczyt, że jego wiersz miał wypełnić pierwszą kartkę, a przynajmniej on miał się wpisać pierwszy. Korzystając z tej sposobności, przyszedł autor *Legendy pierwszej miłości* wpisał wierszyk, w którym „ognistem słowem“ wyjawiał swe uczucia dla „figlarnej“ właścicielki albumu; ta zaś, przeczytawszy to wyznanie, niemile niem zdziwiona, wydarła zapisaną kartkę, uważała bowiem, że jest to najstosowniejsza odpowiedź, wyjaśniająca wszelkie nieporozumienia w tej drażliwej sprawie. Poeta czuł się bardzo dotknięty tym postępkami panny, ale wybaczył jej i to...¹⁾.

W *Legendzie pierwszej miłości* odbił się niemiły dla poety epizod w następujących strofach:

Raz, ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą
 Ukraść jej z album karteczkę białą
 I na niej wszystko wypisać szczerze,
 Co mnie ochota powiedzieć bierze:
 A więc ubrałem w uroczne farby
 Całą jej postać czystą, powiewną,
 I wysypałem końcówek skarby,
 By miłość moją uczynić śpiewną:
 Słowem, jak młody poeta liryk,
 Wpisałem wierszem jej panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać;
 Ale przemogła trwogę ciekawość

¹⁾ W cytowanym artykule w „Biesiadzie literackiej“ pisze p. Zofja Sokołowska: „Miałam w ręku ten sztambuch, małą książeczkę w czerwonej oprawie, z wydartą kartką, na której Asnyk ognistem słowem skreślił wyznanie pierwszej miłości. Reszta stron jest pusta; nikt po nim się nie wpisał“.

I już wolałem przy niej zaczekać,
 Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość.
 Ona czytała uważnie, zwolna,
 A gdy zdumienie minęło pierwsze,
 Rzekła: „Pan także pisuje wiersze?
 Szkoda, że kartkę odjąć wypadnie,
 Bo pan tak pisze krzywo, nieładnie!“

Zrazu to nieco mnie zabolalo,
 Że mnie tak zbyła lekko, złośliwie;
 Ale myślałem: Ja się nie dziwię,
 Że moje wiersze ceni tak mało.
 Ona! to jeden poemat cały
 A moje wiersze pełne wyrazów
 Pustych i ciemnych, mglistych obrazów,
 Które w jej oczów blasku stopniały...
 Nie umiem oddać tego, co roję:
 Ona piękniejsza, niż wiersze moje.

I trwała ta sielanka jeszcze czas jakiś, a choć młodemu poecie coraz wyraźniej dawano do zrozmienienia, żeby sobie miłość tę wybił z głowy, on kochał ciągle, czemu w końcowej strofie *Legendy pierwszej miłości* taki dał sentymentalny wyraz:

I coraz bardziej i coraz więcej
 O jej prostocie myśląc dziecięcej,
 Pytałem siebie: Czy jestem godny
 Takiej miłości czystej, łagodnej?
 Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej
 Gotów me życie poświęcić w dani;
 I byłbym rzucił wszystko, gdy trzeba,
 I poszedł za nią prosto do nieba,
 I byłbym poszedł za nią do piekła,
 Gdyby...

gdyby nie zaręczyła się właśnie z innym! z p. Stanisławem Skoniecznym. Dla Asnyka było to, zdaje się, niespodzianką, wnosząc z ostatniej zwrotki *Spóźnionej odpowiedzi*, brzmiącej, jak następuje:

Potem ubiegło czasu wiele:
 Czekałem długo na odpowiedź,
 Aż usłyszałem w jedną niedzielę
 Twoją zapowiedź.

Raniony w samo serce, poprostu złamany tym zawodem (o którym też do końca życia nie lubił mówić), a pragnąc ten kielich goryczy wypić aż do dna, prosił Asnyk o jedno: żeby mógł być drużbą na weselu panny. Ale i tej jego prośbie nie uczyniono zadość, gdyż na wesele — może ze względu na niego właśnie — proszono tylko najbliższą rodzinę państwa młodych. Wobec tego wybrał się Asnyk na ślub do kościoła,

ażeby zobaczyć swoją ukochaną, jak przysięgała dozgonną miłość i wierność... innemu!

Że go ten widok przejął bezbrzeżnym smutkiem, a jego rozdarte serce nie wytrzymało tak bolesnego wrażenia, tego dowód miał zaraz po powrocie do domu, gdzie wyczerpany nadmiarem wzruszeń, ledwo się znalazł w swoim pokoju, rzucił się na łóżko, a krew strumieniem rzuciła mu się z ust.

IV.

Stało się to w r. 1856. Asnyk miał lat 18, a więc nadszedł czas, żeby — zamiast o małżeństwie z miłości — zaczął myśleć o wstąpieniu do jakiegoś wyższego zakładu naukowego. Ze względu na jego delikatne zdrowie (nie wolne od obaw o suchoty), było życzeniem rodziców, by osiadł na wsi. W tym celu wysłano go do szkoły agronomicznej w Marymoncie. Nasiąkły pojęciami romantycznymi, marzący o laurach poetyckich, jechał tam niechętnie, skarżąc się przed wyjazdem, iż „prowadzą go, jak cielę na rzeź”. Ale już w r. 1857 przeniósł się poeta do Warszawy, do świeżo otwartej akademii medycznej, a gdy i tu warunki okazały się niekorzystne, zapisał się znowu na medycynę, na uniwersytecie we Wrocławiu.

W ciągu roku 1858, w czasie bytności w Kaliszu u rodziców, spotkał się raz Asnyk na obiedzie u państwa Nawrockich ze swym dawnym ideałem, obecnie już od dwóch lat panią Stanisławową Skonieczną. W rozmowie z nią, obracającej się głównie około kwestyj literackich, poeta jednak poprowadził ją w ten sposób, że znalazł okazję do zrobienia delikatnej aluzji do swojej nieszczęśliwej miłości, która — jak to dał do zrozumienia — jeszcze mimo wszystko, co zaszło w ciągu upłynionych dwóch lat, nie wygasła w jego sercu. Oto naprowadziwszy rozmowę na temat Słowackiego, którego był żarliwym wielbicielem, i jego miłosnego poematu *W Szwajcarji*, wyznał, że z poematem tym nigdy się nie rozstaje. Na dowód zaś, że mówi prawdę, wyjął z kieszeni małą książeczkę, podał ją pani Walerji i, mówiąc: „Oto mój ulubiony ustęp!” wskazał na początkową strofę, na dwa pierwsze wiersze:

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.

Czy pani Walerja zrozumiała intencję Asnyka? Niewątpliwie, bo od czegoż kobieca „domyślność serca”? W każdym razie Asnyk jeszcze dość długo żył wspomnieniem tej swojej pierwszej miłości, bo

Choć wszystko pierzchło, znikło,
Serce kochać nie odwykło

i „młodzięczych natchnień chwila“ jeszcze mu przez lat kilka „zasilała duszę“.

Po burzliwych przejściach r. 1863, po dłuższym pobycie we Włoszech, po zdaniu egzaminu doktorskiego w Heidelbergu w r. 1866, osiadł poeta najprzód we Lwowie, a potem z rodzicami w Krakowie; gdy zaś od r. 1864 zaczął w czasopismach i w osobnych tomach ogłaszać swoje poezje, odrazu stał się sławnym, wszyscy w nim jednogłośnie powitali najznakomitszego poetę współczesnego, pierwszego po wielkiej trójcy romantycznej.

Sława jego, wzrastająca z roku na rok, dochodziła oczywiście i do Kalisza, gdzie pani Walerja z mężem i dziećmi mieszkała stale, a dokąd Asnykowi, jako skompromitowanemu politycznie, przyjeżdżać z Galicji nie było wolno. Spotkali się dopiero w r. 1883 przypadkowo w Zakopanem, gdzie pani Skonieczna, już wtedy 47-letnia, spędzała z rodziną letnie miesiące. Asnyk po swem małżeństwie w r. 1875 już był od siedmiu lat wdowcem.

Dziwne to było spotkanie. Przechodząc koło siebie, nie poznali się. „Wiek przypruszył srebrem złociste włosy pani Walerji, przygasił blask jej szafirowych oczu“, a poeta, choć z zapałem chodził po najwyższych turniach tatrzańskich, także już dźwigał piąty krzyżyk. „Oboje już zostawili młodość po za sobą i, jak wędrowcy, którzy dochodzą do kresu drogi mozolnej, patrzyli w przeszłość, pełną łez i walk, smutnym, beznamietnym wzrokiem“. Zrównoważeni oboje, już nie mieli powodu stronić od siebie, więc, jak starzy znajomi i przyjaciele, dużo czasu spędzali razem.

Po wielu latach, prowadząc długie rozmowy, mieli sobie dużo do powiedzenia, albowiem oboje przeszli w ciągu tego czasu niemało, oboje doznawszy różnych bolesnych trosk i rozczarowań. Gdy jednak ona nie miała mu co przebaczać, on czuł niewygasły żal do niej, iż rozwiała jego marzenia młodości, że wzgardziła jego pierwszą miłością. Stąd nieraz gorycz w jego odezvaniach się.

Któregoś dnia np., gdy Asnyk opowiadał cierniste koleje swego życia, pani Walerja, mając swoje bardzo ciężkie przejścia rodzinne na myśli, rzekła z westchnieniem:

— Ileż ja przeszłam!

Zatopiony we wspomnieniach własnej miłości, w przypuszczeniu, że pani Walerja myśli o swoich cierpieniach serca, odrzekł jej na to poeta z gorczą:

— A dlaczego tak się stało?

Nie zrozumieli się.

W każdym razie po tem spotkaniu w Zakopanem już nie widzieli się nigdy w życiu.

Asnyk jednak w jakiś czas potem ogłosił ironiczny wiersz p. t. *Nawrócenie*, którym prawdziwie po heinowsku przypieczętował legendę swojej pierwszej miłości:

Gdy miała szesnaście latek,
Była, ach! bardzo sceptyczną:
Nie chciała wierzyć, gdym mówił,
Że jest prześliczną.

Wątpiła o swej urodzie,
W uczucie wierzyć nie chciała;
Kiedym jej miłość wyznawał,
Tylko się śmiała!

Lecz dzisiaj po latach wielu,
Wiara w jej serce wstąpiła
I nawrócona zupełnie,
Żałuje, że wprzód wątpiła...

Ufna w potęgę miłości,
Wspomnienia pragnie odświeżyć,
Wierzy, że jeszcze ją kocham;
Lecz ja... przestałem już wierzyć... ¹⁾

¹⁾ Walerja z Nawrockich Stanisławowa Skonieczna, zmarła jako wdowa, w Warszawie 4 marca 1911 r., przeżywszy lat 75. Pochowaną została w Kaliszu, 8 maja t. r. na cmentarzu ewangelicko-angsburskim. Wiadomości o tem udzielił mi łaskawie p. Stefan Demby.

KSIEGARNIA J. CZERNECKIEGO

poleca następujące książki:

Barczewski W., Rzędne sferyczne i geograficzne w geodezji.

Bartoszewicz, Mała historia Polski.

Bolland A. Dr. Prof., Towaroznawstwo.

— Chemja organiczna.

Bossowski E. Prof., Prawo ziem wschodnich.

Cercha i Kopera Fr., Ciovanni Cini i jego dzieła w Polsce.

Chmielowski A., Nasza literatura dramatyczna (dwa tomy).

— Współcześni poeci polscy.

Chrzanowski J., Ojciec nasz A. Cieszkowskiego.

— Z epoki romantyzmu.

Dobrzycki St., Z dziejów literatury polskiej.

Doleżan W., Wychowanie młodzieży.

— Wypisy do literatury powszechnej.

Dziakiewicz Wł. Inż., Miernictwo.

— Pomiar większych obszarów i podział, czyli parcelacja gruntów.

— Roboty wodne: Wodociągi.

— Żelazo-beton.

Dyrna F., Praktyczne tabele do szybkiego obliczania odsetek, od każdego kapitału za każdy okres i na dowolną stopę procentową.

Filimowski W., Poradnik w sprawach honorowych.

Glass J., Prawo ksiąg gruntowych w b. zaborze rosyjskim.

Jaworski Wł. L., Prawo cywilne na ziemiach polskich. Tomów 2.

Kargol A. i Weigt H., Geografia Polski.

Kisielewski Wł., Zarys chemji. Podręcznik dla wyższych klas gimn. klasyczn.

Kruszyński X. Ks. Dr., Dzieje sztuki staro-chrześcijańskiej.

Krzyżanowski A., Nauka o pieniądzu i kredycie.

— Drożyzna. Wydanie drugie Gospodarki wojennej.

Kumaniecki K. Wł., Strategia wielkiej wojny 1914 — 1918.

— Zbiór najważniejszych dokumentów do powstania Państwa Polskiego.

— Zarys prawa administracyjnego na ziemiach Polski:

I. Administracja szkolna.

II. Administracja wyznaniowa.

III. Administracja stosunków społecznych.

— Zarys Ustroju Władz Samorządowych na ziemiach Polski.

Lewakowski J., Terenoznawstwo i kartografia wojskowa.

Mayr R. Dr., Historia handlu na tle stosunków społecznych i gospodarczych. I. Starożytność. II. Średniowiecze. III. Czasy nowożytne. IV. Czasy najnowsze.

Mazanowscy A. i M., Podręcznik do dziejów literatury polskiej.

Molicki A., Encyklopedia syntezy nauk. Tomów 4.

Mroczek F., Rzymskie prawo prywatne w formie systematycznych pytań i odpowiedzi:

Prawo rodzinne.

Prawo procesowe.

Zobowiązania.

Muczkowski J., Ochrona zabytków.

„*Nasza Konstytucja*“ Praca zbiorowa: Wł. Abrahama, Tad. Dwernickiego, St. Estreichera, Wł. L. Jaworskiego, St. Kutrzeby, M. Rostworowskiego, St. Wróblewskiego i Fr. Zolla.

Niedziałkowski J. X., Wrażenia z pielgrzymki do Ziemi Świętej.

Ochorewicz-Monatowa M., Książka kucharska.

Pelczar S. X., Zarys dziejów karności w Polsce.

Przewodnik po Warszawie wraz z najnowszym planem.

Reinhold J. Dr., Nowela do procedury karnej o post. uproszczonym.

Ustawa o zwalczaniu lichwy wojennej.

Zarys prawa karnego obowiązującego na ziemiach Polski. Część ogólna.

Rozwadowski J. M., My a Ruś i Litwa.

Sarnecki Z., Zwyczaje towarzyskie.

Seredyński M., Wiadomości z handlu.

- Severin L. Inż., Fürgang M. Inż. i Kern R. Inż.,* Parowóz.
Podręcznik dla kierowców parowozów i palaczy.
- Sichulski.,* Karykatury współczesne. Album. Legjony, Politycy, Literaci, Malarze i Aktorzy.
- Skalski W.,* Podręcznik księgowości pojedynczej.
— Podręcznik księgowości podwójnej.
— Temat z działu towarowego do kantoru praktycznego.
— Zarys księgowości bankowej systemu amerykańskiego.
- Skulski J. Inż. Dr.,* Tytoń i jego uprawa.
- Sobolewski Wł.,* Szermierka na szable.
- Stadtmüllèr K.,* Egzamin maszynisty.
— Egzamin szofera.
- Stasiak L.,* Przewodnik po Krakowie.
- Swoboda M. Inż.,* Urządzenia ochronne na stacjach i liniach kolejowych.
- Szelański A.,* Historia starożytna.
— Historia średniowieczna.
— Historia nowożytna.
— Historia nowoczesna.
- Tarnowski St.,* Julian Klaczko. Tomów 2.
— O Rusi i Rusinach.
— O kolendach.
- Tomek W.,* Historia Król. czeskiego. Tomów 2.
- Tretiak J.,* Najświętsza Panna w poezji polskiej.
— Szkice literackie. Serja II.
- Urbanowicz J. Dr.,* Zbiór recept do użytku lekarzy praktykujących.
- Weigt H. Dr.,* Geografia gospodarcza ziem polskich.
- Zoll Fr. Prof.,* Prawo cywilne II. część prawo austriackie.
— Prawo cywilne IV. część prawo ziem wschodnich.
— Prawo rzeczowe na ziemiach polskich.
- Zoll Fr. (starszy),* Rzymskie prawo prywatne. (Pandekta) Tomów 5.
- Życiorysy sławnych Polaków:* Chopin Fryderyk, Czacki Tadeusz, Czajkowski Michał, Hofmanowa Klementyna z Tańskich, Kaczkowski Zygmunt, Kochanowski Jan, Konarski Stanisław, Kopernik Mikołaj, Korzeniowski Józef, Moniuszko Stanisław, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej, Zaleski Bohdan, Józef i Zamojski Jan.

